



MARCIN HYBEL

BALLADA
O PRZESTĘPCACH

PORYWAJĄCA PRZYGODOWA POWIEŚĆ HISTORYCZNA
OSADZONA W ŚREDNIOWIECZNEJ ANGLII



BALLADA
O PRZESTĘPCACH

MARCIN HYBEL

BALLADA
O PRZESTĘPCACH



Copyright © Marcin Hybel, 2016

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Klaudia Bryła

Redakcja: Sylwia Sandowska-Dobija

Korekta: Agnieszka Czapczyk / panbook.pl

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka /
panbook.pl

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-473-0

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Powieść tę dedykuję moim rodzicom,

Danucie i Aleksandrowi

OD AUTORA

W średniowiecznej Anglii żyło mnóstwo włóczęgów, żebraków, złodziei i różnej maści przestępców. Wielu bandytów jednoczyło swe siły, tworząc gildie, które z czasem mogły liczyć nawet kilkaset ściśle współpracujących ze sobą osób.

Taka banda miała charakter organizacji, w której, podobnie jak w rzemieślniczych cechach, obowiązywał okres nauki zawodu, pozwalający uzyskać przymioty przydatne do planowanej profesji. Terminowanie w zawodzie trwało zwykle kilka miesięcy, ale zdarzały się staże nawet kilkuletnie, zakończone egzaminem i uroczystym zaprzysiężeniem.

Gildia była ściśle zhierarchizowana, od typowych rozbójników, przez oficerów, aż po króla. Mechanizm jej działania przypominał strukturę państwa, rządziła się własnymi prawami, statutami i rozporządzeniami, dotyczącymi się nie tylko wykonywanego zawodu, ale i życia prywatnego.

Bandyci w przeważającej większości okazywali się bezwzględni i okrutni, ale jak wszyscy ludzie, tak i oni mieli swoje marzenia i pragnienia. Źle się działo, jeśli któryś z nich stawiał je ponad interesy gildii.



ANGLIA

1 LIPCA 1331 ROKU

Franciszkanin Thomas szedł zwawym krokiem, mijając zamknięte zagrody i wiejskie chatynki. Była już późna noc, a padający deszcz ani trochę go nie oszczędzał. Pomstował na pogodę, co rusz naciągając mocniej na głowę kaptur, ale na niewiele to się zdało, bo jego oblicze i tak było już na wskroś przemoczone. Szybko wszedł na teren budowanego klasztoru. Myślami był przy spotkaniu, w którym przed momentem brał udział, dlatego nie zauważył kryjącego się w mroku mężczyzny.

Osobnik o tłustych, szpakowatych włosach stał pod rusztowaniami przy wschodniej części transeptu. Za paskiem miał schowany sztylet, a łuk z kołczanem wsparł o ścianę. Nie spuszczał zakonnika z oka, więc gdy tamten był już o krok od klasztornych wież, splunął, podniósł

wspartą o ścianę broń i żwawo wyszedł spod rusztowań.

– Wszystko w porządku? – spytał silnym, donośnym głosem.

Thomas zatrzymał się i wbił wzrok w miejsce, z którego doszło go pytanie. Niewiele dojrzał, ale w chwilę później nieboskłon przeszył gromki piorun, poprzedzony tak jasnym błyskiem, że przez moment wydawało się, iż nastął dzień.

– Ach, to ty, Henry – mruknął zakonnik. – Tak, wszystko w porządku.

– Czyli działamy?

Franciszkanin zdobył się na krótki, wymuszony uśmiech, bo taką właśnie miał manierę, gdy nerwy brały w nim górę, po czym pchnął prowizoryczne odrzwia.

Mężczyzna się zawahał, bo nie otrzymał odpowiedzi, ale ostatecznie ruszył pośpiesznie za nim. Nie miał śmiałości powtórzyć pytania, jednakże nim wyszli z kruchty, mruknął pod nosem:

– Panie?

Thomas sprawiał wrażenie nieobecnego. Całą uwagę skupiał na niedawnym spotkaniu oraz na tym, co przyniesie jutrzejszy dzień, niemniej jednak otrząsnął się i rzucił przez ramię:

– Czego chcesz?

– Czy... Czy działamy...

– Jutro. Działamy jutro.

– Rozumiem.

– Ale, wiesz... – dodał, zatrzymując się nagle.

– Tak? – Henry instynktownie cofnął się o krok.

– Rozmówię się z wami teraz, więc idź po resztę.

– Oczywiście.

Mężczyzna wygładził wysłużony dublet, zaczesał przemoczone włosy i skierował się w stronę refektarza, franciszkanin zaś przeszedł przez główną salę prezbiterialną, nie zapominając o oddaniu hołdu siermiężnie skleconemu krzyżowi. Starał się nie zwalniać kroku ani na moment, gdyż większa część świątyni nadal nie posiadała dachu, a ulewny deszcz zdawał się z każdą chwilą przybierać na sile.

Zachodnią nawę tworzył na razie jedynie wylany fundament i fragment ściany nośnej, ale schody prowadzące z tamtego miejsca do

piwnic były już ukończone. Zakonnik zszedł nimi i po niedługim czasie dotarł do swojej komnaty.

Przy wejściu kręcił się Ranulf, korpulentny zakonnik o zepsutych zębach i wiecznie spoconym obliczu. Służył poprzedniemu proboszczowi, a Thomas z pewnych powodów zdecydował się zostawić go przy swoim boku. Póki co nie żałował tej decyzji, choć czasem irytowało go wścibstwo i nachalność zakonnika.

- Mamy coś? – spytał z błyskiem w oku braciszek.
- To wszystko na dzisiaj, Ranulfie. Możesz odejść.
- O-oczywiście.

Zimna cela była oświetlona tylko lampionem, postawiony nieopodal wejścia krzyż rzucał na podłogę upiorny cień. Poza krucyfiksem wyposażenie pokoju stanowiło łóżko z baldachimem, masywna szafka, bogato zdobiona płaskorzeźbą i żelaznymi wstawkami, skrzynia, stół oraz dębowy zydeł o siedzisku wyściełonym wzorzystym, wysłużonym jedwabiem. Franciszkanin ściągnął z siebie przemoczony płaszcz, wyjął ze skrzyni lnianą szmatkę i jął wycierać mokre od deszczu oblicze oraz krąg ciemnych włosów, okalających wygoloną na czubku głowy tonsurę. Następnie zasiadł do stolika, sięgnął po krużę wina i już po chwili upajał się cierpkim, palącym smakiem napitku. Długi czas rozmyślał nad jutrzejszą akcją, bo nie dawało mu spokoju pytanie, czy powinien angażować w sprawę Jordana. Właśnie rozważał któryś z kolei scenariusz działań, kiedy w komnacie rozległo się pukanie.

- Wejść! – krzyknął.

Odrzwia momentalnie się otworzyły i do środka weszła trójka mężczyzn. Szpakowaty Henry, którego chwilę temu franciszkanin spotkał pod klasztorem, Odo, przyciągający uwagę swoim przetrąconym nosem, i Jordan, najmłodszy z całej trójki, o rudej, zmierzwionej czuprynie.

– Zgaduję, że Henry powiedział wam, kiedy ruszacie do akcji – rzucił na wstępie franciszkanin.

- Tak – odparli niemal jednocześnie mężczyźni.
- To dobrze. Macie jakieś pytania?

W komnacie zaległa cisza. Henry wciągnął nadmiar flegmy nosem,

Odo dyskretnie poprawił się w kroku, bo znowu naszła go myśl o jutrzejszej, jakże podniecającej konfrontacji, Jordan zaś uniósł głowę i dumnie obwieścił:

– Wszystko jest jasne.

Thomas wydał krwistoczerwone usta, skupiając na nim całą uwagę.

– Wiesz, co masz jutro robić? – spytał wreszcie.

– Tak.

– Więc mi powiedz. Chcę to usłyszeć od ciebie.

Jordan poczuł zakłopotanie, bo przecież tyle razy już to powtarzał.

Czyżby Thomas się rozmyślił? Czyżby zwątpił w jego umiejętności?

– Mam słuchać i obserwować, panie. Działać tylko

w ostateczności.

– Dobrze.

Chłopak poczuł na nowo rosnącą pewność siebie, lecz Thomas nie spuszczał z niego spojrzenia.

– Boisz się?

– Ja? – spytał i zaśmiał się nerwowo pod nosem. – Nie, skąd.

– Odwagę łatwo pomylić z głupotą, chłopcze. Pamiętaj o tym, bo Waleran wiąże z tobą duże nadzieje. Ja... też pokładam w tobie nadzieję.

– W-wiem. Nie zawiodę was.

– Dobrze. – Thomas rozparł się na krześle i splótł dłonie na piersi.

– Posłuchajcie teraz, w jaki sposób macie się za to zabrać.

Deszcz nie ustawał ani na moment. Targany silnymi podmuchami wiatru, zalewał drogi, chaty i pola uprawne. Okolicę wypełniał szum ulewy, szmer gałęzi i skowyt niespokojnej zwierzyny. Wieś sprawiała wrażenie wymarłej, jednak w piwnicach budowanego klasztoru mężczyźni naradzali się jeszcze przez długi czas. I nawet gdy spotkanie dobiegło końca, franciszkanin Thomas nadal nie myślał o udaniu się na spoczynek.

Prześląknięty wonią ziemi i topiącego się łoju z lampionu, klęczał w swej komnacie naprzeciw upiornego krzyża. W ręku trzymał skórzane rzemienie i upajał się bólem, który przenikał jego ciało. Nagie plecy zdobyły głębokie rany i strużki ciemnobrunatnej krwi zmieszanej z potem. Udręczone jasnoniebieskie oczy były pełne łez, ale gorzki, przepojony ekstatycznym uniesieniem uśmiech jeszcze długo nie zniknął

z jego twarzy.

Ranek przyniósł przyjemnie rześkie powietrze. Rodzina wędrownych cyrkowców opuściła wieś wraz z obwoźnym handlarzem i podjęła dalszą podróż, prosto do Londynu.

Trakt był równy i w miarę łagodny tylko przez pierwszych kilka mil, niestety zaraz potem zwężał się i miejscami stawał tak wyboisty, że Robert bał się, czy wysłużone koła powozu wytrzymają. Mężczyzna wiedział, że szlak będzie w nie najlepszym stanie i że nadłożą drogi, ale przynajmniej był spokojny o to, że trupa zaoszczędzi trochę grosza. Trasa, z której zrezygnował, biegła w prostszej linii, była szersza i bardziej równa, a na pewnym odcinku nawet wybrukowana. Gościniec ten powstał w czasie budowania wielkiej katedry w Herefordshire i służył wówczas do transportowania kamienia. Niestety, jak każda droga handlowa wymagał ciągłych napraw, wobec czego ściągano na rzecz jego utrzymania wysokie opłaty od podróżnych.

Robert i jego rodzina od lat wędrowali pomiędzy miastami, zarabiając występami na jarmarkach. Byli przyzwyczajeni do takiego trybu życia, ale drogowe opłaty od zawsze dawały im w kość. Nawet teraz, podczas podróży z Melbourn, żądano ich aż czterokrotnie: za przeprawę przez most, na dwóch przełęczach oraz u wejścia w dolinę. Robert znał niektóre rejony królestwa i wiedział, których tras unikać, by nie trafić na haracz pobierany przez chciwego pana. Kluczył wraz z rodziną pomiędzy gościńcami, przemierzał wrzosowiska, dzikie łąki, bagna i polany, ale czasem nie opłacało się nadkładać drogi, choćby dlatego, że niektóre szlaki były zbyt trudne dla konia zaprzęgniętego do załadowanego powozu.

Oczywiście Robert zdawał sobie sprawę, że zmierzając do

Londynu, jego rodzina będzie musiała przejść przez królewski las, gdzie nie obędzie się bez uiszczenia opłaty, ale pocieszał się, że zaoszczędzą przynajmniej na jednym świadczeniu.

Wokoło rozciągały się łagodne zbocza pól. Porastały je kolorowe jaskry, storczyki i okazałe kępy kosaćców, których fioletowe kwiaty sterczały nad kobiercem z pozostałych roślin niczym łąkowi gwardziści.

Malownicze łąki sięgały horyzontu, ale przed południem wędrowcy dotarli do miejsca, z którego można było dojrzeć kilka rozproszonych pól uprawnych oraz pasące się na nich owce. Teren był tutaj o wiele bardziej stromy, przecinały go krzyżujące się ze sobą wzniesienia i doliny. Robert nie widział żadnych zabudowań, ale nie miał wątpliwości, że w końcu dotrą do jakiejś osady. Na angielskiej ziemi było wiele samotnych gospodarstw i jeden Pan Bóg wiedział, ile z nich sprostą trudom życia i osiągnie przynajmniej taką wielkość, jak wioska, w której jeszcze nie tak dawno byli. Robert nie zamierzał odwiedzać mieszkańców tego miejsca, ale dobrze je sobie zapamiętał, bo kto wie, czy za kilka lat jego rodzinie nie przyjdzie tutaj nocować.

Z czasem krajobraz zdominowały fantazyjnie rzeźbione skały wapienne, przyprószone tu i ówdzie kępami trawy bądź rozkwitłymi krzewami. Droga robiła się coraz bardziej stroma, a zachodnią część terenu z czasem zajęło niewielkie wyrobisko w formie okręgu – kamieniołom otoczony wapieniami.

– Nie podchodźcie za blisko! – krzyknęła matka, gdy William i Gilbert co tchu podbiegli do krawędzi urwiska. Strome, niemal pionowe ściany tworzyły przepaść głęboką miejscami nawet na trzydzieści stóp, ale dla chłopców nic nie było straszne. W dole mieniła się przecież piękna, niemal przezroczysta woda, raj dla strudzonych wędrowców.

– Możemy się wykapać? – spytał z nadzieją w głosie starszy, dwunastoletni chłopak.

– W żadnym razie! Idziemy dalej.

– Proszę, tato.

– Możemy? – zawtórował mu Gilbert.

– Nie! – krzyknęli niemal jednocześnie Felicia z Robertem.

Chłopcy posępnie zwiesili głowy i pobiegli w ślad za wlokącym się

wozem.

Późnym popołudniem rzeński wiatr przegnał z nieboskłonu chmury, uwalniając gorące promienie lipcowego słońca. Stojące w oddali wapienne głazy mieniły się teraz na zmianę to białymi, to różowymi, a czasem i karmazynowymi refleksami. Powietrze, podobnie jak poprzedniego dnia, znowu stało się parne i duszne, ale na szczęście coraz częściej zaczęły się pojawiać rozłożyste buki i dęby, rzucające na trakt pajęczynę cieni. Łąki zanikły całkowicie, a w ich miejscu jęły się ukazywać krzewy i ciemne nisze liściastych zarośli porośniętych gdzieś owocami.



Gilbert z Williamem nie byliby sobą, gdyby siedzieli w tej chwili na wozie. Nie mieli ochoty przysłuchiwać się rozmowom Amandy i mamy, więc biegali od krzewu do krzewu, zbierając garściami maliny. Obaj byli żywiołowi, pełni radości i chęci życia, impulsywni i zuchwali. William we wszystkim chciał być pierwszy, zawsze pragnął wygrywać. Był cztery lata starszy od Gilberta i nieraz z łatwością go pokonywał w konkurencjach, które sobie wymyślił, niemniej jednak Gilbert wcale nie pozostawał mu dłużny. Często uciekał się do sprytnych oszustw lub korzystał z przywileju wieku, skarżąc się matce. Co by nie mówić, radził sobie, jak potrafił, irytując tym porywczego brata.

W tej chwili śmiali się do siebie, przekrzykiwali jeden drugiego, licytowali, który z nich znalazł piękniejszy owoc, a gdy argumenty nie skutkowały, szturchali się i wyzywali tak, by przypadkiem ojciec nie usłyszał. Nie było jednak w tych docinkach odrobiny ze złośliwości. Bracia się kochali i nawet wówczas, gdy błaha sprzeczka przeradzała się w zażartą kłótnię, potrafili bez niczyjej pomocy zażegnać spór i pogodzić się ze sobą. Oczywiście nierzadko interweniował ojciec, ale zwykle podyktowane to było jego nadopiekuńczością. Robert może i był wymagający, miał mocne gardło i ciężką rękę, niemniej jednak chciał wychować dzieci na porządnych ludzi, tak jak jego wychował ojciec, szanowany kleryk z Melbourn. Robert i Geoffrey wielokrotnie dostawali od niego różgą, słysząc, że jeśli kocha się dziecko, to należy je bić. Co ważne, tata zgodnie z nauką kościoła nigdy nie bił ich po głowie i twarzy ani w miejscach publicznych. Robert starał się przestrzegać podobnych zasad.

– Przed nami las Dorstera – oznajmił Geoffrey, zadzierając głowę wysoko do góry.

– Wielu się tu zgubiło – bąknął handlarz.

– Czy są tu wilki?

– Nie bój się, Amando – pocieszyła ją matka. – Wilki bałyby się zaatakować tylu ludzi.

– Zatłukłbym je pierwszym lepszym badylem! – krzyknął Gilbert w kierunku siostry, na co wszyscy wybuchli gromkim śmiechem.

Rozłożyste gałęzie buków i dębów tworzyły nad wędrowcami coraz gęstszy baldachim. Drzewa porastały niewielki grzbiet otoczony wstęgami rzek, ciągnęły się przez wiele mil, obejmując pastwiska, polany, rzeki, stawy, a nawet bagna. Ci, co wstępowali do królewskiego lasu, musieli się liczyć z wieloma zakazami. A prawo było surowe, bo za ścinanie drzew bądź zbieranie chrustu bez pozwolenia w najlepszym razie groziła kara grzywny, a w najgorszym trwał okaleczenie ciała lub nawet kara śmierci. Oczywiście najsurowiej karano kłusownictwo, jednak wybrani świeccy i duchowni po otrzymaniu specjalnego zezwolenia mogli polować na pośledniejszą zwierzynę, jak lisy, żbiki czy ptactwo.

Nikom w królewskim lesie nie wolno było nosić łuku ani strzał – chyba że broń była odpowiednio spakowana, niezdatna do polowań – i nawet psy wprowadzane na teren puszczy musiały mieć ucięte trzy pazury przedniej łapy, aby nie mogły gonić zwierzyny. Królewskiego terenu strzegły zespoły łowczych, gajowych i leśniczych, jednakże nie mieli oni łatwego zadania, bo puszcza była bardzo rozległa, a kryjące się w niej dobra niejednego kusił. W końcu z drzew robiono meble, narzędzia, powozy i wiele innych wartościowych rzeczy, kory używano do garbowania skór, a żywicy do wyrobu klejów, świec i pochodni, nie wspominając o chruście na opał czy o zwierzętach dostarczających mięsa, skór i futer.

Pomimo gróźb ludzie wabieni darami lasu wypasali swój inwentarz bez zezwolenia, ścinali drzewa, a nawet uprawiali kłusownictwo. Okoliczne hrabstwa bogaciły się na ich grzywnach, ale równie dużo głów wpadało do wiklinowych koszy po katowskich uderzeniach.

– Ciekawe, czy natkniemy się na poborcę opłat – rzekł Robert ni to do siebie, ni do towarzyszy.

– Jeśli chcesz – odezwał się obwoźny handlarz – mogę poprowadzić was trasą, na której rzadko kiedy bywają.

Robert z Geoffreyem popatrzyli na niego podejrzliwie.

– No cóż, wielokrotnie tędy chodziłem, to znam pewne ścieżki...

– Nadłożylibyśmy drogi?

– Niezbyt.

– To znaczy?

– W najgorszym razie podróż wydłużyłaby się o pół świecy[1].

– No dobrze, myślę, że warto zaryzykować. – Robert nie chciał się łąkomić na kilka pensów, ale w ten sposób przynajmniej mógłby poznać drogę w lesie Dorstera wolną od opłat. Propozycja wydawała się kusząca.

– Pamiętasz dobrze tę trasę?

– Tak, nie macie się czego obawiać. Zaraz za tą polaną porośniętą paprociami odbijemy w prawo i jeszcze przed zmierzchem wyjdziemy z puszczy.

Robert skinął głową i z niekłamanym podziwem popatrzył na dziadka. Miał już swoje lata, ale sił wcale mu nie brakowało. Co prawda jego bagaż spoczywał na wozie, jednak on sam utrzymywał tempo marszu od początku podróży, i to bez słowa protestu. W karczmie sprawiał wrażenie jakby bardziej zniedołężniałego...

– Na pewno wiesz, dokąd idziesz? – spytał półgębkiem Geoffrey. – W lesie łatwo się zgubić, a i bandytów ponoć jest tutaj pod dostatkiem.

– Nonsens! – zareagował niemal natychmiast obwoźny handlarz. – Przemierzyłem ten las wszerek i wzdłuż chyba ze sto razy i jedyne, czego można się tutaj obawiać, to wdepnięcia w gówno.

– Bandyckie gówno – wtrącił półgębkiem William, który akurat zbierał nieopodał maliny. – Gilbert! – krzyknął po chwili, z trudem powstrzymując wybuch śmiechu. – Ty chyba jeszcze w takie nie wdepnąłeś?!

– Jak ci... – Gilbert aż się zachłysnął. Był niższy od Williama więcej niż o głowę, lecz niestraszna mu była bójka z bratem. Rzucił na ziemię dopiero co zebraną garść malin i zaczął biec za uciekającym i zanoszącym się śmiechem Williamem.

– Słyszałem, że bandyci naprawdę tu grasują – nie dawał za wygraną Geoffrey, odprowadzając chłopców wzrokiem. Niezgrabnym ruchem poprawił nożyk przy pasku, co nie uszło uwadze handlarza.

– Grasz – zgodził się wreszcie staruszek, choć z pewnym ociąganiem – ale w głębi puszczy. I wiedz, synu, że takim kozikiem co najwyżej możesz im śliwy wydrylować.

– Nic się nie obawiaj, dziadku, bo siły mi nie brakuje.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Chłop mierzył chyba z siedem

stóp, do tego miał wielkie, szerokie bary, kark niczym pień drzewa...

– A jak u ciebie z rozsądkiem? – spytał handlarz. Geoffrey ściągnął brwi. Rzadko kiedy się złościł, ale nie lubił, gdy ktoś obcy podważał jego pomysłu.

– Wybacz mi – dodał w pośpiechu starzec, widząc marsową minę siłacza – ale życie mnie nauczyło, że jeśli natkniesz się na jakiegoś drania, to lepiej oddać mu pieniądze. Przynajmniej ujdiesz żywym i..

– Nie zapesaj – skarcił go Robert. – Chłopcy, nie biegnijcie tak daleko!

– No cóż... – Staruszek zwolnił kroku i odpędził zdrową ręką muchę sprzed nosa. – Mam już swoje lata i wiele przeżyłem, ale lubię zawczasu wiedzieć, z kim się zadaję.

– Co masz na myśli? – spytał po dłuższej przerwie Geoffrey. Nie do końca rozumiał, o co starcowi chodzi, ale intuicja podpowiadała mu, że chyba mówił o nim.

– Gdyby ktoś niespodziewanie nas zaatakował, nie chciałbym stracić życia przez jakiegoś furiata.

Geoffrey spurpurowiał, a pięści podświadomie zacisnęły mu się tak mocno, że aż zbieleły knykcie. Pomimo potężnej postury był łagodnego usposobienia, rzadko kiedy wdawał się w bójki, ale ten starzec coraz mniej mu się podobał. Przez całą drogę bąknął raptem kilka słów, a teraz, odkąd weszli do lasu, stał się jakiś taki butny. Robert poklepał Geoffreya po plecach i śpiesznie oznajmił:

– Geoffrey nie jest nadpobudliwy, wie, co robi, więc nie masz się czego obawiać.

– Wcale nie mówiłem, że...

Do ojca przybiegł roztrzęsiony William.

– Tam ktoś był, tato! – krzyknął zdyszany.

– No i co z tego?

O tej porze roku w lesie było pełno ludzi. Leśniczy, gajowi, kupcy śpieszący za zarobkiem, poborcy podatków, chłopstwo...

– Ale on był na drzewie!

Wszyscy się zatrzymali. Nawet Felicia bez słowa ściągnęła wodze i jęła rozglądać się po drzewach.

– Co też ty opowiadasz? – zdenerwował się ojciec. – Wiesz, że nie

wolno kłamać!

– Nie kłamię, przysięgam! Chował się w brunatnym płaszczu! – William wskazał palcem w kierunku, w którym zmierzali. – Zaraz za tym wzniesieniem.

– Gilbert, a ty coś widziałeś? – spytał Geoffrey.

Mały potrząsnął złotymi loczkami.

– Nie, wujku. – Był smutny, bo William coś widział, a on nie.

– Pójdę to sprawdzić – zaoferował się starzec. Bądź co bądź, czuł się odpowiedzialny, bo sam wybrał tę trasę.

– Nie. – Robert położył rękę na jego ramieniu. – Ja pójdę.

– Jesteś pewny? – szepnęła małżonka.

– To bez wątpienia nic poważnego.

– Uważaj na siebie.

Mężczyzna rzucił jej pokrzepiające spojrzenie, potarł swój kilkudniowy zarost i ruszył przed siebie. Stawiał kroki ostrożnie, choć w pośpiechu, bo chciał jak najszybciej zobaczyć, co kryje się za wzniesieniem.

Poszycie leśne usłane było liśćmi i gałęziami, dużą jego połać zakrywał kobierzec bujnych paproci. Wokoło pięły się brzozy, buki i dęby poznaczone mrowiem zielonego listowia. Drzewa rosły w sposób zwarty, toteż ich gęste i rozłożyste korony tworzyły majestatyczny baldachim, przez który ledwie przenikały promienie słońca.

Gdy tylko Robert wszedł na pagórek, dostrzegł, że dalej droga biegnie łagodnym zejściem. Drzewa, podobnie jak wcześniej w obecności krzewów i paproci, pięły się tutaj prawie do samego nieba. Ze sto jardów dalej las przecinał wąski strumyk, przy którym zatrzymał się imponujących rozmiarów jeleń. Nagle Robert cofnął się o krok, bo kątem oka spostrzegł, że po jego prawicy wśród gałęzi faktycznie siedzi jakaś postać. Szybko jednak zaśmiał się pod nosem, nie był to bowiem człowiek ani żadna zjawa, tylko fragment szarawego płótna. Kto je tam rzucił i po co, Robert nie wiedział, ale z pewnością nie stanowiło żadnego zagrożenia dla podróżnych.

– Chodźcie! – krzyknął. – Odpocznijmy tutaj.

Spłoszony okrzykiem jeleń uciekł w leśną gęstwinę, a Robert instynktownie oglądnał się za siebie, czy nie kręci się przypadkiem

w pobliżu jakiś leśniczy. Wszak za płoszenie królewskich zwierząt przewidziana była kara grzywny.

Podróźni zasiedli nieopodal wozu. Felicia rozdzieliła bochen jęczmiennego chleba i resztkę zapeklowanej wieprzowiny. Obwoźny handlarz chętnie przyjął poczęstunek, a sam wydobył obciążony skórą dzban wina. Robert chciał mieć nieco spokoju, więc zasiadł między chłopcami naprzeciw handlarza. Geoffrey dał koniowi wody, wór owsa i sam spoczął obok Felicii.

– Ze zmierzchem jak nic będziemy już w Londynie – rzekł starzec, siłując się z korkiem. Nie szło mu najlepiej, bo jego prawa ręka, zawinięta lnianymi szmatami, zwisała bezwładnie wzdłuż tułowia. Robert nachylił się ku handlarzowi, by mu pomóc. Poczł od niego smród niemytego ciała. Skrzywił się, ale nic nie powiedział. Dopiero gdy zasiadł, odezwał się półgębkiem, tak by przypadkiem dzieci go nie słyszały:

– Nie chciałbym iść przez te knieje po zmroku.

– Nie obawiaj się – odpowiedział starzec, nachyliwszy się ku niemu. – W najgorszym razie będziemy w Southwerk[2] o zachodzie słońca. Sam zdecydujesz, czy będziesz chciał spocząć tam, czy w Londynie.

Robert wysilił się na uśmiech, chcąc wierzyć, że starzec wie, co mówi. Sam znał las Dorstera – już kilka razy go pokonywał – ale dziś zaufał obwoźnemu handlarzowi, pozwolił, by poprowadził jego rodzinę nieznaną mu trasą, i tak po prawdzie od jakiegoś czasu nie był do końca pewny, w której części lasu się znajdują. Jak tak teraz siedział, to nawet zaczął się zastanawiać, dlaczego dał się tak łatwo namówić. Zawsze był czujny, nieufny i ostrożny względem nowo poznanych ludzi, a wobec tego staruszka zachował się zupełnie inaczej. Co prawda szlak póki co był łatwy do przebycia, a leśniczych czy poborców istotnie nigdzie po drodze nie spotkali, ale co by było, gdyby na przykład coś się stało temu starcowi? Rodzina Roberta jak nic musiałaby liczyć tylko na siebie, a odnalezienie drogi do Londynu w tej puszczy wcale nie wydawało się takie proste.

Gilbert trącił łokciem ojca i szepnął, przysłaniając usta ręką:

– Spójrz tam.

– To chrabąszcz. Uważaj, by cię nie ugryzł.

– Chrabąszcze nie gryzą – oznajmił zuchwale William, a Robert puścił do niego oczko i ugryzł kęs mięsiwa.

Gilbert położył się na brzuchu i jał śledzić wzrokiem zmagania małego robaka.

– Będziemy spać w karczmie czy u kogoś, tato? – zapytała Amanda.

– Jeszcze nie wiem, moje dziecko.

– Znam dobrą i tanią oberżę w okolicach Aldersgate – wtrącił starzec.

Robert pokiwał głową, bo kojarzył tę dzielnicę.

– Dlaczego ma pan tyle rąk? – spytał nagle Gilbert. Wszak leżał na brzuchu, to widział wyraźnie, że siedzący mężczyzna, poza lewą ręką, w której teraz trzymał pajdę chleba, i prawą owiniętą bandażem, miał jeszcze trzecią, która wystawała pomiędzy fałd odzienia. Gilbertowi trudno było dojrzeć, ale w tej dłoni mienił się chyba jakiś stalowy przedmiot.

Twarz obwoźnego handlarza momentalnie spochmurniała. Jego brwi ściągnęły się, policzki napięły, a wzrok wyostrzył niczym u gotującego się do skoku wilka. Wszelako nie zerwał się z ziemi, a jedynie upuścił na ziemię pajdę chleba, kierując błyskawicznie rękę z wyciągniętym palcem w stronę siłacza.

Na ułamek chwili zapanowała absolutna cisza, tak jakby czas się zatrzymał. Robert przetrawiał słowa małego chłopca, bo nie był w stanie nadać im żadnego sensu, a Geoffrey składał się do pytania, dlaczego handlarz celuje w niego palcem. Co by nie mówić, nikt nie zdążył niczego zrobić, zanim leśną głuszę wypełnił przeszywający świst zbliżającej się strzały.

Grot z przeszywającym gwizdem śmignął nieopodal twarzy Amandy, minął Felicię, po czym z głuchym tąpnięciem wbił się w brzuch zwałistego chłopca. W mgnieniu oka powietrze przecięła druga strzała, a zaraz potem jeszcze jedna. Obie wycelowane w Geoffreya miały wyssać z niego resztki życia. Druga strzała trafiła go w klatkę piersiową, a trzecia nie dosięgła celu. Grot chybionego pocisku worał się w lewy policzek Amandy, rozerwał jej język i wyszedł tyłem głowy.

Dziewczyna padła na ziemię martwa.

Felicia krzyknęła z przerażenia i rzuciła się w kierunku nieżywej Amandy. Kobieta już kilkakrotnie była świadkiem śmierci swoich dzieci, jednakowoż za każdym razem cierpienie było równie bolesne. Uczucie bezradności zapało Felicii dech, chwyciło za serce i ścisnęło tak mocno, że świat ją zanikać.

– Amando! – jęknęła. – Amando! – Dziewczyna nie dawała znaku życia, toteż zdesperowana Felicia chwyciła zakrwawioną głowę dziewczyny i zaczęła nią potrząsać, układając ją na swym podołku. Śnieżnobiałą dziewczęcą cerę szybko pokryła krew sącząca się obficie z rozszarpanej rany. Felicia wzniosła okrzyk tak gromki, że aż poniósł się echem wysoko pomiędzy drzewa, choć trwał jeno króciutką chwilę. Spomiędzy jej piersi wychynął nagle grot zabarwiony brunatną czerwienią. Kobieta skrzywiła się z bólu, kaszlnęła krwią, po czym runęła na leśne poszycie. Jej błękitne oczy bez ustanku wpatrywały się w szeleszczące liście drzew.

Robert sparaliżowany wydarzeniami poderwał się wreszcie z ziemi, jednak obwoźny handlarz był szybszy i rzucił się na niego z nożem. Szamotanina nie trwała długo. Zimne stalowe ostrze bezlitośnie wbiło się pod żebra Roberta aż po samą rękojeść. Struga ciepłej, lepkiej juchy w jednym momencie zalała rękę handlarza, ale mężczyzna nic sobie z tego nie robił, wyciągnął nóż z wnętrzości konającego i dla pewności wbił go prosto w gardło. Chrząst rozpruwanej grdyki i bulgot krwi nie ostudziły jego zapału. Wyciągnął ostrze i śledząc beznamiętnym wzrokiem wydobywające się z ust ofiary bańki krwi zmieszanej ze śliną, powtórzył cios jeszcze po dwakroć. Przy kolejnym zamachu poczuł, że ktoś go chwyta za kark i rzuca na ziemię. To Geoffrey pomimo ran zdołał jeszcze wstać i utrzymać się na nogach, choć las w jego oczach wirował oraz mętniał.

– W imię... Chrystusa... uciekajcie – zdołał wycharczeć do sparaliżowanych strachem chłopców. Chwilę później powietrze znów przecięły ze świstem strzały i naszpikowany nimi siłacz zwałił się w końcu na ziemię.

Obwoźny handlarz pomasował się po karku i podniósł, wodząc wzrokiem po pobojowisku. Gilbert siedział z wytrzeszczonymi oczami

i gapił się w niego jak sparaliżowany, William wręcz przeciwnie, dygotał, jakby był środek zimy, z całych sił zaciskał powieki, a z nogawki jego spodni wypływała strużka ciepłego moczu.

Plan prawie się udał; Robert, Geoffrey i Felicia nie żyli, ale Amanda...

– Który do niej strzelił?! – krzyknął obwoźny handlarz, przyglądając się nieruchomym zwłokom dziewczyny.

Spomiędzy rozłożystych paproci wyszła trójka mężczyzn; każdy z nich był uzbrojony w długi łuk i sztylet.

– Pytam, który do niej strzelił?

– Ja – odpowiedział najmłodszy z całej trójki, bo liczący może ze szesnaście lat. Musiał czuć skruchę, bo nic więcej nie rzekł i kornie zwiesił głowę o rudej, zmierzwionej czuprynie. Pozostali dwaj kompani: niski Odo z przetrąconym nosem i szpakowaty Henry stali po jego prawicy, nie mając odwagi spojrzeć na szefa.

Starzec zdjął z siebie wierzchni kaftan, do którego była przyszyta zgniła ręka. Ubiór krępował mu dotychczas ruchy, ale teraz poczuł wreszcie swobodę. Westchnął, przeciągnął się, a następnie wziął zamach i walnął młodego z całej siły w szczękę.

– Ta dziewczka miała przeżyć!

Chłopak zatoczył się, ale ustał na nogach. Podejrzał, że dziewczynę zamierzano oddać do pracy w jednym z burdeli, i zdawał sobie sprawę, że z jego winy gildia straciła sporo pieniędzy, wszelako lepiej było nie wdawać się z baronem w dyskusję. Do cholery, dobrze celował. Cóż mógł zrobić, skoro suka zaczęła się podnosić z ziemi akurat wtedy, gdy on już wystrzelił.

– Chciałeś coś powiedzieć?

Chłopak znał Alarda na tyle, by wiedzieć, że ostatnia rzecz, jaką teraz chciałby zrobić, to coś powiedzieć. Pokręcił przecząco głową, czując, jak strużka krwi sączy się z jego przeciętej wargi i kapie na brodę.

– Tracisz połowę swojego udziału, Jordanie.

Przestępca pokiwał głową na znak, że rozumie.

Względną ciszę zakłócił nagle Gilbert, który wybuchł głośnym, rzewnym płaczem. Chyba dotarło do niego, co się przed chwilą stało.

Alard nawet nie łypnął w jego kierunku okiem, atoli dał znak ruchem głowy, by Henry zajął się tym w należyty sposób. Wystarczyło, że bandyta stanął nad Gilbertem, a chłopiec zamilkł.

– Czy masz coś przeciwko tej karze? – zapytał szef, świdrując Jordana czujnym spojrzeniem. Zgodnie z regułą musiał zapytać podwładnego, czy uznaje swą winę i akceptuje wymierzoną karę. Gdyby Jordan nie zgadzał się z pracodawcą, mógłby dochodzić swych praw przed wyższą instancją, w tym przypadku przed hrabią kasty. Tego typu działania miały chronić podwładnych przed karami dyktowanymi kaprysem zwierzchnika, a zwierzchnikom zapewniać przynajmniej w minimalnym stopniu bezpieczeństwo przed ewentualnym zamachem podyktowanym chęcią zemsty.

Jordan wiedział, że dziewczyna umarła z jego winy, sprawa była więc z góry skazana na niepowodzenie. Poza tym nie słyszał jeszcze, by komukolwiek udało się podważyć autorytet któregoś z baronów i dojść swoich racji. Ta cała reguła, jak myślał Jordan, to jedna wielka bzdura, wszelako pokręcił głową i rzekł, godząc się z własnym losem:

– Nie mam nic przeciwko.

– Dobrze – oznajmił szorstko Alard. – Wiecie, co dalej robić.

Bandyci migiem dobiegli do zaszlachtowanych ciał. Rudy jął zbierać porozrzucane jedzenie i strzały, a Odo ściągał co wartościowsze ubrania z zabitych. Nad roznegliżowaną Amandą zatrzymał się trochę dłużej. Co prawda jej twarz była rozszarpana przez grot strzały i zalana posoką, jednak widząc drobne, szpiczaste piersi i obficie zarośniętą waginę, nie zdzierzył i chwytając się za krocze, spytał przełożonego:

– Mogę?

– Nie mamy czasu.

Odo skrzywił się i splunął na ziemię.

– Założę się, że jeszcze jest tam wilgotna – mruknął pod nosem.

– Nie mamy czasu!

Henry bez słowa podniósł chłopców i zaniósł ich do wozu. Gilbert gwałtownie wierzgał, więc mężczyzna bez skrupułów rzucił Williama na deski powozu, a małego chłopca uderzył pięścią.

– Nie! – krzyknął William, widząc, jak mały mdleje w tęgich ramionach oprawcy.

– Ty też chcesz w gębę? – spytał mężczyzna, przysuwając się do niego tak bardzo, że William aż się wzdrygnął. Widok gniewnej, zarośniętej twarzy oraz smród wydzielający się z jego trzewi sparaliżowały chłopca. Serce zabiło mu mocno i zamknął oczy, prosząc Boga, żeby to był tylko sen, koszmar, z którego zaraz się wybudzi.

William długo jeszcze zaciskał powieki, jakby to miało go uchronić od tych bydlaków, morderców jego rodziny. Wóz po chwili ruszył, a w tle dochodziły do niego stłumione głosy bandytów. Niewiele z tego rozumiał. Nie wiedział, dokąd jadą ani po co. Położył się obok Gilberta, objął go ramieniem i tak wreszcie zasnął.

Gdy William otworzył oczy, na niebie malował się pomarańczowo-złoty zachód słońca. Melodyjne cykanie świerszczy mieszało się ze skrzypieniem kół powozu. Chłopak widział kątem oka handlarza. Siedział, a raczej leżał pośród skrzyń, z nogami wywalonymi poza odeskowane oparcie, dłubał w poźółkłych zębach kawałkiem drzazgi i wpatrywał się obojętnym wzrokiem w mijaną okolicę. Nie wyglądał na nędzarza. Kaftan i lniane bandaże wraz ze stertą porozdzieranych koszul leżały przy nim zwinięte w tobiół.

Williama przeszedł dreszcz, bo przypomniał sobie o pobitym Gilbercie. Nie zastanawiając się ni chwili, podniósł się na łokciu, by zobaczyć, co z bratem. Ostrożnie odgarnął jego złote pukle z czoła i spostrzegł, że lewa strona jego twarzy jest tak bardzo opuchnięta, że trudno dostrzec powiekę, a wargę szpeci gruda zakrzepłej krwi. Najważniejsze jednak, że oddychał. Jego drobna, szczupła pierś miarowo unosiła się i opadała. Wyglądał jak ranione śmiertelnie zwierzę, które leży na boku i dogorywa, czekając, aż śmierć je w końcu ogarnie. Oczy Williama napełniły się łzami. Chciał się położyć, by w ciszy oczekiwać nieuchronnego, lecz mimowolnie spotkał się wzrokiem z okrutnym handlarzem. Wzdrygnął się, skulił za plecami brata i zacisnął powieki najmocniej jak tylko potrafił.

– Nie bój się. Nic wam nie zrobię.

William dygotał.

– Wiem, że zabiłem twoją rodzinę, ale musisz przyzwyczać się do myśli, że teraz my jesteśmy twoją rodziną... Kto wie, może będziemy razem pracować?

Chłopiec nie wiedział, o jakiej pracy mężczyzna mówi. Myśl

o tym, że jego rodzice nie żyją, dopiero do niego docierała. Był na siebie zły, bo do tej pory tak naprawdę nie płakał po ich stracie. Płakał, bo bał się o siebie i swojego brata, ale jakoś nie potrafił uronić łzy za swymi rodzicami. Taty w sumie chyba za bardzo nie kochał, ale mama ani go nie biła, ani nie zmuszała do cięższej pracy. Może jeszcze wszystko przed nim? Może będzie płakał za nimi, tylko że musi minąć trochę więcej czasu? William przypomniał sobie, jak w zeszłym roku poznał pod Danshire Joanne. Dziewczynce umarła wtedy mama, ale ona płakała od razu... I to jak bardzo...

– Przed nami Southwerk.

– Całe szczęście, bo dupę rozbiło mi już na miazgę.

William nieznacznie odwrócił się w kierunku kozła, skąd doszła go rozmowa. Dostrzegł drania, który uderzył Gilberta, oraz drugiego bandytę z rudą czupryną. Tego z przetrąconym nosem William nie widział i cieszył się, że go tu nie ma, bo intuicja podpowiadała mu, co chciał zrobić z nieżywą Amandą.

– Jedź trochę wolniej – nakazał handlarz, po czym obrzucił chłopców czujnym spojrzeniem. Chciał wyczytać coś z ich twarzy. Mały spał i tak naprawdę mógł się obudzić w każdej chwili, ten większy znowuż, choć odwracał wzrok i chował się za bratem, mógł w nieodpowiedniej chwili wydrzeć się o pomoc, a to pośród obcych ludzi nie byłoby pożądane.

– Obudź brata – rzekł w końcu.

William ani myślał dyskutować z tym draniem.

– Gil – szepnął, nachyliwszy się nad nim. – Gil – powtórzył nieco głośniej.

– C-co... – Gilbert uniósł głowę i otworzył zdrowe oko. Gdy tylko zobaczył pomarszczoną, sękatą dłoń handlarza, momentalnie zeszywniał.

– Nie bój się – szepnął William, choć sam nie do końca był pewien zamiarów bandyty. – Nie bój się – powtórzył, głaszcząc drobne ramię chłopczyka.

– Powiem to raz – zaczął stary handlarz, unosząc wskazujący palec. – A lubię coś mówić tylko raz. Jasne?

William szparko pokiwał głową. Starzec przeniósł wzrok na

Gilberta i wpatrywał się w niego dopóty, dopóki ten również nie potaknął.

– Dobrze. Mógłbym wam teraz dać po gębie tak mocno, że stracilibyście przytomność i dalsza rozmowa nie byłaby potrzebna, ale ja nie lubię bić dzieci, więc chciałbym tego uniknąć. – Bandyta zaczesał ręką długie, poznaczone kilkoma siwiejącymi pasemkami włosy i posłał chłopcom nerwowy uśmiech. – Wjeżdżamy właśnie w londyńskie przedmieścia, będzie tam trochę ludzi... Chcę być wobec was szczery... Moglibyście zacząć płakać, krzyczeć i jeden Pan Bóg wie co jeszcze robić, żeby ludzie zwrócili na was uwagę i was ura...

Mężczyzna urwał nagle i przeciągnął palcami po kilkudniowym zarostie, szukając właściwszego określenia. Alard nie bez powodu piastował stanowisko barona; miał na tyle oleju w głowie, by wiedzieć, że mówiąc o ratowaniu, niepotrzebnie obudziłby nadzieję w sercach tych małych pęteków.

– Ludzie mogliby – dodał po chwili – zacząć wypytywać, kim wy jesteście, a kim my jesteśmy... Kto wie, może wzięliby was do siebie, tak że my musielibyśmy odjechać z pustymi rękoma. Mogłoby tak być, naprawdę. – Krzaczaste brwi barona uniosły się wysoko, sygnalizując tym całkowitą, wręcz przesadną szczerość. – Ale wiedzcie, moje małe aniołeczki, że w środku nocy wrócilibyśmy i poderżnęli gardła tym ludziom, a wam..., a wam przybiłbym powieki małymi gwoździami o tu, do czoła, po to, abyście przez cały czas mogli widzieć, jak okrutnie potrafię się obchodzić z takimi małymi ciałkami jak wasze.

Gilbert z Williamem wpatrywali się w poorly zmarszczkami twarz handlarza, a jedyne, co słyszeli, to łomot własnych serc. Jego słowa tak ich sparaliżowały, że bali się nawet zaczerpnąć powietrza.

– Zamierzacie piszczeć i wołać o ratunek – zapytał po dłuższej przerwie – czy też będziecie grzeczni i posłuszni?

Chłopcy nadal tkwili nieruchomo.

– Pytam o coś!

– B-będziemy cicho – wydukał William, trącając łokciem brata.

– T-tak, będziemy cicho.

Alard wpatrywał się w chłopców i mruzczał coś pod nosem, jakby rozważał ich słowa.

– Lubię was – odezwał się wreszcie – i postaram się, abyśmy byli razem.

William zebrał się na odwagę i spytał cichutkim głosem:

– Ja-jak to razem?

Ale mężczyzna już nic nie powiedział, wsparł się o skrzynie i wlepił wzrok w niebo. Wiedział, że go nie oszukują i że będą cicho. Znał się na dzieciach, bo w końcu przez ostatnich dziesięć lat porwał ich tyle, że trudno byłoby je nawet zliczyć. Wykorzystywano je na różne sposoby – szkolono na żebraków, złodziei, morderców bądź prostytutki, zaś o ich przyszłości, przynajmniej w większości przypadków, decydowało spotkanie podobne do tego, na jakie właśnie teraz się udawali. Organizowano je kilka razy w roku w specjalnie do tego przygotowanych miejscach: burdelach, karczmach, kościołach bądź w leśnych gęstwinach. Najważniejszymi osobistościami biorącymi w nich udział byli hrabiowie z kast przestępczych: żebraków, złodziei, morderców i dziwek. Byli tam również baronowie, bezpośrednio podlegający hrabiom, oraz – jeśli wymagała tego sytuacja – wybrani przestępcy, zwykli wyrobnicy zwani pielgrzymami.

Podczas tego typu spotkań omawiano lokalne działania, planowano najbliższe akcje, wymieniano się wartościowymi informacjami i regulowano wszelkie zaległości finansowe. Od niedawna dodatkowym tematem spotkań były uprowadzone dzieci. Jeszcze kilka lat temu porwania były dużo łatwiejsze i częściej kończyły się powodzeniem, a tego typu przypadkami zajmowano się na osobnych, specjalnie organizowanych zjazdach. Niestety, choć królewskie straże i ich szeryfowie nie zmienili zbyt wiele polityki wobec przestępczego świata, ludzie zrobili się jakby bardziej czujni i ostrożni. Coraz trudniej było o pomyślną kradzież czy morderstwo, nie mówiąc już nawet o wspomnianych porwaniach.

Bandyci w Londynie nie mieli łatwego życia i choć król przestępczej gildii rządził prawie pół tysiącem podległych mu niegodziwców, to i tak musiał bezustannie kontrolować budżet. W końcu koszty utrzymania podwładnych, opłacenia ich treningów, sprzętu, lokali, najęcia szpiegów czy wręczenia łapówki strażnikom miejskim i innym bardziej lub mniej wpływowym osobistościom nie mogły być

większe od tego, co gildia sobie przywłaszczyła.

Powóz zaczął wolno wjeżdżać w granice Southwerk. Zachodnią część miasta, nieco w oddali, zajmował rozległy teren należący do benedyktynów. Klasztor był otoczony kamiennym murem, jego włości ciągnęły się dalej ku północy. Te zajmowały blisko sąsiadujące ze sobą domostwa i poletka uprawne – ziemie, które zakonnicy dawali pod dzierżawę. Ceny najmu nie były tam wysokie, bo teren leżał poniżej poziomu wody i pomimo rowów odwadniających w wielu miejscach stawał się bagnisty.

Po przeciwnej stronie, w otoczeniu szumiących wierzb, stał niewielki, skromny kościółek Świętego Grzegorza, a kilkadziesiąt jardów dalej, w miejscu zwanym Okolicą Aniołów, znajdowało się więzienie Bencha. Budynek był niewielki, tworzyły go tak naprawdę dwa połączone ze sobą domy, dlatego też dwa lata temu w jego sąsiedztwie, nieco bliżej Long Southwerk, zbudowano drugie więzienie. Budynek był większy, długi na sto czterdzieści i szeroki na około czterdzieści jardów, miał dwa piętra i krył w swym wnętrzu dziewięć pojemnych cel więziennych, mimo to panował w nich zawsze tak wielki ścisk, że więźniów nie mógł się nawet położyć.

W obu zakładach przetrzymywano piratów, przemytników, złodziei i zdrajców korony, ale największą część uwięzionych stanowili dłużnicy. Ci, którzy zalegali z opłatami, przebywali tutaj dopóty, dopóki ich rodziny nie uregulowały długu. Często trwało to latami, bo wypuszczenie więźnia uzależniano tylko i wyłącznie od kaprysu wierzyciela. W celach w niewyobrażalnym ścisku tłoczyli się mężczyźni i kobiety, rzadko kiedy podawano im posiłki, toteż nie było dnia, aby ktoś tam nie umarł. Węzienie napawało przerażeniem każdego, a pod względem złej sławy ustępowało chyba tylko lochom w londyńskim Tower.

Alard splunął, obiecując sobie, że kiedyś zrówna z ziemią te przeklęte budynki.

Główna droga dojazdowa do Long Southwerk prowadziła do mostu i była dość prosta i równa, ale jej szerokość pozostawiała wiele do życzenia. Po obu stronach ciągnęły się rzędy sklepów, kościołów, straganów, tawern i różnej maści lokali usługowych. Rymarze, stolarze,

krawcy czy dostawcy żywności sąsiedowali w nieładzie z karczmami, zajazdami, domami gier, łaźniami i burdelami, potocznie zwanymi domami gąsek. Tych najwięcej było po zachodniej stronie miasta, a że ziemie te należały w większości do biskupa Johna de Stratforda, regularnie wypłacano mu należność z tytułu najmu i działalności. Opłaty były w żywym grosiwie, a niekiedy i w gąskach.

W tym niekończącym się ścisku zabudowań można było dojrzeć gdzieś wąskie uliczki, które prowadziły do oddalonych siedlisk małych, zaniedbanych domków, skupionych razem, często naprzeciw siebie. Mieszkali w nich najubożsi rzemieślnicy, robotnicy, wdowy i wszyscy ci, którzy ostatkiem sił walczyli o to, by nie popaść w całkowitą nędzę.

Krajobraz Southwerk tworzyły również dworki co znamienitszych kupców i rzemieślników, usytuowane zwykle z dala od drogi, oddzielone od siebie sadami, ogrodami, polami uprawnymi, pastwiskami lub otwartymi terenami zacienionymi drzewami.

Zbliżał się wieczór, na ulicach przebywało coraz mniej ludzi, a handlarze nadal zachęcali do kupna swoich wyrobów: skór oczyszczonych z tłuszczu i włosów, cynowych naczyń, barwionych tkanin, wiklinowych koszy, sznurów, lin, sieci, knotów i wielu innych przedmiotów bardziej lub mniej przydatnych do codziennego życia. Wtórowali im stolarze, podkuwacze i kuśnierze, zapraszając do korzystania z ich usług. Nie pozostawali im dłużni rzeźnicy, szewcy, postrzygacze, praczki i cała chmara innych wykwalifikowanych robotników.

Wszystkie te nawoływania zlewały się w jeden wielki harmider. Jakby tego było mało, przy cmentarzu Świętej Małgorzaty rozbudowywano kościół, toteż dochodziły stamtąd dźwięki budowlanej wrzawy: stukanie młotów o kamienie, charkot pił, turkotanie kołowrotów, a nade wszystko krzyki zmęczonych już całym dniem pracy murarzy.

Co rusz na ulicy można było spotkać grupki zebrzących starców i przemykających dzieci proszących o zapomogę. Henry nie zatrzymywał się ani na moment, ale niedaleko przed mostem tłum ludzi zmusił go do wolniejszej jazdy. Kupieckie furmanki, powozy i piesi

z tobołami kotłowali się naprzeciw londyńskiej bramy, tak że nie dało się ich minąć. Ruch był tutaj zwykle mniejszy, ale dzień świętego Tomasza, który przypadał nazajutrz, rok w rok ścigał do Londynu tłumy Anglików.

– Może macie ochotę nieco się zabawić?! – krzyknęła nagle jakaś kobieta.

– A jak? – spytał Alard zaczepnym tonem.

– Ty już dobrze wiesz, jak! – odparła, klepiąc się wymownie w pośladek.

– Oj, chyba wiem.

– To jak będzie?

– Wpadnę do ciebie później, Muriel! – krzyknął, bo wóz nagle ruszył.

– Niechaj ci będzie! Trzymam cię za fiuta!

Bandyci siedzący na koźle z charakterystycznym sykiem wciągnęli powietrze do płuc i wybuchli głośnym śmiechem. Alard zaś, siląc się na zachowanie poważnej miny, warknął do kamratów przez ramię:

– Cicho tam! A ty, Henry, popędź tych ludzi, bo zaraz noc nas tu, kurwa, zastanie.

– Staram się – wycedził zezłoszczony Henry, bo robił przecież, co mógł, byle tylko zjechać z tego felernego odcinka drogi.

Do końca Long Southwerk nie było już daleko. Po prawej stronie mieścił się szpital zbudowany na cześć świętego Tomasza Becketa. Po lewej, nieco w oddali, wyłaniał się majestatyczny pałac Winchester, obecnie rezydencja biskupa Stratforda. Pałac był usytuowany nieopodal Tamizy, a grunty należące do biskupa zajmowały blisko sześćdziesiąt hektarów. Był to teren podmokły, miejscami bagnisty, jednakże odpowiednio poprowadzone rowy i przepusty odwadniające umożliwiały uprawę warzyw i owoców. Majestatyczną budowlę otaczały sady jabłoni, brzoskwiń i bujnych winorośli, w sąsiedztwie których rysowały się niewyraźnie stawy, szumiące wierzby i brukowane alejki zdobione barwną roślinnością. Pejzaż wydawał się chłopcom idylliczny i tak po prawdzie tylko krzyki okolicznych kupczyków oraz jęki zebrzących nie pozwalały im bez reszty napawać się tym widokiem wyjętym z sennych marzeń.

Henry zdołał wreszcie pokonać zatłoczony fragment drogi i skręcił w Tooley Street. Tutaj, przy brzegu Tamizy, gwar wcale nie był mniejszy. Pracownicy nabrzeżni przekrzykiwali się, wydając polecenia, a wtórował im skrzek setek wygłodzonych mew. William zadzierał głowę, jak mógł, by dojrzeć któryś z okrętów. I gdy tylko powóz minął załadowaną skrzyniami furmankę, oczom chłopca ukazał się gęszcz strzelistych masztów i masywnych kadłubów. Nadbrzeże Tamizy usiane było pomostami, kładkami i kołyszącymi się rampami, przy których co kawałek stały łodzie handlowe. Statki były w większości krótkie, acz masywne i szerokie. Część z nich sprawiała wrażenie opuszczonych, przynajmniej na tę najbliższą noc, przy wielu jednak bezustannie uwijali się w pocie czoła pracownicy nabrzeżni, rozładowując bądź załadowując towary. Gdy do tego wszystkiego dodać dziesiątki kolejnych okrętów płynących po Tamizie i drugie tyle dobijających do londyńskich portów po drugiej stronie rzeki...

Chłopak z podniecenia zasłonił usta dłonią. Zawsze marzył o tym, aby zostać żeglarzem, wyruszyć w nieznane i wzbogacić się na znalezionych skarbach. Na ten ułamek chwili zapomniał o zabitej rodzinie, pobitym Gilbertcie czy nawet o swoim nieszczęśliwym losie. William nigdy nie widział tylu okrętów. Co prawda osiem lat temu przybył tutaj ze swoją rodziną, ale był zbyt mały, aby zachować w pamięci jakiegokolwiek wspomnienia. Chłopiec miał nadzieję, że jeśli będzie musiał pracować, to może gdzieś tutaj, w pobliskich dokach.

– Pochwalony! – ryknął nagle Alard.

Gilbert przytulił się do piersi Williama, ale ten, zbyt ciekawy, aby chować się na wozie, ostrożnie wystawił głowę poza oparcie, byle tylko dojrzeć, z kim bandyta się witał. Wóz co prawda już minął mężczyznę, ale chłopak zdołał dostrzec, że to postawny chłop w sile wieku, o gładko zaczesanych, acz przerzedzonych włosach. W ręku dzierżył pęk kluczy i gwizdek, pewnikiem koordynował jakiś rozładunek. Jego twarz zdawała się strapiona, spięta i przygnębiona... Może ze zmęczenia, a może z powodu spotkania z Alardem.

– Ed jest chyba zesrany ochroną przystani – szepnął Henry do Jordana.

Alard usłyszał tę uwagę, jego usta wykrzywił chytry uśmiech.

– Coś mi mówi, że długo nie pociągnie.

Mężczyźni parsknęli śmiechem i wymienili się jeszcze jakimś nieobyčajnym spostrzeżeniem.

Doki Southwerk, pomimo kwitnącego handlu, nie miały tak naprawdę żadnej ochrony i król niczego w tym względzie nie robił. Co prawda cechy kupców najmowały ludzi do opieki nad statkami i ładunkami, jednakże wyposażenie w broń, jak i zdolność do walki takich najemników zwykle pozostawiały wiele do życzenia. Co gorsza, najmowani ochroniarze, jak na przykład Ed, niezmiernie często łakomili się na łapówki, przymykając tym samym oko na szabrowanie kupieckich składnic. Tak naprawdę towaru pilnowali tylko sami właściciele z garstką marynarzy, toteż załadunki i rozładunki odbywały się zawsze za dnia, i to w wielkim pośpiechu.

Po kilkudziesięciu jardach Henry zatrzymał powóz, a Alard szturchnął w plecy Jordana, smarkacza, który bezmyślnie wystrzelił z łuku i zabił Amandę.

– Możesz wracać do swoich – oznajmił mu lodowatym tonem.

– Czy będę miał jeszcze...

– Idź już.

Młody bandyta zszedł z kozła i bez słowa zniknął pomiędzy zabudowaniami. Wiedział, że odpowiada za śmierć tej gówniary, ale łudził się, że poza utratą części wpływów z akcji nie poniesie dodatkowych konsekwencji.

Alard przysunął się do chłopców, tak że poczuli jego ciepły i śmierdzący oddech. William chcąc nie chcąc wpatrywał się w twarz mężczyzny pokrytą kurzem, brudem i chyba jakimś brunatnym, grudowatym mazidłem. Nagle chłopiec się skrzywił, bo dopiero teraz zauważył, że zmarszczki na policzkach przy oczach i w kącikach ust są w istocie podłużnymi bliznami. Cieniutkie paski skóry były wycięte tak precyzyjnie, że marszczyły skórę, tworząc nieregularne wgłębienia i nadając tym samym twarzy starczego wyglądu. Po wnikliwym przyjrzeniu się chłopak zorientował się, że czoło, szyja i podbródek przestępcy pokrywała gładka, delikatna skóra, ale czarna maź nadająca śniadego odcienia i grudki imitujące krosty w doskonały sposób maskowały prawdziwe oblicze.

„Ile on tak naprawdę może mieć lat?” – pomyślał chłopiec. Przecież to spreparowane oblicze potrafiło wprowadzić w błąd nawet najbardziej podejrzliwego człowieka.

– Jestem z was dumny, aniołeczki. – Alard poczochnął złotą kędzierzawą grzywę Gilberta. – A teraz chodźcie za mną – dodał, po czym gibko zeskoczył z powozu.

Chłopcy zeskoczyli w ślad za bandytą i ruszyli wzdłuż magazynów. Pozostawionym dobytkiem od razu zajęło się kilku typków, którzy pojawili się nawet nie wiadomo skąd.

William z Gilbertem nie myśleli oglądać się za siebie. Starali się dotrzymać kroku śpieszącym się bandytom, ale Henry i tak co jakiś czas musiał ich szturchać w plecy.

– Szybciej! – warczał pod nosem mężczyzna.

Gilbert trząsał się, bo twarz nadal go piekła od uderzenia. Tata może i go bił, ale nigdy tak mocno. Tęsknił za nim, łudził się, że ojciec przeżył i niedługo przyjdzie go uwolnić, jednakże póki co zdecydował, że lepiej będzie, jeśli dostosuje się do poleceń tych ludzi, tym bardziej że William ich słuchał.

Szli wzdłuż magazynów i składów, z których część była nadal otwarta. Wnętrza wypełniały po sam sufit skrzynie, beczki, klatki bądź inne pakunki. Przy brzegu kręcili się żeglarze, flisacy i dziwki szukające zarobku. Powietrze przesiąknięte było fetorem odchodów i zepsutych ryb, na szczęście co jakiś czas zmysł powonienia koła świeża bryza znad wody.

– Sybil! – ryknął Alard w kierunku grupki kobiet kręcących się u brzegu. – Kiedy w końcu ją sobie umyjesz?!

Kobieta obfitych kształtów z biustem wylewającym się ze skąpego dekoltu zachichotała, po czym uniosła kokieteryjnie rąbek ubrudzonej sukni.

– Daj już lepiej spokój! – Alard w żartobliwym geście zatkał nos palcami. – Mewy tylko płoszysz!

– Alardzie!

Bandyta przystanął i jął wypatrywać właściciela tego głosu. Znał go przecież doskonale.

– Nigel?

– Jakżeby inaczej! – Szczupły, przystojny, elegancko ubrany mężczyzna wyszedł spośród trzódki swoich kobiet, objął stojące po bokach dwie młode dziewczuszki i posłał zaczepny uśmiešek. – Może skorzystasz? Ta po prawej jest nowa i niepozorna, ale zapewniam, że potrafi tak rozłożyć nogi, że skryłaby się między nimi kobyła w chomacie.

– Niedługo będziesz namawiał na rżnięcie pod klasztorem benedyktynów!

– Przecież już od czterech wiosen kręcą się tam moje pociechy!

– Mówisz o tych łysiejących dziadach w habitach?

Nigel parsknął, udając rozgniewanego, i kulejąc, podszedł do bandyty. Nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat, ale wyraźnie utykał na prawą nogę. Miał na sobie spodnie barwione w jasny odcień beżu, ściśle przylegający do ciała bogato haftowany dublet, do tego zdobny kapelusz i trzewiki z wyrazistymi noskami... Cholera, wyglądał nad wyraz wytwornie!

– Cieszę się, że cię widzę, Al!

– Daj spokój, co tam u ciebie? Jak ci poszło z najmem tego lokalu przy Broad Street?

Nigel pogładził swoją kozią bródkę i machnął ręką.

– To bzdura...

– A jak noga?

– Też bzdura... Widzę, że znalazłeś dwa pensy.

Alard rzucił kątem oka na chłopców i skinął głową; chciał coś dodać, ale tamten uciszył go ruchem ręki. Nigel doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że przyjaciel zachowałby dyskrecję, niemniej jednak wolał nie roztrząsać tematu porwania na środku ulicy, tym bardziej że już niedługo miało się odbyć spotkanie, na którym i tak wszystkiego się dowie.

Nigel był hrabią, czyli wyższy stopniem od Alarda, i sprawował pieczę nad dziwkami w niemal całym Londynie. Każda z kast przestępczych miała zwykle dwóch bądź trzech hrabiów, którzy dbali

o swoje dystrykty i podwładnych, i nie inaczej było w sutenerstwie, gdzie tytuł hrabiego sprawował jeszcze Terry. Jednakże to właśnie Nigela traktowano zawsze jako tego najważniejszego kuplera, to Nigel kontaktował się ze zwierzchnikiem, to on zdawał mu raporty, rozliczał się z każdego miesiąca; tak po prawdzie to przede wszystkim on decydował, kto kogo może rznąć w Londynie i za ile.

Alard bardzo lubił Nigela. To był jedyny hrabia w stolicy, z którym mógł się w pełni pochylać. I nie było w tym nic dziwnego, w końcu razem dorastali w zabiedzonych dzielnicach Londynu. Obaj mieli wielkie aspiracje, plebejski rodowód był wszelako przeszkodą do uzyskania w łatwy sposób godziwego zarobku. Próbowali szczęścia w służbie wojskowej. Walki pod sztandarem Edwarda II ze Szkotami ich zahartowały, ale trudno im było uwierzyć, że dzienny żołd w wysokości trzech pensów zapewni im bogactwo, o jakim od zawsze marzyli. Już po dwóch latach czynnej służby zdezerterowali. Było to latem 1306 roku, zaraz po bitwie pod Methven. Cierpieli wówczas głód i biedę ze zdwojoną siłą, a marzenia o majątności zaczęły gasnąć niczym wypalający się w świecy knot. Szybko zeszli na przestępczą drogę, zaczęli kraść, nie cofając się nawet przed morderstwem. Mimo że nie mieli zbyt dużego doświadczenia, ich skórzane sakwy powoli jęły wypełniać się grosiwem. Byli ostrożni, zawsze działali we dwójkę, organizując zasadzki w ustronnych uliczkach Londynu. Alard często udawał kalekę, podczas gdy Nigel zadawał śmiertelny cios niczego niepodważającej ofierze.

Sposób ich działania był pewny i bezpieczny, wszelako wieści o dwóch samozwańczych chłystków szybko dotarły do przestępczych gildii Londynu. Pierwsza grupa, która zainteresowała się tymi chłopcami, była jednocześnie największa i najlepiej zorganizowana. Liczyła wówczas prawie trzysta ściśle współpracujących ze sobą osób. W większości tworzyli ją żebracy, jednak i tak pod względem liczebności złodziei oraz morderców przewyższała wszystkie inne organizacje podziemnego Londynu. Była ugrupowaniem o precyzyjnie ustalonej hierarchii, dzieliła się na cztery współpracujące ze sobą kasty żebraków, dziwek, złodziei i morderców, a zakonspirowanie zwierzchników było tak zaawansowane, że tożsamości książąt i króla

nikt nigdy nie poznał. Organizację zwano królewską gildią bądź gildią króla, i tak po prawdzie jeśli którakolwiek banda niegodziwców zasługiwała na posiadanie swojego monarchy, to właśnie ta.

Król dowodzący przestępczą gildią pilnował tego, aby jego podwładni działali zgodnie z kodeksem. I tak, przykładowo kieszonkowiec podlegający kaście złodziei nie mógł zabijać swych ofiar, żebrak zbierający jałmużnę nie mógł oszukiwać w karty, a morderca nie był od tego, by kraść konie ze stajni. Oczywiście w wyjątkowych sytuacjach bandyta miał prawo przekroczyć swoje kompetencje, zwykle prowadziło to jednak do sporów przy podziale łupów, toteż starano się takich sytuacji wystrzegać. Pieniądze oraz wszelkie skradzione czy wyżebrane dobra rozdysponowywał król gildii, a procent wynagrodzenia zależny był od pełnionej w zgromadzeniu funkcji. Pospolity żebrak spod klasztoru udający trąd miał oddawać gildii jedną piątą tego, co zdołał wyżebrać, zaś żebrak pełniący funkcję miastowego szpiega nagradzany był już po dwakroć lepiej. Największe dochody zawsze przynosiła organizacja złodziei, najmniejsze kasta prostytutek. Stawki były różnorodne, w zależności od ponoszonego ryzyka, za to wszyscy członkowie królewskiej gildii mieli zapewnioną ochronę, opłacone schronienie, a w razie schwytania mogli liczyć na pomoc kamratów.

Alard i Nigel, pomimo braku odpowiedniego przeszkolenia, dobrze sobie radzili ze sztuką mistyfikacji, rabunkami i morderstwami. Ich pomysłowość, zawziętość, upór i odwaga wprawiały w tak wielkie zdumienie najbardziej zasłużonych baronów przestępczego Londynu, że kasty złodziei, morderców i żebraków chciały mieć tę dwójkę pracowników na wyłączność. Ostatecznie zdecydowano, by chłopcy działali wspólnie, jednakże Alard miał wspierać kastę złodziei, a Nigel kastę morderców. Pomysł okazał się trafiony i młodzieńcy szybko osiągnęli w podziemiu taką pozycję społeczną, o jakiej większość bandytów mogła tylko marzyć.

Alard i Nigel z początku okradali kupców na podlondyńskich traktach, jednakże po czterech latach raniony strzałą w nogę Nigel zmuszony był zmienić profesję. Za zgodą zwierzchników niespełna dwudziestoletni wówczas bandyta zajął się sutenerstwem i również w tej dziedzinie dał się poznać od jak najlepszej strony. Nigel nigdy nie krył

swego zamiłowania do kobiet wszelkiej maści, jednak jego oddanie dla prostytutki przerosło najśmielsze oczekiwania baronów tejże kasty. Chłopak szybko awansował, a w dzielnicach mówiło się, że z czasem wciągnął w interes zapomnianą od dawna rodzinę. Podobno najął do domów publicznych matkę, babkę i dwie młodsze siostry, a niektórzy powiadali, że dobrymi zarobkami skusił również swego ojca.

– Dają ci żyć w tym Londynie? – spytał Alard.

Nigel machnął z rezygnacją ręką.

– Wiesz, jak jest – mruknął. – Po tej stronie Tamizy moje gąski mogą się kurwić nawet po kościołach, ale w Londynie...

– Nie narzekaj...

– Kiedy prawdę mówię. W tym miesiącu dwie obiecujące dziewczuszki wygnano mi z kraju.

Alard splunął z poirytowaniem na ziemię; faktycznie w stolicy prostytutki traktowano o wiele bardziej surowo niż żebraków. Bandyta doceniał Nigela za to, co robił dla gildii, i choć nigdy tego przed nim nie przyznał, cieszył się, że nie ma takich problemów jak on. Poza tym jałmużnictwo przynosiło niebotycznie duże zarobki, a do tego było praktycznie pozbawione ryzyka. Oczywiście praca w terenie nie należała do łatwych, a rozboje na gościńcach, którymi parął się Alard, podlegały surowym karom, jednak bandyta był zbyt przebiegły, aby dać się złapać. Często uciekał się do sprytnych oszustw i przebiegłych kamuflaży, w mistrzowski sposób zwodził ludzi w karczmach i wskazywał im fałszywą drogę, zdobywał zaufanie napotkanych kupców i usypiał ich czujność, co potem w bezlitosny sposób wykorzystywali jego kamraci. Ani chybi miał do tego wrodzony talent.

Oczywiście z czasem zwierzchnicy pojęli, że Alard jest zbyt cenny, by wysługiwać się nim jedynie na gościńcach. Nadano mu tytuł barona i nakazano, by zasilił szeregi kasty żebraczej. Szkolił podwładnych w sztuce zbierania jałmużny, a pracę w terenie, w tym pomoc przy porwaniach, podejmował okazjonalnie i tylko za zgodą swojego zwierzchnika, hrabiego Samera.

A trzeba przyznać, że Alard szkolił żebraków z największym oddaniem i poświęceniem. Uczył, jak udawać trąd, żółtaczkę czy obrzęk nóg, jak robić sztuczne rany, jak kuleć, wymiotować na zawołanie czy

wić się w budzących grozę konwulsjach. Alard miał pod swoją opieką blisko dwustu wykwalifikowanych żebraków, których lwią część pracowała w miejscach oddalonych od stolicy nawet o pięć dni drogi. Do tego kontrolował szpital Świętego Tomasza w Southwerk oraz najbardziej dochodowe dystrykty Londynu, w tym kościoły Świętego Pawła, Świętej Marii, Świętego Marcina oraz szpital betlejemski. Podtrzymywał tym samym znajomość z pobliskimi klasztorami dominikanów oraz franciszkanów.

Praca Alarda szybko przyniosła pożądane rezultaty, skarbiec podziemia zaczął się powiększać z tygodnia na tydzień, toteż z czasem nakazano mu szkolić dobrze rokujących morderców i rzezimieszków. Uczył ich, jak zwodzić potencjalne ofiary, jak uśpić ich czujność i wtopić się w otoczenie, wreszcie jakim językiem posługiwać się wobec kobiet, a jakim wobec mężczyzn, by zdobyć ich przychylność i zaufanie. Alard dawał z siebie wszystko i od każdego wymagał absolutnego profesjonalizmu. Dzisiejszy test, który oblał Jordan, szesnastoletni pretendent na mordercę, z pewnością zostanie dokładnie omówiony na zgromadzeniu. Przez głupotę i porywczosć gówniarza kasta prostytutek straciła sporą część zarobków, a przecież gildia nie może sobie pozwalać na takie rażące uchybienia.

Alard klepnął Nigela w ramię, bo cieszył się z ich spotkania. Byli dobrymi przyjaciółmi, choć ostatnimi czasy jakoś niewiele mieli okazji porozmawiać dłużej.

- Dołączysz do nas? – spytał.
- Obiecałem Colinowi, że na niego zaczekam.
- Ach, to ten nowy?

Nigel kiwnął głową, a Alard jeszcze raz uścisnął rękę kamrata i ruszył z chłopcami przed siebie.

Magazyn, do którego weszli, nie różnił się zbyt wiele od pozostałych. Małe wyloty okienne usytuowane wysoko nad ziemią wpuszczały znikomą ilość światła i gdyby tylko zamknąć wielkie podwoje, z pewnością w środku zapanowałaby ciemność. Na klepisku ułożone były dziesiątki wielkich skrzyń, każda oznaczona niezrozumiałą dla chłopców płataniną znaków. W powietrzu czuło się gryzący smród stęchlizny. Z sufitu zwisały liny, haki i ogromne kołowroty, a pośrodku

widać było masywną konstrukcję żurawia, przy którym kręciło się kilku mężczyzn. William zastanawiał się, czy to pracownicy doków. Przeszło mu nawet przez myśl, by zacząć krzyczeć o ratunek, ale gdy tylko uchwycił spojrzenie jednego z mężczyzn, zrozumiał, że nikt mu tutaj nie pomoże.

– Tędy – warknął Alard.

Chłopcy w asyście bandytów skręcili w lewo, przeszli kilka jardów wąskim korytarzem utworzonym z wielkich drewnianych skrzyń, aż natknęli się na starego, szczerbatego mężczyznę. Alard nachylił się ku niemu i szepnął coś do ucha. Tamten niczego nie powiedział, skinął jeno głową i uchylił wieko skrzyni, która stała po jego lewej stronie.

– Za mną.

Chłopcy bez słowa protestu weszli do środka i w ślad za Alardem jęli schodzić w dół po wysłużonych, skrzypiących schodach. Smród stęchlizny jakby ustąpił, ale powietrze przesycone było wilgocią i zapachem potu. Po pokonaniu wielu stopni zobaczyli w oddali skąpo oświetloną i zakopconą piwnicę. Dochodził z niej gwar rozmów, przerywanych od czasu do czasu bluzgami i rykami śmiechu.

Gilbert chwycił rękę Williama tak mocno, że ten aż się skrzywił.

– Nie bój się – szepnął pod nosem, jednak tak cicho, że nie był pewien, czy młodszy brat w ogóle go usłyszał. Zerknął na niego ukradkiem. Malec dzielnie stawiał kroki, podbródek miał uniesiony do góry, ale jego wielkie niebieskie oczy wpatrzone w okrytą mrokiem przestrzeń były przerażone i pełne łez.

– Jest i Alard! – ryknął ktoś z głębi pomieszczenia.

– Siądźcie tam, na ziemi.

Chłopcy usłuchali i usiedli pod ścianą obok drżącej ze strachu dziewczynki. Ubrana była w ubłoconą sukienkę zdobioną na brzegach przeplatany haftem. Jej kręcone płomiennorude włosy spływały aż na ramiona. Trudno było dojrzeć jej twarz, gdyż chowała ją między podkulonymi nogami. Wydawała się drobna, wątła i chyba w podobnym wieku jak William.

– Co z nami zrobią? – spytał po cichu drżącym głosem Gilbert.

– Chyba będziemy dla nich pracować...

– A co będziemy...

– Cicho...
– Williamie... – Słowa więzły chłopcu w gardle.
– Nie bój się. Nie zostawię cię. – Williamowi chciało się płakać, ale przewyciężył strach i przepelniającą go gorycz, i objął braciszka ramieniem.

Piwnica miała kształt kwadratu, gęsto obelkowany strop i klepisko usiane drobnymi kamieniami oraz wydeptaną słomą. Pomieszczenie zajmowało kilkunastu bandziorów, a każdy z nich żywo gestykulował, dzieląc się jakimiś informacjami. W powietrzu dało się wyczuć narastający niepokój. Mężczyźni kilkakrotnie wydawali z siebie tak donośny krzyk, że chłopcom włosy niemal stawały dęba. Północną część pomieszczenia zajmował długi stół, przy którym siedziało czterech mężczyzn: Nigel, który dopiero co przyszedł, Edwin, hrabia złodziei, Osbert, hrabia morderców, i brat Samer, starszy wiekiem augustianin, który odpowiadał za kastę żebraków. W tej chwili stał przy nim Alard i relacjonował coś dość żywiołowo.

William przyjrzał się dokładniej temu bandycie i jedyne, co mógł o nim powiedzieć, to to, że wczoraj wyglądał jakoś inaczej. Bardziej przyjaźnie, poczciwie i życzliwie. Był po prostu zwykłym staruszkim, którego życie ani trochę nie oszczędzało. Jego zmizerowane ciało okrywały postrzępiona, brudna koszula, podarty kaftan oraz o wiele za duża kurta – twarda i na pewno niewygodna, bo zrobiona z konopnego płótna. Do tego wszystkiego mężczyzna obwiązany był tu i ówdzie szmatami, które jeśli nie były opatrunkami, to chyba miały za zadanie trzymać w kupie tę garderobę, aby się nie rozsypała. Chłopina wyglądał jak ostatni nędzarz. Do tego ciemne, miejscami siwiejące włosy kładły się na jego kościstych ramionach i rzucały cień na chropowatą i pomarszczoną twarz. Oczy Alarda nie wyrażały absolutnie żadnych emocji, tak jakby ich właściciel już dawno temu poznał się na trudach codziennego życia.

Gdy William i jego rodzina weszli wczoraj do karczmy, drań siedział przy stole zwrócony plecami do wejścia i nawet się nie pokwapił, aby spojrzeć w ich kierunku. A może był tak przebiegły, że nie dawał po sobie poznać, iż ich widzi? Może tak naprawdę obserwował ich już od momentu, jak zajechali do wioski? Will przeniósł się na

moment myślnami do tego feralnego wieczoru.

Pierwszy do stołu zasiadł tata z wujkiem, a zaraz po nich reszta.

– Witaj, wędrowcze – powiedział wtedy Geoffrey.

– Witajcie – odpowiedział starzec niskim, ochrypłym głosem, nie unosząc nawet głowy znad miski, i wrócił do jedzenia. Sprawiał wrażenie, jakby grupka przybyłych ludzi w ogóle go nie obchodziła. A przecież tę wieś rzadko kto odwiedzał.

– Jesteś obwoźnym handlarzem? – dopytywał się wujek na widok wspartego o ścianę wielkiego tobołu. Bagaż wzmocniony drewnianą konstrukcją był obwieszony różnorakimi grzebykami, cynowymi kubkami, nożami i innym asortymentem, jakże zdatnym do codziennego życia.

Nieznajomy mruknął coś niezrozumiale pod nosem i potaknął. Widać było, że nie ma ochoty na jakiegokolwiek rozmowy. William pamiętał doskonale, że co chwila łypał na niego okiem, bo ciekawiło go, dlaczego starzec chowa pod stołem prawą rękę. Nie wyglądał na mańkuta, bo jedząc, z trudem trafiał łyżką do ust. Z jego spierzchniętych warg ciekła flegma zmieszana z resztkami kaszy i nie był to zbyt przyjemny widok.

– Zimno mi – jęknął wtedy Gilbert.

– Tobie zawsze jest zimno – wtrącił zadziornie William.

– Nieprawda!

Mama przytuliła młodszego chłopaka do piersi, ale ten chyba nie miał ochoty na czułości, bo uwolnił się z jej objęcia, a bratu pokazał język.

– Zaraz coś zjemy – powiedziała czule do synów.

– Jestem taki głodny, że...

– Skąd przybywacie? – spytał nagle z drugiego końca stołu jeden z budowlańców.

William spojrział w jego kierunku. Wydawał się najstarszy z całej grupy, a także najpotężniejszy. Daleko mu było posturą do wujka Geoffreya, ale szerokie bary, potężny kark i łapy, którymi pewnie mógł kruszyć cegły, dawały do myślenia. Szpetna gęba naznaczona mrowiem blizn nie zachęcała do bliższego poznania.

– Z Melboum – odpowiedział tata.

– A to gdzie?

– Na południu – dołączył do rozmowy wujek. – Niedaleko Hastings.

– Aha.

Chłop chyba miał ochotę jeszcze o coś spytać, ale do stołu podeszła oberżystka z miskami i garem bigosu. Mama wyjęła ze swojego tobołka drewniane łyżki i rozdała je towarzyszom podróży.

– Dlaczego ja zawsze dostaję tę wyszczerbioną łyżkę? – spytał z wyrzutem William.

Matka skarciła go wzrokiem.

– Spokój, Will, bo zaraz oberwie ci się od ojca.

– Ale Gilbert ani razu jej nie dostał – ciągnął wzburzony chłopczyk. – Zawsze ja ją dostaję.

Był zły, bo łyżka była mocno sfatygowana i kiedyś, gdy nią jadł, to nawet rozciął sobie wargę.

– Proszę, jak chcesz, mogę się z tobą zamienić – oznajmiła z westchnieniem matka.

William otworzył szeroko brązowe oczka.

– Jasne, że chcę się zamienić!

Potem, nie kryjąc zadowolenia, umościł się na ławie, celowo szturchnąwszy Gilberta.

Młodszy brat podniósł znad miski główkę o kędzierzawych blond włosach, zmierzył Willa zawistnym spojrzeniem, po czym ryknął na całą oberżę:

– Tato! William mnie bije!

– Dosyć! – zachnął się ojciec. – Jeszcze raz was usłyszę, a pójdziecie spać głodni.

Chłopcy zeszywnieli. Gdy ojciec odwrócił od nich wzrok, zwymyślali się jeszcze nawzajem pod nosem, ale było to podyktowane raczej chęcią uratowania resztek honoru aniżeli potrzebą znieważenia rywala. Szybko jednak i to im się znudziło, więc zdecydowali się czekać w ciszy, aż matka nałoży im bigosu. Już nieraz zdarzało im się kłaść spać za karę z pustym brzuchem i żaden z nich nie chciał ponownie tego doświadczyć.

Bigos był kwaśny, kapusta cierpka, a mięsiwo twarde i żylaste.

Oczywiście nikt nie wybrzydzał, ale William przyłapał się na myśli, że chyba jeszcze nigdy nie jadł czegoś tak paskudnego. Posiłek przebiegał we względnej ciszy i nawet chłopcy zachowywali się jak należy, bojąc się zapewne gniewu ojca.

Tata miał ciężką rękę, i choć częstokroć zaznaczał, że nikogo nie faworyzuje, William i tak żył w przeświadczeniu, że to on najczęściej obrywa. Wkurzał się o to, bo przecież robił, co mógł, by uszczęśliwić ojca. Byli cyrkowcami, jeździli po miastach, dając występy, ale Will miał wrażenie, że to on jest największą atrakcją obwoźnego teatru. Miał tylko dwanaście lat, a już potrafił żonglować i chodzić po linie. Trudno byłoby znaleźć drugą osobę, która przejawiałaby takie ekwilibrystyczne talenty jak on. Niby tego wszystkiego nauczył go tata, ale chłopak uważał, że powinien być bardziej doceniany i w ogóle mieć o wiele więcej swobody. Poza tym tata w ostatnim czasie prawie niczego nie robił na scenie. Ot, czasem przygrywał na piszczałce, ale zwykle wymigiwał się nawet od tego, tłumacząc, że musi zajmować się budżetem oraz planami kolejnych podróży i występów. „Też mi coś” – rozmyślał częstokroć wzburzony chłopak.

Brat Williego, Gilbert, nie przejawiał takich akrobatycznych talentów, niemniej jednak i on miał swój udział w występach obwoźnego teatru. Jego śliczniutka buźka przypominała dziewczęcą twarz, a złote kędzierzawe loki przywodziły znowuż na myśl cherubinka. Na scenie odgrywał dziewczynkę, parodiował niewieście zachowania i często był powodem gromkich śmiechów ze strony widowni. William czasem żałował, że nie ma takich pięknych złotych loczków jak Gilbert. Wtedy mógłby tylko spacerować po scenie w przebraniu niewiasty i niczym więcej się nie przejmować.

Wujek Geoffrey popisywał się na scenie krzepą i Will uznawał go za drugiego zaraz po nim najważniejszego członka trupy. W końcu mało który siłacz potrafił giąć żelazne pręty i rozwalać w pył grube drewniane belki.

Mama z Amandą nie brały udziału w występach, wszak kobietom nie wolno było parać się tym zajęciem. Obie za to chodziły pośród tłumów i oferowały swoje usługi jako szwaczki. Biegłe posługiwały się igłą, potrafiły w mig naprawić odzież: zaszyć rozprute szwy, zacerować

rozdarcia bądź dziury, a jeśli była taka potrzeba, przerobić nawet suknię, doszyć mankiety czy wprowadzić jakieś zdobienie wyszukanymsciegiem lub haftem. William uważał, że to głupie zajęcie, które nie przynosi żadnych korzyści.

– Maria mówiła, żeście są sztukmistrze! – krzyknął w pewnym momencie jeden z murarzy siedzących na końcu stołu.

Tata zbierał akurat z dna miski resztki jedzenia, lecz uniósł głowę w jego kierunku.

– Tak, zgadza się.

– I co przedstawiacie? – spytał kolejny. – Kukiełki na scenie?

Reszta jego towarzyszy parsknęła śmiechem, na co tata nieśpiesznie się wyprostował i skinął w kierunku Williama.

– Pokaż im, mały.

W oczkach chłopca dało się dojrzeć błysk rozbawienia. Lubił się popisować, a że skończył jeść już chwilę temu, odsunął pustą miskę, wszedł na ławę i z werwą wybił się do tyłu. W mgnieniu oka okręcił się wokół własnej osi. Świat zawirował, czas się zatrzymał, a jedynym dźwiękiem wypełniającym oberżę był szelest jego odzienia. William zgrabnie wylądował na palcach, pokłonił się, po czym zasiadł z powrotem do stołu. Nie szukał poklasku. Pochylony nad stołem, przeczuwał, że popis zrobił na wszystkich niemałe wrażenie, ale coś mu podpowiadało, że lepiej będzie, jeśli nie okaże żadnych emocji.

Budowlańcy siedzieli jak sparaliżowani i wbijali wzrok w tego małego, niepozornego chuderlaka. W oberży dało się słyszeć bzyczenie komara. Nawet obwoźny handlarz kiwał z niedowierzaniem głową.

– Niesamowite – wystękał wreszcie jeden z murarzy.

– Ile masz lat, chłopcze?

– Dwanaście.

– Jak mogłeś wybić się z miejsca tak wysoko?

William wzruszył ramionami.

– No, a ty? – rzekł do Geoffreya chłop z gębą poznaczoną bliznami. – Też tak umiesz?

– Geoffrey jest siłaczem – powiedział z dumą w głosie William.

– Tak – dodał Gilbert. – Wujek łamie pręty, grube dechy i gdyby chciał, mógłby nawet podnieść tę oberżę razem z panem.

– Gilbert – syknęła karcąco Felicia – zachowuj się.

– Taki silny jest? – ciągnął szpetny mężczyzna, podśmiewając się pod nosem. – Może zmierzmy się na rękę, co, wujku?

– Eee, nie... – Policzki Geoffreya pokryły się czerwonymi plamami.

– Wybaczcie, panowie – wtrącił się Robert – ale późno już i chcielibyśmy spocząć.

Murarz splótł potężne łapska na piersi i wbił wzrok w siłacza.

– To jak będzie, wujku?

– Przykro mi, ale mój brat ma rację. Na świętego Tomasza musimy być w Londynie, a przed nami jeszcze daleka droga.

– Dzień świętego Tomasza to ważne święto budowniczych – wtrącił znajomek szpetnego murarza.

– Nie inaczej.

– Idziecie do Londynu? – podchwycił stary handlarz siedzący naprzeciw Roberta.

– Tak, czyżbyś też się tam wybierał?

Staruszek kiwnął głową; chyba chciał jeszcze coś powiedzieć, ale rozkaszał się tak, że aż mu oczy zaszyły łzami. Z trudem wstał od stołu, krztusząc się i charcząc.

Tata z wujkiem popatrzyli zatrwożeni po sobie, a wystraszona Amanda przysunęła się do matki.

– Po-pomóżcie mu – wydukała Felicia, przerażona tym, że obwoźny handlarz czymś się zadławił.

Mężczyźni zerwali się na równe nogi, jakby dopiero teraz uświadomili sobie powagę sytuacji, ale nieznajomy wyciągnął przed siebie rękę na znak, że nie potrzebuje niczyjej pomocy. Wreszcie zaczerpnął powietrza i powiódł po zebranych półprzytomnym wzrokiem.

– Wszystko w porządku? – spytał tata.

William i Gilbert wpatrywali się w staruszka szeroko rozwartymi oczami.

– Ta... Tak.

– Na pewno?

Starzec pokiwał głową, choć sprawiał wrażenie, jakby z trudem utrzymywał się na nogach.

Chłopcy nadal nie odrywali od niego wzroku. A dokładniej od jego prawej ręki, która była obwiązana od barku aż po dłoń lnianym bandażem pokrytym wielotygodniowym brudem. Spod opatrunku wystawały jeno sine, opuchnięte palce. Wyglądało na to, że ta ręka chyba mu gniła.

– Jeśli chcesz... – zaczął tata; on też nie mógł przestać patrzeć na chorą kończynę. – Jeśli chcesz, możesz iść z nami do Londynu.

Starzec otarł wierzchem zdrowej dłoni załzawione policzki, zasiadł z powrotem do stołu i popatrzył po zebranych, jakby chciał się upewnić, czy nikt nie ma zastrzeżeń co do wspólnej wędrówki. Podróż w towarzystwie zawsze była bezpieczniejsza.

– No cóż... ja... jeśli to nie kłopot...

– W żadnym razie – rozpromienił się wujek. – W końcu dobrze jest pomagać innym. To dobry uczynek!

„Dobry uczynek” – powtórzył te słowa z goryczą William. Powiódł wzrokiem po zaciemnionej piwnicy i z trudem stłumił łzy. Jego rodzina została zamordowana i tylko jeden Bóg wie, co bandyci zrobią teraz z nim i Gilbertem.

– Zaczniemy od pensów! – ryknął nagle jeden z siedzących mężczyzn, ten o wychudzonej, szczurzej twarzy. – Davidzie!

Wywołany bandyta o brudnych, przylizanych włosach wystąpił przed kotłującą się bracią.

– Powiedziałaś mi, że masz ładną cipę.

– Eee... tak. – David podszedł do dziewczynki kulącej się nieopodal chłopców i zaciągnął ją przed oblicze zwierchnika.

– Nie, proszę!

– Zamilcz!

Mężczyźni siedzący za stołem krzywo popatrzyli na dziecko.

– Za piękna to ona nie jest.

– Wy-wyładnieje, panie. T-to córka kupca, bardzo zadbana...

– Cycków też jakby nie miała.

– Przecież urosną...

– Mam trochę takich gąsek, ale wielkiego zysku wcale nie przynoszą – oznajmił z przekąsem Nigel, po czym oparł się wygodnie o ścianę, uważając sprawę za zamkniętą.

– Ja chętnie ją przygarnę – odezwał się augustianin.

David zrobił kwaśną minę, bo wiedział, że hrabia Nigel na pewno zapłaciliby o wiele więcej.

– Potrafi nieźle ciągnąć – spróbował jeszcze raz bandyta.

– Nie – oznajmił zdecydowanie Nigel.

– Nie – powtórzył za nim Edwin.

– Ja też nie.

David zwiesił głowę; tak po prawdzie im bliżej było rozpoczęcia zebrania, tym większe miał obawy co do tego, kto będzie chciał tę rudą gówniarę.

– Mogę wam dać za nią dwadzieścia szylingów – oznajmił augustianin.

– Panie, litości. Ryzykowałem utratę trójki ludzi. Mam ranionego konia... Pan Edwin mi świadkiem, że trzy dni koczowaliśmy na rozstajach...

– Nie inaczej – zgodził się Edwin. – Dwadzieścia szylingów dla mojej kasty to jakieś, kurwa, nieporozumienie. Moi ludzie odwalili kawał dobrej roboty przy tym porwaniu i powinni zostać należycie nagrodzeni.

– O tym zdecyduje król, nie ty. A ta mała dziewczynka dla każdego będzie teraz tylko problemem. Dla każdego poza mną... Podejź tu, moje dziecko.

– Słyszałaś, co się do ciebie mówi? – syknął David, nachyliwszy się ku niej.

– Może i będzie problemem – zirytował się Edwin – ale stawkę, którą za nią proponujesz, ona wyżebrze dla ciebie w niecały kwartał.

Samer puścił mimo uszu utyskiwanie kamrata, a całą uwagę skupił na dziewczynce.

– Faktycznie, brzydka jesteś jak diabli. Dam osiemnaście...

– Dosyć! – Edwin zerwał się z siedziska. – Słyszałaś, co do ciebie powiedziałem?

– Doskonale słyszałem – oznajmił ze stoickim spokojem zakonnik.
– Ale jej miesięczny zarobek wyssałeś sobie z fiuta. Tyle ona będzie zarabiać, ale może za dwa lata. Jej potrzeba szkoleń, wpojenia pokory, cierpliwości, ją trzeba karmić i... Powtórz, Davidzie, kim ona była?

– Córką kupca.

– Takie brzdące są zwykle rozkapryszone, krnąbrne i pyskate. Ale niechaj stracę, jak mówiłem wcześniej, dam dwadzieścia.

Edwin usiadł, choć żuchwa z nerwów nadal mu się trzęsła. Nie lubił tego pazerneho klechy...

– Alard również ma coś dla nas – odezwał się Osbert, gdyż zauważył, że Edwin nie ma ochoty dłużej przewodzić zgromadzeniu. Ręce splótł na piersi, a szcurzą, nieogoloną gębę skrzywił, nie ukrywając wzburzenia.

– Podejdźcie tu! – krzyknął Alard. Wiedział, że roztropniej byłoby wziąć gówniarzy za fraki, ale chciał zaryzykować, pokazać przed zebranymi, że już teraz robią, co im się każe.

– Chodź, Gil, wołają nas.

– N-n-nie.

William chwycił młodszego brata pod ramię i z trudem dociągnął go na środek sali. Twarz Alarda wykrzywił triumfalny uśmiech.

– Dlaczego ten mniejszy ma obitą gębę? – spytał Osbert.

– Kapkę hałasował – wyjaśnił usłużnie Alard. – Ale opuchlizna zejdzie.

– Ile ma lat?

– Mówi, że osiem.

– Ma ładne loczki – ocenił Nigel – jest drobny, jego buźka wygląda na niewinną... Myślę, że wielu chciałoby z nim legnąć. Dam wam do podziału trzydzieści szylingów.

Do Edwina podszedł jeden z baronów złodziei i nachyliwszy się przez stół, szepnął coś do jego ucha. Nie uszło to uwadze Alarda, który bacznie się przyglądał swoim mocodawcom – wszak chciał dostać za tych chłystków jak najwyższą cenę. Przy tego typu negocjacjach niby cała kasta nagradzana była równo, ale wiadomo nie od dziś, że król najbardziej doceniał tych pracowników, którzy przynosili największe dochody, i odwdzięczał się dodatkowymi wypłatami przekazywanymi w skrytości przez zwierzchnika danej kasty. Alard już kilkakrotnie dostał takie wyróżnienie i za każdym razem były to sumy wielce zadowalające.

– Cherubin jest za mały na szkolenie – burknął Edwin, gdy tylko skończył wymianę zdań z podwładnym. – Nie jesteśmy nim

zainteresowani.

– Ja też to pierdolę – rzucił na odczepnego Osbert. – Koszty nie zdążą się zwrócić, zanim ktoś go zaszlachtuje w jakimś zaułku.

– Panowie – rzekł Alard, rozkładając bezradnie ręce. – Zastanówcie się dobrze, czy takie obiecujące ciało nie szkoda przeznaczyć jedynie na rżnięcie.

– Kto wie... mógłby w ten sposób wiele dla nas zarobić.

– A może my go weźmiemy, Alardzie? – zapytał zakonnik, a zrobił to celowo, bo wcześniej Alard go o to poprosił. Samer nie wiedział, co planuje najlepszy z jego baronów, jednakże ufał mu bezgranicznie. Był lojalny, sumienny, a przede wszystkim miał świetnego nosa do interesów. Zresztą Samer i tak licytowałyby się o tego blondynka. Chłopiec może i miał trochę za ładną buzię jak na żebraka, ale gdyby mu wydłubać oczy i połamać ręce, datki z pewnością byłyby niezgorsze.

– My? – zapytał Alard, markując zdziwienie.

Zniecierpliwiony Edwin jął stukać palcami o blat stołu.

– Moglibyśmy go wziąć, ale...

– Kurwa mać, Alardzie! – huknął Edwin, bo już nie pierwszy raz krętaactwa tego barona i mielenie ozorem wprawiały go w irytację. Wiedział, że profesja żebraka wymaga zwinnego języka, ale, do cholery, chyba nie wśród swoich. – Wszyscy wiemy, że Samer nie przebije oferty Nigela – wycedził przez zęby – więc oszczędź nam czasu i zajmijmy się tym drugim szczeniakiem.

– Yyy, tak... Williamie! Pokaż im, co potrafisz.

Chłopiec na dźwięk swojego imienia zadrżał, odgarnął z czoła kosmyk ciemnych włosów i jął wpatrywać się spłoszonym wzrokiem w brudną bandycką gębę swojego dręczyciela.

– Słyszysz, co do ciebie mówię?!

– T-tak.

– Więc zrób to, co zeszłej nocy w karczmie.

William próbował przezwyciężyć strach. Zapanować nad drżeniem nóg, szaleńczym biciem serca i uczuciem paraliżującego zimna...

– Dalej, mały, albo ci pomogę! – ryknął ktoś.

Chłopiec znowu zadrżał, ale zrobił krok do przodu, wyciągnął ręce za siebie, nieznacznie przykucnął, po czym wybił się w powietrze. Skok

był może nieco nierówny, ale gracia, z jaką wylądował, uświadomiła zebranym, jak bardzo jego ciało jest wygimnastykowane.

– Czterdzieści pięć szylingów! – krzyknął błyskawicznie Edwin. – Moja kasta oferuje do podziału czterdzieści pięć szylingów.

– Mogę dorzucić jeszcze dwa – mruknął Osbert.

– A ja kolejne dwa!

Osbert machnął tęgą łapą, bo miał przecucie, że Edwinowi przydałby się ten gówniarz bardziej aniżeli jemu.

– Wsadź go sobie w rzyć, Edwinie.

Rzezimieszek puścił tę drobną zaczepkę mimo uszu.

– Ile masz lat?

William wstrzymał oddech.

– Pan cię o coś pyta!

– Dwa-dwanaście.

– Dobrze. Rogerze, zabierz pensy ze sobą, a reszta baronów niech ruszy tutaj dupę.

– To spora kwota, panie Edwinie – wtrącił pośpiesznie Alard.

– Więc możesz się cieszyć i schlać dzisiaj mordę. Kurwa, coś jeszcze?

– Chciałem tylko powiedzieć, że trochę czasu minie, zanim zbierze dla ciebie jakiś trzos pieniędzy.

Usta Edwina zacisnęły się w złości. Szanował Alarda, doceniał to, co robił dla królewskiej gildii, nawet go lubił, wszelako było jeszcze do omówienia kilka naglących spraw, a ten mitrężył jego czas i zasiewał ziarna zasranych wątpliwości.

– Niech zgadnę. Chcesz go dać najpierw do swoich żebraków?

– Tak. I chcę obydwu.

– Co? – zareagował niemal natychmiast Nigel. – Ja takich blondynków nie mam za wielu...

– Obaj potrzebują szkoleń...

– Nie pieprz głupot, Alardzie, bo dobrze wiesz, że szkolenie małego potrwa jeden wieczór.

– Szybko pojmie, co ma robić – wtrącił ze śmiechem Osbert.

– Przez pierwsze lata zarobi dla nas o wiele więcej, jęcząc pod kościołami, aniżeli pod pederastami.

– Ten mały mnie nie obchodzi – zaczął ze znużeniem Edwin – ale starszy jest mój, bo właśnie za niego wam zapłaciłem. Wiem, że jesteś świetnym szkoleniowcem, Alardzie, ale i moim nauczycielom wiele nie brakuje.

– Daj mi pięć lat, a będzie dla ciebie rzeźba mieszki pod Westminsterem.

Edwin parsknął.

– I pewnie chciałbyś, żebym jeszcze wam teraz za niego zapłacił?

Alard nic nie rzekł. Wytrzymał spojrzenie hrabiego złodziei. Nigel natomiast przysunął się ku Edwinowi i jął coś do niego mówić ściszym głosem. W piwnicy rozmowy i ogólna wrzawa zaczęły się nasilać, ale zwierzchnik morderców Osbert huknął w stół z taką werwą, że w chwilę później dało się słyszeć skwierczenie palonego nad pochodnią owada.

Nigel z Edwinem nie chcieli podjąć nietrafnej decyzji. Wiedzieli, że Alard jest świetnym szkoleniowcem, a przy tym chytrym, przebiegłym i pozbawionym wszelkich skrupułów człowiekiem. Tak po prawdzie cała kasta żebraków wzbogaciła się od chwili, gdy tylko ów bandzior wstąpił w jej szeregi. Choćby teraz porwaniem tych dwóch niewyrośniętych jeszcze chłystków zasilił ich kasę prawie osiemdziesięcioma szylingami. Dowódca pododdziału piechurów zarabiał tyle pieniędzy przez ponad pół roku czynnej służby, i to podczas wojennej kampanii. Nigel i Edwin nie lubili trwonić pieniędzy, toteż mimo że na zebraniu zamierzali omówić jeszcze kilka ważkich kwestii, rozmyślali, na jakich warunkach zakończyć licytację: zabrać pensy pod swoje skrzydła czy może skorzystać z oferty Alarda?

W tej chwili wpatrywali się w jego pomarszczoną, pociągłą twarz, nie okazując przy tym jakichkolwiek emocji. I choć zwodzili wszystkich kamiennymi minami, to w ich umysłach gorzała teraz burza. Liczyli, kalkulowali i dociekali, co będzie dla nich bardziej korzystne.

Wynagrodzenie z pracy wszystkich bandytów dzielono na całą gildię, jednakże ich procentowe udziały różniły się nie mniej od gatunków cip, jakie Nigel miał w swojej ofercie. Pospolity żebrak przekazywał jedną piątą wyżebranej jałmużny na poczet gildii, ale żebrzące dziecko do czternastego roku życia po przebytych szkoleniu

mogło zostawić dla siebie tylko jedną czwartą. Dziwka oddawała jedną szóstą zarobku, gdy pracowała na ulicy, a czwartą część, gdy obsługiwała klientów w wynajętym lokalu. W sutenerstwie wynagrodzenie różniło się oczywiście również w zależności od oferowanej usługi.

Nie dość, że mały blondynek musiałby pracować w lokalu, to chyba zezwolenie mu na świadczenie wszystkich usług, przynajmniej w pierwszych latach działalności, byłoby zbyt ryzykowne ze względu na jego młody wiek i drobną posturę – szybko mógłby przyplacić taką pracę zdrowiem lub nawet życiem. Starszy porwany pens, nim ściałby komuś trzosik, musiałby wprawdzie ukończyć nauki. Alard uczył dobrze, ale robił to bardzo powoli, toteż przez ten czas chłopak mógłby zebrać dla augustianina lub pełnić jedną z podrzędnych funkcji u Edwina: „zaganiacza” mamiącego napotkanych ludzi, „artysty” odwracającego uwagę bądź „anioła” obserwującego ofiary, i zarabiałby czwartą – no, może piątą – część z każdej kradzieży jego kamratów. Edwin miał jednak na tych stanowiskach dość dobrych ludzi, dlatego chyba szkoda byłoby poświęcać akrobatyczne zdolności chłopaka na tego typu zajęcia.

Propozycja Alarda wydawała się opłacalna, ale na jak długi czas? Nigel mógłby poczekać rok, może dwa lata, tak by blondynek nie stracił zbyt wiele na atrakcyjności. Edwin z uwagi na posiadanie dobrego zespołu i młody wiek dzieciaka poczekaliby nawet i pięć lat, ale pod warunkiem, że zostaliby wyszkoleni w kradzieżach, włamaniach i ewentualnie napadach. Jednym słowem, gdyby młody w tym czasie zyskał wiedzę i umiejętności, jakich potrzeba do zdania egzaminu. Edwin miałby wówczas doskonale wyszkolonego człowieka.

– Zgodziłbym się zaczekać dwa lata – rzekł wreszcie Nigel – ale dopóki go nie dostanę, wy nie ujrzycie moich pieniędzy.

Edwin myślał jeszcze przez chwilę, bo nie był pewny, czy ryzykować i szkolić pensa, najmując swoich nauczycieli, czy powierzyć go Alardowi. Kasta złodziei dawno nie miała kogoś tak obiecującego, i nie chodziło tylko o wygimnastykowane ciało. Chłopak był zdrowy, odważny, potrafił panować nad emocjami... Koniec końców, ryzyko śmierci w zawodzie Edwina było jednak o wiele większe niż u augustianina, lepiej więc chyba dać mu kilka lat na obycie się

w przestępczej gildii z żebrakami.

– Ja zgodziłbym się poczekać nawet i pięć wiosen – rzekł Edwin – ale mały w tym czasie musiałby być przygotowywany do zdania egzaminu...

– Może od razu zgotujesz mi zaprzysiężenie? – parsknął Samer, zanosząc się zaraz potem spazmatycznym kaszlem.

– Nie powiedziałem, że chcę go poddać egzaminowi – odparł Edwin, podnosząc jakiś paproch ze stołu. – Po prostu chcę, aby był wyszkolony tak, jakby miał go zdawać. A płacić teraz też wam nie zamierzam.

Alard wyszczerzył rząd pożółkłych zębów w przymilnym uśmiechu. Pokłonił się, bo próżność jego zwierzchników czasem nader łatwo dawała się wykorzystać.

– Wiecie, że na moich barkach spocznie nauczanie ich przestrzegania dyscypliny – przemówił. – Wiecie też, że dzięki moim naukom większy może stać się mistrzem w swojej profesji...

– A mniejszy? – rzucił ktoś z sali.

– Cisza! A ty, Alardzie, nie smaruj dupy miodem.

– Nie chciałbym burzyć waszych ustaleń – wtrącił się Samer – ale wolałbym nie spóźnić się na nieszpory, więc zrobimy tak. Zapłacicie nam teraz połowę, a po zaproponowanym przez was czasie resztę, wy zaś dostaniecie zdyscyplinowane, wyszkolone, obyte w naszych kręgach pensy.

W piwnicy zaległa cisza.

– Zgoda – rzekł Edwin.

– Niech będzie – mruknął Nigel. – Ale nie chcę, abyście mi oszpecili tego cherubinka.

– W takim razie ustalone.

Alard jeszcze raz się pokłonił, po czym popchnął trójkę przygarbionych dzieci w kierunku wyjścia. Miał powody do radości, bo zarobił na nich więcej, niż planował.

Gilbert zbliżył się do Williama i szepnął, tak by przypadkiem bandyta go nie usłyszał:

– Dokąd idziemy?

– Nie wiem, ale nie bój się, bo jestem z tobą.

– Na zawsze?

– Tak, Gilbercie... – Słowa z trudem przechodziły Williamowi przez gardło. – Na zawsze.

William oraz Gilbert spędzili tę noc na poddaszu jednego z portowych domów. Pomieszczenie było zawałone stertą brudnych i śmierdzących łachmanów, hałdą dziurawych butów, zwojami lin i stosem przegniłych tkanin. Izbę zalegało jeszcze kilkanaście osób, w większości dzieci, z których kilkoro poświęcono żebractwu na resztę ich marnego żywota przez powykręcane ręce, połamane nogi lub inne trwałе uszkodzenia ciała. Powietrze przenikał smród niemytych ciał, ale wszystko wskazywało na to, że dzieci czuły się tutaj swobodnie. Starsi rozmawiali między sobą ściszymi głosami, a młodszy wymieniali się drewnianą zabawką i cierpliwie czekali na swoją kolej.

Nieopodal miejsca, w którym William położył się z Gilbertem, leżała wychudzona i posiwiała kobieta. Niemowlę w jej kościstych ramionach przez długi czas rozdzierało ciszę przeraźliwym krzykiem, lecz w końcu wycieńczone daremnym nawoływaniem zasnęło, pojękując tylko od czasu do czasu. Małeństwo miało wypalone oczy i William przez połowę nocy zastanawiał się, czy to nawet nie lepiej, że nigdy nie zobaczy ani tego przeklętego świata, ani swej wyrodnej matki.

Gilbert niemal przez całą noc wiercił się z boku na bok. Nie mógł zasnąć, bo myślami był przy rodzicach, wujku i Amandzie. Chciał odegnąć od siebie te obrazy, ale z czasem zdominowały go do tego stopnia, że zaczął słyszeć własną matkę.

– Gilbercie, Gilbercie – szeptała.

Chłopiec wiedział, że mamy tu nie ma, że to mu się tylko wydaje, ale z czasem uległ pokusie i oddał się wspomnieniom dzisiejszego poranka.

– Wstawaj, Gilbercie.

– Jeszcze chwilę...
– Musimy już iść.
– Ale ja nie chcę... Zresztą Will jeszcze śpi.
– Williamie, ty też musisz wstać. Przed nami daleka droga.
– Ja nigdzie nie idę – obruszył się William, odwróciwszy się na drugi bok.

Gilbert poszedł w jego ślady i też się odwrócił, choć spostrzegł, że Amanda posłuchała mamy i uniosła głowę znad klepiska.

– Wstawajcie, chłopcy, wstawajcie...
– Mamo, czy on musi to robić akurat tam? – spytała nagle Amanda.
Bracia natychmiast podnieśli głowy i popatrzyli w tym samym kierunku, co siostra z mamą.

– Też mi coś – bąknął William na widok starucha kucającego przy włazie strychu.

– Właśnie – dodał Gilbert, udając znużenie. – Kupy nie widziałyście?

– On mi się nie podoba, mamo – szepnęła Amanda.
– Chodź, Gil. Śpimy dalej.
– Dosyć! – uniosła się Felicia. – Ojciec jest już na dole i jeśli nie chcecie dostać lania, lepiej pośpieszcie tam za nim.

Chłopcy wiedzieli, że tata ma ciężką rękę i szybko traci cierpliwość, więc koniec końców posłuchali wreszcie mamy i wstali z ziemi.

Wujek Geoffrey i handlarz zdążyli już zejść ze strychu na dół. Will z Gilem rzucili się biegiem do włazu.

– Pierwszy! – krzyknął Gilbert.
William zmarszczył gniewnie czoło, bo na drodze stanęła mu Amanda i musiał ją minąć. Nie nawykł do porażek, więc popchnął brata, choć zrobił to na tyle lekko, że tamten się nie przewrócił.

– Tato! – ryknął Gilbert. – William mnie popchnął i wdepnąłem w gówno!

– Wcale cię nie popchnąłem!
– A właśnie że popchnąłeś! Zlizuj to!
– Sam se zlizuj!
– Chłopcy!

William odwrócił się na pięcie, fuknął coś do mamy, po czym zeskoczył na dół, ani myśląc korzystać z drabiny. Gilbert zrobił wielkie oczy, bo widział, jak brat w mgnieniu oka pokonał dystans prawie dziesięciu stóp, miękko opadł na nogi, przeokoziłkował, przenosząc ciężar upadku kolejno na prawy bark, ramię i udo, po czym wstał na nogi.

– Widziałeś to? – spytał butnie, zadzierając głowę. – Widziałeś to, chłopcze?

Skok rzeczywiście zrobił wrażenie na młodszym bracie, ale chłopak ani myślał dać to po sobie poznać. Zresztą nawet nie zdążyłby zareagować, bo z dołu rozległ się ryk ojca:

– Ja to widziałem! Ja to widziałem i spiorę ci dupę, jak jeszcze raz tak zrobisz!

– Ale, tato... – próbował wytłumaczyć się William.

– A jakbyś sobie coś złamał, ty durniu?!

– Ale...

– Nie ma żadnego ale! Jutro występ, a ty się zachowujesz tak, jakbyś miał to w nosie!

William spuścił głowę i potarł wierzchem dłoni oczy, do których szybko napłynęły łzy. Wyglądało na to, że miał już dość ciągłego utyskiwania ojca. Na nic nie pozwalał, o wszystko się wydierał. Gilbert za to cieszył się, że Willowi się oberwało. Przecież go popchnął, zatem bura mu się należała.

Gilbert uśmiechnął się na wspomnienie o tym poranku. Przez krótką chwilę zrobiło mu się przyjemnie i to wystarczyło, aby wreszcie zasnął.

Dzień mijał za dniem, a jedyny obowiązek Williama i Gilberta polegał na zbieraniu jałmużny pod klasztorami i kościołami w Southwerk. Ten proceder nie należał do łatwych, tym bardziej że żebrzących dzieci było bardzo dużo. Każdego ranka równo ze świtaniem wypuszczano chmary podrostków na ulice podlondyńskiej miejsciny, by zaspokajały finansowe potrzeby swoich przełożonych. Ludzie przepędzali ich, straszili więzieniem, chłostą albo stryczkiem, niemniej jednak były to tylko czcze groźby i dzieci szybko zrozumiały, że mogą czuć się praktycznie bezkarnie.

Trudno jednak wzbudzić litość w miejscu, w którym nędza doskwiera tak wielu mieszkańcom, dlatego niekiedy całodniowe biadolenie pod kościołem przynosiło raptem kilka ćwierćpensówek. Alard zbierał od dzieci datki każdego wieczora, a posiłki racjonował adekwatnie do przyniesionych mu pieniędzy. Chłopcy szybko zrozumieli, że trzeba się starać.

Z początku William myślał o ucieczce, ale nie było chwili, by któryś ze starszych żebraków pracujących dla Alarda ich nie obserwował. Poza tym chłopak zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby udało im się uciec, nie mieliby dokąd pójść. Do dziś pamiętał dni, gdy pomimo starań ojca jedzenia starczało tylko dla niego i reszty rodzeństwa. William miał raptem dwanaście lat, ale wiedział, że sam, przynajmniej na razie, nie byłby w stanie zapewnić bezpieczeństwa ani sobie, ani Gilbertowi. Zresztą co by nie mówić, miał co jeść i gdzie spać, a żaden z bandytów nigdy nie podniósł na nich ręki. William wyczuwał, że to Alard wymógł na swoich podwładnych takie ich traktowanie. Chłopak co prawda nie znosił go, brzydził się nim i truchlał na sam dźwięk jego imienia, ale z pokorą i wdzięcznością przyjmował od niego posiłki. Nie podobało mu się, że musi żebrac, czyli robić coś wbrew swojej woli, z czasem jednak uświadomił sobie, że u ojca było przecież podobnie. Pozbawiony jakiegokolwiek wyboru, musiał pracować na estradzie i robić wszystko wedle jego rozkazów.

Bracia przyzwyczajali się powoli do codziennego zebrania, czuli się coraz pewniej, bezpieczniej. William zauważył, że wykonując akrobacje, jest w stanie więcej wyżebrac, ale i Gilbert nie pozostawał daleko w tyle. Otrzymywał wcale niegorsze datki, gdy tylko krzywił smutno swą anielską buzię. Chłopcy w mig pojęli, pod którym klasztorem warto być z samego rana, pod którą wystawą sklepu szukać dobroczyńcy i których mieszczan wystrzegać się najbardziej.

Bracia zaprzyjaźnili się z Lorą, dziewczynką, która została porwana tego samego dnia co oni. Często wspólnie prosili o jałmużnę, wystawali pod tymi samymi kościołami i nawet spędzali razem wolny czas. Grali w młynek, kwadraty i węże, szybko znajdując wspólny język i upodobania.

Wraz z pierwszym podmuchem wiosennego wiatru Alard zebrał

grupkę kilkunastu dzieci i zaprowadził je do jednego z magazynów.

– Jestem zadowolony z waszej pracy – powiedział. – Staracie się i za to trzeba was pochwalić.

Twarze dzieci rozjaśniły się szczerymi uśmiechami. Nawet William czuł, że pęka z dumy, bo nie pamiętał, kiedy ktoś go za coś chwalił.

– Wiecie już, na czym polega żebranie – kontynuował bandyta – ale wasze jałmużny to tak naprawdę marne grosiwo.

– Robimy, co możemy – bąknął odważnie któryś z chłopaków.

– Nie wątpię... Peter, powiedz nam, ile wyżebrałeś wczoraj pieniędzy?

Chłopiec o brudnych, skołtunionych włosach pochylił głowę i wymamrotał pod nosem:

– Pół pensa.

– Pół pensa – powtórzył za nim Alard. – A ile z tego ty zarobiłeś?

– Nic.

– Nic. – Alard uśmiechnął się sarkastycznie. – Jeśli chcecie wiedzieć, na czym naprawdę polega żebranie, jeśli chcecie zacząć wreszcie zarabiać pieniądze, musicie przejść odpowiednie szkolenie. Będzie ciężko, nie przeczę, ale zapewniam was, że z czasem poczujecie zadowolenie z tego, co robicie.

Wychowankowie z euforią przyjęli te wieści. Oczywiście trudno im było uwierzyć w to, że będzie im się lepiej żyło, ale coś im podpowiadało, że nauki to ciekawa odskocznia od żebraczego, jakże żmudnego trybu życia.

Szkolenia odbywały się niemal codziennie, pochłaniały czwartą część dnia, obejmowały teorię oraz prace w terenie, a Alard znowu przypomniawszy o sobie jako o surowym, nieczułym i pozbawionym wszelkich skrupułów bandycie. Potrafił docenić czyjeś starania, jednakże był chorobliwie wymagający, nie tolerował nieposłuszeństwa i jeśli zaszła taka potrzeba, karał chłostą lub głodem. William z Gilbertem na szczęście nie mieli okazji odczuć na własnej skórze gniewu bandyty, ale kilkoro dzieci, w tym Lora, głodowało kilka pierwszych nocy przez niewłaściwe wykonywanie poleceń.

W niektóre dni na naukach bywali też dorośli: cudzoziemcy,

kalecy, staruszkowie, mnisi, średniozamożni rzemieślnicy bądź drobni kupcy, którzy, jak z czasem się okazało, również pracowali dla królewskiej gildii.

Alard tłumaczył, na czym polega zebranie, jakimi prawami się rządzi i na co jałmużnik ma zwracać uwagę. Ostrzegał, że w miejscach, w których się zebrze, powinna obowiązywać zasada zasiedzenia, a nie siły czy starszeństwa. Zabraniał przywłaszczać sobie czyjeś miejsca, upominał, że jałmużnicy nie mogą się wzajemnie oszukiwać, że mają się dzielić informacjami i przekazywać sobie dobre adresy, wiadomości, a nawet zasłyszane plotki dotyczące się szczodrobliwych mieszczan bądź życzliwych właścicieli kramów. Przestrzegał, aby zebracy stojący razem nie udawali tego samego kalectwa czy ułomności i by lepiej wystawali po przeciwnych stronach ulicy.

Alard zwracał szczególną uwagę na to, aby nie kraść, nie zabijać ani w żaden inny sposób nie łamać prawa. Kryjówki dla jałmużników miały być ostatecznością, pomimo to omówił je z należytą starannością. Powiedział, które rejony przedmieść są pewne, w których kościołach, kanałach czy magazynach można się schować, oraz które karczmy, stajnie, łaźnie czy przytułki są bezpieczne. Oprowadził ich nawet po sąsiednich wsiach i miasteczkach, które miały być najpewniejszym schronieniem dla wszystkich złoczyńców. Chłopcy byli w Newington, w Lambeth, a także we wsi, w której przyszło im spędzić ostatnią noc z rodzicami.

Alard przez długi czas wprowadzał uczniów w tajniki jałmużnictwa. Opowiadał o wyglądzie żebraka, pokazywał, jak targać spodnie i niedbale łątać dziury. Sugerował, by nie chodzić w butach oraz pozbyć się wszelkich ozdób czy kolorowych wstawek, a w przypadku dorosłych taszczyć na plecach toból nie większy od głowy rosłego konia. Zabraniał nosić przy sobie broni, wyjątek stanowił nóż. Pozwalał na wspomaganie się dziećmi, aby podkreślić obraz nędzy, ale na jednego żebraka nie mogło ich przypadać więcej niż czworo. Tłumaczył, że najmłodsze dziatek warto wykorzystywać do obserwacji, choć nie wolno ich spuszczać ani na moment z oka. Dzieci dowiedziały się, które miejsca warto często odwiedzać, na co zwracać uwagę w kościołach, a na co podczas organizowanych kwest. Mówił, w których tawernach

przesiadują możni, a w których bankruci i darmozjady, na jakich traktach dobrze jest symulować choroby, a na jakich lepiej uciekać się do korzystania z innych wyuczonych zdolności, w jakich godzinach i gdzie ludzie majątni śpieszą za swymi sprawami i wreszcie – gdzie chować pieniądze i komu je przekazywać.

Mijał tydzień za tygodniem, żebracy poznawali Southwerk od podszewki i coraz częściej bywali w Londynie. Praca w terenie pochłaniała większość czasu, jednakże Alard bezustannie dzielił się swą wiedzą, nie pomijając najdrobniejszego detalu, który mógł być istotny przy zbieraniu jałmużny.

Dzieci uczyły się wzruszających historii o swym pochodzeniu, o swoich rodzinach i powodach bezmiernej nędzy. Ćwiczyły sprawdzone i rozczulające lamentacje żebracze, uczyły się psalmów dziękczynnych, błagalnych, pokutnych i proroczych, pobożnych kantyczek opowiadających żywoty świętych, modlitw do Marii Panny i Ducha Świętego, a także do świętych, w tym do Jana, Tomasza, Augustyna i Hilarego. Alard zwracał szczególną uwagę na to, aby dla mężczyzn odmawiać jeno zwięzłe i krótkie modlitwy, a kobietom recytować te dłuższe, rzewne i najlepiej tyżące się kultu maryjnego. Dzieci ćwiczyły dykcję, chrypkę, kaszel i płacz na zawołanie, uczyły się, jak śpiewać, by wzruszać, a przede wszystkim jak wiarygodnie stękać i jęczeć oraz z jakim grymasem na twarzy udawać cierpiętника, a z jakim pobożnego.

Zwrócenie na siebie uwagi było sprawą nadrzędną i w tym względzie Alard dzielił żebraków królewskiej gildii na dwie grupy. Do pierwszej należeli artyści, sztukmistrze, zonglerze, minstrele, akrobaci i wszyscy ci, którzy potrafili swoim występem skłonić ludzi do dania jałmużny. Ponadto zaliczali się do nich prawdziwi kalecy, chorzy i ułomni, w żaden sposób niezdolni do pracy, poruszający się o kulach, na wózkach bądź na barkach swych towarzyszy. Drugą grupę stanowili wszelkiej maści oszuści i mistyfikatorzy, którzy zwinnym językiem bądź sprytnym przebraniem potrafili skłonić do wręczenia zapomogi. Alard pokazywał, jak udawać szlachciców, mnichów albo rzemieślników zmuszonych nędzą do zebrania, nawróconych żydów, bezdomnych żaków czy marynarzy, którym rozbił się okręt, wypuszczonych więźniów, pogorzalców bądź lollardów bez grosza przy duszy.

Żebracy uczyli się wiarygodnie brzmiących zaklęć, dzięki którym jakoby potrafili przewidywać pogodę, przepowiadać płeć dziecka czy odczytać uroki w przypadku bezpłodnych kobiet. Szkolili się w handlu, wróżeniu z rąk, preparowaniu relikwii oraz sporządzaniu mikstur na wszelkie dolegliwości.

Istotną część tej grupy stanowili również ludzie markujący jakieś schorzenia bądź choroby, czemu Alard poświęcił wiele kolejnych tygodni, i choć jego nauki były skierowane w głównej mierze do starszych wiekiem żebraków, dzieci również zobowiązywano do obecności.

Baron tłumaczył, w jaki sposób preparować na swym ciele otwarte i jęczące się rany oraz sztuczne owrzodzenia, za pomocą jakich maści i wywarów pokrywać kończyny fałszywymi liszajami, jak imitować drgawki, duszności, drętwotę, trąd, potnicę, rozdęcia i obrzęki, jak kuleć i trząść się z zimna. Uczył, jak przyszywać do swoich szat czyjąś kończynę, jak przywiązywać do brzucha wnętrzności barana, by wyglądały na własne, jak podwijać sobie język, by udawać niemowę, co robić, by ręce puchły i siniąły, jak pozorować rażenie piorunem czy ślepotę, a jak symulować szaleńca opętanego przez demony. Pokazywał mieszanki ziół, gipsu, mąki, grynszpanu i zwierzęcej krwi, dzięki którym można toczyć pianę z ust, mieć biegunkę bądź obficie krwawić z nosa. Niektóre mikstury były bardzo niebezpieczne i przyjęcie większej dawki mogło prowadzić nawet do śmierci, toteż Alard uczulał, by działać rozważnie, bo królewska gildia nie będzie miała pożytku z martwego żebraka.

– Wbijcie sobie do łba, jak przyrządzać te mieszanki – powtórzył już któryś raz z kolei. – Nie chcę, aby ktoś z was wyciągnął kopyta przez głupotę. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

– Tak – odpowiedziały niemal jednocześnie dzieci.

– Nicholasie, jaki środek sporządzisz na febrę?

– Zjem dwa pędy Wiusa i garść rzęchy.

– I to wszystko?

– Nie. Dodatkowo zawiążę sznur na ćwierć nocy tu w przegubach dłoni, tu nad stopami i pod tyłkiem.

– Dobrze. A ty, Will, co zrobisz, żeby dostać złotaczki?

– Wysmaruję się końskim łajnem.

Dzieci się roześmiały, ale Alard uciszył je gwałtownym gestem.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Musicie działać z głową. Zależy nam na was. Będziemy dostawać od was pieniądze, ale i wy z czasem zaczniecie zarabiać coraz więcej. Zrozumiecie, że jesteśmy tu po to, aby sobie pomagać.

Alard wielokrotnie dawał do zrozumienia, że przestępczej organizacji zależy na podwładnych. Czasami niemal wprost sugerował, że żebracy mogą pracować na własną rękę, tak by nie dzielić się wpływami z królem gildii, ale szybko dodawał, że jest to nieopłacalne i niebezpieczne. Informacje o adresach życzliwych darczyńców i organizowanych kwestach i festynach oraz zapowiedzi wizyt możliwych szlachciców i majątnych prałatów można było dostać tylko od ludzi pracujących dla królewskiej gildii, a żebraków sprzeciwiających się poddańczej pracy tępiono bądź wyganiano. Alard nigdy nie mówił wprost, kto odpowiada za to traktowanie samowolnych nędzarzy, ale co starsi jałmużnicy wiedzieli, że za większość sznurków pociągają ludzie tego właśnie barona. Podział wyżebranej jałmużny obowiązywał, ale dzięki temu żebrak przynajmniej miał zapewnioną ochronę zarówno przed ludźmi szeryfa, jak i przed przestępcami z konkurencyjnych gildii.

Dzieci w żebraczej gildii nie nastroczały zbyt wielu problemów. Alard umiał z nimi postępować. Znał się na ludziach i wiedział, że najsilniejszym uczuciem, jakie może zdominować człowieka i skłonić go do nawet najbardziej nieprawdopodobnych zachowań, jest nienawiść bądź uwielbienie. Alard stronił od gloryfikowania którejś z tych skrajnych emocji, wszelako gdy wymagała tego sytuacja, objawiał się przed malcami jako tyran i pozbawiony wszelkich skrupułów oprawca, a gdy coś dawało mu powody do zadowolenia, chwalił, nagradzał, otaczał ojcowską opieką. Dzieci z czasem zaczęły pojmować świat oczami Alarda. A ten świat, choć barbarzyński, był w istocie prosty i czarno-biały, i wszystko, co przeczyło zasadom gildii, traktowano w nim jako złe i niewłaściwe.

Z miesiąca na miesiąc bandyta wyciszał w dzieciach tęsknotę za matczyną bliskością, tłamsił potrzebę posiadania nadziei i grzebał pragnienie ufności w drugiego człowieka. Starął się wyzuć

podopiecznych z wszelkich emocji, kreśląc przed nimi tylko te wartości, które były cenne dla przestępców podziemnego Londynu:

bezwzględność, pewność siebie oraz szacunek wobec organizacji.

William z Gilbertem, nie chcąc narazić się baronowi żebraków, zawsze starali się dostosowywać do jego życzeń, żądań i przykazań. Bali się go, niemniej z czasem zaczęli się przyzwyczajać do obcowania z wszelkiej maści oszustami i przestępcami. Williamowi niekiedy nawet było z tego powodu wstyd, wszak bezustannie miał w pamięci dzień, w którym jego rodzina została zamordowana. Obiecywał sobie, że pomści ich, gdy tylko dorośnie. Po roku jednak wspomnienia bliskich wracały coraz rzadziej, a tęsknota i ból po ich stracie zacierały się i nikły niczym płatek śniegu topniejący na rozgrzanej dłoni.

Gilbert również coraz rzadziej cofał się myślami do mamy, taty, Amandy i Geoffreya, a w chwilach osamotnienia pocieszenie znajdował u Lory, dziewczynki, którą porwano tego samego dnia co jego. Często się z nią bawił, ciesząc się, że wreszcie spotkał kogoś, kto nie wymaga od niego ciągłej rywalizacji. Poza tym obecność starszego brata przywodziła mu na myśl wspomnienia, których w końcu tak bardzo chciał się pozbyć.

Willowi wcale nie przeszkadzało to, że Gil spędza z nim coraz mniej czasu, tym bardziej że Lora nie wydawała mu się już takim fajnym kompanem do zabaw jak wcześniej. To była cichutka i wiecznie zatroskana dziewczyna. Nie było niemal dnia, by nie płakała. Will rozumiał, że mogła mieć powody do smutku, ale jej zachowanie udzielało się i jemu, a to już mu się bardzo nie podobało. Przecież miał pogodne usposobienie, zawsze wszystko widział w kolorowych barwach i nawet biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znajdował, nie rozumiał, dlaczego, u licha, ktoś miałby mu psuć to pozytywne nastawienie do świata. O wiele bardziej martwiło go to, że Gilbert zrobił się butny, pyskaty i nader często szukał okazji do zaczepki. Nie wiedział, czy to przez kontakty z Lorą, czy może przez któregoś z chłopaków, niemniej starał się temu jakoś zaradzić. Wielokrotnie upominał brata, że jego zachowanie do niczego dobrego nie prowadzi, a raz zagroził nawet, że o wszystkim powie Alardowi. Niestety, na niewiele to się zdawało, Gilbert bowiem nie zważał na reprimendy starszego brata i wdawał się

nieraz w bójki, a nawet dokonywał drobnych kradzieży. Co gorsza, miast zarabiać pieniądze na jałmużnictwie, wiecznie kombinował.

Pewnego wieczoru zachowywał się nader podejrzanie, namawiając Williama, by położył się z nim spać wcześniej niż zwykle. Chłopak miał złe przeczucia, tym bardziej że w chwilę później zauważył, jak dwójka piętnastoletnich chłopaków zaczyna obłapiać Lorę. Z początku nie chciał się wtrącać, licząc na to, że ktoś może zareaguje. Niestety, nic takiego nie nastąpiło, a dziewczyna coraz głośniej krzyczała:

– Zostawcie mnie! Przestańcie!

– Cichaj! Dobrze ci będzie.

– Ja nie chcę...

– Trzymaj jej ręce – powtarzał cicho, acz stanowczo jeden z nich, szczerbaty Alan.

Nicholas próbował zniewolić dziewczynę, ale ta szarpała się i wierzgała nogami.

– Przestańcie, proszę! – piszczała.

William usiadł na posłaniu, bo tego było już nadto. Gilbert złapał go za rękę.

– Zostaw ich – szepnął.

– Oszalałeś?

– Po-po prostu się nie wtrącaj.

Było jeszcze w miarę widno, toteż bez problemu dojrzał zakłopotaną minę brata i jego rozbiegane oczy.

– Coś ty znowu wymyślił?

– Nic, śpij.

Chłopak nie zamierzał pozostać obojętnym. Zaczął wstawać, ale brat przytrzymał go mocniej za rękę.

– Puść mnie albo ci odwinę.

– Will... ja... umówiłem się z Lorą, że dostaniemy za to jakiegoś fajnego fanta.

– Nie wygląda mi na zadowoloną z tego pomysłu.

– Na pewno jej się spodoba. Głupia pewnie zmieniła zdanie.

Nicholas mówił, że...

– To ty jesteś głupi – wszedł mu w słowo William. – Wiesz w ogóle, co oni chcą z nią zrobić?

Gil wstrzymał oddech, szukając odpowiedzi.

– Nicholas powiedział, że tylko trochę ją podotykają.

Will pokręcił z niedowierzania głową; nie chciał nawet słuchać tych idiotycznych wyjaśnień.

– Puść mnie – warknął, po czym wyrwał się bratu i podszedł do łajdaków siłujących się z Lorą.

– Zostawcie ją! – krzyknął.

Alan odwrócił się i splunął na ziemię.

– Bo co?

– Bo ona tego nie chce.

– Nicholas! Bierz go!

Wyrośnięty szczył ze zmierzwioną szczeciną czarnych włosów wstał z klęczek, odwrócił się i spróbował walnąć Williama w szczękę. Chłopak sprawnie uchylił się w lewo, tak że tamten zamachnął się i upadł na ziemię. Grupa żebraków ryknęła śmiechem, ale szybko ucichła, gdy Alan doskoczył do Willa.

– Pożałujesz tego – wycodził.

– Nie chcę się z wami bić. Mamy sobie pomagać, a nie... – Urwał w pół słowa, bo Alan złapał go za poły koszuli. Drab chciał chyba przerzucić go przez bark, ale Will błyskawicznie wybił się, wsparł rękami o ramiona przeciwnika i wykonał niezgrabne salto nad jego głową. Alan w obawie, by nie wykręcić sobie rąk, musiał puścić koszulę Williama.

– Nie chcę z wami zatargu – krzyknął zaraz potem zdyszany – ale macie zostawić Lorę w spokoju!

Dziewczyna, wdzięczna za ratunek, poprawiła spódnicę i uciekła w drugi kąt pomieszczenia, skąd skulona jęła tylko łypać okiem w kierunku sprzeczących się chłopaków.

Alan zaś poczerwieniał z nerwów. Co prawda skok zrobił na nim wrażenie i ochota na bójkę wyraźnie mu przeszła, musiał jednak wyjść z tej konfrontacji z twarzą.

– Lora nie ma na to ochoty, więc dajcie jej spokój – ciągnął dalej drżącym głosem William. – A jutro, jeśli tylko chcecie, załatwię wam gaskę i zabawicie się do woli.

Gilbert pokręcił z niedowierzaniem głową. Wiedział przecież, że

ten głupiec nie ma przy sobie ani złamanego pensa.

– Trzymam cię za słowo, gnojku – powiedział Alan. –

W przeciwnym razie spuścimy ci z chłopakami taki wpierdol, że święty Sebastian nawet za dnia nie będzie mógł cię rozpoznać.

Will kiwnął głową, z trudem przełknął ślinę i pełen obaw wrócił na posłanie.

– Coś ty wymyślił, Willi? – spytał półgębkiem przejęty Gilbert.

– Zamknij się.

– Przecież oni...

– Powiedziałem, zamknij się. To wszystko przez ciebie i jutro sobie o tym porozmawiamy.

Gilbertowi było głupio, że wpakował Williama w kłopoty.

Faktycznie, gdyby nie kombinował, mogłoby w ogóle nie dojść do takiej sytuacji. Źle się z tym czuł i obiecał sobie, że jutro zrobi wszystko, aby pomóc bratu zebrać odpowiednią ilość pieniędzy.

Rankiem dozorca otworzył odrzwia, rozdał po pajdzie chleba i jak zwykle nakazał posilić się w pośpiechu. Śniadanie dopiero co się zaczęło, kiedy drzwi ponownie się otworzyły i w progu stanęło dwóch rośłych oprychów.

– Ty! – warknął facet z zajęczą wargą. – Idziesz z nami.

William wybałuszył z niedowierzaniem oczy, bo facet wskazywał palcem na niego.

– Ja? – spytał z ustami wypchanymi na wpół przeżutym chlebem.

– Tak, ty. I nie każ mi drugi raz powtarzać. Pan Alard czeka.

Chłopaka aż ścisnęło w gardle. Czy to możliwe, że ten drań już się dowiedział o sprzeczce z Alanem i Nicholasem? Will jeszcze nigdy nie został do niego wezwany, ale był przestraszony, bo wiedział od towarzyszy, że tego typu wizyty zawsze kończyły się reprimendą i bolesną karą.

Prowadzony przez dwóch pielgrzymów, czuł się tak, jakby szedł na spotkanie kata. Nogi mu się trzęsły, serce łomotało, a w uszach szumiało od nadmiaru emocji. Tyle się nasłuchał o karach Alarda, że myślał tylko o najgorszym.

Zatrzymali się na Leather Street przy dwupiętrowej kamienicy opatrzonej szyldem Lombard Theobalda. Niewielki budynek

z obelkowaną fasadą miał prostą konstrukcję o szczytowym poddaszu i wysuniętym nad parter drugim piętrze. Przy wejściu siedział ubrany w łachmany żebrak. Wyglądał na znużonego, bo bez celu stukał patykiem o pobliski kamień. Rzucił przybyłym przenikliwe spojrzenie, po czym wrócił do swojego zajęcia.

– Wchodź do środka – rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu jeden z oprychów.

– Czego on może chcieć ode mnie?

Mężczyźni już któryś raz z kolei słyszeli to pytanie, ale nie zamierzali niczego mu mówić. Przecież szef nie dzielił się z nimi swoimi planami. Poirytowani, bez słowa uchyliłi odrzwia i wepchnęli go do środka.

Budynek na parterze miał dwa małe okna z okrągłymi szybkami oprawionymi w olów, więc za dnia, tak jak teraz, wewnątrz było dość dobrze oświetlone. Przed chłopakiem rozciągał się korytarz; schody na jego końcu prowadziły na piętro. Po prawej znajdowało się troje drzwi i nim Will zdążył zrobić pierwszy krok, z najbliższego pomieszczenia wytoczyła się przygarbiona postać. Staruszek o przerzedzonych siwych włosach i z wydatnym garbem był zgięty w pół i podpierał się wysłużoną laską. Wolnym krokiem podszedł do Williama i wygiął śmiesznie głowę, chcąc przyjrzeć się gościowi. Chłopak wzdrygnął się, widząc oblicze gospodarza. Zapadła, pomarszczona twarz pokryta była licznymi ropniami i krostami. Zmętniałe źrenice i żółte siekacze – chyba jedyne zęby, jakie posiadał – nie poprawiały godnego ubolewania wizerunku mężczyzny.

Will zrobił krok do tyłu.

– Coś taki zesrany? – syknął staruszek. – Czekał tutaj.

Will ani myślał mu się sprzeciwiać, stał więc niczym głaz, a starzec skierował się w głąb korytarza. Ku zdziwieniu chłopaka, jego chód był nawet dość żwawy. W każdym razie nie tak ślamazarny jak chwilę temu.

Garbaty uchylił trzecie, ostatnie odrzwia.

– Przyszedł ten mały.

Will przełknął ślinę. Strach znowu wrócił, ściskając żołądek i utrudniając oddychanie.

– Możesz wejść – usłyszał.

Trochę to trwało, ale w końcu zebrał się na odwagę i ruszył przed siebie.

Bandyta siedział przy stole. Jego głęboko osadzone oczy iskrzyły się, jakby chciały wwiercić się w chłopaka i wyczytać jego najgłębiej skrywane myśli. Długie, przyprószone siwizną włosy okalały kościste, pokryte fałszywymi zmarszczkami oblicze. Wyglądał jak upiór.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś?

– N-nie.

Alard odstawił z łoskotem gliniany dzban wina. Mlasnął i po raz wtóry otaksował Willa od stóp aż po czubek głowy. Podobało mu się to, że chłopak stronił od ryzykownego wyłudzenia pieniędzy. Nikomu się nie narzucał, a zarabiał dzięki prezentowaniu przechodniom ekwilibrystycznych sztuczek. Korzystał z wiedzy, jaką przekazywał im Alard, a to dobrze rokowało na przyszłość.

– Jestem zadowolony z twojej pracy – powiedział wreszcie.

– Słu-słucham?

Twarz Alarda wykrzywił pogardliwy uśmiech.

– Chciałbym cię nagrodzić.

Will przestraszył się, czy to nie jest jakiś sprawdzian, i nawet cofnął się o krok, wyczekując momentu, gdy mężczyzna zacznie krzyczeć.

– Co? – spytał Alard zdziwiony reakcją chłopaka. – Niczego ci nie brakuje? Niczego byś nie chciał?

– Może gąskę... – wypalił bez namysłu William.

– Co? Ha, ha, ha! Chciałbyś pochędożyć?

– Nie, nie..., to znaczy..., bo tacy dwaj..., bo... chciałbym ją dla Nicholasa i Alana...

Bandyta zmarszczył brwi. Im dłużej przebywał z tym chłopakiem, tym częściej ten go zaskakiwał.

– Chciałbyś darować swoją nagrodę komuś innemu? – spytał zdumiony.

Will nieśmiało wbił wzrok w podłogę. Chyba znowu powiedział coś niewłaściwego.

– Więc? Skąd taki pomysł?

– Mam dług wobec nich...

– Rozumiem. Dobrze. Zrobię to, o co prosisz.

Will uniósł głowę. Serce w jego piersi zaczęło walić dwa razy szybciej.

– Naprawdę?

Alard machnął ręką.

– To drobiazg – powiedział, sięgając do swojego trzosa. – Oprócz tego chciałbym, abyś zaczął naprawdę zarabiać. Musisz zrozumieć, że gildia docenia twoją pracę.

Chłopak z niedowierzaniem popatrzył na monety, które Alard położył na blacie stołu.

– No, śmiało, bierz je.

– Ja... ja?

– Wydaj je mądrze, chłopcze...

– Dzięk... dzięk...

– Zmykaj już.

William migiem zebrał pieniądze ze stołu, z hukiem przebiegł korytarz, minął garbatego starca, który na odgłos harmidru jął odgrażać się pięścią, po czym wybiegł na zewnątrz. Ależ się cieszył! Rzucił się co tchu w kierunku placu przed szpitalem Świętego Tomasza, bo wierzył, że znajdzie tam Gila, Lorę i resztę przyjaciół. Musiał się pochwalić, że szef go nie skarcił, że go nie pobił, tylko go pochwalił, nagroził, że pieniądze dostał on, a nie rudy Colin czy świetnie kulejący Peter. Głowa pękała mu z nadmiaru emocji. Był tak poruszony, że chciało mu się płakać, i sam nie wiedział, czy to ze szczęścia, czy z podenerwowania. Do tego wszystkiego Alard obiecał mu załatwić problem Alana i Nicholasa. Bandyta zabił wprawdzie jego rodzinę, ale w tej chwili Will nawet o tym nie myślał. Liczyło się tylko to, że potraktował go jak równego sobie, że go docenił i wyróżnił spośród reszty dzieciaków.

„A jeśli będą zazdrośni? – przeszło mu przez myśl. – Jeśli kumple obrażą się, że oni niczego nie dostali?”

Chłopak zwolnił biegu i zaczął jeszcze raz przemyśliwać, co zrobić dalej. Ostatecznie zdecydował się zmienić plany i odwiedzić główny rynek przy Long Southwerk. Zasłużył sobie na to. Zbyt często kręcił się tam, pochłaniając pożądanym wzrokiem wypełnione kramy kupczyków, by wreszcie nie skosztować któregoś z tamtejszych smakołyków.

Słońce otoczone kilkoma smugami chmur pięło się wysoko nad odległymi wzgórzami. W szczytowych godzinach na targu panował spory ruch. William kurczowo trzymał w spoczonej dłoni monety i przeciskał się między ludźmi oraz rozstawionymi straganami. Szybko znalazł to, czego szukał.

Stoisko zastawione było różnorakimi warzywami i owocami, wielu z nich William nawet nie potrafił nazwać. Czuł, jak w ustach gromadzi mu się nadmiar śliny, ale musiał cierpliwie czekać, bo jakaś pyskata dziewczucha kłóciła się ze sprzedawcą.

– Twoja waga źle waży – mówiła podniesionym głosem.

– Niechby mnie święty Homobonus wtrącił w piekielne odmęty, gdybym chciał oszukać bliźniego! – zarzekał się kupiec.

– Gadaj zdrów...

– To i gadam.

– Gadasz, ale ten worek grochu waży dużo mniej na innych wagach niż na twojej.

– Nic podobnego, smarkulo! Idź i rób zakupy u tamtych zdzierców, jeśli coś ci się nie podoba!

– Kiedy ja zapłaciłam już za ten groch u ciebie!

William przebierał nogami ze zniecierpliwienia; już myślał podejść do innego kramu, kiedy zorientował się, że gadatliwa gówniara to dziewczyna z pobliskiej karczmy Tabard[3]. William spotkał ją już kilka razy przez przypadek, lecz nigdy przez myśl mu nie przeszło, aby ją zaczepić. Po prawdzie nie miał nawet odwagi, by jej się dłużej przyglądać. Alard zabraniał żebrakom nękania co poniektórych osobistości w Southwerk. O jałmużnę nie wolno było prosić między innymi pana Bertrama z okolic Winchester, pana Angelo ze wschodniego lombardu, jak również pana Hardinga, właściciela karczmy Tabard. Także jego córka, Agnes, miała być pozostawiona w spokoju.

Dziewczyna, jeśli była starsza od Williama, to o trzy, może cztery lata, ale na pewno nie więcej. Przewyższała go o niecałą głowę, miała subtelną, gibką i szczupłą figurę, tak po prawdzie emanowała jakąś dziwną lekkością, zwiewnością, niczym nić przędna targana jesiennym powiewem wiatru. Miała zgrabne, filigranowe dłonie i wyraźnie zaznaczające się pod sukienką piersi. William na moment zapomniał

o owocach i błdził wzrokiem po jej wiotkich ramionach, smukłej szyi... Dziewczyna musiała wyczuć na sobie to spojrzenie, bo odwróciła się w jego stronę, lecz chłopak jakby w amoku nadal chłonał ten niecodzienny widok. Wpatrywał się w jej alabastrową cerę, błdził po rozsypanych na policzkach piegach, wciągał zapach jej czarnych włosów i tonął w ciemnych, pełnych tajemnic oczach.

– Chciałeś czegoś? – doszło wreszcie do uszu chłopaka.

– Y... – Słowa więzły mu w gardle, czuł się sparaliżowany, lecz wreszcie z bożą pomocą oderwał od niej wzrok i w poczuciu winy spuścił głowę.

– Pytałam, czy...

– Złodziej! – wydarł się nagle ktoś nieopodal. – Łapcie złodzieja!

Ludzie zaczęli się przepychać, bo każdy chciał sprawdzić, czy nic mu nie zginęło.

– Tam jest! – powtórzył się rozpaczliwy wrzask. – Zabrał mi kaletkę!

– Przy tamtej dziewczynie! – krzyknął ktoś nagle. – To chyba ten łysy!

– Tam jest! – zawołał inny głos.

Ktoś na Williama mimowolnie napał, zaraz potem ktoś inny go potrącił. Było coraz tłoczniej. Chłopak ledwie ustał na nogach. Widział, że Agnes odchodzi, przepycha się między ludźmi, mija jakiegoś łysego draba... Wreszcie chyba się połapał, o co tu chodzi. Schylił się i dostrzegł, jak złodziej przekazuje dziewczynie kaletkę, jednakże ta wymusnęła się nagle z jej ręki i spadła na ziemię. Agnes zatrzymała się, chciała zawrócić, ale pod naporem kotłującego się tłumu zaniechała tego pomysłu i jęła przedzierać się pomiędzy ludźmi. William nie zwlekał ani chwili, rzucił się w tamtym kierunku, padł na kolana, podniósł trzos i śmignął pomiędzy czyimiś nogami.

– Tam! To chyba ten gówniarz!

William ani myślał patrzeć za siebie. Skręcił w najbliższą alejkę, a potem odbił w prawo, ledwo wyrabiając na ostrym zakręcie. Tam na nieszczęście wyrósł przed nim jak spod ziemi stragan, ale chłopak w ostatniej chwili wyskoczył, chwytając się drążka podtrzymującego daszek z tkaniny, i przeleciał nad ladą prosto w kierunku oszołomionego

sprzedawcy. Kupczyk instynktownie uchylił się, a mały zgrabnie wylądował, wybiegł przez jego zaplecze, skręcił w prawo i zniknął pomiędzy straganami. Nie chciał ryzykować, czy ktoś go przypadkiem nie widział, więc bez ociągania skierował się ku wyjściu z rynku. Gdy doszedł do głównej ulicy, jakiś wąsaty chudzielec chwycił go za koszulę i wycedził łamaną angielszczyzną:

– Mam cię, gówniazu.

William zrobił wielkie oczy, żołądek podszedł mu do gardła, a krew zaszumiała w skroniach, jakby ktoś go zrzucił w piekielną przepaść. Nie myślał jednak poddawać się tak łatwo. Zwinnym ruchem uniósł lewą rękę, przysiadł i przekoziółkował, tak że wąsaczowi została w ręku tylko postrzępiona koszula. Następnie przebiegł przez ulicę najszybciej, jak tylko potrafił, i nie zwalniając ani na moment, utonął w gąszczu miejskich uliczek. Znał te rejony jak własną kieszeń, więc kluczył i zwodził, aby przypadkiem nie doprowadzić pogoni do szpitala Świętego Tomasza. Gdy dobiegł zdyszany na główny plac lecznicy, zorientował się, że zgubił monety, które dostał od Alarda. Oczy zasły mu łzami, nogi się pod nim ugięły, a świat zawirował. Upadł na kolana.

– Gil – wycharczał, bo dostrzegł go w otoczeniu kilku znajomków.

– Gil...

– William? – Gilbert machnął ręką na starszych kolegów. –

Chodźcie!

– Mu-muszę się schować!

– Ja cię zaraz schowam! – ryknął zasapany łysy drab, który ni stąd, ni zowąd pojawił się przy nim. Chłopak przykucnął, ostatkiem sił próbował się przeturlać, ale mężczyzna okazał się diabelnie zwinny; chwycił małego za kark i docisnął do ziemi.

– Zostaw go! – wrzasnął Gilbert, starając się biec jeszcze szybciej.

– Ratujcie! – krzyknęła sfora nieletnich żebraków.

– Tam, biją kogoś! – zawtórowało kilku przypadkowych przechodniów.

– Kto ci pozwolił wtrącać się w nie swoje sprawy?

– Pu-puść mnie.

– Gdzie sakiewka!?! – Bandyta docisnął twarz Williama do ziemi tak mocno, że tuman kurzu wdarł się do jego ust, oczu i nosa.

- Tu...
- Pytam, gdzie sakiewka!
- Tuuu...

Do łysego kamrata dołączył po chwili zdyszany chudzielec. Widząc jednak, że sytuacja jest opanowana, pochylił się, wspierając dłonie na kolanach.

- Skurwysyn jest sybki – wydyszał.
- Zostaw go! – powtórzył Gilbert, po czym co tchu rzucił się na plecy łysego. – Powiedziałem, zostaw go!
- Złaż ze mnie, szczeniaku! – Bandzior zamachnął się w jego kierunku wolną ręką, ale przeciął tylko powietrze. Gilbert natomiast bez zastanowienia wyjął zza paska bandyty nóż i wbił mu go pod żebra.

William poczuł, jak mężczyzna zwalnia uścisk. Nie zwlekając, wyczołgał się spod niego i padł wycieńczony na plecy. Gilbert wydzierał się i kopał nogami, bo wążacz chwycił go i nie chciał wypuścić, dzieciaki zaczęły wycofywać się do szpitala, ludzie jęli odwracać głowy, a nad placem świętego Tomasza powoli zapadała przeraźliwa i dojmująca cisza.

– Nie wierzę...

– Kiedy tak włąznie było, panie Edwinie... – jęknął łamaną angielszczyzną bandyta.

– Wiem, kurwa, że tak było! Ja drwię z ciebie, Fulk! I z twojego zdychającego kamrata!

– Ale...

– Cicho bądź, bo wstyd mi za was, germańskie ciule. Chłystek... gołowąs... taki... taki, kurwa, mały cycek, który nawet jeszcze cipy na oczy nie widział, zwinął wam sprzed nosa sakiewkę pieniędzy, a... a drugi chłystek, który tak po prawdzie wcale nie tak dawno z takiej cipy wylazł, rzucił się na Dytera i sypnął go nożem...

– To działa się tak zybko...

– Mówiłem, kurwa, byś był cicho!

Alard czuł, że sytuacja jest aż nazbyt napięta. Sięgnął po dzban piwa, napełnił kufel, po czym podsunął go Edwinowi. Na szczęście wzburzony hrabia nie dał się prosić i gołnął kilka solidnych łyków. Napitek spłynął strużkami po jego szcurzej brodzie.

– Zejdz mi z oczu, Fulk – warknął, gdy tylko ugasił gniew i pragnienie.

– Panie, to juz nigdy...

– Wyjdz!

Bandyta posłusznie odwrócił się i wszedł po schodach na górę. Samer poczekał, aż drzwi zamkną się za nim, po czym spytał:

– Co z tymi pensami?

– Gilbert nie chciał, panie! – wypalił William. – To wszystko moja...

– Cicho! – Alard wstał i podszedł do siedzących na klepisku dzieci. W skąpo oświetlonej piwnicy słabo widział ich twarze, ale bandyta zdążył już się poznać na tych nicponiach. William był posłuszny, choć butny i zuchwały, nie można było również odmówić mu sprytu i odwagi – po prawdzie przypominał jego samego sprzed laty – ale oprócz tego mały zachowywał się porywczo i lekkomyślnie, a tego Alard nie mógł tolerować.

– Czemu nie skorzystałeś z kryjówki?

– Z czego?

– Z kryjówki! Po jaką cholere uciekałeś do szpitala, skoro przy rynku mamy dwa azyle?

– Za-zapomniałem.

– Alardzie – oburzył się augustianin – co to w ogóle za pytanie? Ten gówniarz nie miał prawa wtrącać się do tego, co robili ludzie Edwina! Nie warto tego roztrząsać. Za samo podniesienie skradzionego trzosa powinno mu się poprzetrzącać nogi i ręce...

– Nie tak prędko! – wtrącił się Edwin. – Ja zapłaciłem za tego pensa i tylko ja mogę mu coś przetrącić.

– Niechaj ci będzie – zgodził się zakonnik – ale pamiętaj, że twój złodziej, Dyter, pewnie przyplaci życiem zachowanie tego gówniarza.

– Dyter to parchata pizda, a nie złodziej, i w tej chwili sam rozważam, czy go nie dobić... Kurwa, nadal nie mogę uwierzyć w to, że to małe chuchro...

Nagle drzwi od piwnicy otworzyły się z hukiem. Światło zawieszanej nieopodal schodów pochodni rzuciło na ścianę wydłużony cień przybysza.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Alarda przeszedł zimny dreszcz na dźwięk tego głosu. Obcowanie z obłąkanym biczownikiem zawsze wzbudzało w nim wstręt. A niestety, obcować z nim musiał, i to wcale nierzadko.

– Na wieki wieków – odpowiedział augustianin.

Edwin i Alard skinęli tylko głowami.

Zakonnik za to nawet nie spojrzał w kierunku kamratów. Wolnym krokiem przeszedł na środek piwnicy i zatrzymał się przed dwójką zgarbionych chłopców. Dłonie miał schowane w szerokich rękawach

habitu, z którego pomimo przebytej podróży dochodziła drażniąca woń kadzielnicy.

– To ten blondynek, Alardzie?

– Tak.

– Ładny aniołek. Spotkaliśmy się już kiedyś, prawda?

Gilbert spuścił głowę. Przez ostatnią dobę tak dużo działo się wokół niego, że nie miał już siły, by stawiać komukolwiek czoła. Chciał uciec, zniknąć, zamknąć się w sobie, byle tylko już nikt go więcej nie dręczył.

– Rzuciłeś się na dosyć rosnącego chłopca.

– On chciał mnie ratować, on... – William zamilkł, widząc uniesioną dłoń franciszkanina.

– Zabieram go. Zobaczymy, co z niego będzie.

– Jak to... zabierasz go? – Samer aż podniósł się z ławy. – A co z jego karą? Co z zarobkami, które dla nas przynosił?

Franciszkanin nie odpowiedział. Kucnął naprzeciw Gilberta i wyszczerzył w dobrodusznym uśmiechu rząd szarawych zębów.

– Thomasie! Czemu nie poddać tego pod głosowanie hrabiów? Przecież gdyby król...

– Tego chciałby król! – oznajmił donośnym głosem franciszkanin, po czym zaczesał pukiel niesfornych włosów na głowie Gilberta.

– Rozmawiałeś z nim? To... to znaczy nie mam na myśli bezpośrednio jego, ale...

– Samerze. – Franciszkanin wziął głęboki oddech, wstał i odwrócił się w jego stronę. Brwi miał ściągnięte, lecz na twarzy malowała się życzliwość. – Sam wiesz najlepiej, że pewne decyzje zapadają z woli tego najwyższego. – Augustianin popatrzył na sufit w ślad za uniesionymi rękoma Thomasa. – Jeśli czujesz się oszukany, zawsze możesz zostawić skargę w jednej z naszych oberży lub kościołów. Z tego, co pamiętam, chyba dosyć biegle posługujesz się piórem. Ale przypominam ci, że zawracanie głowy zwierzchnikom jakimiś błahostkami jest, jakby to łagodnie określić... dość niepożądane.

– Nie, nie, skąd. Rozumiem.

Samer przełknął ślinę. Miał już swoje lata, dla gildii pracował drugie dziesięciolecie i wiedział, że król lubi wścibstwo niemal tak samo

jak szeryfa Londynu, Andrew Aubreya.

– Wstawaj, idziemy – szepnął franciszkanin.

– Co-co się z nim stanie? – spytał przez łyżę William. – Dokąd go zabierasz?

– Nie martw się, chłopcze. Nic mu nie będzie.

– Williamie! Williamie, nie pozwól im!

– Gilbercie, nie bój się, ja...

– Willi!

– Cisza! – zezłościł się Alard.

– Willi – jęczał cichutko chłopiec. – Ja chcę do Willa! – powtarzał.

Ale drzwi od piwnicy po chwili się zamknęły i lament chłopca ucichł.

– Szkoda, że Nigel nie dał rady przyjść – rzekł augustianin, wygładzając swoje szaty. – Ciekawe, co by powiedział, bo w końcu to był jego chłopiec.

– Z pewnością został odpowiednio nagrodzony.

– E tam. – Samer machnął ręką. Był poirytowany, bo nie lubił, gdy tego typu decyzje zapadały za jego plecami. – Założę się – dodał po chwili – że któryś z książąt maczał w tym swoje paluchy.

Alard wzruszył ramionami, bo i cóż miał powiedzieć? Że to on podjął taką decyzję? Że to on postanowił poświęcić chłopca dla wyższych, poważniejszych i może bardziej słusznych celów? Mógł to powiedzieć, ale wtedy cała mistyfikacja mająca ukryć jego faktyczną rolę w gildii, którą budował przez kilka ostatnich lat, ległaby w gruzach. Alard był księciem. Przewodził całej zebraczej i złodziejskiej kaście, planował ich akcje, podejmował decyzje, a wszystkich hrabiów swych dwóch podległych kast: Samera, Jana, Edwina i Hardinga zwodził, jakoby to oni z własnej woli wydawali mu polecenia.

Alard dostąpił zaszczytu awansu nagle, niecałe sześć lat temu, gdy poprzedni książę zmarł na gruźlicę. Tego dnia bandyta był najbliżej króla, co prawda nie widział go, ale przebywał z nim sam na sam w jednym pokoju. Władca imponował mu sprytem, przebiegłością i niezwykłą inteligencją. Musiał taki być, bo w przeciwnym razie nie mógłby przewodzić tak licznej i tak uporządkowanej organizacji. Powiadało się w gildii, że był już trzecim sukcesorem. Nikt nie wiedział, na jakich zasadach przekazywano sobie tę zwierzchnią władzę –

niektórzy powiadali, że ją dziedziczono – w każdym razie zaprzysiężenie Alarda wryło się w jego pamięci na całe życie, a dyrektywy i wskazówki co do pełnienia tej zaszczytnej funkcji odbijały się w jego głowie echem po dziś dzień.

Bandyta nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad sprawą lojalności. Wiedział, że każdy ma swoją cenę i że honor można wyliczać w szylingach, niemniej jednak tamtego dnia obiecał sobie, że jego honor będzie wart fortunę. Alard rozumiał, że jest jednym z najważniejszych trybików tej organizacji, ponad nim i księciem morderców był tylko król. Alard czuł dumę z tego powodu i nie chciał zawieść pokładanej w nim nadziei. Szanował króla i pochwalał jego model zakonspirowanej władzy. Ludzie obejmujący wysokie stanowiska nazbyt często zwykli tracić je z hukiem, a konspiracja wydawała się najsolidniejszą ochroną przeciw potencjalnym zdrajcom.

– Gdzie Gilbert? – bąknął William.

– Musisz o nim zapomnieć.

Z oczu Williama popłynęły strugi łez.

– To wszystko przeze mnie...

– Tak! – huknął Alard. – To wszystko przez ciebie i lepiej zapamiętaj to sobie na całe życie!

– A co z panienką Agnes?

– Co?

William schował głowę w ramiona.

– O co pytałeś?

– Pytał o czarną – warknął Edwin z szerokim uśmiechem. Co prawda burzył przez to mit mówiący o tym, jakoby nie potrafił się uśmiechać, jednak w tej chwili miał powody do zadowolenia. Gówniarzowi nie można było odmówić odwagi ani hardości ducha, a przecież ten gówniarz należał do niego.

– Agnes ci chodzi po głowie? – zapytał Alard. – Teraz Agnes chodzi ci po głowie?

– N-nie..., ja chciałem tylko wiedzieć, czy coś jej zrobiliście...

– Alardzie – wtrącił Edwin, bo miał już ochotę skończyć to zebranie – myślę, że powinienesz przyspieszyć jego kursy... i zakończyć je egzaminem.

– Chcecie tego aroganckiego buntownika zaprzysiąc? – warknął rozdrażniony Samer.

Edwin rzucił okiem na augustianina. Stary, przygarbiony ramol chyba coraz mniej nadawał się na przewodniczenie żebraczej kaście. Nie potrafił docenić potencjału, jaki drzemał w tym gówniarzu. Poza tym nikt nie mówił o zaprzysiężeniu. Wpierw trzeba było zdać wcale niełatwy egzamin.

– Dobra decyzja, panie Edwinie – oznajmił Alard.

– Powiedzcie mi jeszcze, że nie zasłużył na karę – zachnął się Samer.

Edwin zaczerpnął głęboko powietrza, niemniej postanowił nie dać się sprowokować.

– Co proponujesz? – spytał przez zaciśnięte zęby.

Samer zmrużył oczy i wsparł się o zimną ścianę piwnicy. Zawsze powtarzał swoim braciom, że nie lubi patrzeć, jak dziecko cierpi. Prawda jednak była taka, że delektował się takimi widokami bez końca.

– Proponuję wydłubać mu...

– Niczego, kurwa, nie będziesz mu wydłubywał! – huknął Edwin.

Samer zrobił kwaśną minę. Wydał wyschnięte, pomarszczone wargi i burknął:

– W takim razie trzy dni postu... o samej wodzie.

– Niech będzie – zgodził się Edwin. – Idźcie już.

Alard skinął głową i wyprowadził chłopca. Słońce dopiero co skryło się za horyzontem. Gwiazdy i ponury księżyc nie zdążyły jeszcze zagościć na niebie, kiedy to całe Southwerk powlekł ciemnogranatowy całun chmur. Z chwili na chwilę każdy skrawek miasta jał opanowywać mrok ciemny jak sumienie bandyty. Zaczęły spadać pierwsze krople deszczu.

Trochę trwało, nim doszli do portowego domu, wszelako na miejscu okazało się, że dzieci jeszcze nie śpią. Pomimo świeżej bryzy, jaką niósł ze sobą jesienny wiatr z deszczem, tutaj powietrze zdawało się przesiąknięte smrodem moczu i niemytych ciał.

– Za bardzo śmierdzą – obwieścił skrzywiony Alard. Wiedział, że brud może wzbudzać litość, ale zbyt duży smród zwykle odstraszał darczyńców. – Joce! – krzyknął w stronę drzwi. – Zaprowadź ich do

szpitala i każ im się umyć. No, idźcie, idźcie.

Dzieci posłusznie zaczęły opuszczać pomieszczenie.

– Ty nie – rzekł do Williama.

Serce chłopaka zabiło szybciej.

– Poczekaj tutaj – powiedział, gdy tylko wszyscy opuścili pokój.

William usiadł na skraju posłania, podkulił nogi i oparł brodę na kolanach. Było mu zimno, czuł głód i chciało mu się spać, lecz jego czujność się wzmogła, gdy tylko usłyszał wracającego Alarda.

Bandyta postawił nieopodal niego dzban wody oraz pajdę chleba grubo posmarowaną smalcem.

– Ale...

– Jedz, bo chyba jesteś głodny. A jutro masz się umyć.

Mężczyzna wyszedł, a chłopiec jeszcze przez długi czas przyglądał się jedzeniu. Oczywiście w końcu zjadł ze smakiem wszystko, atoli nigdy się nie dowiedział, dlaczego Alard nie posłuchał zaleceń Samera.

Przez kolejne miesiące William żebrał i nader często wracał myślami do Gilberta, kilka razy nawet zebrał się na odwagę i próbował wypytać Alarda o swojego brata, ale ten niczego mu nie chciał powiedzieć. William podejrzewał, że Gilbert jest przetrzymywany przez franciszkanina w wiosce, w której chłopcy spędzili ostatnią noc z rodzicami. Nie był pewien, czy mógłby tam trafić – las, którym wówczas szli, ciągnął się przez wiele mil – jednakże to i tak nie miało teraz znaczenia, bo ludzie z gildii praktycznie nie spuszczaali go z oka.

Gdy tylko nadarzała się okazja, William kręcił się nieopodal karczmy Tabard, bo ciekawiło go, co się stało z Agnes. Nie mógł spędzać tam zbyt wiele czasu, by nie wzbudzać żadnych podejrzeń, jednak wyczekiwanie w końcu się opłaciło, bo już po kilku tygodniach zobaczył wychodzącą stamtąd dziewczynę. Wiedział, że część okolicznych żebraków ma go na oku i że nie wolno mu nękać co poniektórych ludzi, w tym córki karczmarza, ale pokusa była silniejsza.

– Cześć – rzucił do niej nieśmiało.

Agnes otaksowała wychudzoną sylwetkę Williama, jego podarte, powalane błotem odzienie, szczecinę brudnych i zmierzwionych włosów oraz zakurzoną, pryszczatą twarz. Twarz, w której – pomimo przeciwności losu – uwagę przyciągały szczery, pogodny uśmiech oraz

pełne nadziei spojrzenie. W jakiś sposób ją to oczarowało.

– Cześć – odburknęła. Usta miała zaciśnięte, jakby nie chciała dać po sobie poznać, że cieszy się z tego, iż chłopak jest cały.

– I-idziesz na rynek?

– Tak. Znowu chcesz mi wejść w drogę? – Agnes założyła kosmyk włosów za ucho w tak subtelny sposób, że William aż przełknął ślinę.

– N-nie – wydusił z siebie. – Nie chciałem tam... wtedy przeszkodzić... No, sama wiesz...

Dziewczyna uniosła dumnie głowę i ruszyła przed siebie.

– Wtrąciłeś się, więc jednak chyba chciałeś – rzuciła przez ramię.

William zgrzytnął zębami, ale zawziął się w sobie i podbiegł kilka kroków.

– Gdyby nie ja...

– Tak? – spytała, odwracając się nagle ku niemu. – Gdyby nie ty, to co?

– To nie mielibyście tej sakwy.

– Słuchaj, szczeniaku – syknęła, celując w niego palcem. – Może i nie mielibyśmy tej sakwy, ale ja z pewnością nie dostałabym takiej bury, Dyter nie zdychałby teraz, a ty miałbyś dalej tego swojego narwanego brata przy sobie.

– Skąd wiesz o Gilbercie?

Agnes wzruszyła ramionami.

– Słyszało się to i owo.

– Mów, co z nim? Gdzie jest?

– Nie wiem. Daj mi spokój.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, aż w końcu dziewczyna odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. William znowu do niej podbiegł.

– Powiedz mi, proszę, cokolwiek. Jest cały?

Dziewczyna westchnęła, zatrzymała się i zatopiła swoje ciemne oczy w twarzy Williama.

– Naprawdę nie wiem, a teraz muszę już iść.

– Idź – warknął Will. – Idź, ale uważaj, jak chwytasz trzosa.

Agnes popatrzyła rozbieganym wzrokiem na boki.

– Nie idę kraść, smarkaczu.

– Mów sobie, co chcesz – odparował butnie – ale i tak ze mną byłoby ci łatwiej.

Agnes parsknęła śmiechem, aż kropelki śliny zrosiły jej podbródek. Starła je wierzchem dłoni.

– Z tobą byłoby mi łatwiej – powtórzyła ironicznie, z trudem powstrzymując się od śmiechu. – O, matulu.

Chłopiec poczuł, jak wzbiera w nim gniew, ale nagle ni stąd, ni zowąd przygarbił się, wybałuszył oczy, wykrzywił nogi i ręce.

– O, ja niegodny! – krzyknął. – Demon opętał moje chorowite ciało, bo nie uklęknałem, gdy ksiądz szedł z sakramentem! Pomóżcie, dobrzy ludzie, bo ciężko zgrzeszyłem...

Przechodnie jak na komendę zaczęli zwracać głowy w jego stronę i szeptać między sobą. Ktoś nawet rzucił mu pod nogi ćwierćpensówkę.

Agnes zaśmiała się na całe gardło.

– Dobry jesteś – powiedziała wreszcie, gdy tylko złapała oddech. – Naprawdę jesteś dobry.

– Dzięki.

– Wierz mi lub nie, ale ja nie idę kraść. Muszę kupić dla ojca trochę przypraw.

– Ach tak? – Williama przeszedł zimny dreszcz na myśl o panu Hardingu, właścicielu karczmy Tabard.

– Chcesz iść ze mną?

– Jasne!

Agnes jeszcze raz wybuchła śmiechem na wspomnienie demonicznego opętania kolegi, po czym oboje zniknęli w gąszczu kupieckich kramów i sklepików.

Długo chodzili bez celu, zanosząc się przez cały czas śmiechem. William przedrzeźniał mijanych kupczyków, naśladował kulawego staruszka, udawał przeróżne schorzenia, popisывał się ekwilibrystycznymi sztuczkami, jednym słowem robił, co mógł, byle tylko radosny śmiech dziewczyny nie milkł.

– Jesteś niemożliwy, Williamie! – powtarzała co chwila.

Chłopak czuł radość, lekkość i spełnienie, towarzyszyły mu uczucia, które od tak dawna nie gościły w jego sercu. Nie wiedział, z czego to wynika, ale nawet go to nie interesowało. Nie chciał, aby ten

dzień się skończył. Dziewczyna była niewątpliwie zarozumiała, butna i nader zuchwała, ale Will był do niej niezmiernie podobny. Wydawała się jego wiernym odzwierciedleniem i chłopak miał wrażenie, że gdyby tylko chciał, mógłby porozumiewać się z nią bez słów.

Gdy się rozstali, Will błędził jeszcze jakiś czas ulicami Southwerk, sycąc się bez opamiętania wspomnieniem urokliwego śmiechu Agnes. Miał nadzieje, że jeszcze niejedyn raz uda mu się ją spotkać.

Wreszcie wrócił przed szpital Świętego Tomasza, gdzie kręciło się wielu jego znajomków. Na nieszczęście był tam też Joce, dryblas, który momentalnie go poinformował, że Alard czeka na niego we wschodnim skrzydle piwnicy.

William przeczuwał, że to może się tak skończyć, dziwił się nawet, że nikt mu nie przeszkodził w spotkaniu z Agnes. Strach wrócił, aż go ścisnęło w żołądku. William bał się tego, co Alard może mu zrobić, ale ponad wszystko obawiał się, czy sprawa nie będzie miała swojego finału u zakonnika Samera, wszak nasłuchiwał się już wystarczająco dużo o tym, jakie krzywdy wyrządzał innym dzieciom.

Co by nie mówić, chłopiec zdecydował się stawić temu czoła i wszedł do szpitala, nie okazując po sobie strachu. Bandyci zamordowali mu rodzinę, porwali brata i zmusili do życia w nędzy, ale z całą pewnością nie będą mogli odebrać mu marzeń.

Chłopiec szybko przeszedł przez hol, minął kaplicę oraz pomieszczenia, z których dochodziły jęki i bełkotliwe modły, i doszedł do żelaznych wierzei inkrustowanych motywem bujnej winorośli.

– Ja do pana Alarda – rzekł w kierunku siedzącego tam mnicha. Ten bez słowa wstał i otworzył przed nim odrzwia. Poczul powiew wilgoci zmieszanej ze stęchlizną. Z duszą na ramieniu zszedł po krętych kamiennych schodach i skierował się na wschód długim, tonącym w półmroku korytarzem. Mało która pochodnia się paliła, toteż William stawiał ostrożnie kroki, by o nic się nie potknąć. Mijał dziesiątki opuszczonych cel odgradzonych kratami, a w każdej z nich znajdowały się prycza, wiecheć zgniłej słomy i kajdany. Williamowi przeszło przez myśl, czy Alard przypadkiem nie będzie chciał go zamknąć tu za karę, ale nawet nie zdążył zastanowić się nad tym dłużej, bo z ciemności wyłoniły się na wpół przymknięte odrzwia.

Serce zabiło mu szybciej. Jeszcze nigdy tu nie był. Alard przyjmował w różnych miejscach Southwerk i tak po prawdzie trudno było odgadnąć, gdzie może mieszkać na co dzień.

Pełen obaw podszedł wolnym krokiem do drzwi, zapukał i nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, otworzył je na oścież. Spostrzegł szafkę z maściami i ampułkami, stertę szmat walających się w rogu, stół, płonący kaganek. Zrobił krok, potem kolejny...

– Panie Alardzie?

Nagle coś uderzyło go w szczękę. Miał wrażenie, że głowa mu pęka, krew zalewa gardło, pozbawiając go tchu, i że ziemia pod nim płynie... Zwalił się na klepisko. W głuchej ciszy przez moment nie słyszał nawet własnego oddechu. Do tego wszechogarniająca ciemność jęła zalewać, wchłaniać i wsysać całe otoczenie. Chciał krzyknąć, ruszyć się, zrobić cokolwiek, ale jakaś obca siła trzymała go tak mocno, że zaczął tracić świadomość.

– ...koju – usłyszał wreszcie.

– C-co...?

– Co jest w pokoju?

– W pokoju? – wykrztusił, przekonany, że się przesłyszał.

W ustach czuł metaliczny posmak krwi zmieszanej z kurzem. Trudno było mu zebrać myśli. Skronie pulsowały, a szczęka paliła, jakby ktoś przyłożył do niej rozżarzony ożóg.

– Mów!

Chłopak zacisnął powieki. „To Alard” – pomyślał. Ten szorstki, głęboki głos z pewnością należał do Alarda. Chciał się podnieść, lecz czuł, że mężczyzna dociska go nogą do ziemi.

– Mów!

– Sza-szafka z miksturami.

– Co jeszcze?

– Stół – wystękał.

– Co jeszcze?!

– Ka-kaganek... kaftan na ścianie... sto-stół...

– Mówiłeś już! – Mężczyzna jeszcze mocniej docisnął nogą plecy chłopaka, tak że aż coś chrupnęło. – Co jeszcze?

– Nie... nie wiem...

– Gdzie ja byłem?

– Nie... nie wiem... Proszę, puść...

Alard nieoczekiwanie usłuchał, zdjął nogę z pleców chłopaka, przeszedł przez pokój i usiadł za stołem.

– Chciałem jeszcze poczekać – rzucił po chwili opryskliwym tonem. – Edwin zamierza jak najszybciej zrobić z ciebie złodzieja, ale ja myślałem sobie, aby dać ci jeszcze trochę czasu. Widać zresztą, że jesteś w ciemnej dupie ze zdolnościami. Za młody, powtarzałem, za głupi... I powiedz mi, kurwa, że się nie pomyliłem!

– Panie... ja... ja...

Alard uniósł rękę. I tak już cudem trzymał nerwy na wodzy.

– Słyszałem, że masz mnóstwo czasu – dodał dźwięcznym głosem – że dziewczki ci w głowie.

William ostrożnie zebrał się z ziemi; czuł, że jeszcze kręci mu się w głowie.

– Że nieodpowiednie towarzystwo sobie dobierasz – ciągnął dalej bandyta.

– Jej nie przeszkadza moje towarzystwo...

Alard nachylił się nad stołem, tak że poświata kaganka rozświetliła jego upiorną twarz naznaczoną głębokimi bruzdami i bliznami.

– Co powiedziałeś? – wycedził przez zęby.

– Po-powiedziałem, że panienska Agnes lubi mnie.

– Lubi cię?

William przełknął ślinę. Wiedział, że trochę zmyśla, ale chciał zrobić coś z własnej woli. Coś, nad czym mógłby sam mieć kontrolę, i co niekoniecznie musiałyby przypaść Alardowi do gustu.

– Tak, lubi mnie – powtórzył drżącym głosem. – I... i chciałbym się z nią widywać.

Bandyta zerwał się z krzesła, z hukiem odepchnął stolik i doskoczył do Williama. Gówniarz sięgał mu może do brody, ale łeb miał uniesiony wysoko, butnie, odważnie. Nie uszło uwadze Alarda, że smarkacz trzęsie się ze strachu, ale ani trochę nie unika jego wzroku.

Wiedział, że może go ukarać, sprać, głodzić i trzymać pod kluczem. Mógłby spróbować go ujarzmić, posiłkując się surowszymi metodami, jednak co by było, gdyby nie udało mu się złamać jego

charakteru? Większość dzieciaków, jakie przyszło mu szkolić, była posłuszna i reagowała na najmniejsze jego skinienie już po roku czy dwóch od porwania, ale w ciągu ostatnich lat zdarzały mu się już nieraz wyjątki. Zresztą Alard zdążył poznać kawał świata i wiedział, że na ziemskim padole żyje dosyć ludzi, którzy są w stanie oddać życie za puste słowa czy chore idee. William miał już prawie piętnaście lat i wydawał się dobrym kandydatem na takiego szaleńca. Niedobrze byłoby robić sobie wroga z kogoś takiego. Ani chybi z czasem gówniarz mógłby się obrócić przeciw niemu i kto wie, jak skończyłaby się taka konfrontacja. A przecież nie potrzeba wiele. W końcu Alard zabił jego rodzinę. Bez skrupułów zasztyletował ojca i odpowiadał za śmierć jego matki, siostry i wuja. Od tamtego czasu wychowywał chłopaka, utrzymywał i wedle własnych potrzeb kształcił jego charakter, ale jakiegokolwiek zatargi między nimi byłyby niczym stąpanie po bardzo kruchym lodzie.

– Będziesz się z nią widywał? – warknął rozeźlony. – Będziesz się z nią widywał, bo ty tego chcesz?

William próbował przełknąć ślinę, jednakże zaschło mu w ustach.

– Je-jeśli jej to nie będzie przeszkadzało i... i panu, to tak.

Alard mruknął coś niezrozumiale po nosem. „Zasrany dyplomata, a i tak robi swoje” – pomyślał wzburzony. Odsunął się od chłopca, przeszedł kilka kroków. W sumie Agnes to problem Hardinga. To on zabiegał o to, by jego córki nie obłąpiał żaden żebrak. Jest hrabią, więc może dopominać się tego, ale dlaczego tak naprawdę miałyby to Alarda obchodzić? To nie jego zmartwienie, więc nie musi się tym przejmować. Czemu miałby znęcać się nad chłopakiem, który...? Alard skrzywił się, bo ostatnio coś zbyt często pobłażał swoim poddanym. Czuł podświadomie, że mięknie, ale nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą.

„Nie – pomyślał bandyta – chłopak musi ponieść karę. Nie zastosował się do polecenia, był niezdyscyplinowany, a przez to będzie w przyszłości zagrożeniem nie tylko dla siebie, ale i dla innych z organizacji. Dno Tamizy usiane jest dziesiątkami takich krnąbrnych, pyskanych smarkaczy i chyba dobrze byłoby zaradzić zawczasu, by William nie dołączył do tego grona. Z drugiej jednak strony, choć w jego

wieku byłem już w wojsku, również zaczynałem obwąchiwać gąski. Jak by nie było, ten gówniarz to chyba dobry chłopak...”.

– Kurwa mać! – krzyknął zezłoszczony na samego siebie. – Zdajesz sobie sprawę, chłopcze, że jeśli Harding dowie się o tym, urwie ci łeb? On będzie się wydzierał do twojej szyi tak, że zdążysz się zesrać pod siebie ze strachu!

William spuścił głowę.

– Dociera to do ciebie?!

– A jak mnie polubi?

– Kto?

– Ten pan Harding...

Alard parsknął. Naiwność smarkaczy zawsze go rozbawiała.

– Nie bądź durniem.

– Ludzie się zmieniają, panie Alardzie.

– Co ty możesz o tym wiedzieć?! – huknął nazbyt porywczo. – Czy ty się zmieniłeś, Williamie? Nabrałeś odwagi, pewności siebie? A może spokorniałeś, zmiękleś i zacząłeś tchórzyć?

– Ja... nie...

– Masz być złodziejem i służyć kaście Edwina. Jaką mogę mieć pewność, że będziesz mu posłuszny, skoro robisz swoje? Jaką mogę mieć pewność, że kiedyś będzie można ci zaufać?

William spiął się w sobie, aby utrzymać nerwy na wodzy, bo drań zabił jego rodzinę, zmusił go do poddaństwa, zabronił spotkań z normalną dziewczyną, a teraz jeszcze żąda pełnego oddania i zaufania. I w imię czego? Tej nędzy i osamotnienia? Chłopak zaciskał pięści tak mocno, że aż mu zbieleły knykcie.

– Co? – spytał Alard, przechylając głowę na bok. – Czyżbym cię zdenerwował? Chcesz mi przyłożyć?

Chłopak nic nie rzekł, choć przyśpieszony oddech i zaciśnięte szczęki mówiły wszystko.

– A może ci wadzę? Chciałbyś mnie zabić?

Alard wyjął zza paska sztylet.

– Chcesz? Masz. No weź, trzymaj.

Chłopak spojrzał szklistym wzrokiem w zimne, nieczułe oczy Alarda.

– No, bierz. I pamiętaj, że drugiej takiej okazji mieć już nie będziesz.

– Ja... ja... – Chwylił drżącą ręką zimną rękojeść noża.

– Dalej, pchnij mnie! – Alard rozłożył szeroko ramiona. – Tutaj, najlepiej prosto w serce.

– C-co?

– No, dalej, pchnij mnie tym nożem i zabij! Potrafisz to zrobić? Chcesz tego? Zamordowałem twoją rodzinę, Williamie. Poderżnąłem im gardła bez mrugnięcia okiem! Czy nie chcesz się zemścić? Czy nie chcesz mnie zabić?

– Ja... ja... – Chłopiec trząsł się, jakby ktoś go wrzucił do lodowatej wody, łzy spływały ciurkiem po jego policzkach, ale zacisnął zęby i wziął mocny zamach.

Gilbert usłyszał zbliżające się kroki, a raczej znajome szuranie sandałów o kamienną posadzkę. Mimowolnie zaczął dygotać, po nogach spłynęły strużki ciepłego moczu. Bał się, lecz otworzył napuchnięte oczy i jał wpatrywać się w okryte szarawą poświatą dębowe odrzwia. Przez trzy wąskie prześwity u sufitu wysokiego lochu wpadało niewiele światła, wszelako chłopiec, mimo że stracił rachubę czasu, potrafił określić, że już powoli zmierzcha.

Drzwi otworzyły się z przeszywającym skrzypieniem i w progu stanął niski, krępy mężczyzna.

Gilberta zemdliło ze strachu, gdy tylko dojrzał jego błyszczące od potu oblicze. Rzednące włosy okalające tonsurę i pożółkłe zęby dopełniały wizerunku tego pozbawionego uczuć i serca potwora. W tłustej łapie dzierżył skórzany batog z czterema rzemieniami, zakończonymi twardymi niczym kamienie węzłami.

Oprawca już od wielu miesięcy znęcał się nad Gilbertem, wypowiadając przy tym słowa, których znaczenia chłopiec mógł się tylko domyślać.

– Okupisz dziś zbawienie cierpieniem – oznajmił lodowatym tonem.

Gilbert już miał spytać, dlaczego musi cierpieć, ale jedyne, na co się zdobył, to bezsilne westchnienie. Pytał o to przecież od wielu tygodni, a i tak nigdy nie doczekał się jakiegokolwiek odpowiedzi. Zrezygnowany, zwiesił poddańczo głowę, łudząc się, że może tym razem obudzi w tym człowieku litość. Mężczyzna jednak beznamiętnie podszedł do niego i wziął zamach.

– Przeżyjesz ból, jaki odczuwał Chrystus na krzyżu! – obwieścił,

wymierzając pierwszy z siedmiu ciosów.

Skórzane rzemienie uderzyły i niezagojone rany na plecach chłopaka ponownie się otworzyły, przeszywając jego ciało niepojętym bólem.

– Proszę – wychrypiał.

Ale rzemienie znowu worały się w cherlawe plecy oraz wąty bok Gilberta, tak że chłopiec aż wygiął się z bólu. Czuł, jakby zatonął w słupie gorejących płomieni, które jeły palić każdą kość, każdy mięsień i każdy nerw jego ciała.

– Zniesiesz cierpienia, by zrodzić się na nowo! By w imię Pana wymierzać sprawiedliwość innym!

– Nie, proszę!

Batog znowu dosięgnął celu, a Gilbert krzyknął tak głośno, że aż się zachłysnął powietrzem. Świat przed oczami zawirował, ale oprawca brał już kolejny zamach. Chłopak co tchu podniósł się z kolan i w desperacji dobrnął w kąt pomieszczenia. Tam skulił się, oczekując nieuchronnego.

– Pamiętaj, że cierpieć musi każdy, kto wybiera drogę swojego Pana!

Trzask!

– Ale tylko krew przelana dla niego okryje cię chwałą.

Trzask!

Ciało Giberta znowu się wygięło pod wpływem paraliżującego bólu. Chciał krzyknąć, ale tak naprawdę ledwie mógł oddychać. Skulił się jeszcze bardziej, przywierając do zimnej kamiennej ściany, a wargę zagryzł tak mocno, że po brodzie popłynęła mu krew zmieszana ze śliną.

– Przestań... – zdołał wyjęczeć.

Zakonnik nie zamierzał jednak przestać. Wydał z niezadowoleniem wargi, bo nie bił przecież za mocno, a mały pętał wił się, jakby nie wiadomo jaka krzywda mu się działa. Uniósł jeszcze raz bicz i oznajmił:

– Dzięki męczeństwu zbliżysz się do Boga.

Trzask!

– Dzięki męczeństwu pokonasz własny strach, ból i cierpienie.

Trzask!

Gilbert upadł na brzuch, wstrząsany spazmatycznymi drgawkami.

Znalazł się na granicy utraty przytomności, lecz zdołał uświadomić sobie, że to było siódme i ostatnie uderzenie.

Dygocząc, uniósł lekko głowę, uchylił powoli powieki i z ogromną ulgą spostrzegł, że okrutny zakonnik wyszedł już z komnaty. Chciał oprzeć się o ścianę, ale zranione plecy piekły go zbyt mocno, położył się więc na boku, podciągając kolana pod brodę. Dłuższy czas leżał tak bez ruchu i gdy wreszcie wydawało się, że zapanował nad bólem, że oswoił się z nim na tyle, by skupić się na czymś innym, jęknął:

– Willi...

Willi zawsze pomagał mu w takich chwilach jak teraz. Myśl o tym, że brat uciekł z gildii i wyruszył, by go uratować, podtrzymywała go przy życiu i nie pozwalała poddać się i stracić zmysłów.

Niebo zasnuwał już z wolna całun nocy, tak że w komnacie zapadła ciemność. Ale Gilbert wiedział, że tej nocy przyjdzie jeszcze do niego franciszkanin Thomas. Zawsze przychodził.

Chłopak długą chwilę wsłuchiwał się w swój oddech, w rytm bijącego serca... Zaczął wspominać wieczór, gdy po raz pierwszy zobaczył zakonnika.

Siedział wtedy z Williamem i resztą rodziny w karczmie w jakiejś zabitej dechami wsi. Obwoźny handlarz chrapał już na stole, więc nabijanie się z jego gnijącej ręki nie było takie zabawne jak wcześniej. Zresztą Gilbertowi też chciało się spać, ale Will wydawał się mieć dużo siły, więc i on nie mógł być przecież gorszy.

W pewnym momencie odrzwia oberży się otworzyły i w progu stanęła dwójka mężczyzn. W pomieszczeniu panował półmrok, do tego wypełniał je siwy, gryzący dym wydobywający się z paleniska, ale Gilbert zdołał zauważyć, że jeden z przybyłych to zakonnik, a drugi to zarządca wsi, z którym chwilę wcześniej rozmawiał tata.

– Szczęść Boże – powiedział głośno ten w habitcie.

– Szczęść Boże – odpowiedziała właścicielka oberży.

Zarządca i zakonnik niemal od razu skierowali się w stronę wędrownego trupy. Mężczyzna w mnisiej szacie szedł pierwszy, a kroki stawiał chyżo i pewnie, tak że już po krótkiej chwili można było przyjrzeć mu się dokładniej. Był ubrany w czarny płaszcz zroszony deszczem, spod którego wyłaniał się przewiązany sznurem habit – ni to

brązowy, ni to szary. Miał krwiste usta, kruczoczarny zarost, równie ciemne włosy okalające tonsurę i niepasujące do jego aparycji błękitne oczy. Gilbert dostrzegł w nich chłód, jakąś trudną do wyjaśnienia wrogość. Nie podobała mu się jego twarz, więc odwrócił głowę i wlepił wzrok w blat stołu.

– Adam powiedział mi, że mamy gości – odezwał się dźwięcznym, mocnym głosem zakonnik, gdy tylko podszedł do stołu. Gil łypnął w jego kierunku okiem i dostrzegł, że mężczyzna szczyrzy zęby w tak szerokim, że aż karykaturalnym uśmiechu.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – wypalił wujek Geoffrey.

– Na wieki wieków – mruknął pod nosem zakonnik, po czym jął wodzić niespiesznie wzrokiem po zebranych. Zatrzymał spojrzenie na Williamie i Gilbercie. Jego śniada, szczupła i podłużna twarz, porośnięta zdecydowanie zbyt wypielęgnowaną jak na franciszkanina brodą, stężała. Zimne niebieskie oczy świdrowały chłopców tak, że aż dostali – a przynajmniej Gilbert – na całym ciele gęsiej skórki.

– Czego ci trzeba, ojcze? – spytał Geoffrey.

Franciszkanin oderwał wreszcie wzrok od dwójki chłopców, starł dłonią krople deszczu z wygolonego wierzchu głowy i przeniósł spojrzenie na Amandę. Siostra Gilberta musiała chyba również wyczuć w nim coś niedobrego, bo w mgnieniu oka spurpurowiała i przytuliła się do matki.

– Niczego mi nie potrzeba, synu – odpowiedział wreszcie zakonnik, pochylając w przesadnej skromności głowę. Uśmiech na jego twarzy wyraźnie zgasł. – Jestem po prostu rad, że nasza wieś gości tak znamienitych podróżników.

Geoffrey machnął ręką.

– Wielebny przesadza – rzekł niby od niechcienia, choć głos chyba mu się trochę załamał.

– Nic a nic nie przesadzam. Pozwolicie, że się dosiądziemy?

Nie wiedzieć czemu, Gilbert bardzo chciał, aby ten człowiek już sobie poszedł. Łypnął okiem na tatę i spostrzegł, że on chyba też nie ma ochoty na jego towarzystwo.

– Na-naturalnie – zająknął się ojciec. – Proszę bardzo.

Franciszkanin wyjął ręce z szerokich rękawów habitu i poły jego szarego płaszcza nieznacznie się poruszyły. Z tkaniny zroszonej deszczem oderwały się perliste krople wody i spadły na słomiane klepisko.

W chwilę potem mężczyzna położył dłoń na ramieniu Felicii, co chyba znaczyło: „Tutaj chcę siedzieć”. Gilbert miał dziadka księdza, to dość się od niego nasłuchał o życiu klasztornym i wiedział, że niektórzy duchowni nie pozwalają kobietom siedzieć obok siebie czy nawet przy tym samym stoliku. Uważają to za amoralne i uwłaczające ich bożej posłudze. Mama nie sprawiała wrażenia urażonej i bez słowa przesunęła się wraz z Amandą w stronę chrapiącego handlarza. Po prawicy zakonnika zasiadł zarządca wsi Adam. Krzyknął do krzątającej się przy palenisku kobiety, by przyniosła strawę i napitek, lecz zaraz potem zamilkł. W ogóle jakoś tak dziwnie się zachowywał, biegał oczami we wszystkie strony, nerwowo podrygiwał nogą. Gilbert nie miał pojęcia, o co może chodzić, ale czuł wiszący w powietrzu niepokój. Zresztą Williamowi też chyba się on udzielił, bo ni stąd, ni zowąd przysunął się bliżej do brata. Nawet murarze siedzący w oddali nachylili się nad swoimi miskami i bez słowa jęli kończyć wieczerzanie.

Oberżę wypełniało dudnienie deszczu o dachówkę. Gdzieś w oddali po raz wtóry uderzył piorun.

– Ależ pogoda, prawda?! – huknął zakonnik, klaszcząc przy tym energicznie w dłonie.

Gilbert drgnął, a tata mruknął pod nosem:

– Istotnie.

– I co was sprowadza w nasze strony?

– Jesteśmy tylko przejazdem.

– Adam mi powiedział, że zmierzacie do Londynu.

– Tak, właśnie tam. – Robert przysunął do siebie miskę i jął wodzić palcem po jej brzegu.

Zakonnik zaś sięgnął po gar bigosu, który dopiero co przyniosła oberżystka.

– Jesteście wędrowną trupą? – spytał, nałożywszy sobie dwie słusne łyżki stawy.

Tata potarł swój kilkudniowy zarost i z ociąganiem pokiwał głową.

– Ten młody skacze prawie po sam sufit, bracie Thomasie – wyrwał się nagle jeden z murarzy.

Franciszkanin przełknął kęs i zrobił wielkie oczy.

– Ten rozczochrany chudzielec? – jęknął z takim zdziwieniem, że zabrzmiało to aż śmiesznie. – Naprawdę skaczesz po sam sufit, chłopcze?

William spuścił głowę.

– No, coś taki nieśmiały? – Zakonnik szturchnął go delikatnie w ramię.

Williamowi chyba nie spodobała się ta poufałość, niemniej jednak bąknął pod nosem:

– Aż tak wysoko nie umiem skakać.

– Nie wstydz się, mały! – ciągnął murarz. – Pokaż nam lepiej, co jeszcze potrafisz!

William przygarbił się jeszcze bardziej i wyglądało na to, że gdyby mógł, to zniknąłby pod stołem. Gilbert znowu schował się za bratem, wyteżył słuch i modlił się, by zakonnik o nic go nie pytał. Czuł żal do taty, że postanowił zatrzymać się tutaj na noc. Co prawda nic przecież się nie stało, ale mógł posłuchać wujka i zgodzić się na nocowanie na wozie.

– Mówię wam, że ten smarkacz ma talent – ciągnął z nieskrywaną euforią murarz. – Za jego występ zapłaciłbym i pół pensa!

– Taaa... ty byś zapłacił – odburknął towarzysz siedzący po jego prawicy.

– A żebyś wiedział!

Franciszkanin z wyraźnym politowaniem popatrzył w kierunku sprzeczących się budowlańców, jednak chwilę potem utkwiał wzrok ponownie w Williamie. I patrzyłby nań pewnie dłużej, gdyby nie wujek, który zebrał się na odwagę i oznajmił:

– Piękny kościół budujecie.

– To zakon.

– Zakon franciszkanów? Pomagacie żebrakom na takim odludziu? Nastąpiła niepokojąca cisza.

Gilbert nie mógł się powstrzymać i łypnął okiem na mnicha. Jego śniada twarz stężała. Brodate szczęki zacisnęły się, źrenice

rozszerzyły...

– We włościach sir Fabiana jest dosyć biednych i chorych ludzi – powiedział nagle oschłym tonem. – Ludzi żyjących w wielkiej nędzy, którzy potrzebują pomocy i duchowego wsparcia. Na tym odludziu, jak je nazwałeś, ludzie są z dala od miastowych uciech, obfitujących w jakże odrażające sprośności. Są bliżej Boga i nie muszą obcować z nikczemnymi praktykami, z którymi pewnikiem wy macie do czynienia na co dzień.

– Chodzi ci o to, czym się zajmujemy, ojcze? – zapytał z przejęciem Geoffrey.

– Gef – syknął Robert.

Gilbert domyślił się, że tata jest zły na wujka o to, że poruszył ten temat. W końcu sam wielokrotnie był świadkiem ich rozmów, aby w obecności duchownych nie mówić o tym, czym się zajmują. W Anglii wielu księży nie tolerowało zawodu sztukmistrza. Takiego artystę, ni to minstrela, ni to błazna, który zarabiał na życie, wędrując od jarmarku do jarmarku, nader często postrzegali jako sługę samego szatana, bo bawił lud, nie zważając na to, że Chrystus został ukrzyżowany.

Wujek spuścił głowę, żałując zapewne, że dał się sprowokować do tej rozmowy. Zawsze był zbyt bogoboyny. Tata znowu sięgnął po dzbanek, bo chyba chciał rozładować niezręczne napięcie. I tylko co zdążył go unieść, kiedy zakonnik wyciągnął nagle dłoń i chwycił go za rękę.

– Robercie – szepnęła mama.

Gilbert wybałuszył z przerażenia oczy. Nie wiedział, co się dzieje, ale umysł podpowiadał mu, że coś bardzo niedobrego.

Świat na chwilę zamarł. Tata odstawił naczynie i cofnął rękę, a franciszkanin jak na zawołanie zdobył się na przepaszający uśmiech. Następnie wstał i jął napełniać kufelek skołowanego artysty. To samo zrobił z naczyniem wujka Geoffreya.

– Ja dziękuję – wtrąciła Felicia, ale zakonnik nie usłuchał i jej kufel również napełnił.

Mama musiała chyba poczuć się skrępowana, bo założyła niesforny kosmyk blond włosów za ucho i odwróciła głowę.

Franciszkanin nie napełnił ani kufla zarządcy, ani swojego,

odstawił z głuchym łoskotem gliniany dzbanek, schował dłonie w szerokich rękawach habitu, po czym bez słowa skierował się do wyjścia.

Tata z wujkiem jeszcze długo wpatrywali się w puste miejsce po zakonniku.

– Nie frasujcie się tak – rzekł po jakimś czasie zarządca.

– Słucham?

– Nie frasujcie się tak bratem Thomasem. Trudno go polubić, jest zdziwaczały, ale zapewniam, że to dobry człowiek.

– Nie..., nie frasuję się – odpowiedział wyraźnie speszony ojciec.

– To dobrze, to bardzo dobrze. No cóż... czas nocą szybko bieży i już chyba najwyższa pora udać się na spoczynek.

Mama pokiwała głową, a tata wysilił się na uśmiech.

– Wy też kończcie, chłopcy, to biesiadowanie – zwrócił się zarządca w kierunku murarzy – bo jutro ma wrzeć na budowie. – Mężczyzna wstał od stołu, szturchnął po drodze chrapiącego staruszka i podszedł do drabiny wspartej o właz. – Na strychu będzie z wami spał ten obwoźny handlarz, ale jestem przekonany, że się pomieścicie.

– Ja jeszcze nie chcę spać – burknął William.

– Ja też nie chcę! – zawtórował mu Gilbert.

– Ja też nie chcę! Nie chcę..., nie chcę... – mamrotał w tej chwili pod nosem. – Gdzie jesteś, Willi? Gdzie jesteś? – Wspomnienia tak bardzo go raniły.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – usłyszał nagle.

Uniósł głowę znad kamiennej posadzki i dojrzał w progu drzwi postać franciszkanina Thomasa.

– Na wieki wieków – odpowiedział z ulgą w głosie. Było mu wstyd, że cieszy się z wizyty zakonnika. Tak naprawdę już od wielu tygodni czuł radość za każdym razem, gdy tylko go widział. Thomas co prawda był daleki od ukazywania uczuć, jego głos zawsze brzmiał beznamiętnie, a oblicze wiecznie pozostawało niewzruszone, to jednak nie można mu było odmówić tego, że opiekował się chłopcem, karmił go, i choć czasami mówił trudne do zrozumienia rzeczy, nigdy nie podniósł na niego ręki.

– Boli? – spytał.

– T-tak.

– Musisz być silny, Gilbercie. – Thomas włożył pochodnię w stalową obręcz zawieszoną wysoko na ścianie i podszedł ku niemu. – Posił się i ugaś pragnienie.

Gilbert utkwiał wzrok w misce pełnej parującej stawy, ale najpierw rzucił się do dzbanka z wodą.

– O czym myślałeś, gdy był z tobą brat Ranulf?

Chłopiec wzdrygnął się na dźwięk tego imienia. Przełknął ostatni łyk wody i drżącym głosem oznajmił:

– On mnie bije...

– Nikt nie chce cierpieć, ale jest to wpisane w nasze życie, Gilbercie. Spośród wszystkich boleści najlepszą jest ta na chwałę Boga.

– Ale ja nie chcę, żeby mnie bił.

– „Nie lekceważ karania Pana, nie upadaj na duchu, gdy On cię doświadcza. Bo kogo miłuje Pan, tego karze, chłoscze zaś każdego, którego za syna przyjmuje”[4].

Gilbert nie do końca rozumiał słowa franciszkanina. Czuł, jak zbiera mu się na płacz, przewyciężył jednak słabość i spytał:

– Dlaczego mi to robicie?

Franciszkanin kucnął przy chłopcu i zaczesał do tyłu jego złote, oblepione brudem kędziory.

– Jedz teraz lewą ręką.

Gilbert przełożył łyżkę do drugiej ręki. Nie lubił tak jeść, ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu zakonnik codziennie kazał mu to robić.

– Droga do zbawienia jest ciernista – powiedział po chwili Thomas. – Ale wiedz, że ten ból, który teraz odczuwasz, kiedyś będzie dla ciebie zbawienny. Pomimo grzechów, których się dopuścisz w przyszłości, twoja dusza zostanie zbawiona, a ciało zahartowane.

– Ale ja nie chcę...

– Wyśpij się, Gilbercie. Niech Bóg będzie z tobą.

– Nie... Nie odchodź...

Jednakże zakonnik odszedł. Gilbert był już przyzwyczajony do tego, że mężczyzna zwykle zostawiał nieopodał okna pochodnię. Była zawieszona bardzo wysoko i nie mógł do niej sięgnąć, ale nawet gdyby

udało się to zrobić, na niewiele by mu się przydała. Chłopiec był wdzięczny za tę namiastkę światła, bo nie lubił ciemności. Dokończył posiłek i obolały położył się na sienniku. Legowisko było miękkie, wygodne, a koce grube i ciepłe, i choć plecy bezustannie pulsowały bólem, sen nadszedł bardzo szybko.

Rankiem Gilbert zmówił z franciszkaninem modlitwę, zjadł śniadanie i wyszedł na dziedziniec klasztoru. Teren był otoczony niedokończonym murem, a na posypane żwirem ścieżki cień rzucały zasadzone tu i ówdzie krzewy, jabłonie oraz bujna winorośl. Sprawiały wrażenie zaniedbanych, pozostawionych samopas.

Tu i ówdzie wałały się deski, cegły, fragmenty rusztowań, zaschnięte kopy cementu, hałdy usypanego piasku i wiele innych pozostałości po prowadzonych niegdyś pracach budowlanych. Już na pierwszy rzut oka widać było, że należy włożyć jeszcze wiele pracy w ukończenie klasztoru. Piwnice, dormitoria i kuchnia były w zasadzie kompletne, jednakże zachodnia część transeptu straszyla brakiem stropu, a część wschodniego skrzydła, w której przewidziany był kapitularz oraz audytorium, nie dość, że nie posiadała dachu, to jeszcze nie do końca miała wzniesione ściany nośne. Główną świątynię tylko w niewielkiej części pokrywała dachówka, w miejscu bocznych naw tkwiły puste fundamenty i nawet wyposażenie prezbiterium stanowił tak naprawdę tylko naprędce sklecony krzyż. Thomasowi nie w smak było urzędować w takiej nieukończonyj świątyni, dlatego z początkiem roku musiał pozbyć się budowlańców. Co by nie mówić, koszty budowy były ogromne, a królewska gildia nie przyznała przecież priorytetu sprawie wznoszenia klasztorów. Poza tym to, że tutejszy proboszcz zgodził się wejść w komitywę z przestępcami, nie oznaczało wcale, że umowa współpracy ma ich ze sobą wiązać na dobre i złe po wieczność. Proboszcz już kilka lat temu został zamordowany i wszelkie sprawy dotyczące tego zakonu spoczywały teraz na barkach Thomasa.

Trzeba powiedzieć, że bandyta z powodzeniem pełnił posługę kapłańską i organizował nawet msze święte dla tutejszych parafian. Rzecz jasna, robił to nieregularnie, ale przecież niewielu było księży po wsiach, którym chciałoby się robić to systematycznie. Thomas wiedział co nieco o kapłanach, bo kilka lat spędził w opactwie w Selby, gdzie

rzeczony opat nie dość, że nie znał łaciny i nałożono na niego ekskomunikę, to jeszcze z powodzeniem sprawował swój urząd przez długie lata.

Thomas starał się odprawiać msze nie tylko z uwagi na zachowanie pełnej konspiracji, ale i dlatego, że z tego też były jakieś pieniądze. Proboszcz miesiąc w miesiąc otrzymywał niemałe dziesięciny, ponadto miał zwyczajowe prawo do ofiar składanych w niedziele i święta, zbierał pensy od spowiadających się i komunikantów. Pobierał wynagrodzenie za odprawione pogrzeby, a nawet z dzierżawy łąw i zydłów w swoim kościele. Do tego dochodziły obłacje w naturze, czy to w postaci bochnów chleba, czy świec, jaj, drobiu bądź sera. Klasztor na odludziu wydawał się wymarzoną kryjówką dla przestępców, a Thomas wiedział, w jaki sposób należy z niej korzystać. Wiadomo było, że zakony są poddawane od czasu do czasu kontrolom biskupów – takie wizytacje zalecano przeprowadzać przynajmniej raz na trzy lata – ale w praktyce wiele prowincjonalnych klasztorów stało odłogiem pełne dziesięciolecie, nim ktoś się w nich zjawił. Zresztą Thomas posiadał papier świadczący o darowiźnie, podpisany przez ostatniego proboszcza, i nic nie wskazywało na to, by kryjówka mogła być zagrożona. Wszakże kościelne budowle nieraz przechodziły pod opiekę innych zakonników, wikarych czy nawet ludzi świeckich, którzy wedle własnego uznania nadal kierowali parafiami lub zmieniali je w bardziej dochodowe instytucje: oberże bądź burdele. Kościół może i tego nie pochwalał, ale póki co niewiele w tym względzie robił.

– Chodź, Gilbertcie, nie śpij – pośpieszył go bandyta.

Chłopczyk, jeszcze w półśnie, niemrawo podbiegł do zakonnika. Było bardzo wcześnie, słońce ledwie wychynęło zza horyzontu i tak naprawdę Gilbert do tej pory nie mógł przyzwyczaić się do tak rychłych pobudek.

Przy wschodniej stronie monasteru stała dwójka mnichów i rozmawiali z jakimś obcym człowiekiem. Ubrany w czarną opończę i ubłocone buty, sprawiał wrażenie młodego i energicznego. Gilbert z zaciekawieniem spoglądał w tamtym kierunku, bo rzadko kiedy widział tutaj kogoś spoza klasztoru. No, może czasem kręciły się tu jakieś kobiety, lecz chłopiec zawsze peszył się na ich widok i nawet nie

był ciekaw, po co przychodzą.

Gil zrobił kilka kroków w kierunku dyskutujących mężczyzn. Szybko zorientował się, iż obcym przybyszem jest zarządca wsi Adam. Pamiętał go doskonale z dnia, w którym przyjechał tu wraz z rodzicami.

Chłopiec był ciekaw, czy zarządca wie, co tak naprawdę dzieje się za murami klasztoru. Jeśli byłby prawym i dobrym człowiekiem, to może zlitowałby się nad nim i wyzwolił z niewoli okrutników? Gilbert dość szybko odkrył, że ośmiu, może dziesięciu mężczyzn przebywających w klasztorze wcale nie jest mnichami. Z tego, co chłopiec zdążył się zorientować, tak naprawdę byli wyjętymi spod prawa bandziorami. Raz nawet słyszał, jak jeden z nich utyskiwał na list gończy, który został za nim wysłany. Gilbert nie wiedział, dlaczego przestępcy chowają się akurat tutaj ani jak okrutnych rzeczy trzeba się dopuścić, by być poszukiwanym listem, ale miał świadomość, że ciekawość nie popłaca, toteż swoje przemyślenia wolał pozostawić dla siebie. Ale teraz nadarzała się okazja, by komuś o tym powiedzieć. By wydać bandytów, a samemu zostać oswobodzonym. Gilbert ze wszystkich sił starał się usłyszeć, o czym rozmawiają mężczyźni, ale niestety mówili zbyt cicho. Mógł oczywiście podejść do nich i powiedzieć, że ci wszyscy mnisi to groźni przestępcy, a on jest przetrzymywany wbrew swej woli, ale co by było, gdyby zarządca okazał się ich współnikiem?

Gilbert bał się podjąć takie ryzyko, postanowił więc tylko zwrócić na siebie uwagę. W końcu przetrzymywanie dzieci w klasztorach już od jakiegoś czasu było zabronione. Może nie przestrzegano tego z należytą starannością, ale kto wie, czy temu całemu Adamowi nie wydałoby się to podejrzane. Zdecydował się pomachać do niego ręką.

– Dzień dobry! – krzyknął, bo nie doczekał się żadnej reakcji.

Thomas momentalnie odwrócił się do chłopaka.

– Co ty wyrabiasz?

Gilbert nawet tego nie usłyszał, bo był wpatrzony w zarządcę. „Pomóż mi, pomóż!” – krzyczał w myślach. Wreszcie spotkał się z nim wzrokiem i... zamarł. Nieśmiałe, zmieszane spojrzenie mężczyzny mówiło wszystko.

– Pytałem, co robisz – nie dawał za wygraną Thomas.

– Nic – bąknął Gilbert. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Przepraszają tylko słabi i winowajcy. Zawsze możesz mówić prawdę lub kłamać, lecz nigdy nie wolno ci się przyznawać do pomyłek. Ci ludzie tam to nasi ludzie. Masz ich wszystkich szanować, łącznie z bratem Ranulfem i ze mną, bo wszystko, co robimy, jest dla twojego dobra.

Gilbert spuścił głowę; zgodziłby się z tymi słowami, gdyby tylko go nie bili.

– Przystań postrzegać nas jako wrogów – kontynuował Thomas. – I nie traktuj swego domu jak więzienia. To... – Mężczyzna zamyślił się, błędząc wzrokiem po szumiących wierzbach. – To czyściec, który ma ci przypomnieć o tym, że urodziłeś się z grzechu i będziesz żyć w grzechu, ale krew obmyje cię ze wszystkich przewin.

Gilbert spuścił złotą, kędzierzawą głowę, acz zebrał się na odwagę i bąknął nieśmiało pod nosem:

– Ranulf mnie bije.

– Ma cię to czegoś nauczyć.

– On jest zły...

– A ty chcesz być dobry czy zły?

„Głupie pytanie” – pomyślał chłopiec, lecz nic nie powiedział.

– Chcesz być dobry czy zły? – powtórzył zakonnik.

– Dobry...

Thomas westchnął i ojcowskim gestem poczochnął czuprynę Gilberta.

– Zapamiętaj sobie – rzekł, kucnąwszy naprzeciw niego. – Aby być dobrym człowiekiem, musisz schować swoją dumę, a przez życie kroczyć z wiecznie pochyloną głową. By być dobrym, winienesz bez ustanku nadstawiać drugi policzek, a wiedz, że ludzie to wykorzystają, bo są podli z natury. Nie myśl sobie jednak, że bycie złym to coś łatwiejszego. O nie, mój drogi chłopcze. To sztuka równie trudna i bolesna zarówno dla twego umysłu, jak i serca. By być złym, winienesz wyprzeć się wszelkiego dobra, odrzucić miłość i łaskę, a ponad wszystko zgubną nadzieję. To są przywary ludzi słabych, skazanych na porażkę. Jeśli chcesz być zły, masz okazywać uwielbienie czy dawać przebaczenie tylko sobie, ale nadziei nie wolno ci mieć wcale. Masz

kalkulować, sądzić i decydować, a nie oczekiwać, dociekać, zawierzać. Nadzieja to ufność, to wiara, której tobie nie wolno mieć. Rozumiesz mnie?

– Tak.

Thomas przez długą chwilę przyglądał się chłopakowi. Martwił się jego zachowaniem, bo jeszcze pół roku temu chłopiec wydawał się zuchwały i pewny swego, a teraz spokorniał, zmiękł i zrobił się niepokojąco wrażliwy. Wiadomo, że cierpienie doświadczane każdego dnia może złamać nawet najtwardszy charakter, ale zakonnik dopilnował przecież osobiście, aby Ranulf nie bił chłopca zbyt mocno. Gilbert miał zostać wzmocniony i zahartowany, a nie zamęczony i skatowany. Thomas wiedział o życiu w ciągłym bólu jak mało który człowiek. Wiedział, co to znaczy budzić się każdego ranka z gardłem ściśniętym ze strachu. Wiedział, co to znaczy drżeć na dźwięk zbliżających się kroków, i znał smak chłosty, która go tuliła do snu każdego wieczora.

Thomas był wychowywany przez matkę ślepo oddaną Chrystusowi; żyła w urojeniu nieskazitelnej czystości ciała, którą z uwielbieniem poświęcała Bogu. Gwałt na niej dokonany wymazała z pamięci, a wydanego na świat chłopca postrzegala jako diabła, demona, który się zjawił, by skalać jej niewinność. Thomas został przeklęty za to, że pozbawił ją dziewictwa i przeszkodził jej we wniebowstąpieniu. Był przez nią bity, poniżany i torturowany niemal każdego dnia, ale mimo tego nie załamał się i w wieku dwunastu lat zdobył się na odwagę, by poderżnąć jej gardło.

Kolejne lata spędził nieopodal Selby, w klasztorze jezuitów, w którym postrzegano go jako zamkniętego w sobie i zagorzałego ascetę. Thomas, uzależniony od obcowania z bólem i oswojony ze znoszeniem cierpienia, kultywował umartwianie swego ciała, wszelako nie stronił też od stosowania przemocy wobec innych. Po czterech latach, oskarżony za zabójstwo zakonnika, opuścił mury klasztorne i rozpoczął wędrówkę po Anglii. Chciał znaleźć Boga tam, gdzie inni nie mogli go dostrzec, a skoro duchowni, posłańcy Chrystusa, odtrącili go od siebie, to gdy tylko nadarzyła się okazja, postanowił związać się z królewską gildią przestępców. Z polecenia ówczesnego barona przywdział franciszkańskie szaty i w takim oto przebraniu kontynuował

przestępczy proceder po dziś dzień.

Thomas był człowiekiem bezwzględny i nieczułym na krzywdy innych, ale też ciekawym świata, ludzi i praw rządzących życiem. Nawet teraz w przypadku Gilberta eksperymentował, próbując stworzyć nieustraszonego zabójcę. Nie wiedział, czy to mu się uda, niemniej jednak mógł sobie pozwolić na takie mitręzenie czasu. Przez ostatnie dziesięć lat osiągnął prawie wszystko, co było w gildii do osiągnięcia. W tej chwili chlubił się tytułem hrabiego morderców i księcia całej organizacji, co oznaczało, że wspólnie z Alardem dowodził całą gildią. Hrabiowie Osbert i Waleran dobrze wywiązywali się ze swych obowiązków, więc mógł poświęcić nauce Gilberta dostatecznie dużo czasu. Mocno wierzył w to, że uda mu się stworzyć obojętnego na ból i zimnokrwistego siepacza.

– Chodźmy, Gilbercie – rzekł Thomas. – Norman na pewno już na ciebie czeka.

– Dobrze – bąknął niechętnie chłopiec, po czym ruszył za zakonnikiem.

Norman był jednym z tutejszych zbirów, który szkolił go w walce. Był surowym i nieczułym nauczycielem, lecz jak Gilbert zdążył się już zorientować, nie stanowił żadnego wyjątku w przestępczej organizacji. Zakonnik mówił o Normanie, że pomimo szkockiego pochodzenia jest niezwykle cennym nabytkiem. Potrafił biegle posługiwać się mieczem, sztyletem, łukiem, korbaczem i całą gamą innych rodzajów broni, zadających mniej lub bardziej dotkliwe rany. Był niebezpiecznym i przebiegłym mordercą, i jeśli miał jakąś słabą stronę, to była nią chyba tylko porywczność, przez którą nieraz wpadał w kłopoty. W zeszłym roku został złapany i skazany na powieszenie za zabicie rycerza, którego tak po prawdzie zatłukł na śmierć głowicą rękojeści miecza. Koniec końców, udało mu się jednak uciec, a zrobił to w stylu najpodlejszego szkockiego zbira. Wzniciwszy ogień we własnej celi, zdołał wytrwać pośród płomieni do czasu, aż ktoś otworzył kraty, potem pozostało mu już tylko utorować sobie drogę mieczem i pięściami.

Norman z polecenia hrabiego Osberta ukrył się w klasztorze i miał w nim pozostać do czasu, aż sprawa ucichnie, a jego rany się zagoją. A trzeba wiedzieć, że ogień nie oszczędził bandyty i pozostawił na jego

ciele odrażające, pomarszczone, krwistoczerwone ślady. Największą odrazę i przerażenie budziła jego twarz, która wyglądała jak jedna wielka, zabliźniona rana. Upiornego wyglądu dopełniały dwie dziury po bokach głowy, pozostałości po uszach, które mu obcięto w trakcie przesłuchań. Morderca napawał Gilberta obrzydzeniem i budził w nim najbardziej skryte lęki, ale dzięki temu chłopiec na ćwiczeniach jeszcze bardziej się starał i stosował do wszystkich jego poleceń.

A nauki było tak naprawdę mnóstwo. Gilbert nie mógł nawet unieść do góry niektórych mieczy, nie mówiąc już o wyprowadzaniu nimi ciosów, ale Thomas cierpliwie go pocieszał, że kiedyś to się zmieni.

Po szkoleniach chłopak zawsze dostawał syty posiłek, po którym przychodził czas na modlitwę. Żaden z tutejszych mnichów nie odprawiał modłów, z wyjątkiem Thomasa i Ranulfa, który chyba jako jedyny z całej tej zgrai miał prawdziwe święcenia kapłańskie. Chłopiec polubił te rozmowy z Bogiem. Co prawda kiedyś, gdy jeszcze żyli rodzice, wujek Geoffrey uczył go odmawiać pacierze, ale nigdy nie opowiadał o Bogu ani o cierpieniach, jakie znosił jego syn, Jezus Chrystus. Teraz Gil wysłuchiwał opowieści Thomasa o tym nieulekłym zbawicielu świata z wypiekami na twarzy i coraz częściej przyłapywał się na refleksji, że mógłby nawet pokochać Boga, gdyby tylko nie wymagał od ludzi znoszenia bolesnej chłosty.

W drugiej części dnia Gilbert kontynuował nauki, ale miał też czas dla siebie; mógł swobodnie poruszać się po klasztorze, choć z reguły towarzyszył mu Thomas lub któryś z bandytów.

Przed nastaniem zmroku Gilbert był zamykany w lochu i choć z początku za każdym razem wzbraniał się i zanosił płaczem, to z czasem zaczął sprawiać wrażenie pogodzonego z losem. Rzecz jasna bał się i krzyczał przy każdym biczowaniu, ale potrafił zdusić w sobie chęć płaczu; w jego spojrzeniu nie kryła się bynajmniej trwoga, ale płomienie, z których jęła rodzić się agresja i nienawiść do całego świata.

William nie zadał ciosu. Wiedział, że powinien zabić Alarda, ale jakaś wewnętrzna siła powstrzymywała go, nie pozwalając uwolnić się od tego potwora. Czy to był strach? Czy zwątpienie? A może przebaczenie? William nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Bał się przyznać przed samym sobą, dlaczego nie zrobił tego, co zrobiłby chyba każdy na jego miejscu. Było mu wstyd i przez wiele wieczorów zanosił się płaczem. Lecz minął tydzień, potem kolejny i jeszcze jeden, i z wolna konflikt z Alardem szedł w zapomnienie. Bandyta nigdy nie wracał do tego, co się stało, choć miał powody, by być zadowolonym z przebiegu tamtego pamiętnego wieczoru.

William zaś nie wiedział, co jego nauczyciel próbuje osiągnąć. Czasami wydawał mu się nazbyt przychylny, dawał mu więcej swobody, przymykał oko na mniejsze jałmużny i nie wtrącał się w jego relacje z Agnes. Wprawdzie William spotykał ją rzadko, ale póki co nie miał z tego powodu żadnych nieprzyjemności ze strony pana Hardinga – jej ojca, na którego na szczęście jeszcze się nie natknął.

Zwykle wypatrywał jej przy Long Southwerk nieopodal klasztoru augustianów i za każdym razem cieszył się, gdy mógł z nią spędzić choć trochę czasu. Imponowała mu tym, że obraca się w kręgach wyżej postawionych rzezimieszków. Jej ojciec był kimś ważnym i nawet nauczył ją czytać i pisać. William uważał, że to akurat nie jest za bardzo potrzebne do życia, ale choćby przez to Agnes zdawała mu się jeszcze bardziej inna od pozostałych dziewczyn.

Za wszelką cenę chciał się jej przypodobać, toteż gdy tylko uzbierał odpowiednią ilość pieniędzy, kupił sobie pierwszą porządną parę spodni. Tego samego dnia wystrojony w nowe porcięta pobiegł pod

klasztor augustianów. Plątał się po okolicy, ciekaw, czy Agnes zauważy jego nowy przydzwiek, a narastające zdenerwowanie próbował zdusić w sobie, podziwiając monumentalną świątynię.

Klasztor żebraczy augustianów pod wezwaniem Marii Dziewicy wyróżniał się spośród reszty zabudowań. Powstał na planie ogromnego krzyża, miał cztery kaplice, z których każda zwieńczona była sklepieniem zawieszonym dobre dwadzieścia jardów nad posadzką. Ale to środkowa wieża na skrzyżowaniu nawy głównej i poprzecznej, przyozdobiona mrowiem misternych pinakli i pnąca się po samo sklepienie niebieskie, wprawiała w zachwyt i oszalała zmysłem technicznym budowlańców. William nie mógł napatrzeć się na tę imponującą budowlę. Za każdym razem zadzierał głowę, by podziwiać ogromne witraże poprzecinane finezyjnymi łukami przyporowymi, misterne portale i żłobione galerie kryjące figury świętych.

Niestety, niebo już szarzało, gwar na ulicach cichł, a Agnes nadal nie było widać. Wprawdzie dziewczyna nie zawsze przychodziła, postanowił jednak poczekać nieco dłużej, tym bardziej że pod wieczór i tak nie miał nic innego do roboty. Wiedział, że przez zadawanie się z nią sprowadzi na siebie kłopoty, przeczuwał, że może być obserwowany, ale cóż miał począć, skoro jakaś niezrozumiała siła ciągnęła go akurat ku niej. Zdecydował już jakiś czas temu, że będzie robił swoje przynajmniej dotąd, aż jej ojciec nie da mu jasno do zrozumienia, żeby ją zostawił w spokoju.

– Cześć – usłyszał nagle.

Obrócił się i dostrzegł Agnes za wyłomem w ścianie pobliskiej kaplicy. Jak zwykle na jej twarzy gościł zalotny i zarazem przebiegły uśmiech

– Cześć! Idziemy na Bankside? – spytał, mając w pamięci, jak ostatnio irytowali tam więźniów, krzycząc o płonącym Londynie i o tym, że wszyscy mają zostać już za chwilę zwolnieni z aresztu.

Agnes zachichotała, spuściła wzrok i pokręciła przecząco głową.

Will zbliżył się do niej. Ciekaw był, czy zauważy jego nowe spodnie, w których nie wyglądał już jak ostatni żebrak.

– Więc dokąd idziemy? – spytał. – Do portu? Może na miód?

– Mam lepszy pomysł – odparła, zakrywając roześmianą buzię

dłonią.

– Jaki?

– Co powiesz na to? – zapytała, machnąwszy niewielkim lnianym workiem.

Will momentalnie zareagował porozumiewawczym uśmiechem. Kradzież jabłek z posesji biskupa Stratforda była ekscytującym zajęciem. Robili to już wielokrotnie, a największą frajdę zawsze sprawiało im przywołanie krzykiem, po zebraniu odpowiedniej ilości owoców, tych niedorajd, sługusów dobrodzieja.

Młodzi rzucili się biegiem w kierunku Winchester, co rusz trącąc się, to znowu zanosząc się śmiechem. Ten wieczór ponownie miał przynieść im wiele radości i niezapomnianych przeżyć.

Will z czasem poznał bliżej charakter Agnes. I nie był on wcale pozbawiony wad. Zuchwała dziewczyna lubiła przewodzić, a na nieszczęście William miał podobne usposobienie. Z początku nie przeszkadzało mu, że musiał niemal we wszystkim ustępować jej pola, ale z czasem przyłapywał się na refleksji, że tej apodyktycznej smarkuli przydałoby się porządne ojcowskie lanie.

Will, rzecz jasna, cenił sobie ten koleżeński związek, bo chyba nikt nie rozumiał go tak dobrze jak Agnes, ale też nie chciał być wiecznie postrzegany jako ten gorszy. Najlepiej czuł się wtedy, gdy mógł wykonywać swoje popisowe skoki i inne ekwilibrystyczne sztuczki. Dziewczyna była pod ogromnym wrażeniem jego umiejętności i nigdy nie odmawiała sobie przyjemności oglądania jego występów. William nader często raczył ją również historiami ze swego dzieciństwa, bo kiedyś przyznała mu się otwarcie, że bardzo ją to interesuje. Opowiadał jej o swoim ojcu, jarmarcznym sztukmistrzu, o wuju Geoffreyu, siłaczku, którego miała się bać cała Anglia, o swoim bracie Gilbertcie i o Amandzie, a także z najdrobniejszymi detalami mówił o porwaniu.

Agnes za każdym razem reagowała wypiekami na twarzy, gdy Will opowiadał jej o gąszczu strzał, które wystrzelone przez bandytów w lesie zabiły jego rodzinę. Nie mogła uwierzyć, że Alard był do tego zdolny, i w głębi serca podziwiała chłopaka, że tak dzielnie stawił wszystkiemu czoła, że potrafił pogodzić się ze swym losem i nadal dostrzegał jasne strony życia. Gdy Agnes straciła matkę, przez długi czas nie mogła dojść

do siebie, i tak po prawdzie nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co by było, gdyby straciła też ojca.

Dni szybko mijały, a Alard coraz więcej czasu poświęcał na szkolenie chłopaka w złodziejstwie. William wydawał się pojętym uczniem, ale czuł się rozczarowany tym, że nauki przez cały czas dotyczą panujących tu praw i zwyczajów. Wielokrotnie dopytywał Alarda, kiedy będzie go uczył kraść, włamywać się i walczyć, ale ten za każdym razem go zbywał, mówiąc, że jeszcze sporo czasu minie, nim chwyci za napałek bądź sztylet.

– Co możesz mi powiedzieć o tym miejscu? – spytał kiedyś Alard, gdy stali przy londyńskim moście. Tak naprawdę pytał o to praktycznie codziennie i chłopak za każdym razem recytował, ledwie łapiąc oddech:

– Tu jest brama prowadząca na most, której w tej chwili pilnuje jeden strażnik, choć trzeba wiedzieć, że zwykle jest ich dwóch, uzbrojonych we włócznie, miecze i naładowane kusze. Bramę wspierają dwie wieże z oknami strzelniczymi i gankiem dla straży, który rzadko kiedy ktoś zajmuje.

– Bardzo dobrze. A co nam ułatwia...?

– Tłum kłębiących się ludzi – wypalił William, bo doskonale znał dalszą część pytania. – Dodatkowo w zgubieniu pościgu pomagają nam drewniane stragany mieszczące się w północnej części mostu, kaplica Świętego Tomasza i rynna odprowadzająca nieczystości z kloaki mieszczącej się przy zakładzie krawieckim. Korzystanie z niej jest jednak ryzykowne, bo można wpaść do rzeki.

– Kiedy zdecydowałbyś się na którąś z tych kryjówek?

– W ostateczności. Tylko przebiegnięcie przez bramę może zagwarantować wolność i pełny sukces.

Alard poklepał Williama po plecach. Był zadowolony, że William słuchał tego, co się do niego mówiło. Zwinność, zręczność, spryt czy wygimnastykowanie to przymioty, które bez wątpienia czyniły ze złodzieja świetnego rzemieślnika w swoim zawodzie, ale to wszystko byłoby na nic, gdyby jego wiedza o terenie, na którym przyszłoby mu pracować, okazała się niewystarczająca.

William słuchał niemal każdego tygodnia o tym, że Southwerk jest poza kontrolą londyńskich urzędników i nie obejmuje go prawo karne,

toteż zdaje się wymarzonym rajem, bezpiecznym schronieniem dla wszystkich przestępców. Kto dopuści się jakiegoś występku w Londynie i zdoła przebiec przez most, jest wolny i nikt nie ma prawa go zatrzymać. Oczywiście zdarzały się przypadki, że za wyjątkowo groźnymi bandytami rozsyłano listy gończe, ale zdaniem Alarda dotyczyło to tylko kretynów na miarę Roberta Hooda, który w zeszłym stuleciu dawał się we znaki królewskim strażnikom bez jakiegokolwiek kamuflażu.

Alard uświadamiał Williama, że król Edward III podejmował nieśmiałe kroki w walce z przestępcami, że społeczeństwo wywierało na niego naciski, by nadać Southwerk prawa miejskie. Póki co administracja była nieudolna, a jurysdykcja dotyczyła tylko fragmentu ziemi zaraz przy wjeździe na most, trzeba było jednak mieć świadomość, że ta beztroska nie może trwać wiecznie. Na szczęście dla podziemnego światka ucieczka przez most, choć utrudniona, nadal była możliwa, a schronienie w Southwerk wciąż wydawało się najbezpieczniejsze.

– Chodź, przeciśniemy się jakoś przez ten tłum do Londynu – powiedział do niego bandyta.

Wielki kamienny most miał ponad dziewięćset stóp długości i niecałe trzydzieści jardów szerokości, wspierało go dziewiętnaście filarów, pomiędzy którymi masywne koła młyńskie z łopatkami napędowymi wykorzystywały fale pływowe rzeki i pobierały wodę. Przejście do Londynu utrudniał ciąg domów, sklepów i wielopiętrowych kamienic zbudowanych po obu stronach drogi. Kręciło się tu mnóstwo ludzi i zwierząt, i tak po prawdzie każdy, nawet najmniejszy kawałek miejsca był tutaj na wagę złota. Do tego krzyki i nawoływania ludzi, chrzęst kół młyńskich oraz szum wody zlewały się w jeden niewyobrażalny tumult.

– Stephanie! – krzyknął nagle Alard do krępego, karłowatego mężczyzny, który zmierzał chyba w kierunku mostowego strażnika. – Zdaje mi się czy coś podrosłeś?

Ten splunął na ziemię, podciągnął portki i rzucił bandycie złowrogie spojrzenie.

– Gdy skrócę cię o łeb, to będziem chyba podobnego wzrostu, co nie?

Bandyta pokazał w uśmiechu rząd pożółkłych zębów, pokłonił się szelmowsko i szturchnął Williama na znak, by szli dalej. Chyba nie chciał tracić więcej czasu na dopiero co spotkanego strażnika.



Stephan pracował dla Aubreya, szeryfa Londynu, i dał się już poznać wielu złoczyńcom jako nieustępliwy i zatwardziały służbista. Alard nawet lubił tego skarłałego grubasa, bo choć był to kawał drania, widok Stephana, gdy biegał, kiwając się niezdarnie na boki, chwycił go za serce. Bandyta miał wielokrotnie okazję obserwować, jak jego podopieczni uciekają Stephanowi sprzed nosa, a raz nawet on sam zmuszony był do rejterady. Mimo że od pościgu minęło ponad dziesięć lat, obaj doskonale go pamiętali. Grubasowi ten obraz chyba nawet bardziej zapadł w pamięci, prawdopodobnie dlatego, że Alard jeszcze przed zbiegnięciem z mostu wypiął w jego kierunku gołą dupę.

W ostatnim czasie William nader często chodził z Alardem po Londynie. Uczył się topografii terenu, układu ulic oraz rozmieszczenia kryjówek i punktów spotkań rzezimieszków pracujących dla królewskiej gildii. Dotychczas w stolicy pobierał jedynie jałmużnę, więc znane mu były tylko okolice klasztoru franciszkańskiego czy augustiańskiego bądź szpitala betlejemskiego, dlatego w tej chwili poznawał miasto praktycznie od początku.

Ogrom Londynu, architektoniczny rozmach co poniektórych budowli i tłum ludzi kłębiących się w gąszczu uliczek zapierały mu dech w piersi.

Miasto było otoczone pierścieniem murów o długości prawie trzech mil i wysokości nawet dwudziestu stóp. Fortyfikację przedzielało siedem bram oraz liczne baszty, z których część wykorzystywano teraz na więzienia. Mur pamiętał jeszcze czasy rzymskiego imperium, toteż przez upływ czasu jego konstrukcja w wielu miejscach była naruszona bądź całkowicie zniszczona.

William poznawał stolicę ulica po ulicy. Alard oprowadzał go początkowo po południowej części miasta, pokazywał nabrzeże, portowe pomosty, domy celne i najważniejsze punkty kupieckie, w których handlowali ludzie z prawie całej Europy. Londyn górował nad wszystkimi portami angielskimi i tak po prawdzie jego obroty z handlu były większe niż wszystkich pozostałych portów razem wziętych. Chłopaka trzymano z dala od zaprzyjaźnionych handlarzy, informatorów, paserów czy lichwiarzy, ale zdążył się zorientować, że gildia ma swoich ludzi pracujących nawet dla niemieckiej Hanzy,

organizacji, która tak naprawdę była jednym z głównych fundamentów całej angielskiej gospodarki.

Choć ludzie już od ubiegłego stulecia osiadali poza murami stolicy, miasto i tak sprawiało wrażenie przeludnionego. Tworzyły je tysiące nędznych, drewnianych, pobielonych wapnem bud imitujących domostwa, setki drewnianych kamienic i tysiące bezładnie rozstawionych kramów. Znajdowały się tam również okazałe domy z kamienia, pełne przepychu kamienice i szlacheckie dworki, jednakże te należały tylko do arystokratów, dostojników kościelnych bądź najbogatszych kupców i bankierów. I w gruncie rzeczy poza kilkoma wyjątkami tylko na tych posesjach można było dojrzeć nieco wolnej przestrzeni upstrzonej sadami, ogrodami bądź polami uprawnymi.

William nie krył zaciekawienia tymi bogatymi domostwami, jednak bandyta studził jego zapał, mówiąc, że jeszcze wiele lat minie, zanim będzie mógł zaryzykować włam do któregoś z tych miejsc. Chłopak niechętnie tego słuchał, bo chciał jak najszybciej zostać złodziejem. Zaczął wierzyć w to, że kilka korzystnych rabunków mogłoby mu zapewnić lepsze życie, a kto wie, czy zebrane fundusze nie umożliwiłyby mu odejścia raz na zawsze z tej organizacji.

Z początku Alard kierował uwagę chłopca głównie na stragany i sklepy. Oprawdzał go po Eastcheap, jednej z głównych ulic handlowych Londynu, gdzie było całe zatrzęsienie szewców, garbarzy, skórników, kowali, tkaczy, rzeźników, pikarzy, cieśli, kucharzy i bławatników. Wiele z tych sklepów pełniło w istocie funkcję domów mieszkalnych, a towary sprzedawano przez okno prosto na ulicę. Sklepy co bogatszych kupców miały dobudówki z wystawą, zadaszenia, a nawet zewnętrzne drewniane okiennice, które można było opuścić na ulicę, tak by tworzyły ladę.

Przy każdej nadarzającej się okazji Alard tłumaczył Williamowi podstawy handlu, opowiadał, jak się kształtuje sprzedaż, na czym polegają usługi i jakimi prawami rządzi się wymiana towarów. Wszak dobry złodziej powinien wiedzieć nie tylko, jak kraść, ale i co kraść.

– W Southwerk nietrudno kupić rozcieńczone piwo, rozwodnione masło czy stare, upiększone barwnikami futra – powtarzał wielokrotnie.
– Musisz wiedzieć, Williamie, że transakcje w Southwerk odbywają się

poza regulacją londyńskich spółek i handlowcy nie muszą należeć do gildii.

– To chyba dobrze.

– Jak dla kogo. Tacy kupcy narzucają mieszczanom ceny wedle własnego uznania. Nieraz artykuły są nawet po niższych cenach, ale ich jakość zwykle woła o pomstę do nieba. Ryzykujesz wiele, włamując się do składnic, a wierz mi, że gdy tylko dociera do ciebie, za jaki chłam się narażałeś, masz ochotę zatłuc skurwysyna, który tym handlował.

William pokiwał głową, bo chyba rozumiał, co Alard ma na myśli.

– Sprawy wyglądają tak, a nie inaczej, bo żaden z cechów nie sprawuje w Southwerk kontroli. Zupełnie inaczej jest tutaj, w Londynie. – Alard zamilkł na chwilę i ugryzł jabłko, które nawet nie wiadomo kiedy ukradł z pobliskiego straganu. – Wyobraź sobie, że londyńczykowi przykładowo nie wolno przejść przez most do Southwerk, by kupić jakiś towar w celu sprzedania go na rynku w Londynie. Nie może tego zrobić, bo prawo handlowe w stolicy jest równie drobiazgowo jak wkurwiające. Już przy samym wjeździe na most handlowiec napotyka rozbudowany system opłat celnych i podatkowych. Przykładowo, jeśli pieszy mężczyzna niesie ze sobą sto lub więcej jaj, to ma obowiązek oddać pięć z nich. Jeśli przywiózł ze sobą żywy inwentarz, to opłata jest uzależniona od tego, czy zwierzęta będą dotykać mostu podczas przeprawy na drugą stronę rzeki.

– Po co to wszystko?

– Po to, aby zapobiegać wygórowanym żądaniom kupujących i sprzedających, a przede wszystkim po to, aby wyeliminować oszustwa w wazeniu i mierzeniu oraz by utrudnić próby fałszowania faktycznej jakości towarów. Celnicy i rewidenci zwykli nie pierdolić się w takich sytuacjach i konfiskują każdy artykuł, który nie spełnia wymogów.

– A co z kupcem?

– Pieprzyć kupca. Zwykle płaci karę lub sterczy przy swoim straganie z szyją w gąsiorze...

– To chyba nie jest zbyt przyjemne.

– Nie o to tutaj chodzi. Wiedz, że kontrolę sprzedawanych w stolicy artykułów przeprowadza się z niebywałą dbałością, i możesz być niemal pewny, że to, co ukradniesz w Londynie, będzie miało

naprawdę wysoką wartość. Na przykład skóra. Kradnąc ją w Southwerk, ryzykujesz wiele, bo tam taki towar może być sfalszowany i podbarwiony, w Londynie zaś jesteś spokojny o jej jakość, bo sprzedaż skóry musi być poprzedzona oględzinami przez komisję, w której skład wchodzi dziewięciu rękodzielników.

– To chyba dobrze.

– I tak, i nie. – Bandyta raz jeszcze ugryzł jabłko i starł dłonią spływający po brodzie sok. – Wszystko jest dobre, gdy ma swój umiar, Williamie. Wzmoczona kontrola oznacza lepszą wartość artykułu i to jest dobre, ale na nasze nieszczęście znaczy ona również wzmoczoną ochronę sklepu, magazynu czy pożądaną przez nas wystawę.

Chłopak niemal codziennie przyglądał się pracy handlarzy, obserwował zachowanie klientów i sposób przeprowadzania transakcji. Alard zwracał mu baczną uwagę na metodę wiązania trzosów, gdy ich właściciele przemierzają uliczki. Tak naprawdę przy każdej nadarzącej się okazji uczył go, jak rzezać mieszki, kraść z wystawy, a nawet jak przywłaszczać sobie czyjeś pranie ze sznurka.

Spójrz na tego kołtuna – powiedział pewnego dnia, gdy spacerowali zatłoczonymi uliczkami Londynu. – W którym momencie ściałbyś mu sakiewkę?

– Żywo z kimś dyskutuje i gestykuluje – odpowiedział William. – Odwróciłbym jakoś jego uwagę...

– Dobrze, patrz na mnie.

Alard przyśpieszył kroku, trzymając w ręku króciutki nożyk, który nawet nie wiadomo kiedy wyjął, zrównał się z upatrzoną wcześniej ofiarą i przy najbliższym rozdrożu skręcił gwałtownie, tak by nieznacznie potrącić jegomościa. Kradzież była błyskawiczna i William cudem ją dostrzegł. Z czasem jednakże chłopak wyostrzył swe zmysły, zrozumiał, z jakich sztuczek należy korzystać; sam chciał próbować ścinania trzosów, ale Alard póki co kategorycznie mu tego zabraniał.

„Na razie masz patrzeć i obserwować – powtarzał mu i przypominał, by zwracał uwagę na to, w jakich sytuacjach najlepiej jest ścinać trzosa. – Gwar i wszelkiej maści zbiegowiska, Williamie, to najlepsi przyjaciele złodzieja”.

A Londyn był niezwykle głośnym miastem. Praktycznie na każdym

kroku słyszało się dziesiątki różnorodnych dźwięków: struganie drewnianych przez cieśli, turkot tkackich wrzecion, stukot kotlarskich młotków, syk kowalskich miechów i śpiew większości robotników. Jakby tego było mało, dochodziły jeszcze bezczelne i nachalne nawoływania – nie zawsze w rodzimym języku – majstrów i czeladników, którzy zachęcali do kupna swoich wyrobów. Kucharze zachwalali gorące placki, pieczone prosięta i solone sztokfiszki, karczmarze znowuż wtórowali im, by popijać te posiłki ich najlepszym winem z Gaskonii, właściciele zajazdów zapraszali na spoczynek, a bankierzy zachęcali, by korzystać z tych wszystkich dobrodziejstw po wcześniejszym zaciągnięciu u nich korzystnych pożyczek.

Zataczając coraz większy promień, można było natknąć się na spichlerze, stajnie, piekarnie, oberże, młyny, tłocznie, studnie, pralnie, a w północnej części miasta nawet na zarybione sadzawki. Przez środek miasta przepływała rzeka, którą ludzie wykorzystywali do celów spożywczych bądź do mycia.

Gdzieniedzie krajobraz szpecił widok szubienicy, dyb, pręgierza bądź stołka do zanurzania w wodzie, choć tak naprawdę te narzędzia kaźni najczęściej umieszczano na rynkach, przy głównych drogach bądź kościołach. Tych ostatnich w Londynie było dobrze ponad sto. I wystarczyło wyjść poza mury miasta i skierować się ku północnym wzgórzom Hampstead, by dojrzeć to mrowie kościelnych wież, iglic i krzyży w pełnej krasie.

Spośród wszystkich świątyń najbardziej okazałą i imponującą była bez wątpienia katedra Świętego Pawła, która mieściła się nieopodal Ludgate Hill. Zbudowano ją na planie krzyża, a jej okazałość i kunszt wykonania przyćmiewały każdą inną budowlę w Londynie. Rzeźbiarskie ornamenty, kwiatony, fiale i misternie rzeźbione kamienne maswerki pokrywały świątynię niczym bujna roślinność, a gąszcz strzelistych filarów przyporowych i bogato zdobionych łęków okalał ściany świątyni, nadając jej niebywałej lekkości i pozornej kruchości. Ściany nikły nie tylko pod gąszczem dziesiątek filarów, ale i strzelistych ostrołukowych okien wypełnionych wielobarwnymi witrażami. Każdy z nich przedstawiał z niebywałą dbałością o detale sceny ze Starego i Nowego Testamentu, zaś refleksy świetlne na ich powierzchni

przyprawiały o istny zawrót głowy.

Ulice Londynu w przeważającej większości były wąskie, zacienione i niewybrukowane, nawet główna droga prowadząca przez Fleet Street do urzędów w Westminsterze i pałacu króla była grząska i błotnista.

Im bardziej William oddalał się od centrum Londynu, tym większy napotykał labirynt ulic. Gros tych bocznych cyrkułów zajmowała biedota, wszelako i tam kramy przekupniów stały praktycznie na każdym kroku, dostawione do wolnego drzewa, zbiornika z wodą, a nawet ściany kościoła. W wielu miejscach szyldy reklamowe porozwieszano tak nisko, że idąc, należało się schylić, a konstrukcje witryn na elewacjach zajmowały tak sporą część ulicy, że nie sposób było nie ocierać się o nie ramionami.

Alard zwracał szczególną uwagę na tego typu miejsca, w przypadku ewentualnej ucieczki ciasne ulice sprzyjały bowiem co prawda łatwemu zgubieniu pościgu, ale przez liczne przeszkody stawały się zarazem prawdziwym wyzwaniem dla uciekającego. Jakby tego było mało, wiele dróg przecinały rowy i głębokie doły, w których gromadziły się wszelkiej maści zanieczyszczenia. Często wylewały się z rynsztoków, spływając po ulicach Londynu. Miasto tonęło w śmieciach i odpadach, zmieniając się w jedną wielką cuchnącą oborę. Mało kogo stać było na wygodkę, więc pomimo zakazów nieczystości wyrzucało się z domów na zewnątrz, przez co na ulicach zalegały ludzkie i zwierzęce odchody. Preparaty z zakładów garbarskich i kuśnierskich, cuchnące wycieki z browarów i oberż, odpady ze stoisk rybnych czy wyrzucane przez rzeźników wnętrzności zwierząt mieszały się na drogach z kałem, moczem, krwią i gnijącą żywnością, tworząc trudną do pokonania breję. By chodzenie po tym nagromadzonym szlamie nie było zbyt uciążliwe, wielu londyńczyków zakładało na skórzane trzewiki drewniane chodaki, za to w ciepłe, parne dni, podczas których wszechobecnego odoru nie dało się wytrzymać, co poniektórzy przykładali do nosa wydrążone skórki cytrusów.

Smród unosił się praktycznie nad całym miastem, przeżerał się przez ściany domów i dachy, a najwięcej chyba dawał się we znaki we wschodniej części Londynu, poczynając od osobliwie nazwanej przez

tamtejszych mieszkańców Shiteburn Lane.

Pewnego wrześniowego popołudnia Alard z Williamem odwiedzili tawernę Waltera nieopodal tej dzielnicy. Lokal nie był duży, podłogę stanowiło klepisko pokryte wysłużonym sianem, a przy północnej ścianie stało murowane palenisko z wyprowadzonym ponad dach kominem. Dym szedł do niego tylko częściowo, toteż w powietrzu unosiło się sporo gryzących oparów.

– Nigdy nie chodź ze swoim kamratem do tej samej oberży częściej niż raz na tydzień – powiedział Alard, zasiadając do stolika. Tak po prawdzie mówił mu to już któryś z kolei raz, ale jego pouczeniom nigdy nie było końca. – Pamiętaj, że w towarzystwie bawiących się osób jeden z was przez cały czas musi być trzeźwy, by w razie czego móc odpowiednio zareagować.

William zrobił kwaśną minę, bo czasem miał serdecznie dosyć tej drobiazgowości Alarda. Nie bał się go tak jak niegdyś, czuł do niego respekt, rozległa wiedza i zdolności, jakie posiadał w fachu złodzieja, imponowały mu z miesiąca na miesiąc coraz bardziej, ale ta mnogość reguł, zasad i obostrzeń najnormalniej w świecie chłopaka irytowała. Wiele z nich uważał za niepoważne i głupie, całkowicie niepotrzebne dla złodziei gildii. Dziwił się, dlaczego tak doborowy rzezimieszek, tak przenikliwy i sprytny bandyta, jakim bez wątpienia był Alard, zwraca uwagę na takie głupoty jak przesiadywanie w karczmach czy picie pośród swoich.

– Co? – spytał zgryźliwie Alard, bo chyba zauważył jego zde gustowanie.

– A nic.

– Nic? – Mężczyzna wykrzywił spierzchnięte usta, postukał kościstymi palcami po blacie stołu, po czym zbliżywszy twarz do oblicza chłopaka, wycodził przez zęby:

– Słuchaj tych rad i wbij je sobie do łba, bo kiedyś może uratują ci dupę.

Will uciekł wzrokiem i pokiwał głową. Wiedział, że z Alardem się nie dyskutuje. Bandyta natomiast burknął jeszcze coś pod nosem i zaczął przechodzącą nieopodal służkę. Will nie słyszał ich krótkiej wymiany zdań, ale dziewczyna odeszła, chichocząc.

– Co jej powiedziałaś?

Alard machnął ręką, bo chyba nie miał ochoty niczego mu tłumaczyć, lecz chłopak nie dawał za wygraną.

– Znasz ją?

– To jeden z naszych szpiegów, ale na kontakty z nimi przyjdzie ci jeszcze trochę poczekać.

– Ta dziewczuszka? A z czego ona się śmiała?

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć – westchnął Alard, wydłubując brud spod paznokcia. – Powiedz mi lepiej... Dażbyś mi swoją modlitwę?

William wyciągnął dłoń.

– Masz już szczęście?

– Haj.

– Słyszałeś, co z Samerem?

Chłopak się zaśmiał i z błyskiem w oku popatrzył po sąsiednich stolikach.

– Jest zapieczony – powiedział wreszcie.

– A co z ostatnim winobranem klina?

– Nurtowne było. Wszystko jest u małej.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

Will dumnie uniósł głowę. W tajemny żargon złodziejski został wtajemniczony przeszło rok temu i można śmiało stwierdzić, że już teraz posługiwał się nim z niebywałą biegłością. Bandyty korzystali z tego języka tylko w ostateczności, w sytuacjach, gdy dialog wydawał się konieczny, a w pobliżu znajdowali się niepożądani słuchacze. Język zawierał blisko dwieście terminów, które opisywały miejsca, ludzi, rzeczy oraz całą gamę czynności, i co ważne, sprawiał wrażenie zwykłej i składnej gadaniny, ozdobionej jeno od czasu do czasu zdrobnieniem, gwarą lub slangiem. Komunikacja między bandytami była bardzo istotna, toteż William poznał również szereg specjalnych znaków, którymi przestępcy mogli się posiłkować. Najważniejsze gesty określały rzezimieszków biorących aktualnie udział w akcji. Bandyty nie działali w zbyt licznych grupach, by sobie nie przeszkadzać, dlatego aby się nawzajem rozpoznać, złodzieje kieszonkowi tuż przed rabunkiem drapali się po brodzie bądź za uchem konkretną liczbą palców, szulerzy odpinali umówioną liczbę guzików w kaftanie, włamywacze wtykali za cholewkę

buta odpowiedniej długości sznurek, a mordercy podwijali we właściwy sposób prawą nogawkę czy rękaw koszuli.

Życie złodzieja pracującego dla gildii króla było pełne reguł, które składały się na specjalny kodeks. Will poznał każdą jedną zasadę, w tym tę najważniejszą, tycającą się podziału zrabowanych kosztowności. Alard oswoił go z myślą, że zatajenie nawet najmniejszej kradzieży jest karane trwałym okaleczeniem lub śmiercią. „Pracujesz dla nas lub przeciw nam – powtarzał wielokrotnie – innej możliwości nie ma”.

– Idziemy – zakomunikował w pewnym momencie Alard.

– Tak szybko?

– Nie jesteśmy tu po to, aby się zabawić, Williamie.

Chłopak zwiesił z rezygnacją głowę.

– Chociaż...

– Tak?

– Chodź. Pushes House jest raptem dwie przecznice stąd.

– Odwiedzimy gąski Nigela?

Alard nie odpowiedział, tylko mrugnął porozumiewawczo i wstał od stołu.

William nigdy nie był w domu publicznym, ale wielokrotnie kręcił się przy Cock's Lane[5], wiedziony ciekawością. Wiedział, że gildia czerpie z prostytucji wcale niemałe dochody, ale jakoś nigdy nie miał odwagi, aby zaczepić którąś z tamtejszych dziewcząt.

W samym Londynie zakazywano prowadzenia domów rozpusty pod groźbą więzienia czy nawet wygnania. W rzeczywistości jednak burdele, łaźnie czy inne przybytki o wątpliwej konducie zakonspirowane były w wielu londyńskich zaułkach.

Kamieniczka, do której weszli Alard z Williamem, miała okna niedbale zabite deskami. W środku panował półmrok, ale po przejściu kilku stopni dało się dostrzec wyjście na podwórze. Kręciło się tam paru podejrzanych typków, jednakże Alard nie zaprzętał sobie nimi głowy i uchylił prowizoryczne odrzwia widoczne po jego prawicy. Wkroczyli do niedużej izby, której zachodnią ścianę zajmowały różnorakie towary: a to worki kapusty, a to znowu wiadra grochu, rzepy bądź tataraki, marchwi i buraków. Wśród tych wszystkich dobrodziejstw można było nawet dopatrzeć się kilku świec, kubraków i wcale nieznoszonych

chodaków. Tymi produktami, podobnie jak pieniędzmi, płacono za usługi tutejszych dziewcząt.

– Richenda! – krzyknął Alard.

Schody zaskrzypiały, płomień świecy na pobliskim stole nerwowo zatańczył, a po schodach zeszła ciężkim krokiem cycata babina o tłustej, pokrytej mrowiem krost twarzy.

– Witaj, Alardzie – rzekła, ciężko sapiąc. – Kogo mi tutaj sprowadzasz?

– Chłopak chce się rozerwać.

– Ja nie...

Alard szturchnął go nogą.

– Daj mi jakąś fajną dziewczuszkę do zabawy.

– Malota będzie dla niego jak znalazł.

– To jakaś nowa?

– Nowa, o ładnym licu i świeżutkiej broszce.

– Ostatnio jak tu byłem, podobnie mówiłaś o... Hawisa bodaj jej na imię. A do dzisiaj mam po niej, kurwa, koszmary.

– Zabawne, bo ona to samo mówiła o tobie.

– Żartujesz chyba...

Richenda machnęła ręką.

– Mniejsza o to – rzekła, siląc się na uśmiech. – Zapewniam, zaręczam i słowo kurwigospodyni daję, że tą anielicą chłopak się zachwyci.

– Niechaj będzie.

– Kiedy ja nie chcę – bąknął pod nosem William.

– Zawrzyj się i leć. Podziękujesz mi później.

William niechętnie powlókł się za właścicielką przybytku, a Alard zostawił na stole należność z nawiązką i wyszedł na ulicę.

Niebo szarzało. Przez dachy i wieże londyńskich kościołów przebijał się blask czerwonego słońca. Alard zamyślił się nad tym, co stanie się dalej z Williamem. Polubił tego nicponia i wierzył, że będzie dobrym bandytą, a z czasem, kto wie, może nawet oddanym i lojalnym kamratem.

Do zmroku nie zostało wiele czasu, ale tak po prawdzie bandyta nie zdążył odczekać pod przybytkiem Richendy trzech zdrowasiek,

kiedy to William wyszedł na zewnątrz.

– Już? – spytał zaskoczony Alard. – Zdążyłeś chociaż zdjąć portki? William zaczerwienił się, pochylił głowę...

– Nie chcesz nic mówić, to nie mów. Twoja sprawa, a teraz chodź i skup się na rzeczach ważnych.

– To znaczy?

– To znaczy słuchaj i zapamiętaj to, co do ciebie mówię.

Alard ruszył przed siebie, przypominając chłopakowi o prawach panujących w stolicy.

– Żaden obcy człowiek nie może spędzić w domu londyńczyka więcej niż dobę. A wiedz, że nawet w takim wypadku rzeczony gość bądź domownicy powinni potrafić dowieść, że to osoba nieposzlakowana.

– Pamiętam o tym.

– Wiem, że pamiętasz, ale czy będziesz potrafił wykorzystać tę wiedzę? Powiedz mi, czy uważasz, że mógłbyś spędzić tutaj noc?

– No cóż – William poprawił zmierzwione przez wiatr włosy – nie mam tu ziemi ani mieszkania, ale znam nasze kryjówki, azyle i...

– Zapytam inaczej. Chodź, skręćmy tutaj... Gdyby ludzie starosty czy samego szeryfa spotkali cię tu o zmroku, to co byś zrobił?

– Spieprzałbym.

Alard wciągnął flegmę nosem i splunął na ziemię. Potem zrobił charakterystyczną minę – jego uśmiech graniczył z pogardą.

– To chyba dobra odpowiedź – powiedział wreszcie ni to do siebie, ni to do Williama.

Chłopak uśmiechnął się, bo to musiała być dobra odpowiedź. W końcu nasłuchiwał się już dosyć o tutejszych zwyczajach. Wiedział, że starostowie i strażnicy poszczególnych cyrkułów mogą aresztować każdego, kto ich zdaniem tylko wygląda na podejrzanego. Noc w Londynie traktowana była w wyjątkowy sposób. Wraz z zachodem słońca dzwonnicy w wybranych kościołach Świętej Marii Panny, Świętego Marcina, Świętego Laurentego i Świętej Panny Młodej bili w dzwony, obwieszczając nadejście „zakazanej godziny”. Był to czas, w którym wszystkie ulice pustoszały, czeladnicy zostawiali pracę, świece w domach gaszono, a bramy miasta zamykano. Nawet karczmy

zawieszały swą działalność, choć William wiedział już, w których lokalach można się zabawić nawet po zmroku. Nie było to jednak pozbawione ryzyka, bo w tym czasie obowiązywał zakaz chodzenia po mieście pod groźbą aresztu lub kary grzywny dwukrotnie wyższej niż za wystrzelenie z łuku za dnia w uniwersyteckiego cenzora.

Mogłoby się wydawać, że nocą w takim otulonym ciemnością, milczącym i zabarykadowanym mieście było cicho i spokojnie, jednakże wyglądało to zgoła odmiennie. Ciemność to bratnia dusza złodziei i sprzymierzeniec morderców, i tak po prawdzie trudno było o noc, której nie przerywałyby jakieś wrzaski, krzyki bądź nawoływania. Działo się tak, albowiem londyńczycy będący świadkami jakichkolwiek zamieszek mieli obowiązek zawiadomić otoczenie głośnymi wrzaskami, a każdy sprawny mężczyzna pod groźbą grzywny musiał zareagować i przybyć pokrzywdzonym na ratunek.

A na ulicach Londynu bez ustanku dochodziło do bójek, sprzeczek i awantur, których prowodyrami nie zawsze byli przestępcy. Czy to w dzień, czy w nocy kotlarze żarli się z kowalami, złotnicy z siodlarzami, bywalcy karczem nieraz przy grze w kości sięgali za sztylety i nawet sam William widział kilkakrotnie leżące na ulicach zwłoki, którymi mało kto się interesował.

Ludzie szeryfa starali się reagować na wszelkie naruszenia prawa, jednakże z uwagi na niewielką liczebność straży odpowiedzialność za utrzymanie porządku spoczywała właściwie na zwykłych mieszczanach. Każdy pilnował każdego i tak naprawdę to społeczeństwo było największym zagrożeniem dla przestępców. Alard wielokrotnie powtarzał, że to ludzie są niebezpieczni, bo ogarnięci gniewem często dają upust swej frustracji, wyładowując się na złoczyńcach. Ileż to razy bandyta bywał rozszarpany przez tłum mieszczan, zanim doszło do jakiegokolwiek procesu, to tylko sam Bóg wie.

Na szczęście ratunkiem dla przestępców był kościół, który zapewniał im ochronę zarówno przed ludźmi, jak i przed prawem. Bandyta, który zdołał uniknąć pojmania i schronił się w świątyni, mógł egzystować w niej nawet i miesiąc. Stawiano wówczas przed kościołem strażę, które najczęściej pełnili drobnomieszczanie obozujący tam dzień i noc, dopóki bandyta nie złożył satysfakcjonujących zeznań i nie

uzgodnił z przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości warunków zwolnienia.

Królewska gildia odradzała korzystania z kościelnego azylu, w większości przypadków finał pertraktacji niósł bowiem ze sobą wygnanie z kraju. Czasami lepiej było zabić świadka, byle tylko nie zostać złapanym. Alard starał się oswajać Williama z tą myślą i powtarzał mu, że choć nie jest szkolony na mordercę, to kiedyś sytuacja może wymagać od niego, aby zabił, i wówczas chłopak nie powinien mieć żadnych wątpliwości.

Morderstwo z reguły karane było szubienicą, jednak zdarzały się wyjątki. Angielskie prawo często pobłażało przestępcom, a tortury postrzegano jako prymitywny przejaw barbarzyństwa. Kary takie jak obcięcie kończyny czy wydłubanie oka często zamieniano na więzienie bądź pręgierz, zaś najsrozsze wyroki zwykle dostawali buntownicy, zdrajcy króla i wszyscy ci, którzy w jakiś sposób obrazili jego majestat. To właśnie oni najczęściej kończyli swój żywot w makabrycznych męczarniach z głowami zatkniętymi na palach przy londyńskim moście.

William poznawał angielskie prawo i wszystkie reguły, jakie zdaniem Alarda rządziły tym światem. Powoli przekonywał się do zasady, że wszechogarniająca niesprawiedliwość dotyka wszystkich dobrych ludzi. Chłopiec bił się z myślami, jakim prawem człowiek, który zabił jego rodzinę, może uważać się za dobrego, wszelako z czasem jakiś wewnętrzny głos zaczął mu podpowiadać, że napad na jego najbliższych podyktowany był nie chęcią mordy, ale potrzebą zarobienia na życie. William w niezrozumiały dla samego siebie sposób usprawiedliwiał wszystkich bandytów, z dnia na dzień coraz bardziej się z nimi utożsamiając. Wierzył, że w tym prawdziwym, brutalnym świecie dorosłych wygrywa silniejszy, sprytniejszy i bardziej zaradny, a sumienie czy litość to wady, których należy się wyzbyć z jak największym staraniem. William szybko zrozumiał, że droga złodzieja jest właściwym wyborem, że nie warto harować jak wół, martwić się o ziemię, sianie, żniwa czy winobranie, skoro jeden rabunek może zapewnić tydzień albo i miesiąc wystawnego życia.

Alard siedział przy stole w jednym z portowych magazynów i przyglądał się zmaganiom Williama. Przekładał między palcami ostrze małego noża, sprawiając wrażenie znużonego i nieobecnego. W rzeczywistości jednak śledził każdy, nawet najmniejszy ruch swojego ucznia.

– Patrz, jak stawiasz nogę! – krzyknął w pewnym momencie.

Chłopak zeszywniał, rozejrzał się po rozwieszonych wokoło linach i zrobił niewielki krok do tyłu. Jeden z dzwoneczków zawieszonych po jego prawicy o mało co się nie poruszył.

– Skup się, do cholery, bo zaraz noc nas tu zastanie!

Will przełknął ślinę, starł pot z czoła i jął rozważnie iść przed siebie, tak by przypadkiem nie trącić którejs z napiętych lin. Ta pajęczyna sznurów, naznaczonych tu i ówdzie czułymi na drgania dzwoneczkami, była istnym torem przeszkód, który sporządził przed laty sam Alard. Bandyta utrzymywał, że to jedno z najlepszych ćwiczeń doskonalących równowagę, zwinność i koncentrację. William znał już tę trasę niemal na pamięć, lecz Alard bez ustanku wypominał mu, że wszystko robi zbyt wolno.

– Szybciej! – warknął już któryś z kolei raz.

William schylił się, przeszedł zwinnie pod liną, uniósł nogę nad kolejną przeszkodą i zbliżył się do deski wspartej o skrzynię. Przygarbiony wszedł na nią i zatrzymał się, by złapać oddech.

– Wleczesz się jak ramol dotknięty podagrą!

Nie dał się sprowokować. Wiedział, że kolejna deska jest niestabilna, szparko więc przebiegł po niej, przeskoczył przez linę rozpiętą na wysokości jego kolan i zwinnie wylądował na drugiej

beczce. Nie zwlekał ani chwili, chcąc się przypodobać swojemu mistrzowi, toteż co tchu skoczył na kolejną beczkę i jeszcze jedną, uważając przy tym, by przypadkiem nie poruszyć wiszących nad nim dzwonek.

– Skup się!

Will wiedział, że dotarł do najtrudniejszego odcinka toru. Wstrzymał oddech, zdmuchnął przed nosa kosmyk włosów i skoczył na chybotliwy pień. Trudno było na nim dłużej ustać, więc migiem wyciągnął zza paska nożyk, mając w pamięci, że ścięcie trzosa przywiązanego do napiętej nad nim liny nie jest łatwe. Te francowate dzwoneczki zawieszono tutaj co kawałek. Chłopak zagryzł wargę, wykonał błyskawiczne cięcie, po czym złapał sakwę i z zawadiackim uśmiechem zeskoczył z pieńka.

– Słyszałem dzwonek – mruknął niepocieszony Alard.

– Co?!

Alard ziewnął, świadom tego, że to tylko zirytuje chłopaka jeszcze bardziej.

– Nic nie zadzwoniło! To chyba w twojej głowie!

– Słyszałem.

– A gównu słyszałeś!

– Nie gównu, tylko powtarzasz wszystko jeszcze raz.

Mijały miesiące, a chłopiec coraz bardziej utożsamiał się ze złodziejami. Uczył się, jak obcinać trzosi w kościołach podczas kazań, w trakcie publicznych egzekucji, na targach, festynach, cmentarzach i biesiadach. Obserwował, w jaki sposób błyskawicznie rozcinać torby, worki i wszelkiej maści kiesy, sakwy bądź kaletki. Uczył się, jak operować nożem przy wielkim ścisku, kiedy zakładać na kciuk kościany napaśtek, który chroni przed skaleczeniem, i wreszcie jak sprawnie przekazywać trzos kamratom. Do tego ćwiczył wtapianie się w tłum, śledzenie potencjalnych ofiar, zakradanie się do domów, wybieranie najkorzystniejszych kryjówek i ciche, bezgłośnie poruszanie się.

Bandyta nigdy nikomu nie poświęcał tyle czasu na szkolenia, co Williamowi. Zwykle dzieci terminowały u niego dwa lata, a dorośli trzy miesiące, i ten czas wystarczał, aby przekazać im należytą wiedzę oraz zdecydować, w jakiej profesji byliby najlepsi. W przypadku Williama

nauka miała trwać pięć długich lat. Edwin, hrabia złodziei, do którego tak naprawdę chłopak należał, zgodził się na tak długie terminowanie u Alarda i nawet dawał mu w tym względzie pełne poparcie, wszelako co poniektórzy włodarze wyrażali swoje niezadowolenie, że baron tak dużo czasu chce poświęcić Williamowi. Alard nie przejmował się nimi i był przekonany, że król gildii pochwała jego działania. Rzecz jasna, nie powiedział mu tego wprost, aliści miał przecież swoich szpiegów, wiedział, co się wyrabia na jego podwórku, i gdyby to go nie zadowalało, z pewnością zareagowałby błyskawicznie.

William wydawał się świetnym kandydatem nie tylko na wszechstronnie uzdolnionego złodzieja, ale i na zwierzchnika którejś z kast. Był rezolutny, śmiały, czasami wręcz arogancki, i co najważniejsze, miał niezwykle silny charakter. Nie załamał się pomimo śmierci najbliższych i utraty brata; dał się co prawda zmanipulować, ale czyż żyjąc wśród wilków, nie zaczyna się wyc jak one? Alard widział w tym nicponiu ogromny potencjał i wierzył, że uda się wpoić w niego większe uwielbienie do gildii aniżeli do rodzonej matki. Co ważne, chłopak wykazywał chęci do nauki, a jego atutami były bez wątpienia zwinność oraz wygimnastykowanie. Stosowanie do ćwiczeń sznurkowej drabiny czy liny nie nastroczało chłopakowi najmniejszych problemów, z kolei nauka posługiwania się sztyletem okazała się dlań jednym z najtrudniejszych wyzwań.

Wiadomo, że walka jest domeną morderców, lecz Alard przeżył swoje i wiedział, że lepiej być przygotowanym na najgorsze nawet w kontakcie ze zwykłym tragarzem, który o fechtunku powinien wiedzieć tylko ze słyszenia.

William uczył się posługiwania bronią w jednym z magazynów Southwerk bądź w lesie, a korepetycji udzielał mu Giacomo, włoski nożownik, który już lata temu zasłynął powaleniem w pojedynkę czterech ciężko uzbrojonych pachołków we wschodniej dzielnicy Londynu. Giacomo, ścigany listem gończym, do stolicy praktycznie nie miał wstępu, ale gildia dbała o jego bezpieczeństwo, bo trudno o równie uzdolnionego nożownika. Jak na tego typu profesję był stosunkowo młody – liczył sobie bez mała pięćdziesiąt parę wiosen – wszelako każdy jego ruch przywodził na myśl skradającego się geparda, szybkiego

i zabójczo precyzyjnego. Giacomo okazał się surowym szkoleniowcem, wypominał chłopakowi nawet najdrobniejsze potknięcia, a ataki, jakie wyprowadzał w jego kierunku, często nie były w żadnym stopniu pozorowane, przez co William już kilkakrotnie został raniony tak głęboko, że po treningu musiano go opatrzyć w szpitalu augustianów. Podczas tych korepetycji chłopak rzadko kiedy sprawiał wrażenie skupionego i opanowanego. Nawet przy najmniejszym potknięciu złościł się i szybko tracił nad sobą kontrolę, przez co często stawał się łatwym celem ataku.

Lekcje u włoskiego nożownika wydawały się w tej chwili najważniejsze, toteż chodził na nie praktycznie codziennie. Poznawał wiele technik walki, uczył się fechtunku mieczem i strzelania z łuku, jednakże to właśnie sztylet okazał się tą najważniejszą i najtrudniejszą do opanowania bronią.

Giacomo wpajał chłopakowi, że w walce na noże najważniejsza jest szybkość, bowiem pierwsze trafienie zwykle decyduje o wszystkim. William uczył się więc szybkości reakcji, podejmowania błyskawicznych wyborów, rozpoznawania sytuacji na polu walki, stosowania odpowiednich technik i kombinacji w zależności od tego, co robi oponent. Ponadto uczył się całej gamy uników, manewrowania i balansowania ciałem, dostosowywania się do odległości przeciwnika, wprowadzania w błąd zwodniczymi ruchami ciała i błyskawicznych kontr, które miały z perfekcyjną dokładnością eliminować wroga.

– Cięcie, cięcie, jeszcze raz cięcie i pchnięcie! – krzyczał jak zwykle nożownik. – Atakuj mnie krzyżowo! Chwyć młotkowy! Dobrze. Teraz ja paruję, jeszcze raz. Uderz! Dobrze! Markuję skłon, zwolnij uścisk, przekręć dłoń na rękojeści i... Uważaj! Teraz! Chwyć przyramienny! – Zdyszany William przekręcił nóż zgodnie z zaleceniami i uchylił się w bok, bo Giacomo zaczął napierać na niego całym ciężarem ciała. – Noga do lewej! Uchylasz się, teraz! Dźwignia na łokciu, dobrze, patrz na moją nogę! – Giacomo nadepnął na stopę chłopaka. – Mam odsłonięty kark i szyję, szybko!

– Yyy...

– Za wolno! Moje pchnięcie! Paruj! Tak, dobrze! I cięcie, cięcie, paruj! Zamarkuj dźwignię...

– Nie da się!

– *Non essere stupido!* Zwiększ dystans! Przez cały czas dyktuję ci tempo! I znowu, spójrz na mój chwyt młotkowy! I pchnięcie, i pchnięcie. Dostawiam lewą nogę. Markuję skłon i szybko robisz unik! Żle, *flemmatico!* Zegnij te nogi i do tyłu, do tyłu! Wyprzedź mnie albo kontryj! Dobrze, łapiesz mnie. Który atak będzie mi łatwiej teraz sparować?

– Yyy...

– Gardło czy brzuch?

– Jesteś wyższy, więc...

– *Sbagliato, non bene!* Patrz na łokieć! – William poczuł mdłości od uderzenia w nerki. Skulił się, a Giacomo wykorzystał to i ciął go w lewe ramię. Chlusnęła krew.

William krzyknął i odskoczył do tyłu.

– Dobrze! I do tyłu, do tyłu. Pamiętaj, że chwilę temu mogłem wyprowadzić pchnięcie. Nie patrz na rękę, tylko na mnie! *Bene, bene.* Luźniej nogi, do lewej idziesz, od śródstopia stawiasz, tak, dobrze, i usypiasz mnie, tak, niech ten sztylet kołysze się w twojej ręce, niech mnie zwodzi, niech... – William z zaciśniętymi zębami wykonał nagle cięcie.

– Bardzo dobrze, i jeszcze raz, tak! Uchylam się całym ciałem, noga do prawej i... Uważaj! – Giacomo zbił cios Williama, tak że nad sztyletami pojawiły się iskry. – Chwytam wolną ręką twój nadgarstek! Zwróć uwagę na to zwanie. Chwytasz tu, dobrze, przekręć broń w moją stronę, mocniej, i pozoruj kopnięcie, szybko, tak! I dostaw nogę, szybko, szybko obrót i zwiększ dystans, zwiększ dystans, bo nacieram! I cięcie, i cięcie, i jeszcze raz! Dobrze!

William tej nocy był bardzo zmęczony. Nie chciało mu się iść do szpitala i wyjątkowo zgodził się, aby Lora opatrzyła mu ranę. Z reguły starał się jej wystrzegać, bo przywodziła mu na myśl brata, który dawniej spędzał z nią przecież każdą wolną chwilę. Ale tej nocy postanowił stawić czoła wszystkiemu, nawet wspomnieniom.

Lora była głupiutka, wiecznie zatroskana i szczerze lubiła Williama choćby za to, że w odróżnieniu od swoich kolegów nie próbował się do niej dobierać. Czuła się przy nim pewnie i bezpiecznie, i tak naprawdę

starala się spędzić każdą wspólną noc jak najbliżej niego. Do dziś pamiętała wieczór, kiedy to Alan z Nicholasem próbowali ją zgwałcić. William ją obronił i nie bał się konfrontacji z dwójką starszych łajdaków. Była mu za to wdzięczna i w głębi serca pragnęła, aby przewrotny los dał jej kiedyś szansę spłacenia tego długu.

Lorze imponowało to, że chłopak zadaje się z ważnymi przestępcami gildii. Często widywało się go z panem Alardem, Nigelem czy Edwinem, ludźmi, którzy dla większości żebraków pozostawali poza jakimkolwiek zasięgiem. Cieszyła się z takiego przyjaciela i choć czuła, że często Will nie zwraca na nią uwagi, pocieszała się, że to się kiedyś zmieni. W końcu teraz miał bardzo dużo na głowie. Uczył się fachu złodzieja, włamywacza, kieszonkowca... To z pewnością były męczące zajęcia, nawet jak na niego.

W tej chwili William leżał przy niej, tak że słyszała jego oddech. Lora podniosła się na łokciu i zatroskana zwróciła się w kierunku chłopaka.

– Boli? – spytała.

– Nie.

Wiedziała, że kłamie. Rana została opatrzona ziołami i łajnem, a ramię zawiązano tak, by zatamować krwawienie, jednakże tak głębokie cięcie z pewnością sprawiało mu cierpienie. Pewnie nie chciał jej martwić. Współczuła mu i zastanawiała się, co mogłaby jeszcze zrobić, aby poczuł się lepiej.

Pogładziła jego zmierzwioną czuprynę. Było ciemno, ale w wyobraźni widziała kasztanowe włosy, wąskie usta i zawadiackie spojrzenie Williama. Wyczuła, że drży, więc przysunęła się bliżej i położyła rękę na jego piersi. Nie spotkała się z żadnym sprzeciwem, więc powoli nachyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek.

Ku jej zmartwieniu chłopak odwrócił się tyłem, wsunął dłonie pod zwinięty tobołek i zamknął oczy.

Długo tkwiła w bezruchu, rozmyślając nad jego reakcją. Wreszcie strapiona położyła się przy nim i szepnęła:

– Dobranoc, Will.

– Dobranoc – odpowiedział. Cieszył się, że wreszcie będzie mógł zasnąć. Potrzebował ciszy, odosobnienia i chwili spokoju.

Rana na rękę paliła żywym ogniem, a mięśnie bolały tak, że aż mu się chciało wyć z bólu, lecz jakaś wewnętrzna siła nie pozwalała mu się poddać. Był świadom, że jego koledzy z żebraczej gildii zazdroszczą mu tego, kim się staje, i się go boją. Cieszyło go to i tak po prawdzie chciał, aby kiedyś w przyszłości wszyscy się go bali. Łącznie z szeryfem Londynu.

Nauka Williama trwała już pięć długich lat. Poznał Londyn do tego stopnia, że potrafił wskazać rozmieszczenie wszystkich beczek z wodą postawionych na wypadek pożaru. Jego umiejętność w ścinaniu trzosów wprawiała niejednego doświadczonego w fachu złodzieja w zdumienie, a walka wychodziła mu tak dobrze, że radził sobie nawet z dwójką oponentów.

Zdecydowano, że nadszedł czas na egzamin. Alard zaprowadził Williama do Jana, hrabiego złodziei, który zasłużył się dla gildii jako jeden z najlepszych szpiegów. Jan pochodził z Polski, mieszkał we wschodniej części Londynu przy Stone Street, był sędziwym starcem, choć tak naprawdę nikt nie wiedział, ile ma lat. Wiecznie przygarbiony, sprawiał wrażenie zniedołężniałego i chorowitego człowieka. Wyglądał na co najmniej siedemdziesiąt wiosen, jednak w razie potrzeby potrafił wykazać się wigorem, którego mógłby mu pozazdrościć niejedyn czterdziestolatek. William nie wiedział, dlaczego do niego idą, ale czuł, że coś się dzieje. Alard przez całą drogę powtarzał mu najistotniejsze zagadnienia, przypominał o prawidłach złodziejskiego kodeksu oraz zasadach panujących w domu hrabiego.

– Masz siedzieć cicho – mówił. – Nie gap się w dziurę po jego wydłubanym oku i nie dotykaj świni.

– Świni?

– Tak, świni.

– Co zamierzamy u niego robić?

– Jan pracuje dla naszej gildii i da nam szerszenie na twój egzamin. William zatrzymał się z wrażenia.

– Będę miał egzamin? – spytał z podnieceniem w głosie.

– Tak, a teraz rusz się, bo już jesteśmy na miejscu.

Alard przystanął przed wałącą się drewnianą rudera. Chatynka nie wyróżniała się zbyt spośród pozostałych domostw stojących w rzędzie przy tej ulicy. Bandyta rozejrzał się, poczekał, aż drogą przebiegnie chmara rozwydrzonych chłystków, po czym zastukał w drzwi określoną ilość razy. Dłuższą chwilę czekali, aż w końcu w progu pojawił się gospodarz i zaprosił ich gestem do środka.

Mieszkanie Jana nie różniło się od większości domów londyńskiej biedoty. Była tu jedna malutka izba, wyposażona w stół, ławę, dwa krzesła, siennik, kufer i kamienny piec. Na ścianach wisiało kilka utensyliów kuchennych, a także łuk, sztylet, wyszczerbiona tarcza, tunika oraz płaszcz z kapturem. Podłogę pokrywało sitowie zmieszane z gliną, moczem, resztkami jedzenia, piwem oraz kałem. Dom, poza Janem, zamieszkiwała również świnia, a dokładniej maciora, która chyba żyła ponad stan, bo nie nadążała ze zjadaniem nagromadzonych odchodów. W izbie śmierdziało. I choć pod jedną ze ścian ułożono pachnące zioła, to w kilku miejscach były one już tak obficie obsrane, że w żadnym razie nie tłumiły smrodu obory.

Alard zawsze uważał Jana za dziwaka. I nawet nie chodziło o tę świnie, bo w końcu w Londynie wielu ludzi pozbawionych poletek i zagród musiało żyć z kurami, owcami czy wieprzami pod jednym dachem. Niepokoił go fakt, że pomimo posiadania niemałego majątku starzec aż tak bardzo utożsamiał się z ubogim drobnomieszczaństwem. Alard sam zawsze starał się wtapiać w otoczenie, ale Jan sprawiał wrażenie wręcz szalonego, jeśli chodzi o kamuflaż. Co by nie mówić, ważne, że Jan był bardzo cenny dla gildii, miał spore kontakty, utrzymywał stosunki z wieloma wpływowymi ludźmi, a jak wiadomo, w świecie przestępczym jedyną rzeczą bardziej wartościową od pieniędzy stanowiły właśnie wpływy.

– Jak twoje zdrowie? – spytał Alard, siadając razem z chłopakiem na drewnianej ławie.

Starzec kiwnął głową na znak, że w porządku, po czym podszedł do paleniska, by nałożyć gościom strawy. Alard wiedział, że Jan zwykł się odzywać tylko wtedy, gdy to konieczne, więc skoro dowiedział się już o jego kondycji, zdecydował się od razu przejść do konkretów.

Łudził się, że może zdąży załatwić wszystko, zanim ten uraczy ich swoim kulinarnym specjałem.

– Chciałbym zamówić u ciebie kilka szerszeni – rzekł, przesuając się przy tym w kierunku chłopaka, bo świnia coraz bardziej natarczywie jąła trącać ryjem jego nogę.

Jan postawił przed gośćmi miski pełne zastygłej, zimnej brei. Kolorem niewiele różniła się od tego, co było na podłodze.

– Ja nie...

Alard kopnął Williama pod stołem. Staruszek zaś rzucił przez ramię słowo brzmiące podobnie jak „gulasz”, następnie wyjął z za pieca drewniany cebrzyk, ujął z niego słuszną garść końskiego łajna i prasnął nim na ziemię nieopodal stołu.

– Chodź, Małgorzata, tu masz – powiedział, dorzucając jeszcze dwie porcje.

William przełknął z obrzydzeniem ślinę, Alard zaś trącił go łokciem, by odpiął swoją łyżkę z za paska, i wziął się do jedzenia. Bandyta znał Jana, odkąd tak naprawdę związał się z gildią. Trudno byłoby znaleźć drugiego takiego szaleńca, który służyłby królowi dłużej niż on. To był furiat i dziwak, przewrażliwiony na swoim punkcie do granic możliwości. Lubił sobie sam narzucać tempo pracy i wybierać zlecenia. I choć zwykle wybierał te najbardziej ryzykowne, to i tak niektórzy pracodawcy irytowali się jego uporem i niezależnością. Co ciekawe, zwierzchnicy czuli się wobec niego bezradni, bo staruch na myśl o torturach czy śmierci zwykł śmiać im się w twarz, twierdząc, że ból i tak już mu zagląda do rzyci, szepcząc o rychłym zgonie. Swojego szaleństwa i pogardy wobec tortur najlepiej dowiódł na jednym z posiedzeń, podczas którego w przypiływie złości wydlubał sobie oko, ostrzegając, że jeśli jeszcze raz ktoś go wkurwi i zmusi do roboty, to wydlubie sobie drugie i gównem będzie śledził.

Alard ocenił węchem jakość gulaszu i bezzwłocznie przesunął miskę w kierunku Williama.

– Zjedz też mój. Musisz być dziś silny.

– Nie...

Alard znowu kopnął młodego pod stołem, gospodarz zaś zmarszczył czoło i mruknął coś bełkotliwie pod nosem. Koniec końców,

nie poczuł się chyba obrażony, bo bez słowa zasiadł naprzeciw gości i nieskąpo smarknął na sitowie.

– Posłuchaj – zaczął Alard, kierując spojrzenie na zwierzę tarzające się w końskich odchodach. – Chciałbym na dzisiaj kilku twoich szerszeni.

Jan mruknął, a Alard zrozumiał, że starzec jest ciekaw szczegółów sprawy.

– Zrobimy dzisiaj młodemu egzamin.

Na te słowa gospodarz spojrział na Williama jedynym okiem, jakie posiadał. Informacja o egzaminie musiała zrobić na nim wrażenie, bo wpatrywał się w młodzika przez dłuższą chwilę. Wreszcie przeniósł spojrzenie na breję z kaszy, która stała przed nim. Mruknął coś pod nosem, pierdnął, po czym bez pardonu wsadził paluch głęboko do nosa. Grzebał i dłubał tak długą chwilę ku ciekawości Willa i Alarda, co też stamtąd wyciągnie. W końcu wysupłał gluta jak fasolę i w niemym zachwycie jął go memlać palcami. Zwijał go w kulkę, później rozciągał i znowu turlał po dłoni, by zaraz potem rozwinąć i znowu ścisnąć. Tarmosił tak paprocha, nadając mu przeróżne kształty i sprawdzając jego lepkość, ciągliwość i elastyczność. W końcu skoncentrował wzrok na młodziku i pstryknął w niego glutem zwiniętym w nielichą kulkę. Mimo że ten leciał z zawrotną prędkością, prasnął w ścianę, bo William zdołał się w ostatniej chwili uchylić.

Jan z nieskrywaną admiracją pokiwał głową, a nawet nieznacznie się pokłonił, i ostentacyjnie wziął się do jedzenia.

– Jedz – warknął zaraz potem.

Alard, wyrwany z otępienia niedawnym widokiem, szturchnął łokciem Williama. Chłopak, chcąc nie chcąc, bez słowa nabrał stawy na drewnianą łyżkę i śledzony wzrokiem przez obu bandytów, włożył ją do ust. Z wielką ulgą zmiarkował, że gulasz wcale nie jest taki zły.

– Słyszałem, że Giacomo uczy go szycia – odezwał się niespodziewanie starzec.

– Tak, to prawda.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

Jan odłożył łyżkę, twarz mu stężała. Nie lubił tyle gadać.

– Gówniarz jest zwinny, to widać – zaczął znużonym głosem – ale pewnie zginie w przeciągu kilku dni na ulicy. Nie szko...

– Nie zginę na ulicy! – oburzył się William. – Ja...

Gospodarz wyciągnął rękę tak szybko, że zdążył chwycić młodego za język.

– Musisz to cholerstwo trzymać na wodzy – wycedził.

Alard parsknął, a chłopak zaczął nerwowo kiwać głową.

Uwolniony, skrzywił się, bo na języku pozostał mu posmak tego, co przed chwilą gospodarz podawał świni. Szybko zabił smak zimnym gulaszem.

– Dostaniesz, czego ci potrzeba – powiedział wreszcie Jan, nie spuszczać wzroku z gówniarza.

– Dobrze. Niech czekają na niego przy Chapel Street, na tyłach kościoła. Odbiorą od niego konia, a potem udadzą się na maryjny cmentarz cystersów. Mają tam dziś chować syna Nesy, tego włoskiego bankiera, więc ruch powinien być spory.

Jan pokiwał głową i nie odezwawszy się już ani słowem, wziął się do jedzenia. Chyba już miał dosyć gości.

– Idziemy – zaordynował Alard.

Na ulicy poczuli nagły powiew świeżego powietrza. To nic, że z rynsztoków wydzielał się przykry zapach, że lipcowe słońce paliło, zmieniając uliczny szlam w na wpół zaschniętą breję. Wiatr, którego tak bardzo brakowało w zatęchłej izdebce Jana, okazał się zbawienny.

– Słuchaj, młody – powiedział Alard, spluwając na ziemię. – W pierwszej kolejności masz ukraść konia i dobrze by było, gdybyś wyrobił się z tym do południa. Będziesz zdany tylko na siebie. I radzę ci to zrobić raczej poza miejskimi murami. Po wszystkim oddasz go jednemu z szerszeni w Southwerk, na tyłach kościoła przy Chapel Street.

– Jak rozpoznam tego szerszenia?

– To on rozpozna ciebie. Przedstawi cię reszcie i pójdziecie na cysterski cmentarz. Tam masz ukraść trzos pieniędzy.

– Szerszenie mi pomogą?

– Nie, ale będą cię obserwować i w razie czego wkroczą do akcji. Pamiętaj, że nie możesz sobie pozwolić na jakikolwiek błąd. Edwin urwie mi jaja, a ja urwę je tobie, jeśli coś pójdzie nie tak. Za dużo czasu

poświęciliśmy na ciebie.

William mruknął, że rozumie. Czuł podniecenie i tak po prawdzie już chciał rzucić się do biegu, byle tylko zacząć egzamin.

– Pamiętaj, że dzisiaj sprawdzimy również twoją wytrzymałość i wolę walki.

– Jak?

– To teraz nieważne. Dowiesz się tego w odpowiedniej chwili. Po wszystkim postaraj się wrócić do któregoś z azylów bądź do Tomaszowej kaplicy w Southwerk i... Co tu dużo mówić, młody. Działaj z głową... – Alard zamilkł, świadom tego, że chłopak powinien się teraz skoncentrować. Obudziły się w nim wspomnienia tego, jak sam zdawał niegdyś egzamin. Nie każdy mógł dostąpić tego zaszczytu i tak po prawdzie już sam fakt podejścia do testu był wyróżnieniem. Większość bandziorów pozostawała jeno zwykłymi wyrobnikami bez żadnych perspektyw czy nadziei na lepsze jutro. William dostał szansę, dzięki której kiedyś w przyszłości będzie mógł dołączyć do bandyckiej elity. Alard był z niego dumny i nawet nie starał się specjalnie tego ukryć. – Nie zawieź mnie, młody – dodał, klepiąc go po ramieniu.

– Nie zawiodę – odpowiedział lekko zakłopotany William.

Gilbert był skulony, czuł, jak jego plecy przeszywa nieznośny, palący ból, przez który traci kontakt z rzeczywistością. Słyszał ciężkie dyszenie spoconego Ranulfa. W komnacie zapadła ciemność, jakby ta cała udręka pozbawiła go wzroku. Resztkami świadomości wyobrażał sobie, jak oprawca podśmiewa się pod nosem. Zawsze to robił w chwilach, gdy Gilbert zbierał resztki sił, by przygotować się na kolejne uderzenie.

Jednakże w tej chwili świst bicia ucichł. Chłosta się skończyła, a chłopiec z trudem łapał powietrze. Krew sączyła się z poranionych pleców, ale Gilbert był daleki od płaczu. Czuł gniew, wściekłość, która wypełniała każdą cząstkę jego ciała. Chłostę za każdym razem odczuwał tak samo boleśnie, a cierpienie z czasem zrodziło w chłopaku wielką nienawiść, wstręt i odrazę do całego świata. Był zły o to, że okrutny los doświadcza jego, a nie innych. Był zły na rodziców za to, że ich przy nim nie ma. Był zły na Williama za to, że go zostawił. Był zły, był wściekły za to, że musi tyle wycierpieć. Z upływem czasu jednak ten gniew na wszystkich przygasł. Nie znikł – co to, to nie – nadal gnieździł się w jego sercu, czekając tylko na pretekst, by kiedyś wybuchnąć, ale teraz zaczęła go tłumić zimna obojętność. Chłosta, rzecz jasna, nadal raniła go dotkliwie, lecz Gilbert potrafił uodpornić się na ból, stanąć gdzieś z boku, jakby opuścił swoje ciało i przyglądał się wszystkiemu z dalsza.

Ta beznamiętność, która zaczęła uzewnętrzniać się dopiero po kilku latach, przypadła Thomasowi do gustu. To było to, na co czekał. Wiedział, że gniew i nienawiść łatwiej zaszcześcić w dziecku, w młodej istocie, która nie ma jeszcze wykształconego sumienia, która dopiero

poznaje granice dobra i zła i poszukuje tego jedyne go wzoru do naśladowania. Wszystko wskazywało na to, że Gilbert obrał drogę, jaką nakreślił przed nim Thomas. Był wyzbyty z wszelkiej wrażliwości, nieczuły na krzywdy innych i aż kipiał od wściekłości, którą póki co z powodzeniem tłumił głęboko w swym sercu. Powoli stawał się świetnym materiałem na mordercę. Był jeszcze młody i wiele musiał się nauczyć, ale już teraz walka wychodziła mu całkiem niezgorzej, a wpojona dyscyplina i wiara we własne siły czyniły z niego bardzo niebezpiecznego człowieka.

Thomas cieszył się, tym bardziej że w ciągu tych kilku ostatnich lat Gilbert podrósł co niemiara i już teraz brakowało mu raptem kilku cali, by dorównać zakonnikowi wzrostem. W ogóle widać było, że zaczyna męźnieć i nabierać masy, ręce i nogi powoli obrastały w mięśnie, a barki stawały się coraz szersze. Cherubin, bo tak go teraz nazywał zakonnik, miał predyspozycje ku temu, by za kilka lat przypominać budowę ciała Geoffreya, świętej pamięci siłacza, którego Alard wraz z kamratami zabił.

Zakonnik, zadowolony z postawy chłopaka, jego wyglądu i umiejętności, pewnego popołudnia zdecydował się nagrodzić go za trudy, jakie Gilbert musiał ścierpieć. Pomimo siąpiącego deszczu wybrali się na przechadzkę. Szli w milczeniu. Zatrzymali się na tyłach monasteru wśród wierzby obsypanych kwitnącymi baziami. Tam, między drzewami, był głęboki grób, który kiedyś Gilbert musiał dla siebie wykopać. Zakonnik wymagał od chłopca, aby przychodził tutaj każdego dnia i wrzucał do środka po jednej garści ziemi. Ten rytuał miał mu uświadomić, że śmierć jest nieuchronna, ale ponadto wyrobić w nim przekonanie, że tylko on sam może zdecydować, kiedy dokona żywota. Thomas wiedział, że mija się to z prawdą objawioną przez Boga, ale chciał wpoić w niego przekonanie o własnej wyjątkowości, niepohamowanej sile i nieograniczonej potędze.

Gilbert był ciekaw, dlaczego tutaj przyszli, tym bardziej że dzisiejszego ranka już wrzucił do dołu garść ziemi. Znał Thomasa na tyle dobrze, by wiedzieć, że coś musiało się wydarzyć. Może był niezadowolony z wyników jego nauki? A może wręcz przeciwnie, miał dla niego jakieś zadanie?

– Pamiętasz, co ci mówiłem o cierpieniu? – spytał wreszcie zakonnik.

Gilbert wstrzymał oddech. Thomas wielokrotnie powtarzał mu, że cierpienie niesie ze sobą ból, ale i siłę, uwalnia bowiem z grzechu, pozwala ulżyć sumieniu, oczyszcza i uczy pokory. Mało kto potrafi godnie znieść męczeństwo, mało kto potrafi stawić mu czoła, bo zwykle nawet najmniejszy ból rodzi w człowieku lęki.

Chłopiec spojrział na zakonnika i odpowiedział półgębkiem:

– Pamiętam.

– Chcę to usłyszeć. O czym nie wolno nam zapomnieć, gdy odczuwamy ból?

– Że cierpienie jest żywną glebą dla strachu.

– Tak. W istocie. – Thomas zadumał się. Zmarszczył czoło i wyszeptał pod nosem słowa krótkiej modlitwy. Ostatnio coraz częściej to robił. „Czyżby gotował się na spotkanie z Bogiem?” – przeszło przez myśl Gilbertowi. Zakonnik nie był stary i choć jego łagodna twarz pokryła się już tu i ówdzie zmarszczkami, plecy zdawały się bardziej zgarbione, a krok wolniejszy, to przecież nadal pozostawał tym samym sprawnym, żwawym mężczyzną.

– Boisz się kogoś? – spytał po chwili.

Po plecach Gilberta przebiegł zimny dreszcz, bo jedyną osobą, która naprawdę budziła w nim strach, był właśnie Thomas.

– Nikogo się nie boję – odpowiedział.

Bandyta zmarszczył brwi, oderwał wzrok od wykopanego grobu i zerknął na chłopaka.

– Mnie też się nie boisz?

Gilbert bezwiednie przydeptał kępę pobliskiego wrzosu. Słyszał przyśpieszone bicie własnego serca.

– W porządku, rozumiem. Nie musisz odpowiadać. A co z Ranulfem, co z Bogiem? Przysparzają ci tyle cierpień. Ich też się nie boisz?

– Bóg mnie prowadzi, dodaje mi sił...

– Ale cierpisz dla niego. Przelewasz własną krew w jego imieniu.

– Robię to dla siebie, bo chcę być oczyszczony z grzechów.

A Ranulf... To on jest przepełniony lękami, nie ja.

– Dobrze. Mam coś dla ciebie. – Thomas wyciągnął zza poły płaszcza nóż.

– To dla mnie?

– Tak, jest twój.

– Co chcesz, żebym zrobił?

– Masz prawo uwolnić się od niego. Od tej chwili nikt nie może podnieść na ciebie ręki. Nikt nie może zadać ci bólu poza tobą samym. Zabijesz każdego, kto cię skrzywdzi, ale wcześniej musisz zapytać mnie o pozwolenie.

Gilbert uniósł kędzierzawą głowę i wbił wzrok w zakonnika. Zatonął w jego lazurowym spojrzeniu, bo trudno mu było uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

– To znaczy, że mogę... – słowa uwięzły mu w gardle – że mogę...

– Tak, cherubinie, możesz.

Deszcz przybrał na sile. Zerwał się wiatr, gałęzie wierzb zatańczyły, a na dziedzińcu szybko pojawiły się rwące strumyki. Mimo chłodu, ciało chłopaka ogarnął żar. Czuł przy tym ekstatyczne mrowienie i trudną do wyobrażenia radość. Chciał krzyczeć, chciał wybiec na środek placu i dać upust emocjom, jakie w nim buzowały.

– Sam zadecyduj, kiedy chcesz być wolny. – Thomas schował dłonie w szerokich rękawach habitu. – Lecz teraz musimy iść do Normana, bo przyszedł czas na twoje nauki.

Gilbert niechętnie uczestniczył w lekcji fechtunku. Był podniecony zbliżającym się wieczorem. Cały czas myślał o Ranulfie, sadyście, który przez te wszystkie lata bił go i poniżał, i nie w głowie była mu walka. Norman, znany ze swej porywczosci, wściekał się i kłął na czym świat stoi, a w kilku momentach z nerwów wyprowadził tak niebezpieczne ataki, że Gilbert cudem uniknął śmierci. Co by nie mówić, dzień ćwiczeń zakończył się ranionym obojczykiem i kilkoma nabitymi siniakami, wszelako rany w najmniejszym stopniu nie ostudziły euforii chłopaka.

Zamknięty w celi, jął delectować się w samotności nadchodzącym wyzwoleniem. Przez długi czas leżał na posadzce i gładził jej porowatą powierzchnię, w którą wsiąkło tyle potu, łez i krwi. Tulił się do zawilgoconych ścian, przywołując na myśl setki wieczorów, podczas których chciał zespolić się z kamieniem w jedność, byle tylko uciec od

raniących rzemieni. Wdychał woń siennika, na którym płakał i sikał ze strachu. Upajał się wilgocią i chłodem, chłonał zmysłami każdy fragment komnaty, wiedząc, że już niedługo jej posmak będzie zupełnie inny. Pewny, że nie zapomni tych wszystkich bodźców, klęknął przed zawieszonym krucyfiksem i modlił się; prośby i podziękowania kierowane do Boga raz po raz przesłaniały mu wizję tego, co stanie się za chwilę.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Gilbert co rusz wpatrywał się w wąskie prześwity okienne, ale szarawe niebo na przekór wszystkiemu ani trochę nie ciemniało i zdawało się, że tego dnia noc nigdy nie nadejdzie. Chciał podbiec do drzwi i zawołać Ranulfa, wezwać tę gnidę, to zapchłone ścierwo, by spojrzeć mu w oczy tu i teraz, ale powstrzymał się, bo wiedział, że Thomas na pewno by tego nie pochwalał.

Wreszcie zaczęło zmierzchać. Deszcz rozpadał się na dobre, a niebo raz po raz jęły rozdzierać grzmoty i błyskawice. Jak co dzień o tej porze w korytarzu rozległo się szuranie sandałów o posadzkę. I jak nigdy przedtem Gilbert poczuł w związku z tym nieprzewartą radość i zniecierpliwienie. Zamknął oczy i czekał, nie ruszając się z klęczek.

– Okupisz dziś zbawienie cierpieniem – usłyszał, gdy tylko odrzwia się otworzyły.

Ale Gilbert się nie bał. Był tak podekscytowany, że aż słyszał szum krwi w głowie. Jednakowoż nie ruszał się, klęczał na środku celi ze złożonymi dłońmi i czuł, jak zimne stalowe ostrze ukryte pod koszulą studzi jego rozpalone ciało.

– Przeżyjesz ból, jaki odczuwał Chrystus na krzyżu! – krzyknął zakonnik, biorąc zamach biczem.

Gilbert nawet nie drgnął, tylko spytał lodowatym tonem:

– Boisz się, Ranulfie?

Niebo przeszła oślepiająca błyskawica, a Ranulf się zawahał. Miał wrażenie, że chyba się przesłyszał.

– Co powiedziałeś?

Cherubin skierował spojrzenie na spocone oblicze grubasa.

– Pytałem, czy się boisz.

– Ciebie? – Ranulf prychnął tak, że opluł sobie brodę. Nawet się

zaśmiał, lecz w chwilę potem ponownie przybrał obojętną minę i równo z kolejnym błyskiem na niebie trzasnął biczem.

Gilbert był skoncentrowany jak rzadko kiedy. Czekał w końcu na tę chwilę kilka długich lat. Złapał rzemienie, które w mig oplotły się wokół jego ręki, i z całej siły pociągnął je ku sobie. Ranulf upadł na posadzkę nieopodal niego.

– Okupisz dziś zbawienie cierpieniem, Ranulfie.

– Nie, czekaj...

Gilbert nie czekał. Błyskawicznie dopadł zakonnika, usiadł na nim okrakiem, wyjął nóż i wyszczerzył zęby w szaleńczym uśmiechu.

– Chryste, przebacz mu wszystkie grzechy, winy i słabości – rzekł z namaszczeniem, unosząc ostrze – gdyż ja nie potrafię tego uczynić.

– Nie! Proszę...

Wbił z impetem ostrze w obrośniętą tłuszczem pierś zakonnika. Nie było długie i pewnie nawet nie dosięgło serca, ale to wcale nie zmartwiło Gilberta.

– Napełnij go Duchem Świętym, Panie, i rozjaśnij mrok, który zawładnął jego sercem...

– Nie!

– I przyjmij go do swej trzody, gdyż tutaj nie ma dla niego miejsca!

Ostrze po raz wtóry zraniło zakonnika, a niebo raz jeszcze przeszła błyskawica. Z ust ranionego trysnęła fontanna krwi.

– Krew obmyje cię z grzechu, Ranulfie! – ryknął chłopak ze łzami w oczach. – Wyznaczy ci drogę do królestwa niebieskiego!

Ranulf chciał krzyknąć, ale z trzewi ponownie wystrzelił gejzer posoki.

– Wytrwaj w cierpieniu! Wytrwaj w cierpieniu! – powtarzał Gilbert i nie zważając na nic, raz za razem wbijał nóż. Wpadł w ekstazę, w trudny do powstrzymania szal, i dźgał Ranulfa dopóty, dopóki jego ciało nie zaczęło przypominać krwawej miazgi.

Zdyszany, wstał wreszcie z truchła. Wypuścił z ręki lepka, zbroszoną krwią rękojeść noża. Kręciło mu się w głowie, więc klęknął i wybuchnął głośnym, spazmatycznym płaczem. I długo nie mógł się opanować.

Podświadomie czuł, że wszystkiemu winien jest Thomas, ale

chował tę prawdę w sobie tak głęboko, że czasem nawet jej nie dostrzegał. Nie chciał jej widzieć. Pragnął postrzegać Thomasa jako swego mentora, opiekuna, który dba i troszczy się o niego, a wszystko, co robi, robi tylko dla jego dobra. Jak by nie było, to on go karmił, uczył o Bogu, szkolił w walce i tak naprawdę tylko jemu Gilbert zawdzięczał chwile pozbawione cierpienia. Czasami przyłapywał się na myśli, że mężczyzna trzyma go w zamknięciu, że narzuca mu swą wolę i każe robić rzeczy, które nie zawsze mu się podobają, ale czyż Alard nie więził go pośród żebraków? Czyż ojciec za życia nie kazał mu zaspokajać własnych aspiracji? Czyż nie traktował go jak pospolitego więźnia? Trzymanie pod kluczem w celi czy w okowach rodzinnych obowiązków to żadna różnica. Gilbert zdążył się nauczyć od zakonnika, że ludzie zaznają spokoju i pełnej swobody tylko w królestwie niebieskim. Tylko tam przy Bogu można liczyć na szczęście, wolność i upragniony spokój. I nigdzie indziej. Świat został skalany grzechem pierworodnym i każdy bez wyjątku jest tutaj więźniem. Czy wieśniak, czy król, zawsze od kogoś zależy, i tylko człowiek oddany Bogu, wyrażający swą wiarę żarliwą modlitwą i szczerym cierpieniem, może oczekiwać zbawienia i prawdziwej wolności. Każdy inny zasługuje na śmierć.

Gilbert jeszcze przez długi czas nie potrafił zapanować nad emocjami. Ręce mu drżały, łzy spływały po policzkach, a serce łomotało, jakby chciało wyrwać się z piersi. Wreszcie zaczerpnął głęboko powietrza, przetarł oblicze i podniósł leżący nieopodal bicz. Chwilę mu się przyglądał, przypominając sobie, ileż to bólu sprawiał mu każdego wieczora, lecz w końcu zwrócił się w kierunku krzyża i oznajmił:

– Dziękuję ci za siłę, którą mnie natchnąłeś, Panie, i błagam cię, byś nigdy mnie nie zostawił, albowiem tylko w tobie widzę prawdziwe oparcie.

Po tych słowach zamachnął się, wyczekując momentu, w którym skórzane rzemienie zranią jego plecy. Rozdzierający ból przeszył jego ciało, lecz Gilbert zagryzł wargi i uderzył ponownie.

– Uwolnij mnie od grzechu – wycedził przez zaciśnięte zęby. – I pozwól mi osądzić tych, którzy mnie skrzywdzili.

Gdy tylko Alard zniknął z pola widzenia, William postanowił działać. Wiedział, że kradzież konia to bardzo poważne wykroczenie, często traktowane na równi z brutalnym morderstwem, i że za taki występki można nawet skończyć na szubienicy, ale w tej chwili wcale go to nie przejmowało. Był pewny swych umiejętności i nawet przez myśl mu nie przeszło, że coś może się nie udać.

Kradzież konia w mieście przy takim tłumie ludzi nie wchodziła w grę, więc William przebiegł przez Cook Street, minął kościół Świętego Edmunda Króla i skierował się na most. Musiał ukraść konia gdzieś na obrzeżach Southwerk albo i dalej, tak by nie mieć potencjalnych świadków. Mógł oczywiście zakraść się do jakiejś zagrody czy stajni, ale za dnia wydawało się to zbyt ryzykowne. Z początku planował pobiec na południe głównym, kamienistym traktem, ale szybko doszedł do wniosku, że trudno byłoby natknąć się tam na samotnego jeźdźca. Ludzie zwykle podróżowali w grupach i jeśli William miał znaleźć kogoś w pojedynkę, to z pewnością nie na jednej z głównych dróg prowadzących do stolicy.

Gdy tylko zbiegł z mostu, skręcił w Tooley Street i ruszył wzdłuż rzeki. Biegł, ile tylko sił w nogach, czując, że energia rozpieszcza każdą cząstkę jego ciała. Pragnienie wykazania się i podniecenie nadchodzącym zaprzysiężeniem, o którym tak dużo się nasłuchał, sprawiały, że chwilami aż zapominał, dokąd biegnie i po co. Na szczęście w porę się zreflektował, że musi zwolnić to szaleńcze tempo, bo jeśli natknie się na jakiegoś jeźdźca, to bez wątpienia zabraknie mu sił na wykonanie zadania.

William zostawił daleko w tyle port i zabudowania. Zwolnił

i zaczął iść nieśpiesznie wzdłuż rzeki. Pamiętał, że w odległości jakiejś mili znajduje się kilka niewielkich zatok porośniętych wikliną i dębem. Ta namiastka lasu ciągnęła się od rzeki w stronę południowego wschodu, a poprzecinana była kilkoma przesiekami, niewielkimi drożynami, które ostatecznie zbiegały się do głównej drogi łączącej Southwerk z Newington. Rejon należał do rzadko uczęszczanych, ale William wierzył, że natknie się tam na jakiegoś zbłąkanego jeźdźca. Chyba warto było zaryzykować.

Minął rozległe pola uprawne, oddalił się od brzegu i z wolna zaczął zagłębiać się w leśną gęstwinię. Drzewa rosły tu stłoczone, wszelako już za pierwszym wzniesieniem dostrzegł pierwszą wąską dróżkę. Powoli i ostrożnie zszedł ze zbocza i stanął na środku drogi. Czuł, jak krew uderza mu do głowy, a serce łomocze, mimo że wcale się nie zmęczył. „Tylko spokojnie” – myślał. Miał nóż i wiedział, jak się nim posługiwać. Ubrany w porwaną koszulę i połatane spodnie, bez trudu powinien omamić ofiarę swą pozorną słabością i niemocą. Nie chciał zabijać i tak po prawdzie wcale nie musiał tego robić. Wystarczy zrzucić delikwenta z siodła, obezwładnić czy nawet rąbnąć w łeb jelicem sztyletu. Giacomo uczył go, w jaki sposób to robić.

Oby tylko ktoś się zjawił. Trakt był zbity i wyschnięty, usiany gdzieś tam starymi liśćmi i połamanymi gałązkami, jednak chłopak wypatrzył jakieś ślady, gdy tylko zbliżył się do rzeki. Wgłębienia od kopyt, choć ledwie widoczne, z pewnością były świeże. William miał niemal pewność, że wcale nie tak dawno przejechał tędy niezbyt obciążony wierzchowiec. Po co ktoś jechał w kierunku rzeki, tego już chłopak nie wiedział, lecz postanowił to sprawdzić.

Zszedł z traktu w obawie, aby ktoś go przypadkiem nie zauważył, i jał pokonywać dalszą trasę leśnym zboczem. Wędrówkę utrudniały mu paprocie i krzewy rosnące w coraz gęstszych skupiskach, ale nie poddawał się i brnął dalej. Gdy tylko minął krzak barwnego wiciokrzewu, jego uszu doszedł niepokojący szelest. Momentalnie odwrócił się, gotowy na konfrontację, ale szybko zauważył, że to tylko wiewiórka. Wzmógł czujność, uspokoił oddech, pewniej chwycił rękojeść sztyletu i zaczął przedzierać się przez krzewy. Do rzeki pozostało mu już może ze dwadzieścia jardów, jednakże niczego

interesującego nie zauważył. Przesieka, wzdłuż której szedł, ziała pustką, a w lesie również nie było żadnych śladów czyjejs obecności. Już miał wracać, kiedy dostrzegł po prawicy, nieopodal drogi, coś przypominającego brązową sierść. Wytężył wzrok, podszedł jeszcze kilka kroków i dostrzegł konia, którego ktoś uwiązał do drzewa. Rumak był osiodłany i sprawiał wrażenie spokojnego, wręcz znudzonego wszechogarniającą ciszą.

William wiedział, że im wcześniej zwierzę go zauważy, tym większa szansa, że nie zareaguje nazbyt impulsywnie. Uważając, by nie nadepnąć na wyschniętą gałązkę, wyszedł wreszcie ze skupiska krzewów i jął podchodzić do konia od strony drogi. Zwierzę szybko nastroszyło uszy, rozdęło chrapy i bacznie lustrowało przybysza. Serce waliło Williamowi jak oszałałe, ale starał się zachować łagodny i spokojny wyraz twarzy. Na szczęście rumak musiał być oswojony z ludźmi, bo nie zareagował niepokojem. Teren był w tym miejscu bardziej otwarty, porastało go raptem kilka dębów i krzewów malin. W odległości kilkunastu jardów rysowała się szara, zimna rzeka, która leniwie opływała angielskie ziemie. Gdzieniegdzie w oddali majaczyły kontury handlowych statków, a wcale nie tak daleko, bo zaraz przy brzegu, kąpała się jakaś postać.

William z wrażenia aż zatkał usta dłonią, ale stawiając wszystko na jedną kartę, zdecydował się podejść do konia.

– Dobry konik – szepnął. – Dobry.

Ziemia robiła się tutaj coraz bardziej piaszczysta. Koń stał uwiązany nieopodal małego urwiska, a tajemnicza postać kąpała się raptem kilka jardów dalej. Była drobnej postury, o czarnych, sięgających ramion włosach. Jej zwinięte w kłębek ubranie leżało przy brzegu na zwalonym pniu drzewa. Gdy tylko chłopak podszedł do konia, pogłaskał go po pysku, odwiązał wodze i zaczął się powoli wycofywać. Tymczasem nieświadoma niczego amazonka korzystała w najlepsze z uroku orzeźwiającej kąpieli. Opłukiwała sobie ramiona, gładziła szyję i jędrne, wcale niemałe piersi o zaróżowionych sutkach.

William potknął się, ale zdołał utrzymać równowagę. Zamrugał kilka razy, nie wiedząc, czy przypadkiem wzrok go nie myli, lecz nadal widział piersi. Nieświadomie wypuścił z ręki wodze, zostawił konia,

który w tej chwili przestał mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie, i zrobił kilka kroków w kierunku brzegu. Znowu się potknął, ale na szczęście tajemnicza osoba zanurzyła się w tej chwili pod wodę i chłopak miał tę krótką chwilę na otrzeźwienie. Natychmiast padł plackiem na ziemię i podczołgał się do urwiska. Oblizał wargi, wstrzymał oddech i czekał, żeby po raz wtóry zobaczyć to zjawiskowe piękno. Serce łomotało w jego piersi w szaleńczym rytmie, a oczy ciekawe tego, co przed chwilą ujrzały, rozwarte były do tego stopnia, że aż go zaczęły piec. Czas dłużył się w nieskończoność... Wreszcie postać wynurzyła się zaraz przy brzegu.

To była Agnes. Fala czarnych włosów przyłgnęła do jej gładkich ramion, na ciele lśniły krople wody. Jędrne piersi momentalnie zareagowały na chłodniejszy powiew wiatru, na kredowobiałym podbrzuszu pojawiła się gęsia skórka, a nieco niżej...

– Williamie!

Chłopak momentalnie uniósł głowę. Chciał się nawet wytłumaczyć, ale język odmówił mu posłuszeństwa.

– Williamie, ty draniu! – powtórzyła dziewczyna, tym razem jeszcze głośniej. – Zaraz ci łeb urwę!

Will nie zamierzał czekać, aż dziewczyna spełni swą groźbę. Chyżo wstał z ziemi i pobiegł do konia. Wskoczył na grzbiet, ścisnął piętami boki wierzchowca i co tchu pogalopował w kierunku Southwerk. Droga była wąska, nierówna i wyboista, ale chłopakowi ani przez myśl nie przeszło, aby zwolnić.

Był zły, że dał się tak przyłapać. Alard pewnie okazałby niezadowolony, jednak najważniejsze, że udało mu się wykonać zadanie. Pytanie tylko, do kogo należał ten koń. Widać, że był zadbany, dobrze umięśniony i wyszkolony, bo bez problemu radził sobie na trudnym terenie. Ale kto na nim przyjechał? Czy to możliwe, żeby należał do Agnes? Baba na koniu to raczej rzadki widok. Co prawda w Londynie zdarzały się takie wariatki, a na mieście czasem mówiło się nawet o potrzebie zrobienia damskiego siodła, wszelako traktowano to raczej z przymrużeniem oka. Dlaczego Agnes, którą Willi naprawdę zaczynał lubić, miałaby dosiadać wierzchowca? Czyżby komuś go ukradła? Może chciała go sprzedać i czekała w lesie na kupca? Jeśli tak,

to dlaczego się kąpała? Myśli Williama ponownie jęły wędrować po kuszących i urokliwych kształtach dziewczyny, aliści ochłonał, gdy tylko przypomniał sobie, jak się na niego wydzierała. Wiedział, że ją rozzłościł, niemniej postanowił nie zamartwiać się tym w tej chwili. Był tak zaaferowany trwającym egzaminem, że złagodzenie jej gniewu zdawało mu się tylko błahostką.

Szybko dojechał do Southwerk i zatrzymał się we wskazanym miejscu przy kościele na Chapel Street. Ludzi nie było tu wielu, w większości kręcili się jacyś żebracy bądź zakonnicy, ale chyba żaden z nich nie omieszkał ukradkiem zerknąć na Williama. Chłopak czuł, że ściąga na siebie niepotrzebnie uwagę. Jak by nie było, ubrany w łachmany dosiadał wierzchowca wartego fortunę. Wiedział, że ludzie mogą podejrzewać go o kradzież, jednakże w tej chwili rozpierała go duma i zdrowy rozsądek poszedł w odstawkę. Był świadom, że zabranie konia babie to żaden wyczyn, ale przecież nikt nie musiał się o tym dowiedzieć.

– A, tutaj jesteś! – krzyknął nagle do niego jakiś mężczyzna.

William domyślił się, że to jeden z szerszeni. Słusznego wzrostu chudzielec w brązowych ciźmach i z kapturem o długim szpicu narzuconym na ramię podszedł do niego i zamarkował kilka zaszczytnych kłaśnieć w dłonie.

– Dobra robota.

Twarz Williama wykrzywił pyszałkowaty uśmiech. Spodobało mu się to patrzenie na innych z góry.

– No, złaż mały – rzekł mężczyzna, poklepując wierzchowca po zadzie.

– Od kogo jesteś? – spytał podejrzliwie William.

– Od Jana. – Bandyście chyba spodobała się ta nieufność smarkacza, bo jego naznaczona szpetną blizną gęba wykrzywiła się w szerokim uśmiechu. – No złaż, złaż, bo ludzie się przyglądają.

Chłopak usłuchał i zeskoczył z konia.

– Piękne zwierzę. Skądżeś je wytrzasnął, chłopcze?

William wzruszył tylko ramionami.

– Zaiste okaz godny rzyci samego rycerza. – Mężczyzna splunął na ziemię i cofnął się parę kroków, by móc podziwiać konia w pełnej

krasie. – Bydlę robi wrażenie...

– Jestem William – przedstawił się chłopak, czując lekkie poirytowanie tym, że to zwierzę zbiera pochwały, a nie on.

– Wiem – odpowiedział bandyta jakby poważniejszym tonem. Następnie machnął ręką w kierunku kręcącego się nieopodal gołowąsa i podał mu wodze. – Możesz mi mówić Oliva – rzekł do Williama. – Ten tam, po drugiej stronie ulicy, to Gamel, a obok niego Hugh. – Mężczyźni skinęli głowami, widząc, jak Oliva wskazuje na nich palcem. – A za tobą w tej czapce z piórkiem stoi Asa. Niech cię nie zmyli jego młody wygląd, bo wyłuskał więcej trzosów niż ty smarków z nosa. Ale głowa do góry! – dodał, klepiąc młokosa po plecach. – Jesteśmy tu po to, abyś i ty mógł poszczycić się kiedyś takim wynikiem. Rumak, którego ukradłeś, to naprawdę wspaniały okaz, a to dobrze rokuje. Cholera, dałbym się złać po mordzie, że sam Harding chciałby mieć takiego na własność.

– Ha-Harding?

– Nie inaczej. Ma fioła na punkcie wierzchowców.

William poczuł, jak krew odpływa mu z głowy. Wiedział, że Harding jest ważną postacią dla królewskiej gildii. Oczywiście nie wtajemniczano go w meandry przestępczej hierarchii, ale zakładał, że karczmarz mógł być cennym paserem, szpiegiem lub nawet baronem którejś z kast. Zresztą jego funkcja w tej chwili nie miała znaczenia, istotne było to, że ta zasrana chabeta faktycznie mogła do niego należeć. W gildii krążyły plotki, że Agnes, jego jedyne dziecko, uczyła się od niego złodziejskiej sztuki, a nawet walki na noże. Mało kto w to wierzył, ale jeśli to prawda, dlaczego ta dziewczucha nie miałaby akurat dzisiaj udać się na konną przejażdżkę, i to za zgodą ojca? Gdyby tak było... William nawet nie chciał o tym myśleć.

– Młody, nic ci nie jest?

– Co?

– Możemy iść?

William otaksował wzrokiem otoczenie. Rumak prowadzony przez nieznanego gówniarza znikł za rogiem kościoła, a reszta szerszeni zebrała się nieopodal, czekając tylko na hasło do wyruszenia.

– Jeśli to jest koń Hardinga... – bąknął zamyślony William.

- Jeśli co? – spytał Oliva, bo nie zrozumiał chłopca.
- Nie, nic – zbył go, w porę się opamiętując.
- Skup się, mały, bo kradzież mieszka to nie przelewki.

William przełknął ślinę i ruszył w ślad za szerszeniami. Dość sprawnie przeszli przez zatłoczony most, pokonali Eastcheap, na której panował gwar mieszczańskich oraz kupieckich krzyków, i skierowali się do Aldgate. Za murami miasta ciągnął się rząd walących się chat i pól uprawnych, a od strony Tamizy piętrzyła się fortyfikacja londyńskiej wieży Tower. Okazały budynek, zbudowany z białej cegły i nieregularnych kamieni, otoczony był wysokim murem zwieńczonym gęsto blankami. Wyzierały zza nich szczyty dachów i wierzchołki drewnianych żurawi – wielkich maszyn, bez których wznoszenie tak okazałych budynków byłoby niemożliwe.

Bandydzi nie śpieszyli się, bo ceremonia miała się rozpocząć dopiero za chwilę, wszelako gdy doszli na miejsce, ksiądz odprawiał już modły nad grobem. W okolicy zgromadził się tłum ludzi. Pogrzeby co bardziej znanych osób zawsze przyciągały wielu gapiów, i choć w tym wypadku zmarłe dziecko nie zaliczało się do takowych, to już jego ojca Nese, stojącego w tej chwili wśród najbliższych, uważano za jednego z najbogatszych bankierów Londynu. Włoch znany był z wielkiej pobożności, a miłość do bliźniego kultywował do tego stopnia, że na chrzestnych swego dziecka wybrał obcych żebraków, którzy w tej chwili żarliwie się modlili na klęczkach. Już nawet sam pochówek na tym niewielkim cysterskim cmentarzu dowodził jego oddania Bogu i wiary w to, że człowiek jest marną istotą.

William rzadko kiedy bywał w tych okolicach. Poza cmentarzem, niewielkim domem zakonnym i polami uprawnymi niczego tutaj nie było.

– Pamiętaj, że masz ukraść mieszek i uciec – szepnął Oliva. – Możesz zaczynać w każdej chwili.

William splunął na ziemię, przyjmując to wyzwanie, i wtopił się w tłum gapiów. Niedługo po nim to samo zrobili jego kamraci. Chłopak chciał jak najlepiej wywiązać się z zadania i dowieść swych umiejętności, zwłaszcza że spartaczył sprawę z koniem. Musiał to zrobić w taki sposób, żeby nawet Harding był pełen podziwu. Wiedział, że

rozpoznanie terenu i oswojenie ludzi ze sobą winno zająć nieco czasu, aliści zdecydował, że wykona zadanie błyskawicznie. Zetnie trzos teraz, zaraz, tak że szerszenie nawet nie zdążą się zorientować. Na pewno zostanie za to pochwalony.

William powiódł wzrokiem po ludziach i zdecydował się podejść kilka kroków w kierunku Olivy. Nieopodal niego stał gustownie ubrany mężczyzna. Miał na sobie męską suknię z ciemnozielonego aksamitu o workowatych rękawach, zapinaną na ręcznie robione guzy z seledynowego materiału. Szyku dopełniały szpiczaste trzewiki i filigranowy beret.

Elegant był w sile wieku i z pewnością bogaty. William stanął przy jego boku i udając, że szuka kogoś w pobliżu, przyjrzał mu się dokładniej. Przy pasku mężczyzny dojrzał kaletkę zdobioną finezyjnie kilkoma piórkami. Była na wyciągnięcie ręki, ale to, co naprawdę przykuło uwagę Williama, to niewielkie wypuklenie pod wierzchnią warstwą odzienia na wysokości piersi. To właśnie tam mężczyzna musiał trzymać swój bardziej wartościowy mieszek. Kaletka wisząca u paska była nietrudna do ścięcia, niemniej chłopiec nie chciał iść na łatwiznę. Zbłądził się przy kradzieży konia, więc teraz warto by dowieść, że jest godny zaprzysiężenia. Postanowił ukraść mieszek, ale ten schowany pod ubraniem. Jego zawartość może przynajmniej w niewielkim stopniu ułagodzi wzburzenie Hardinga.

William odgarnął włosy z czoła, podrapał się wskazującym palcem za uchem, a następnie wyjął zakrzywione ostrze długie raptem na dwa cale. Wziął głęboki oddech, bo mimo wszystko czuł zdenerwowanie, i nie namyślając się już ani chwili dłużej, odciął trzos zawieszony przy pasku mężczyzny.

– Przepraszam – zwrócił się do niego zaraz potem. – To na ziemi to chyba pana?

Mężczyzna wyrwany z zamyślenia spojrzał posępnym wzrokiem na Williama, a potem w dół.

– O, do licha. Dziękuję ci, młodzieńcze. – I schylił się po zgubę.

– Niech pan zostawi, ja podniosę.

Will pośpiesznie się nachylił, a zrobił to w taki sposób, że uderzył go czołem w górną część czaszki. Mężczyźnie pociemniało przed

oczami. Chwycił się za beret, rozmasowując głowę, a w tym czasie chłopiec błyskawicznie odciął kilka guzików, zgrabnym ruchem wsunął dłoń pod kaftan i wyciągnął pękatą sakiewkę. Schylony nad ziemią mężczyzna nawet nie zdążył niczego zauważyć.

– Wszystko w porządku? – spytał zaraz potem William z udawaną troską w głosie.

– O cholera... Nie, nie... w porządku – wydyszał niczego nieświadomy elegant; nadal kuczał i rozmasowywał sobie głowę. Kaletka cały czas leżała na ziemi, ale William nie interesował się nią, bo miał przecież o wiele bardziej wartościowego fanta. Schował go za pasek spodni pod koszulą i zaczął się wycofywać, kiedy to za jego plecami zrobiło się niepokojące poruszenie.

– Złodziej! – krzyknął ktoś.

Chłopiec struchlał, bo nie chciało mu się wierzyć, by ktoś mógł zauważyć jego błyskawiczną kradzież. Odwrócił się i spostrzegł, że szerszeń, ten pieprzony Oliva, wskazuje na niego palcem i wydziera się:

– Złodziej! Tam, łapcie go!

William próbował odskoczyć, ale ktoś z tłumu złapał go za fraki. Jakiś drugi mieszczanin chwycił go za rękę, ktoś inny podciął mu nogi, a czwarty osobnik zaczął go bezceremonialnie kopać. Szybko dołączyła do nich reszta gawiedzi.

– Zostawcie! – krzyczał William. – Zostawcie, to pomyłka!

Ludzie jednak nie zamierzali słuchać. Nigdy nie słuchali, dopóki nie wyładowali wszystkich swych frustracji.

William skulił się, próbując ostatkiem sił krzyczeć – liczył na to, że jeszcze uda mu się ułagodzić wzburzony motłoch – ale szybko zrozumiał, że to daremne. Pięści, nogi, a po chwili i drewniane kije przy wtórze dzikich ryków raz po raz raziły go tak, że ból głowy, brzucha i kończyn zlał się wkrótce w jedną wielką i trudną do wytrzymania falę bóleści. Ktoś wykręcił mu rękę, przydeptując ją do ziemi nogą, ktoś inny zaczął okładać go skórzanym pasem, a jeszcze ktoś inny bezustannie wbijał kij w jego podbrzusze. Chłopiec zwymiotował, wypluwając przy okazji nadmiar krwi, i próbował schować twarz w ziemię.

Oliva kiwnął głową na kamratów, by wmieszali się w tłum zgromadzony przy złodzieju. Gamel, Hugh i Asa momentalnie wykonali

połączenie. Wiedzieli, co mają robić. W ruch poszły króciutkie zakrzywione ostrza. Rzezali trzos za trzosem, a podtrzymujące je skórzane rzemyki pękały jeden za drugim. Rabusie ruszali się niczym dzikie hieny, kąsali jednego nieszczęśnika za drugim, obskakując każdego z nich prawie że tanecznym krokiem. Świadomi byli, że w tego typu działaniach kluczową rolę odgrywają nie tylko umiejętności, ale i czas, dlatego też co rusz spoglądali na Olivę.

Asa jako pierwszy dostrzegł umówiony znak zwierzchnika. Schował więc ostrze i bez namysłu rzucił się w kierunku Williama. Zaraz potem w jego ślady poszli Gamel i Hugh, odpychając zgromadzonych mieszczan.

– Wyłaż, mały! – ryknął Gamel.

William nieśmiało uniósł głowę. Zdawało mu się, że słyszał jednego z szerszeni. W głowie mu się kręciło, a oddychanie utrudniał przetrącony nos, wszelako czując nieco wolnej przestrzeni wokół siebie, podniósł się na jedno kolano. Hugh przyrznął nacierającemu mieszczaninowi w gębę. Pchnął jeszcze jednego i również krzyknął ze zniecierpliwieniem:

– Dalej, wstawaj!

Chłopiec podniósł się na czworaki i dostrzegł, jak Asa kopie jakiegoś nieszczęśnika po brzuchu.

– Szybciej! – krzyczał, zerkając raz po raz na młodego.

Oliva również dołączył do kamratów i wycedził, nachyliwszy się do Williama:

– Musisz uciekać, mały. Jeśli chcesz być z nami, musisz uciekać i wyjść z tego cało.

Ludzie zaczęli napierać na zbirów, a William, choć ledwie widział na oczy, dostrzegł na ziemi kaletkę eleganta. To mu dodało sił i wiary we własne szczęście, bo w końcu dwa trzosey skradzione podczas egzaminu to nie jeden. Upewnił się, że ten, który ukradł przed chwilą, nadal tkwi za paskiem, następnie podniósł z ziemi drugi mieszek i na czworakach wybiegł z kotłującego się tłumu.

Bójka miała być sprawdzianem jego wytrzymałości, woli walki i oddania sprawie. Fakt, że sobie poradził, że jeszcze oddychał, umocnił go w przekonaniu, że jest stworzony do tej roboty. „Dam radę –

powiedział sobie w myślach – dam radę i zdam ten zasrany egzamin”.

– Tam jest! – krzyknął ktoś, a zaraz potem reszta mu zawtórowała.

Ale William już biegł przed siebie i ani myślał patrzeć, co się dzieje za nim. Wiedział, że szerszenie rozpiechli się w różne strony, wszelako teraz najważniejsze było dla niego to, aby wyjść cało z opresji. Czuł przejmujące klucie w żebrach, poranione nogi piekły, jakby ktoś je zalał topniejącym żelazem, a oddech z każdym jardem był coraz cięższy. Wiedział, że siły szybko go opuszczą, że za chwilę, może już za kilkadziesiąt jardów padnie na ziemię i nie będzie w stanie nawet się poruszyć. Musiał się schować i to gdzieś niedaleko.

Gdy tylko minął bramę Aldgate, wbiegł w zatłoczoną Leadenhall Street. Stała tam jedna z kilkunastu publicznych latryn, jakie mieściły się w całym Londynie. Dziękując w duchu, że nikogo w niej nie ma, wpadł do środka i stawiając wszystko na jedną kartę, zdecydował się nie ryglować drzwi. Siedzisko było brudne, lecz nie na tyle, by jego plan się powiódł, podniósł więc z ziemi garść odchodów, których leżało tutaj co niemiara, i ułożył je na brzegu otworu. Następnie wszedł do środka i zwiesił się, trzymając kurczowo krawędzi, tak by dłonie przykrywała zebrana warstwa kału. Ręce drżały mu z wysiłku, a żebra przeszywał dokuczliwy i nieznośny ból, jakby ktoś rozrywał go od środka kowalskimi obcęgi. Powtarzał sobie, że musi być silny, że musi to przeżyć. Zacisnął zęby, prosząc Boga o wsparcie. Czuł, że nie wytrzyma tak długo. Że jeszcze chwila i...

Wtem drzwi otworzyły się z impetem i William usłyszał zdyszany okrzyk:

– Pusto!

Chciał jeszcze przeczekać chwilę, ale każdy oddech, każde zaczerpnięcie wszechogarniającego fetoru niosło ze sobą tyle bólu, że tracił nadzieję na ocalenie. Żebra paliły żywym ogniem, a ból ramion był tak silny, że niczego bardziej nie pragnął, niż puścić się w tę odrażającą nicość i zaznać wiecznego ukojenia. Jakaś wewnętrzna siła nie pozwalała mu się jednak poddać. Ostatkiem sił wsparł się łokciem o brzeg otworu i wyszedł, po czym upadł na klepisko. Rozkaszłał się, wstał i zaraz potem złapał za futrynę, by nie upaść.

Chwiejnym krokiem wytoczył się na ulicę. Wiedział, że po

wszystkim powinien udać się do Southwerk bądź do któregoś z azylów, ale miał wrażenie, że to jest ponad jego siły. Świat wirował przed oczami, rozmywał się i zanikał, jakby tworzyły go mgliste, ruchome obłoki, a wszelkie dźwięki, jakie docierały do Williama, zdawały się pochodzić zza jakiejś grubej, niewidzialnej ściany.

Niemrawo i ociężale dobrnął do najbliższego zaułka przy Stink Street w jednym z brudniejszych rejonów Londynu. Rynsztoki były zapchane, a podłoże tworzyła gruba warstwa na wpół zaschniętego, śmierdzącego szlamu. William wodził zamglonym wzrokiem po ciasno stłoczonych drewnianych chatynkach i wałących się kamieniczkach. Pamiętał, że gdzieś tutaj była kryjówka, niewielka izba, w której mógłby przeczekać, położyć się i odpocząć.

Ubranie kleiło się do jego zakrwawionego ciała, a w ustach gromadziła się ślina o nieprzyjemnym metalicznym posmaku.

– William? Williamie, to ty?

Chłopiec uchylił szerzej napuchnięte powieki. Nie widział dokładnie, jednakże ktoś o skołtunionych płomiennych włosach złapał go nagle za ramiona i pomógł oprzeć się o pobliski murek.

– Williamie, co ci się stało?

– Zo... Zostaw mnie.

– To ja, Lora. Chodź, pomogę ci.

William ucieszył się, że to nikt obcy. Uniósł drżącą rękę i wskazał wałącą się rudereę po drugiej stronie uliczki.

– Ta... tam... Muszę dostać się tam...

Dziewczynie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Jako żebraczka na usługach królewskiej gildii została wtajemniczona w rozmieszczenie co poniektórych azylów. Nie namyślając się ani chwili, złapała chłopaka w pasie i pozwoliła, by wsparł się o jej ramię. Była drobnej budowy ciała i nogi się pod nią ugięły, jednakże zagryzła wargi i brodząc w błocie oraz gnoju, zdołała dowlec Williama do zaryglowanych drzwi. Od razu jęła w nie natarczywie walić, powstrzymując się przed wołaniem o ratunek.

– Nikt... nikt ci nie otworzy – wyjęczał chłopak. – Popchnij je mocno.

– Oprzyj się tutaj – poleciała dziewczyna, wspierając go o ścianę.

Williamowi brakowało już sił i momentalnie zsunął się na ziemię.

Jakaś grupka krzyczących ludzi przebiegła w oddali przez Leadenhall Street, ale na szczęście nikt nie zainteresował się śmierdzącym zaułkiem.

– Szybciej – wyjęczał William.

Lora w charakterystyczny dla siebie sposób zdmuchnęła z czoła kosmyk rudych włosów. Jej twarz była brudna i zmęczona, ale przez ostatnie lata dziewczyna w niespotykany sposób zyskała na urodzie. Usta zrobiły się pełniejsze, małe, senne oczka, obserwujące świat spod wiecznie na wpół przymkniętych powiek, jawiły się teraz niczym dwa drobne bursztyny, a ich wyraz przywodził na myśl filuterne spojrzenie kota. Figurą odbiegała od Agnes przez przygarbioną sylwetkę i drobniejsze piersi, ale z pewnością gdyby tylko przywdziała bardziej gustowną suknię i jęła z dumą przemierzać ulicę, niejeden mężczyzna zwróciłby na nią uwagę.

Lora obejrzała się, czy nikt jej nie widzi, i z całej siły napała na odrzwia. Poczowała nagły ból od karku aż po biodra, a drzwi nawet nie drgnęły. Skrzywiła się i napała na nie jeszcze raz, i jeszcze raz. Cały wysiłek jednak spełził na niczym. Była zbyt lekka i słaba, aby otworzyć drzwi. Brudne rude kędziory szybko oblepiły jej spocone czoło, a krwiste usta jęły drżeć ze zdenerwowania i bezsilności.

– Próbuje dalej – stękał William, ledwie radząc sobie z bólem. – Proszę...

Dziewczyna postanowiła wziąć rozbieg. Świadomość nieuchronnego zderzenia z drewnianą przeszkodą napawała ją strachem, ale przewyciężyła go, zakasała spódnicę, aby się nie potknąć, zamknęła oczy i rzuciła się do biegu prosto na drzwi. Rygiel zasunięty od wewnątrz wreszcie puścił i Lora z hukiem wpadła do środka.

– Udało się – wystękała, leżąc na ziemi. – Udało się!

Czuła przejmujący ból, nawet się rozplakała, ale to były łzy szczęścia. Szybko jednak wstała, pomogła Williamowi wczołgać się do środka i zaryglowała odrzwia na nowo. Padli na gliniane klepisko, zamknęli oczy i głęboko westchnęli. Byli bezpieczni. Byli szczęśliwi. Chłopak odwrócił napuchłą, zakrwawioną twarz w kierunku Lory i uśmiechnął się do niej. I choć w ich sercach gorzała radość, to w sercu

Lory tak naprawdę tliło się coś jeszcze.

Tego wieczora gospoda Tabard była zamknięta dla pospolitych mieszczan. Stoły, ławy i drewniane zydle ustawiono w szerokim kręgu jeszcze za dnia, łojowe świece i lampy oliwne przymocowane do ścian odpalono równo ze zmierzchem, a nad paleniskiem już jakąś chwilę temu zawieszono żeliwny rożen z nadzianym nań wieprzem. Mimo że lokal zamknięto, w środku panował niepojęty rwetes. Raz po raz rozbrzmiewały krzyki, śmiechy i nawoływania, a odpowiedzialnymi za ten stan rzeczy byli baronowie i najbardziej zasłużeni przestępcy królewskiej gildii, bandyci, którzy tego wieczoru jako jedyni mogli tu przebywać.

Zdawało się, że jedyną osobą zachowującą milczenie i właściwą dla chwili powagę jest William klęczący pośrodku sali. Głowę miał hardo uniesioną do góry, a twarz skupioną. Rozpamiętywał pięć długich lat spędzonych pośród przestępców. Dziwił się sobie, ale czuł podświadomie, że zżył się z tymi zbirami. Edwin, wiecznie niezadowolony malkontent, miękł, gdy tylko napełniło się jego dzban piwem. Zakonnik Samer sprawiał wrażenie psychopatycznego furiata, ale w gruncie rzeczy był flegmatycznym pierdzielem, pełnym kompleksów i fobii. Jan przestrzegał dyscypliny, brzydził się wody i stronił od rozmów, Osbert i Giacomo, świetnie zakamuflowani mordercy, sprawiali wrażenie pospolitych, wręcz zagubionych mieszczan, Nigel, przyjaciel Alarda, był ciężki w rozmowie, bo niczego poza cipami nie widział...

William poznał się na tych zbirach, bo choć z żadnym z nich nie pracował bezpośrednio, to nasłuchiwał się i napatrzył na nich wystarczająco dużo. Miał już prawie osiemnaście lat, z Alardem

i Nigelem nawet raz się upił, a u Jana kiedyś się stołował. Potrafił już pojąć, w jaki sposób bandyci cenią sobie lojalność i czemu gardzą zaufaniem. Potrafił dojrzeć ich ideały, cele, dążenia. Nie bał się jak przed laty. Od jakiegoś czasu Alard nawet mu imponował, i to do tego stopnia, że chciał być taki jak on, twardy i nieustępliwy. Zbir za każdym razem sprawiał wrażenie pana sytuacji i nawet ze swymi przełożonymi rozmawiał jak równy z równym. To podobało się chłopakowi.

Nie czuł żalu, że jego życie potoczyło się w takim kierunku. Może tęsknił za Gilbertem, ale, co ważne, był o niego spokojny, gdyż już jakiś czas temu dowiedział się od Alarda, że chłopak żyje i ma się dobrze. Ponoć zamierzano go szkolić na mordercę gildii. Zajęcie niezbyt chwalebne, wszelako Willi uważał, że jeśli tylko brat będzie stosował się do poleceń swych przełożonych, to z pewnością z czasem stanie się cenionym doborowym przestępcą.

William wierzył, że w gildii zarobi o wiele więcej, niż gdyby przejął zawód ojca. Przecież już teraz, kiedy dopiero wkraczał w zbójckie kręgi, stać go było na zakup nowego przyodziewku. Wydłużane nogawice zapinane do spodniego dubletu, kaftan obszyty wcale nietanią nicią...

William czuł, że rozpiera go duma, i tak po prawdzie miał ku temu powody. Już za chwilę zostanie jednym z bandytów królewskiej gildii. Nie byle kmiotem, który w pojedynkę rzeza na jarmarkach mieszkę, ale złodziejem, który w razie jakiegokolwiek nieszczęścia będzie mógł liczyć na pomoc tych oto zgromadzonych tutaj mężczyzn.

Przy Williamie stał Alard. Przyciągał uwagę chłopaka niecodziennym strojem, bo zwykle paradował w obszarpanych szatach czy schludnych, acz niezbyt wymyślnych kaftanach, a teraz prezentował najprzedniejszą dworską modę. Ściśle dopasowane do kształtu nóg nogawice z doszytymi doń skórzanymi podeszwami, czarny aksamitny dublet zapinany na całej długości grawerowanymi guzami, do tego przy pasie kaletka, dwa mieszkę i sztylet, którego pochwa wyróżniała się posrebrzanym motywem sokoła.

Alard zdawał się promienieć. Z jego zapadłej, kościstej twarzy naznaczonej mrowiem blizn nie schodził szczery uśmiech. Niechybnie miał powody do radości, bo w końcu zrobił z chłopaka godnego

rzezimieszka. William w znakomity sposób zdał egzamin. Błyskawicznie wszedł w posiadanie przedniego rumaka, perfekcyjnie skradł dwa mieszki, choć wystarczyło, by zabrał tylko jeden, i co ważne, z powodzeniem przeszedł test wytrzymałościowy. Mimo ran zdołał uciec przed motłochem i ukryć się tak, by nikt go nie złapał. William był niewątpliwie gotowy do pracy dla gildii. Nie miał zbytniego doświadczenia w praktyce, to oczywiste, ale przecież gildia istniała właśnie po to, aby tego doświadczenia nabył. Złodzieja pracującego w pojedynkę zwykle szybko łapano i swoją karierę kończył on w więzieniu, na wygnaniu bądź na szubienicy, ale z pomocą kamratów jego szanse momentalnie rosły. A William ze swymi zdolnościami mógł stać się jednym z najlepszych rzezimieszków. Alard szczerze w to wierzył i choć nie przyznawał się nawet przed samym sobą, to gdzieś w głębi niemal pozbawionego uczuć serca lubił tego gówniarza.

Ukradkiem rzucił na niego jeszcze jedno spojrzenie, po czym podszedł do szynkwasu i sięgnął po stojący tam kufel piwa. Ostatnie zaprzysiężenie odbyło się bodaj pięć lat temu, ale tak po prawdzie nawet nie pamiętał, co to był za chłopak. A może jakiś starszy facet? Nieważne. Istotne jest to, że będzie zły, naprawdę zły, jeśli ktoś mu zabije Williama. Zbyt dużo włożył w niego wysiłku, by stracić go już teraz. Chłopak znajdzie się pod wodzą Edwina, ale Alard jako książę musi zadbać o jego zlecenia. Willi powinien powoli oswajać się z zawodem, a nie wskakiwać od razu na głęboką wodę. „Cholera!” – zganił samego siebie w duchu, zły, że gówniarz tak go ujmuje.

Wrócił z kuflem piwa do klęczącego Williama i uniósł rękę.
– Zawrzyjcie się! – krzyknął.

Wrzawa powoli cichła. Łotrzykowie przestali zażarcie dyskutować, baronowie zwrócili się w stronę Alarda. Nawet Nigel, nie chcąc, by coś mu umknęło, przegonił z kolan jedną z tutejszych służek.

Zgodnie z tradycją obowiązek zaprzysiężenia spoczywał na szkoleniowcu i w tym wypadku Alard nawet nie wyobrażał sobie, że mogłoby być inaczej. Bandyta westchnął, przypominając sobie moment własnego zaprzysiężenia. Nie chciał jednak przedłużać, toteż przechylił kufel i żwawo wylał trunek na głowę Williama.

– Polewam ci łeb kuflem piwa dobrego[6] – oznajmił z powagą

w głosie – byś przysięgł nam, że nigdy więcej nie pozwolisz na taką zniewagę.

– Przysięgam. – Chcąc zachować godną postawę, William potrząsnął moką głową, lecz zaraz potem Alard wziął zamach i grzmotnął go w szczękę.

– Uderzam cię w gębę – oznajmił stanowczo – byś przysięgł nam, że nigdy więcej nie pozwolisz wyrządzić ci krzywdy.

Chłopak poczuł piekący ból, lecz wytrwał na klęczkach i zamglonym wzrokiem powiódł po zebranych.

– Przy-przysięgam – wydukał.

– Zabieram ci sakwę – Alard zerwał sakiewkę wiszącą u jego paska – byś przysięgł nam, że nigdy więcej nie stracisz tego, co dla gildii pozyskasz.

– Przysięgam.

– I nakazuję ci przysiąc, że sumiennie i wedle zachowanych reguł będziesz dzielił się z gildią tym, co sobie przywłaszczysz.

– Przysięgam.

– Witamy cię, bracie!

– Witaj! – ryknęła cała ferajna. – Witaj! – powtórzyli gromko.

– A teraz – ciągnął dalej Alard – mieszek jest twój. – I rzucił go zamasyście za siebie.

William zrobił kwaśną minę, bo wiedział, że teraz przyszedł ten moment, w którym bandyci będą się wygłupiać i rzucać trzos między sobą, utrudniając tym samym zabranie tego, co mu się zgodnie z tradycją należało.

Sprawa okazała się jednak o wiele bardziej kłopotliwa, pękaty mieszek spadł bowiem nieszczęśliwie na belkę stropową wspierającą krokwie. Bandyci wybuchli gromkim śmiechem, a chłopak zagryzł ze wściekłości wargę. Nawet Alard wyszczerzył w uśmiechu pożółkłe zębiska, gdy tylko odwrócił się i pojął, co się przed chwilą stało.

Główna sala miała częściowo otwarty strop i wysoko nad ziemią majaczył zarys konstrukcji więźby dachowej. Co prawda belka, na której leżał trzos pieniędzy, znajdowała się nieco niżej, bo może z piętnaście stóp nad ziemią, ale i tak bez drabiny czy liny nie sposób było tam się dostać.

- Aleś mu dał! – rzucił ktoś z sali.
- Dalej, mały, bierz, co twoje!
- Podrzucić cię do góry?! – zawtórował ktoś inny.

Alard poklepał młodego po plecach i krzyknął, dusząc się ze śmiechu:

- Zagrajcie chłopakowi i dajcie się napić!

Bandyci w mig postawili ławę na jednym ze stołów, a na niej żwawo zasiadł grajek z lutnią.

Oberżę szybko wypełniły skoczne melodie, śpiew i gromkie krzyki. Jeden z pacholków jął porcjować wieprza, a służki co tchu napełniały kufle mocnym piwem, palonym winem oraz ognistą wodą. Gdy tylko napitki zostały rozdysponowane, na salę wniesiono potrawy. A trzeba wiedzieć, że tego wieczoru bandycka brać miała stołować się iście po królewsku. Poza pieczonym mięsiwem na stołach znalazły się jagnięce pulpety, zakwaszone dorsze, solone śledzie, placki nadziewane jajecznicą, zapiekane sery, a nawet figi, daktyle i ostrygi okraszone płatkami kwiatów.

– Dalej, mały! – niecierpliwił się jeden z bandytów. – Bierz tę sakwę, póki myszy ci jej nie zabrały!

Śpiew w mig zagłuszyła salwa śmiechu, tak że oblicze Williama spurpurowiało ze złości. Szczęściem ktoś podał mu dla animuszu kufel pełen napitku, bo w przeciwnym razie kto wie, czy by się nie spalił ze wstydu. Golnął hardo kilka łyków, skrzywił się i równo z kończącą się przyśpiewką grajka prasnął naczyniem o podłogę. Zagryzł w złości usta, obiecując sobie, że nie zbłąźni się przed kamratami i weźmie tę zasraną sakiewkę. Musiał to zrobić. I nawet nie chodziło w tej chwili o tradycję, ale o fakt, że planował dać ją Hardingowi – właścicielowi feralnego konia. Prawdę mówiąc, nikt mu nie robił z tego powodu wyrzutów i w sumie mógł zabrać te pieniądze zgodnie ze zwyczajem dla siebie, atoli Harding był ojcem Agnes i chłopak w głębi serca przeczuwał, że lepiej mieć z nim dobre relacje. Co prawda Williama nic nie łączyło z jego córką, a jakby tego było mało, dziewczucha w ostatnim czasie bardziej go irytowała niż interesowała, ale widok jej zjawiskowej nagości w Tamizie za jasną cholerę nie mógł opuścić jego myśli.

William związał włosy rzemieniem i zwinnie wskoczył na blat

stołu. W karczmie zrobiło się jakby ciszej. Każdy jął patrzeć z zaciekawieniem, co chłopak robi dalej. Spora część bandytów wbiegła nawet po schodach na antresolę, by z góry śledzić jego poczynania, i nie uszło uwadze Williama, że wśród nich była także Agnes. Stała zaraz przy balustradzie, kokietując wszystkich perlistym uśmiechem.

Rzezimieszek udał, że jej obecność nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia, choć w rzeczywistości z trudem zachowywał obojętność. Bordowa aksamitna suknia kontrastowała z jej kruczoczarnymi włosami, a linia bioder, odsłaniający ramiona dekolt i szelmowski uśmiech sprawiały, że wyglądała oszalamiająco.

– Dalej, koguciku! – rzuciła w jego kierunku dziewczyna. – Pokaż, czyś mocny tak samo w rękach i nogach jak w gębie!

Will zacisnął pięści.

– Tylko się nie połam! – krzyknął kamrat ze środka sali.

– Chcesz schody? – spytał ktoś inny. I nie czekając na odzew, rzucił z impetem dwoma nożami, tak że wbiły się w jeden ze słupów podpierających więźbę.

Towarzysze ryknęli śmiechem, William zaś puścił mimo uszu głupie docinki. W tych dwóch sztyletach istotnie dojrzał jakąś szansę. Jeśli tylko wbiły się dostatecznie głęboko...

Zaczął biec. Z lekkością przeskakiwał między stołami, wskoczył na szynkwę, potem na ławę, na której siedział grajek, i stawiając wszystko na jedną kartę, rzucił się w kierunku wbitych w belkę noży. Wiedział, że musi wylądować na nich lekko, z wyczuciem, bo w przeciwnym razie ku radości zebranych spadnie na ziemię. Odbił się czubkami palców od jednej rękojeści, następnie od drugiej i w okamgnieniu chwycił się belki łączącej płatek ze słupem. Przez salę przeszedł pomruk niedowierzania, na co William nie zwracał najmniejszej uwagi. Wsparł nogi o ścianę, zacisnął zęby i z całych sił wybił się tak, by po chwili złapać się belki stropowej, na której leżał mieszek. Mógł spróbować się podciągnąć, by na niej stanąć, ale nie czuł takiej potrzeby, więc bez pośpiechu jął przesuwać się nad zebranymi kamratami w kierunku mieszkania. Sprawę uważał za załatwioną i nawet bandyci z dołu zaczęli mu już gratulować.

Agnes stała na antresoli, która znajdowała się na podobnej wysokości kilka jardów od belki. Widok miała bardzo dobry, atoli

zaaferowana wyczynami Williama kucnęła przy barierce. Spotkała się wzrokiem ze sprytnym łotrzykiem. Nawet posłała mu niewinny uśmiech, wszelako w chwili kiedy William był już naprzeciw niej, prawie na wyciągnięcie ręki od trzosa, jęła rozchyłać powoli nogi.

William zatrzymał się, bo jego wzrok znalazł się na wysokości tego, co mężczyźnie przecież trudno ot tak zignorować. Przełknął ślinę i jął z pożądaniem wbijać wzrok pod spódnicę. Agnes za to nieśpiesznie, acz konsekwentnie nadal rozchyłała uda. William zniewolony tym niecodziennym widokiem nie dostrzegł jej iskrzących oczu ni lekko zmarszczonego ze śmiechu noska. Serce waliło mu jak oszalałe, żar uderzał do głowy, aż poczuł duszności, a nogawica przy kroczu napięła się tak, że zaczęło mu być niewygodnie. Co prawda do tego wszystkiego coraz bardziej bolały go ręce, ale w tej sytuacji to była przecież tak niewiele znacząca bzdura, że nawet nie myślał tym się przejmować.

Zaczerpnął powietrza, bo resztkami świadomości zmiarkował, że już dłuższą chwilę w ogóle nie oddycha. Na dole podniosła się wrzawa, ale chłopak nie odrywał wzroku od tego, co widział. Gładka skóra na udach Agnes mieniła się zniewalającą bielą, a dalej i głębiej cień z wolna ustępował, odsłaniając przed chłopakiem to, co tak bardzo chciał dojrzeć. I już, już miał to zobaczyć, kiedy nagły ból przeszył jego barki, ramiona i dłonie. Świadomość, że oto właśnie traci siły, wróciła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, Sapnął, stęknął, nawet się podciągnął, ale obolałe ręce przegrały z ciężarem i William runął prosto na kotłujących się w dole bandytów.

Zebrani w karczmie jak jeden mąż ryknęli gromkim śmiechem, a Agnes – William mógłby przysiąc, że widział to, gramoląc się ze stołu – wstała, wygładziła spódnicę i mrugnęła w jego kierunku powieką.

Alard błyskawicznie podbiegł do chłopaka.

– Wstyd – syknął mu do ucha. – Wstyd! – dodał nieco głośniej, by przekrzyczeć niepohamowany śmiech bandytów. – Jak mogłeś tak spierdolić sprawę?

William spuścił głowę. Zły był jak diabli, że tak się dał ogłupić.

– Tyle treningów, tyle szkoleń i taki, kurwa, banał spierdolić! – złościł się bandyta. – Jeszcze bym zrozumiał, gdybyś nie wybił się z tych sztyletów, ale to?

– Łatwo ci mówić.

– Pewnie, kurwa, że łatwo mi mówić – zachnął się Alard, choć zrobił to ściszone głośnie, tak by reszta braci nie słyszała słów reprimendy. – Wystarczyło, byś wyciągnął przed siebie rękę.

– Zabrakło mi sił...

– Rozumu ci zabrakło – skwitował bandyta. – Wstyd i tyle.

– Żaden wstyd – uniósł się William. – To przez Agnes się rozkojarzyłem.

Alard zrobił wielkie oczy, bo faktycznie w pewnym momencie zwrócił uwagę na kucającą przy antresoli Agnes.

– Niech zgadnę... – zaczął, krzyżując ręce na piersi. – Pokazała ci coś?

William pokiwał głową i spojrzał oskarżycielskim wzrokiem w kierunku antresoli.

– I co ci pokazała? – dopytywał Alard, sam już nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy złościć.

William wzruszył ramionami.

– Nie chcę o tym gadać – warknął.

– Musiała mieć coś zajmującego. Niech zgadnę... Pokazała ci święty łeb miłościwie nam panującego Edwarda? Truchło szeryfa?... A może miała ze sobą Świętego Graala?

– Daj mi spokój...

– No chyba nie powiesz mi, że pokazała ci cipę? Skąd by się u niej wzięła, co, Willi?

Siedzący nieopodal bandyci musieli to chyba usłyszeć, bo ryknęli śmiechem, aż chłopak drgnął. Na szczęście grajek zaczął nową przyśpiewkę i temat Williama poszedł w odstawkę.

Wzburzony młodzieniec zostawił rechoczącego bez przerwy Alarda, podszedł do szynkwasy i przywołał dwójkę sługusów uwijających się za ladą. Chudzielec odszedł z tacą zapełnioną plastrami wieprza, ale brodaty grubas w poplamionym fartuchu zwrócił się do chłopaka:

– Czego ci trzeba?

– Piwa – warknął William. – Byle chyżo i bez ociągania.

Mężczyzna zmierzył gówniarza wzrokiem. Był właścicielem tego

przybytku i przyzwyczał się do opryskliwego zachowania klienteli, wszelako prostactwo takich gołowąsów i brak jakiegokolwiek respektu wobec starszych mocno go irytowały. Jako troskliwy ojciec chcąc nie chcąc zwracał na to uwagę. Z drugiej jednak strony, obracał się w kręgu wszelkiej maści zbirów i niegodziwców, bo poza prowadzeniem karczmy sprawował zaszczytną funkcję hrabiego złodziei. Hardingowi przeszło przez myśl, czy nie chlasnąć gówniarza w gębę, by ostudzić w nim emocje i sprowadzić go na ziemię, ale koniec końców zdecydował się nie reagować na jego butne zachowanie. Bądź co bądź, to jego wieczór, toteż sięgnął po kufel i jął go napełniać.

William w tym czasie przyglądał się dwójce bandytów, którzy nieporadnie próbowali wspiąć się po słupie na górę. Widząc ich godne pożałowania starania, był pewny, że nigdy im się nie uda. Jednakże w chwilę później zauważył, jak po schodach prowadzących na antresolę biegnie kilku rzezimieszków z długą na co najmniej dziesięć stóp deską. Zaintrygowany obserwował, jak wspierają ją o barierkę i wysuwają w kierunku belki stropowej. Deska okazała się zdecydowanie za krótka i sporo jeszcze jej brakowało, ale gdyby ktoś wybił się z jej końca naprawdę wysoko, mogłoby się udać.

Bandyci zaczęli kłócić się o to, kto ma wejść na deskę, ktoś nawet zawołał, by przynieść im linę. William ani myślał czekać, aż któryś z szubrawców zabierze to, co należy się jemu. Zostawił karczmarza, minął grupkę żywo gestykujących opryszków i ruszył jak strzała w kierunku schodów.

– Spójrzcie! – krzyknął któryś z siedzących bandytów.

– To ten młody!

William wbiegł chyżo po schodach, sunąc co trzeci stopień. Nie zatrzymał się ani na moment, w mgnieniu oka dopadł bandytów i korzystając z okazji, że jeden z nich trzymał bez przerwy wysuniętą deskę, wbiegł na nią, modląc się, by nieznajomy nie wypuścił jej przypadkiem z ręki. Przebierając zwinnie niczym lis nogami, miękko, acz zdecydowanie wybił się na jej końcu najmocniej, jak tylko potrafił. Bandyta nie utrzymał deski i ta z hukiem zleciała na dół, ale co ważne, William zdążył się odbić i poszybował do góry.

Ani myślał chwytać się belki. Nie było takiej potrzeby. Zręcznie

sięgnął po mieszek, po czym pewnie wylądował, koziółkując na stole.

Karczma eksplodowała gromkimi wiwatami, a William chyżo wstał, unosząc wysoko pękaty trzos pieniędzy. W końcu pokłonił się, zeskoczył na ziemię i z zawadiackim uśmiechem podbiegł do szynkwasu.

Harding z niedowierzaniem kręcił głową, bez przerwy klaskając w dłonie.

– Wspaniałe przedstawienie! – chwalił go na całe gardło. –
Wspaniałe!

– E tam. – William machnął ręką i za jednym zamachem opróżnił pół kufła. – Gdyby nie ta głupia cipa – poskarżył się, oblizując górną wargę – już za pierwszym razem zabrałbym ten mieszek.

– Kogo masz na myśli?

– Niech to cię nie trapi, grubasie.

Oberżysta przeklął pod nosem, bo nie lubił, gdy ktoś go tak przezywał. Może miał trochę tuszy, bo lubił kucharzyć i podjąć co nieco, ale żeby od razu nazywać go grubasem? Zdecydował się jednak nie wzniesać awantury i przemyślenia zostawić dla siebie.

William za to przyjrzał się dokładniej pracownikowi karczmy. Śniada gęba była głupia i pyskata, ale ponadto charakteryzowała się głęboko osadzonymi oczami, gęstymi brwiami i smolistą brodą. Chłop wyglądał na jakieś czterdzieści, może pięćdziesiąt lat i był wielki, barczysty, zdecydowanie bardziej tłusty niż umięśniony. Nazwanie go grubasem z pewnością nie było na wyrost, bo fartuch opinał jego kałdun aż do granic wytrzymałości. Odślonięte ręce i górny fragment torsu tak gęsto porastała czarna szczecina, że chłopak złapał się na myśli, jak on może wytrzymać z tym futrem w letnie upały.

– Pracujesz tu – oznajmił w pewnej chwili, wspierając łokieć o ladę – więc z pewnością znasz właściciela tego przybytku, niejakiego Hardinga. Możesz mi wskazać, który to jegomość?

Zarośniętą twarz oberżysty wykrzywił krótki, przebiegły uśmiech.

– A na co ci Harding? – spytał, marszcząc brwi.

– Widzę, że lubisz wtykać ten parchaty nochal w nie swoje sprawy – mruknął William.

– Wybacz me zainteresowanie – rzekł uniżenie oberżysta – lecz

ciekaw jestem, jaką też sprawę może mieć łotrzyk o tak niesamowitych umiejętnościach... jak pan.

William westchnął, przyjmując przeprosiny. Nie był zbyt rozdrażniony zachowaniem sługusa, wszelako od dzisiaj był prawowitym członkiem królewskiej gildii, więc chciał, aby motłoch wiedział, że od tej pory nie da sobie ot tak dmuchać w kaszę.

– Żeby cię tylko zazdrość nie zżarła, grubasie – ostrzegł chłopak, grożąc palcem. – Wiedz, że chciałbym mu wręczyć pieniądze, których ty pewnie i za kwartał byś nie zarobił.

William z rozmachem rzucił na ladę mieszek, który nie tak dawno ściągnął ze stropowej belki, wszelako udając znużenie tematem, powiódł obojętnym wzrokiem po karczmie.

– O! – krzyknął zaciekawiony i tak po prawdzie już szczerze rozbawiony Harding. – A czemu chcesz mu dać tyle pieniędzy?

– To już nie twoja sprawa.

– Chciałbyś coś od niego kupić?

– Widzę, że właściciel nie nauczył cię za grosz posłuchu. Zawrzyj się już lepiej i polej jeszcze jeden kufel.

– Zrobiłeś coś nie po jego myśli? – ciągnął w udawanej zadumie oberżysta. – A może chciałbyś go przeprosić?

Serce Williama zabiło szybciej.

– Co masz na myśli? – spytał, nachyliwszy się ku niemu.

– Może to, że zawracasz głowę jego córce? A może to, że ukradłeś jej konia?

William zdębiał, wybałuszając oczy.

– Skąd o tym wiesz?

Harding ciężko westchnął, odłożył ścierkę i wsparł tęgie łapy o blat szynkwasu.

– Jesteś głupi i masz zbyt dobre serce – powiedział, wpatrując się w jego oczy. – A te przymioty niestety gryzą się z fachem złodzieja.

Will przełknął z zakłopotaniem ślinę, bo pojął, że Harding stoi oto przed nim cały czas. Ale skąd, do cholery, mógł o tym wiedzieć? Tyle się nasłuchał o tym Hardingu, bezwzględnym siepaczu, że nawet przez myśl mu nie przeszło, by taki facet mógł mitrzyć czas za ladą i usługiwać innym.

– Prze... przepra...

Harding uniósł rękę.

– Nic już lepiej nie mów, bo twój język niczego dobrego nie przynosi.

Chłopak spuścił głowę.

– I jeszcze jedno – ciągnął mężczyzna. – Nie jestem gruby. Nie lubię, gdy ktoś tak zwraca się do mnie. Mam trochę tuszy, ale nie jestem gruby.

– Nie, skąd – oburzył się łotrzyk. – Natu... – Zamilkł, bo znów zauważył uniesioną rękę.

Nagle z zaplecza wyszła Agnes i nie odrywając wzroku od Williama, cmoknęła brodacza w policzek.

– Idę na zewnątrz, tatku. Za chwilę będę.

William z na wpół otwartymi ustami odprowadził wzrokiem jej tańczące biodra i z powrotem zwrócił spojrzenie na Hardinga. Grymas na jego twarzy sprawił, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko przełknąć ślinę.

– Nawet o niej nie myśl – warknął mężczyzna.

– Ja... nic... ja...

– Widziałem, jak płąsały ci oczy, więc nic lepiej nie mów.

Chłopak pokiwał bezwiednie głową, po czym wydukał:

– Proszę to przyjąć...

– Co?

– No, mieszek.

Oberżysta wzruszył ramionami, jakby nie wiedział, o co chodzi, William zaś popatrzył na ladę i zamarł.

– O ta... – warknął wkurzony. – O ta...

– Co?

William nie odpowiedział. Cofnął się, pokręcił głową z niedowierzaniem i gdy tylko wróciła mu świadomość, wybiegł co tchu na zewnątrz.

Noc była ciemna, wszelako oszklone okna tawerny pomimo grubej warstwy brudu przepuszczały nieco światła. Dojrzał dziewczuchę kilka jardów dalej. Była sama i kierowała się na tyły karczmy, pewnikiem do studni albo do ogródka, gdzie planowała schować jego pieniądze. Zdusił

cisnące się na usta przekleństwo i przyśpieszył kroku. Był ostrożny, bo wiedział, że z tą piekielnicą lepiej uważać.

Dogonił ją jeszcze przy karczmie i złapał za rękę.

– Oddawaj – warknął.

Agnes odwróciła się tak energicznie, że jej kruczoczarne włosy aż smagnęły młodego po twarzy.

– O co ci chodzi? Zostaw mnie!

– Oddawaj!

– Ale co?

William rzucił jej karcące spojrzenie.

– Wiesz dobrze, co. Moją sakiewkę.

– Nie mam żadnej twojej sakiewki... A teraz mnie puść!

Chłopak jednak nie zwolnił uścisku. Rozzłoszczony na dobre, zacisnął usta i chwycił ją w pasie drugą ręką.

– Gdzie ją masz? – spytał, macając jej talię, brzuch, następnie biodra i...

Agnes nie zastanawiała się dłużej. Wzięła zamach i rąbnęła natręta w gębę. Pierścionek z grawerunkiem poroża, który nosiła na serdecznym palcu, wpił się w policzek chłopaka, pozostawiając głęboką bruzdę.

Trysnęła krew, a William puścił dziewczynę i chwycił się za twarz, krzycząc:

– Co jest z tobą nie tak, kobieto?!

– Ze mną? – Agnes podparła się pod boki i przestąpiła z nogi na nogę. – To ty zaczepiasz baby po nocach! To ty je podglądasz i może jeszcze gwałcisz!

– Ni-nikogo nie gwałcę, kretynko! Rozcięłaś mi twarz! Popatrz, jak krwawię!

Agnes nachyliła się ku łotrzykowi, bo faktycznie krwawił, i to obficie.

– Nie trzeba było mnie macać! – rzuciła wzburzona.

– Nie macałem cię, tylko szukałem tego, co moje. Kurwa, skąd tyle krwi?

Dziewczyna fuknęła i pociągnęła Williama w kierunku okna, by w lepszym świetle przyjrzeć się ranie.

– Pokaż mi.

- Mam gdzieś twoją litość.
- Zawrzyj się już i pokaż mi to.

Okno było z rogowej szyby, do tego brudne i okopcone, więc trudno było przez nie dojrzeć choćby kontury bawiących się w karczmie postaci, ale przepuszczało światła na tyle dużo, by już na pierwszy rzut oka zauważyć, że po ranie jak nic pozostanie szpetna blizna.

– Nie wzięłam ci tej sakwy – bąknęła, bo trochę żal jej się zrobiło chłopaka. – To pewnie...

– Twój ojciec – dokończył za nią William, cedząc słowa w złości. Wstyd mu było, że dał się tak oszukać.

Dziewczyna potaknęła, nawet oblała się lekkim rumieńcem i bez słowa jeszcze raz nachyliła się w kierunku twarzy Williama. Jej smukła dłoń dotknęła jego podbródka, a zapach olejków, jakimi była przesiąknięta jej skóra i włosy, obudziły w Williamie pożądanie, którego mimo szczerych chęci nie mógł w sobie stłumić. Złościł się, bo nie wiedział, cóż takiego ma w sobie ta dziewczucha, że tak na niego działa. Krew uderzyła mu do głowy i jęła gorzeć, odbierając resztki zdrowego rozsądku.

– Ładnie pachniesz. – William nawet nie był pewien, czy to powiedział, czy tylko pomyślał. Najważniejsze, że Agnes nie dała po sobie niczego poznać, nie zezłościła się ani nie stropiła. Wyjęła chustkę zza paska i jęła ścierać krew z jego twarzy.

„Boże, jak ona pachnie” – rozmyślał. Przybliżył się nieznacznie ku niej i wdychając ten aromat, jał wodzić wzrokiem po delikatnych rysach jej twarzy. Przełknął ślinę, łudząc się, że wraz z nią pozbędzie się tej uciążliwej chuci, która z każdym oddechem narastała w nim coraz bardziej. Niestety, wszystko na nic. Chrząknął, potrząsnął głową...

- Nie wierć się.
- Przepraszam – szepnął. – Przepraszam za tę sakwę... i... i za konia.

Agnes uniosła głowę, obdarzyła go tym swoim urokliwym uśmiechem i wróciła do oczyszczania rany.

– Uważasz, że mnie nie należą się przeprosiny? – spytał po krótkiej chwili milczenia. – Na przykład wtedy, gdy wisiałem na belce?

- A cóż ja wtedy...

William nie wytrzymał ani chwili dłużej. Wpił się w jej usta mocno, namiętnie. Nie chciał słuchać jej wyjaśnień. Chciał wreszcie zaspokoić zmysły, ugasić ten płomień, który – świadomie czy nie – ona w nim rozpałała. Agnes za to uniosła rękę, bo poprzedni cios niewiele nauczył chłopaka, niemniej zatrzymała ją w połowie drogi i bezwiednie opuściła. Serce zabiło jej dwa razy szybciej, żołądek ścisnął się z nadmiaru emocji, a nogi zadrżały od stóp aż po biodra. Na wpół odurzona zarzuciła ręce na jego kark, zanurzyła palce we włosach i pełna zapachu odwzajemniła pocałunek. William nie zamierzał przestawać. Nie umiał całować, nigdy tego nie robił, ale w tej chwili nawet o tym nie myślał. Chciał tylko, by rozkosz, jakiej doznawał, nigdy się nie skończyła. Pragnął, by ona czuła podobnie.

Drzwi karczmy rozwarły się nagle i wyszedł z niej Harding.

– Agnes!?! – krzyknął.

Młodzi momentalnie oderwali się od siebie. Ciężko oddychali, nie wiedzieli, gdzie podziać ręce, a spojrzenia mieli tak zagubione i rozbiegane, że uważniejszemu obserwatorowi powiedziałyby wszystko. Niestety, Harding do takich obserwatorów należał... Ale że było dość ciemno...

– Agnes, wszystko w porządku?

– Tak, tatku! – odpowiedziała, z trudem łapiąc oddech. – Tu jestem!

– Panie Harding, my tylko...

Karczmarz uniósł rękę, choć był jeszcze parę kroków od nich.

– Mówiłem ci już, że twój język niczego dobrego nie przynosi.

Dziewczyna oblała się pąsem, bo chyba miała zupełnie odmienne zdanie.

– Co wy tu robicie?

– Szłam po kolendrę...

– A dlaczego on krwawi?

– Zadrapał się, tatku. – Agnes w okamgnieniu podniosła z ziemi szmatkę, która spadła jej nawet nie wiadomo kiedy, i jęła nerwowo wycierać mu policzek.

Hardingowi trudno było odgadnąć, skąd Willi miał tę ranę, ale jeśli faktycznie zadrapał się, to chyba musiał to zrobić widłami. Poza tym

chłop swoje już przeżył i widział po nich, że przyłapał ich na czymś niestosownym. Ani chybi mizdrzyli się do siebie, a jedyne, czego nie można być pewnym, to kto rozdał karty tego francowatego rozdania. Harding znał wystarczająco dobrze temperament swojej córki, by wiedzieć, do czego jest zdolna. Młodemu z pewnością ktoś przyrznął w gębę, ale jeśli zrobiła to Agnes, to czemu, do cholery, teraz tak troskliwie go opatrywała?

Hardingowi nie w smak było zadawanie się Agnes z pielgrzymami – przestępcami o najniższym statusie w królewskiej gildii. Wiedział, że dziewczyna jest skazana na obcowanie z nimi, ale dlaczego, u licha, nie mogła interesować się synem Edwina, Osberta czy Paula. Do cholery, przecież ten ostatni nie dość, że miał ziemię, to jeszcze szczyił się wysokim pokrewieństwem z kimś z Portugalii! Zresztą, koniec końców Agnes i tak będzie musiała związać się z którymś z nich. Zasady dotyczące związków były przestrzegane w królewskiej gildii i jakiegokolwiek sprzeciwu czy odstępstwa nie były tolerowane.

Jeśli córka złodzieja wychodziła za męża, to wszyscy członkowie złodziejskiej kasty składali się na jej posag. Warunkiem było to, że para składająca sobie przysięgę małżeńską miała pochodzić z tej samej kasty i reprezentować podobną profesję. Córka kieszonkowca mogła wyjść tylko za kieszonkowca, a żebrak tylko za żebraczkę. Oczywiście jeśli ktoś chciał poślubić osobę o wyższym statusie w gildii, mógł to zrobić, ale winien był wręczyć jej posag dziesięciokrotnie wyższy od zakładanego, a czasem nawet i jeszcze większy. Mało kogo było stać na coś takiego, ale ta zasada pozwalała przynajmniej zachować równowagę przy podziale łupów w każdej z kast.

Harding przypuszczał, że znajomość Agnes z Williamem to najprawdopodobniej błahostka, ale kto wie, co może z tego wyniknąć. Gówniarz pomimo swoich zdolności jest nikim. To głupi, pyskaty chłopak i chyba tylko odwagi nie można mu odmówić. Zaczepiał dziewczynę nawet wtedy, gdy był żebrakiem, a to przecież wyraźnie zabronione. Harding niczego z tym wówczas nie robił dla świętego spokoju. Agnes miała ciężki charakter, była porywcza i zawzięta nie mniej niż jej świętej pamięci matka. O ironio, choć bandyta potrafił trzymać za gębę większość podległych sobie niegodziwców, to w domu

z tą smarkulą ledwie sobie radził. Harding zdecydował, że i teraz nie będzie stawał okoniem, bo takie zachowanie mogłoby przynieść skutek przeciwny do zamierzonego. Nie pozostawi tego bez komentarza, swoje będą musieli wysłuchać, ale ta cała ich znajomość to prawdopodobnie chwilowe zauroczenie, które szybko im przejdzie.

– Zostaw go – warknął Harding, gdyż miał już dość przyglądania się, jak jego córka wyciera krew z twarzy Williama. – Nie z takimi ranami będzie musiał sobie radzić.

– Dobrze, tatusiu.

– I idź do środka, bo wieje już chłodem.

William chciał ruszyć za nią, lecz mężczyzna zatrzymał go, chwytając za ramię.

– Ty zostajesz – powiedział.

Gdy dziewczyna znikła za drzwiami oberży, mężczyzna przybliżył się ku młodemu i wycodził przez zęby:

– Powiem to tylko raz, chłopcze. Zostaw ją w spokoju. Dobrze ci radzę.

Po plecach Williama przebiegł dreszcz, wszelako gdy tylko Harding odsunął się od niego, nabrał odwagi i mruknął półgębkiem:

– Nie mogę, panie Harding.

Karczmarz był już zwrócony do niego tyłem. Sprzeciw gówniarza poraził go do tego stopnia, że aż stanął jak wryty. Kwestia relacji jego córki zeszła w tej chwili nawet na dalszy plan. Problemem stał się fakt, że młodzian miał czelność sprzeciwić się woli przełożonego.

Harding doskoczył do Williama niczym rozwścieczony buhaj, chwycił go za fraki i uniósł nad ziemię.

– Coś ty powiedział?! – ryknął, uderzając nim o ścianę karczmy. – Chcesz zaleźć mi za skórę i skończyć na dnie Tamizy? Powtórz, kurwa, co powiedziałeś, bo zdaje mi się, że ten wieczór uszkodził mi słuch albo tobie język!

– Nie chcę jej zostawiać, panie Harding.

Karczmarz ponownie z impetem uderzył nim o ścianę budynku, w okamgnieniu wyjął puginał długi na ponad dziesięć cali i przyłożył mu go do gardła.

– Zostawisz ją czy mam cię oprawić jak wieprza? – spytał z tak

bliska, że William aż poczuł jego ciepły, zaprawiony chmielem oddech.

– O... ona mnie lubi, panie Harding.

Bandyta otworzył ze zdumienia usta. Za cholerę nie mógł odgadnąć, czego ten szczeniak próbuje teraz dowieść.

– Jesteś aż tak głupi? Chcesz, bym cię zabił?

– Chcę być szczery wobec pana, panie Harding – wydusił z trudem William. – Szczery i lojalny.

Harding prychnął. Nerwowym gestem pogładził swą smolistą brodę.

– Ja miłuję pana córkę – ciągnął dalej z trudem łotrzyk. –

I obiecuję, że żadna krzywda z mojej strony jej nie grozi. Pro-proszę pozwolić nam się spotykać.

Karczmarz wydał zarośnięte wąsiskami usta. Mruknął pod nosem paskudne przekleństwo, bo zły był na siebie, że niepotrzebnie dał się sprowokować. Will nieźle rokował w złodziejskiej sztuce i prawdę mówiąc, szkoda byłoby go zabijać. Cholera, cokolwiek by teraz zrobił, to i tak będzie źle.

– Agnes nie chce się z tobą zadawać – zaryzykował – więc na nic twoje starania.

– Jeśli taka będzie jej wola, więcej mnie nie zobaczy.

– Ona ma tu tyle do gadania, co ci leżący na dnie Tamizy – warknął Harding, choć świadom był, że kłamie. Z pewnością to jego pobożne życzenie, by córka za każdym razem spełniała jego wolę – wszak tak funkcjonowały rodziny w całej Anglii – ale na życzeniach, niestety, się kończyło. Matka rozpieściła gówniarę i trudno się dziwić, że teraz były z nią same kłopoty. Kto wie, może jeszcze dałoby się naprawić jej krnąbrny charakter. Samer, jako kamrat i zakonnik, został kiedyś wtajemniczony w jego wychowawcze trudności i zapewniał, że są na to sprawdzone metody, ale Harding nie miał jakoś serca, by głodzić babę i chlastać ją rzemieniami.

– Będę miał cię na oku, chłopcze – obwieścił, grożąc palcem. – Na tę chwilę zezwalam ci widywać się z Agnes, ale zastępy wszystkich archaniołów są mi świadkami, że jeśli zrobisz coś głupiego, ja będę ostatnią osobą, którą zechcesz spotkać. Rozumiesz mnie?

– Tak, panie Harding. Naprawdę nie chciałbym, żeby...

Karczmarz uciszył go już kolejny raz gestem uniesionej ręki. Chłopak momentalnie zamknął się i wtulił głowę w ramiona. Cholera, jak na złość szczeniaka, gdy tylko chciał, potrafił urzekać uległością. Gówniarz miał coś takiego w sobie, że dawał się lubić. Nawet w chwilach takich jak ta.

– Wiesz, że za dużo gadasz?

– Alard też mi zawsze... Ach, uniesiona ręka, no tak. Rozumiem...

Karczmarz westchnął.

– Podoba mi się, że chcesz być wobec mnie szczery – przyznał, choć długo się wahał, czy mówić mu o tym. – Cenię to u kompanów, a dziś... jak by nie było, złożyłeś nam wszystkim zaprzysiężenie. Myślę, że źle zaczęliśmy obaj..., choć ty zacząłeś pierwszy z tym całym grubasem...

– Ja nie... No tak, ręka...

– Wierz mi lub nie, ale znalazłem na ladzie pękaty trzos i postawiłem przed chwilą beczułkę przedniej palonej gorzały dla wszystkich kamratów. Możesz wejść do środka i schlać jeszcze gębę.

Williamowi zaiskrzyły się oczy. Rozpromieniony uniósł głowę i ruszył w ślad za karczmarzem, ciesząc się, że wszystko dobrze się skończyło.

Nieopodal wejścia do karczmy, za gęstym krzewem głogu kuliła się postać, której daleko było do szczęścia. To Lora, która zakradła się pod tawernę już jakiś czas temu, łudząc się, że będzie mogła podglądać zaprzysiężenie Williama. Przygnębiona tym, co przed chwilą widziała, wstała z klęczek i dręczona tuzinem myśli poszła w kierunku portowych magazynów.

Edwin siedział przy stole z głową pochyloną nad miską pełną leczniczej mieszanki. Wdychał ją już od jakiegoś czasu, a jej głównymi składnikami były ugotowane łajno oraz pokrojona w kostkę cebula. Niestety, uporczywy katar gnębił go już drugi dzień i bandyta powoli tracił wiarę w niezawodność tego uzdrawiającego specyfiku. W ogóle nie czuł woni, był pozbawiony apetytu, a we łbie łupało go, jakby dzień wcześniej wypił galon wina.

Skrzywił się, bo przyłapał się na refleksji, że przez wczorajszy dzień istotnie wypił z galon wina, ale przedwczoraj i trzy dni temu również zebrałaby się taka miara. W końcu dzień z natury bożej krótki nie bywa i należy czymś wypełniać nadmiar wolnego czasu. Niemniej, trudno było mu uwierzyć w to, żeby dokuczliwy ból głowy, mięśni i kości mógł wynikać z opilstwa. Zbyt dużo w życiu wyżłopał wysokowych trunków, by tak właśnie myśleć. Ani chybi na jego życie targnęły się demony i kto wie, czy łajna z cebulą nie będzie trzeba zastąpić wizytą u księdza.

Edwin dawno nie czuł się tak podle. A już na pewno nigdy z powodu opilstwa. Nie wyłączając, rzecz jasna, pamiętnej wypitki sprzed czterech laty. Zaraz, zaraz... z kim to on wtedy dał tak do wiwatu? To było chyba oblewanie śmierci szeryfa... Zamyślony, nie zdążył dojść do jakichkolwiek konkretnych wniosków, kiedy to usłyszał tak donośny łomot w odrzwia, że zdawało się, iż sufit spada mu na głowę.

– Wejść – warknął, chwytając się za skronie.

W progu pojawił się nabity osiłek z nieliczymi brakami w uzębieniu, o oczkach malutkich jak u prosiaka. Nigdy nie miał

wyczucia w tych swoich tęgich łapach.

– Przyszedł Michael – obwieścił niskim, chropowatym głosem.

Edwin westchnął, bo jeszcze tego mu brakowało. Michael był tej nocy z Williamem na winobranii, znaczący się na akcji rabunkowej. I było to pierwsze poważniejsze zadanie nowo zaprzysiężonego łotrzyka. Rzezimieszki nie mieli łatwego zadania, bowiem w środku nocy w centrum Londynu, nieopodal Eastcheap, czyścili dom jednego ze stolarzy. Dzisiejsza wizyta bandyty z pewnością nie zapowiadała niczego dobrego. Edwin przestrzegł swoich ludzi, że nie przyjmie dziś nikogo, chyba że będzie się działo coś katastrofalnego, na przykład Londyn stanie w płomieniach. Ale spoglądając przez uchyloną okiennicę, nie widział, aby jasne światło poranka przesłaniał jakiś smog, dym bądź jezory ognia.

– Wchodź, Michael, wchodź – ponaglił nieśmiałego pielgrzyma.

Kościsty i długi jak tyczka rzezimieszek przecisnął się przez drzwi, których sporą część zajmował osiłek.

– Możesz iść, Bert. No, co się dzieje? – spytał Edwin, siląc się na przyjazny ton. Nie przepadał za Michaeliem, bo choć facet znał się na fachu, to... jak by to powiedzieć... był dosyć topornego usposobienia.

Chudzielec tymczasem odprowadził wzrokiem odźwiernego i wpatrzył się w podłogę. Dłuższą chwilę miętosił w rękach czapkę, aż wreszcie zebrał się na odwagę i bąknął:

– William, panie.

– Co z nim?

– Umoczył, kurwa, dupę tej nocy.

W Edwinie aż się zagotowało, bo gówniarz dopiero co został zaprzysiężony, a już pojawiły się jakieś problemy. – Dupę umoczył? Mów, co się stało!

– No bo ten... zbieraliśmy fanty, kurwa...

– Do rzeczy.

– I jakby to rzec... kurwa... no baba się tam obudziła.

– Jaka znowu baba? – ożywił się hrabia. – Przecież dom miał być pusty!

– Otóż, kurwa, właśnie... że nie był.

Edwin zapamiętał sobie, że będzie musiał wziąć na spytki

szpiegów i „aniołów” odpowiedzialnych za przygotowanie tego zadania.

– No dobrze, i co z nią było? – zapytał wreszcie.

– Nooo, gębę drzeć zaczęła, kurwa, jak to baba... To... to Will, panie, zamiast ją, kurwa, przeszyć, to jeno zaczął ją, kurwa, uciszać. I no ten... rzekłbym, że dosyć tak, kurwa, nieporadnie.

– I co potem?

– No nic. Byłem nieopodał, to przytomnie skorzystałem z noża, ale ile się, panie, strachu najadłem, to, kurwa, moje.

– Nie może być – wycedził Edwin, bo aż trudno mu było w to wszystko uwierzyć. W końcu machnął ręką na Michaela, by wyszedł z komnaty. Nie chciał już słyszeć ani słowa więcej.

Nerwy brały górę, zaczął więc wodzić wzrokiem po meblach za krużką wina, którą gdzieś tutaj postawił, ale jak na złość nigdzie nie mógł jej dostrzec. Zły na cały świat splunął na podłogę i podrapał się po swędzących jajach. Z pewnością będzie musiał przeprowadzić poważną rozmowę z Williamem, ale Alard też powinien o wszystkim się dowiedzieć. Szkolił gówniarza, to może będzie wiedział, skąd wzięło się to niedopuszczalne zachowanie łotrzyka. Złodzieje co prawda nie byli od zabijania, ale przecież w tak krytycznych sytuacjach nie mieli prawa wahać się przed wyciągnięciem noża! Temat wydawał się o tyle istotny, że to było pierwsze zadanie Williama i kto wie, co wymyśli następnym razem.

Dobrze się składało, że Alard i tak miał dziś przyjść do niego, by omówić kwestie nieznanych szulerów, których ostatnio coraz więcej gromadziło się po tawernach. Sprawa zdawała się o tyle poważna, że gildia odczuwała coraz mniejszy wzrost przychodów i nie do pomyslenia byłoby oddać pole obcym darmozjadom. W dodatku ten zasraniec, król Edward III, przez zadłużenie z wojny ze Szkotami już któryś raz z kolei podniósł w tym roku podatki i trudno było wierzyć w to, że będzie, kurwa, ot tak kolorowo. Włodarz w swojej wspaniałomyślności zgodził się nie pobierać opłat od tych, których domy były warte mniej niż dziesięć szylingów. W Edwinie gotowało się na samą myśl o tym, bo co to musiałyby być, cholera, za dom.

Rozmowa o finansach zdawała się kwestią nadrzędną, wszelako nie można było bagatelizować problemu, z jakim przyszedł do niego przed

chwilą Michael. Edwin zdecydował, że zareaguje błyskawicznie. Każe sprowadzić Williama na dzisiejsze południe, bo konfrontacja wespół z Alardem powinna rzucić nieco światła na sprawę. Pytanie tylko, jak to spotkanie odbije się na jego zdrowiu...

Sfrustrowany swym samopoczuciem i gromadzącymi się kłopotami zwiesił głowę nad miską łajna. Niestety, pragnienie dokuczało mu coraz bardziej, więc wstał i wolnym krokiem dowlókł się do dębowej, bogato zdobionej etażerki. Lubił otaczać się luksusowymi przedmiotami.

– Wszystko puste – warknął niepokieszony, przegładnąwszy każdą jedną szklaną karafkę i każdy jeden gliniany dzbanek. Szczęście, że znalazł przynajmniej cynowy garnek z wodą. Upił z niego kilka solidnych łyków, po czym zawezwał Berta.

Osilek musiał być niedaleko, bo Edwin nawet nie zdążył usiąść, kiedy jego świńska gęba już wyjrzała zza przymkniętych odrzwi.

– Tak, panie? – spytał, ani myśląc wchodzić do środka. Po tego typu wizytach zawsze obawiał się hrabiego. Zbyt długo pracował dla niego, by nie wiedzieć, jak często lubił odreagować na nim – Bogu ducha winnym sługusie – swą frustrację.

– Ściągnij mi Williama, tego nowego, tak żeby był tutaj najpóźniej w południe.

– Tak jest. Czy coś jeszcze?

– Nie. Możesz odejść.

Dzień mijał Edwinowi w szaroburych barwach, głównie nad miską leczniczej mieszanki. Miał czas na przemyślenia, więc co rusz wracał myślami do pyskatego łotrzyka. Nie zdążył jeszcze poznać się na nim, ale zdanie już sobie jakieś wyrobił. Lawirant, tchórz i wierutny kłamca. Ciekaw był, czy najbliższe spotkanie umocni go w tym przekonaniu, czy raczej skłoni do zmiany poglądów. Gdzieś w głębi duszy chciał się co do niego mylić, bo w przeciwnym razie sam wyszedłby na idiotę. Przecież, bądź co bądź, zapłacił za niego sporo pieniędzy i sam był za tym, by zorganizować mu zaprzysiężenie.

Chwilę przed południem przyszedł Alard. Zdążył zapoznać się ze sprawą i był nie mniej poirytowany niż hrabia złodziei, ciskał się przy stole, odgrażał pięściami i zapewniał, że osobiście wydłubie gówniarzowi oko, jeśli to się jeszcze raz powtórzy. Sam jednak chciał

usłyszeć wszystko od Williama.

Oczekiwane przez hrabiego pukanie, a raczej głośnie walenie w drzwi rozległo się niedługo po przyjsciu Alarda.

- Wejść – warknął Edwin.
- William przyszedł, panie.
- Bardzo dobrze, Bert. Wpuść go.
- Tak jest.

Chłopak tylko co wszedł do środka, a Edwin już przeszedł do konkretów:

– Posadź swoją dupę na tym zydlu i opowiedz mi, kurwa, z łaski swojej, co się stało tej nocy u stolarza.

Williamowi zaschło w ustach, choć przeczuwał, że właśnie w tej sprawie został wezwany. Zasiadł obok Alarda, który zaciskał z nerwów zęby. Nie dając po sobie poznać zdenerwowania, oznajmił:

– Nie chciałem niepotrzebnie zabijać, panie.
– Co to znaczy niepotrzebnie, kurwa, zabijać?! Co to znaczy niepotrzebnie?! – uniósł się Edwin. – Michael mi mówił, że baba zaczęła się drzeć. Zgadza się?

- No... tak.
- Więc co chciałeś zrobić? Poprosić ją o ciszę?
- Przyrznałem jej w gębę.
- I?

– I... – Will chrząknął, poprawiając się na drewnianym siedzisku. Wiedział, że prędzej czy później szefostwo o wszystkim się dowie. Nie miał co taić prawdy, ale gdyby udało mu się skupić ich uwagę na czymś zgoła odmiennym, to może sprawa nie byłaby traktowana aż tak poważnie.

– Michael powiedział mi, że było tam dość gwaro – nie dawał za wygraną hrabia.

– To roztrzepany kmiot, panie, który nie ma pojęcia o złodziejskiej sztuce.

Edwin zgrzytnął zębami, bo jakkolwiek byłby Michael, to jednak na kradzieżach znał się doskonale.

– Waż słowa, gnojku – wycodził – bo jeszcze wiele mógłbyś się od niego nauczyć.

– Może i tak, ale nie dbał o stan fantów, które bez namysłu wrzucał do wora. Połowa z tych rzeczy jest...

Edwin uniósł rękę.

– Nie interesuje mnie to. Z pewnością śpieszył się po tym, jak spieprzyłeś sprawę. Chcę wiedzieć, co działo się z babą.

– No cóż. Babina do wątłych nie należała i cios wytrzymała.

– Darła się dalej?

– Coś tam kwiliła...

– Do cholery! – wtrącił się Alard. – Dlaczego nie uciszyłeś jej ostrzem?

William uciekł wzrokiem. Poblądł, zwiesił łeb, tak by włosy przesłoniły mu twarz. Dłonie zacisnął w pięści. Alard widział po nim, że coś jest nie tak w tej opowieści. W końcu znalazł chłopaka praktycznie od dziecka.

– Dlaczego jej nie zabiłeś? – zapytał Edwin najspokojniej, jak tylko potrafił. – Wiesz, co by się stało, gdyby któryś z mieszczan przybiegł na wezwanie?

– Wiem.

– Więc, kurwa, czemu tego nie zrobiłeś?! Może mi powiesz, że nie chcesz szlachtować bab?

William odwrócił głowę w kierunku okna. Jaskrawe promienie jesiennego słońca okalały szczyty dachów całego Londynu.

– Jestem draniem jak wszyscy inni – szepnął pod nosem.

– Co? – spytali niemal jednocześnie Alard z Edwinem.

Edwin zapytał, bo faktycznie nie dosłyszał, a Alard... Wręcz przeciwnie i ludził się, że się przesłyszał, bo chyba przeczuwał, kto i dlaczego powiedział mu te słowa.

Agnes. To musiała być ta nieszczęsna Agnes. Wiedział, że Harding zezwolił młodemu na spotkania. Rzecz jasna nie pochwalał tego i jako ksiązę planował nawet w najbliższym czasie sprzeciwić się temu, ot choćby przez nasłanie na młodego tuzina osiłeków, którzy wybiliby mu to z głowy. William miał teraz koncentrować się na akcjach, a nie na zasranych sercowych dylematach. Tym bardziej że dał się już poznać jako kochliwy idiota. Alard nie był w stanie pojąć, dlaczego ten głupiec miał takie podejście do kobiet. Przecież odwiedzał łaźnie i burdele

Nigela. Często Alard obstawiał mu nawet zabawy z gąskami, byle tylko nie zawracał sobie głowy tą Agnes. Ani chybi ta baba kiedyś sprowadzi na niego prawdziwe nieszczęście.

W każdym razie, co by nie mówić, słowa Williama, że jest draniem jak wszyscy inni, świadczyły o tym, że ich znajomość prawdopodobnie już się zakończyła. Nieprofesjonalne zachowanie łotrzyka podczas ostatniej akcji musiało wynikać z tego, że dalej przeżywał rozłąkę, a myślami był przy pierdołach.

– Will – odezwał się Alard, bo bał się, co zrobi Edwin, gdy tylko dowie się o jego gówniarskich dylematach – przemyśl dobrze, co chcesz nam powiedzieć.

Chłopak przeniósł się na moment myślami do wczorajszego dnia. Do chwili, gdy pijany po zaprzysiężeniu obudził się w jednej z izb portowego domu. Nie pamiętał, jak się tam znalazł, ale to było w tej chwili najmniej istotne. Liczyło się to, że była tam Lora. Klęczała przy nim w samej płóciennej koszuli i bez skrępowania wbijała w niego lubieżny wzrok. Jej krwiste, pełne usta raz po raz rozchylały się, szepcząc, by leżał spokojnie.

– Co robisz? – spytał wtedy na wpół przytomnie.

Ale płomiennoruda dziewczyna nic nie powiedziała. Powoli, z gracją ściągnęła koszulę i odsłoniła przed nim jędrne, szpiczaste piersi. Chciała być jego. Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę. „Kocham cię! – krzyczała w myślach. – Bądź tylko mój, proszę”.

Chłopak z bijącym sercem wyciągnął rękę. Zaczął pieścić jej piersi. Dotykanie gładkiej niczym jedwab skóry spowodowało, że wstrzymał oddech, a twardniejące sutki obudziły jego gorejącą żądze. Lora wzdychała, raz po raz cichutko pojękując. Z na wpół przymkniętymi powiekami pochyliła się do pocałunku. William już rozchyłał usta, gdy nagle w progu stanęła Agnes.

Ten obraz tkwił w umyśle Williama jak żywy. Biegł za nią, tłumaczył się i zapewniał, że to jedno wielkie nieporozumienie, ale dziewczyna była nieugięta.

– Jesteś draniem jak wszyscy inni – mówiła, a słowa te do teraz pobrzmiwały w jego głowie.

William powiódł błędnym wzrokiem po swych mocodawcach, po

czym utkwił spojrzenie w Edwinie.

– Dałem ciała – przyznał wreszcie. – Wiem, że źle zrobiłem. Byłem roztargniony, ale zapewniam, że to się już nigdy więcej nie powtórzy.

Alard z Edwinem wymienili spojrzenia.

– Mam, kurwa, taką nadzieję – powiedział hrabia. – Mam, kurwa, taką nadzieję.

Przyznanie się młodego do błędu ucieszyło Edwina. Wychodziło na to, że skurczybyk nie był ani kłamcą, ani tchórzem czy lawirantem. Wiedział, że źle zrobił, i nie bał się o tym powiedzieć, a to dobrze o nim świadczyło. Oczywiście będzie trzeba go mieć na oku przy najbliższych akcjach, ale teraz nie ma chyba potrzeby karać go zbyt surowo.

– Nie dostaniesz ani grosza z tego winobrania – obwieścił wreszcie. – Czy zgadzasz się na taką karę?

– Tak.

– To dobrze. Możesz odejść.

William wstał i bez słowa wyszedł. Przyznał się do błędu, obiecał, że to się więcej nie powtórzy, ale tak naprawdę jego myśli nadal były zajęte Agnes. Chciał w jakiś sposób zapanować nad sytuacją, spojrzeć na to z większej perspektywy, jednym słowem zachować zdrowy rozsądek, lecz za cholerę nie potrafił. Jak w takim stanie będzie mógł rzezać mieszki czy wykonywać inne zadania? Wolał o tym nawet nie myśleć.

Rozgoryczony szedł Waitling Street w kierunku londyńskiego mostu. Mijał kramy, kamienice, kościoły i niewielkie zagrody. Mijał zajętych swoimi sprawami mieszczan, rozwyrzonych kupczyków, zapracowanych rzemieślników i choć starał się nie zwracać uwagi na ich twarze, to w każdym z nich widział rozzłoszczoną Agnes. Świat realny zdawał się dla niego w ogóle nie istnieć. Nie zwrócił uwagi nawet na nieszczęśnika ubranego w czapkę z oślimi uszami, który pewnikiem odbywał karę i otoczony rozwyrzonymi mieszczuchami jechał na koniu zwrócony twarzą do jego ogona.

Agnes zajmowała każdą część jego umysłu, a słowa „jesteś draniem” rozbrzmiewały w jego głowie ustami wszystkich londyńczyków. „Może jej przejdzie” – pocieszał się w myślach. To była uparta i zawzięta dziewczucha, ale przecież tamtego wieczoru, gdy się

całowali, musiała coś poczuć. Nie mogła tego ot tak wymazać z pamięci.

Na londyńskim moście panował wyjątkowy ścisk. William przepychał się, bo chciał jak najszybciej dowlec się do swojej kwatery, ale zatrzymał go tłum ludzi kłębiących się mniej więcej na środku mostu, zaraz przy kaplicy Świętego Tomasza. Ten londyński rodowity męczennik miał prawdziwą chmarę zwolenników i każdy mógł wejść do postawionej tu świątyni, by po uiszczeniu odpowiedniej opłaty pomodlić się i prosić o łaskę.

Łotrzyk spostrzegł w tłumie nawet jednego z kamratów, który drapiąc się za uchem dwoma palcami, dawał tym samym sygnał, że zaraz z towarzyszem będzie rzezać mieszki. Zdecydował nie włączyć się do akcji, choć zgodnie z naukami mógł to zrobić, wcielając się w rolę „artysty” odwracającego uwagę bądź „anioła” obserwującego ofiary.

Wyszedł wreszcie z kłębowa ludzi, minął szybkim krokiem szereg zabudowań i dobiegł do mostowej bramy z solidną murowaną wieżą. Brama była pilnowana przez dwójkę strażników, a nieopodal nich leżały dwa znudzone mastify. Psy o płowej sierści miały szerokie klatki piersiowe, mocne kończyny i łby o potężnych pyskach. Ucieczka przed takimi bestiami z pewnością do prostych nie należała. Kiedyś było łatwiej...

Przeszedł obok nich i skręcił w Bankside, zachodnie nadbrzeże Southwerk. Skrzek mew i woń ryb zdominowały zmysły Williama. Teren zajmowały tu głównie tawerny i burdele, które w większości prowadzili ludzie pracujący dla królewskiej gildii. Niestety, ich dochody były coraz mniejsze, bo biskup Winchester, będący prawowitym właścicielem tych gruntów, kazał sobie wręczać coraz większe daniny. Trudno było przewidzieć, co będzie dalej, ale Nigel przebąkiwał, że jak dobrodziej nie zmieni swojego nastawienia do ich wspólnych interesów, to nie pozostanie nic innego, jak zorganizować mu jakiś nieszczęśliwy wypadek.

William już od jakiegoś czasu mieszkał w tej części nadbrzeża. Kwaterę dzielił z czterema rzezimieszkami, którzy póki co wydawali mu się przyzwoitymi kamratami. Można było z nimi wypić i – co ważne – znali się na swym fachu. Mieszkanie było obskurne, ale też trudno wymagać cudów od ziemianki wykopanej w starym obwałowaniu

nadbrzeża. Komfort pogarszało dodatkowo bliskie sąsiedztwo więzienia, któremu kamraci zdążyli już nadać nazwę „Brzęku”, gdyż przy odrobinie ciszy dawało się słyszeć charakterystyczny brzęk kajdan osadzonych tam przestępców.

William chciał wypić morze palonego wina, paść na posłanie i zapaść w głęboki sen, by zapomnieć o wszystkim, co go spotkało. Mógł sobie na to pozwolić, bo Oliva zapowiedział mu, że z uwagi na ostatnie winobranie nie dostanie dzisiaj żadnych zleceń. Mógł, rzecz jasna, sam na własną rękę spróbować szczęścia w terenie, ale na to tym bardziej nie miał ochoty. W obecnej sytuacji najlepszym pomysłem wydawał mu się tylko dzban wina. I nic ponadto. Niestety, jak na złość, czekała go chyba jeszcze jedna nieprzyjemna rozmowa, bo nieopodal kwatery dojrzał kręcącą się Lorę. Chciał nawet odwrócić się i odejść, lecz dziewczyna zdążyła go zauważyć.

– William! – krzyknęła.

Chłopak niechętnie podszedł do niej i warknął:

– Czego chcesz?

– Porozmawiać. – Lora zbliżyła się ku niemu i położyła dłoń na jego piersi.

Odrzącił ją.

– Zostaw mnie.

– Nie mów tak, proszę. – Po policzkach Lory leciały ciurkiem łzy.

– Chcę tylko, byś dał mi szansę – szepnęła.

William wbił wzrok w stertę złotych liści porwanych z ziemi nagłym podmuchem wiatru.

– Wykorzystałaś mnie. Zraniłaś Agnes...

– To nie tak. Ja...

– Zejdź mi z oczu.

– Will... proszę...

Łotrzyk nie zamierzał tego słuchać. Minał dziewczynę, uchylił prowizoryczne drzwi do ziemianki i zamknął je, wspierając się o nie plecami. Zastanawiał się, czy żebraczka nie będzie próbowała dostać się do środka, ale na szczęście nic takiego nie nastąpiło.

Lora była przygnębiona tą sytuacją. Udało jej się zwabić Agnes do portowego domu, tak by zobaczyła ich w miłosnych objęciach, ale cóż

z tego, skoro ten głupiec nadal myślał tylko o tamtej. Łudziła się, że uda jej się przekonać Williama, aby dał jej szansę, aby rzucił to wszystko i poszedł z nią szukać szczęścia gdzie indziej. Niestety, jej obawy się sprawdziły. William nie znał jej, nie znał jej tak dobrze, jak ona znała jego. Przez te wszystkie lata nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, był obojętny na jej zaloty, westchnienia, spojrzenia, na drobne gesty i nieme nawoływania. Nie zauważał jej, bo bez przerwy mamiła go ta bandycka dziwka Agnes. Lora wiedziała, co trzeba zrobić, aby ten stan się zmienił. I poprzysięgła sobie, że uczyni wszystko, byle tylko skosztować upragnionego szczęścia przy boku Williama. Jako dziecko została porwana, zamordowano jej rodziców, ograbiono ją z godności, zmuszono ją do życia w nędzy i do spółkowania z odrażającymi drabami. Była traktowana jak zwierzę i chyba zasłużyła sobie na tę odrobinę szczęścia. Chciała wreszcie mieć kogoś, kto ją przytuli, pocieszy i sprawi, że każdy kolejny dzień będzie mogła witać z uśmiechem na twarzy.

Lora była zakochana, ale też zrozpaczona i zdeterminowana. Ściskając w drobnej rączce ampułkę z trucizną, nerwowym, choć pewnym krokiem szła w kierunku tawerny Tabard.

Pogoda nie sprzyjała spacerom. Pora była poobiednia, a listopadowy wiatr ciągnął za sobą chłód i charakterystyczną woń zbliżającej się zimy. Mimo tego Gilbert towarzyszył Thomasowi w wędrówce po wsi. Chłopak w ostatnim czasie coraz częściej wychodził z klasztoru i choć zawsze ktoś mu partnerował, nikt nigdy nie ograniczał mu miejsc, które mógł odwiedzać.

Niewielką sadybę tworzyło kilkadziesiąt chatek stojących w ścisku i we względnym nieładzie. Do najważniejszych przybytków poza, rzecz jasna, klasztorem zaliczały się spichlerz, karczma, studnia oraz młyn, który w wyraźny sposób polepszał byt tutejszych mieszkańców.

Ziemia uprawiana przez miejscowych chłopów należała do sir Fabiana, człowieka pokornego serca, który nie był nadto ciekawski i póki daniny wpłacane były na czas, nic go nie obchodziło, nawet to, dlaczego franciszkanie przejęli świątynię. Thomasowi bardzo odpowiadał taki stan rzeczy, bo przecież nikt we wsi poza Adamem nie wiedział, że klasztor zamieszkują przestępcy.

Ludność wiejska była wystarczająco zastraszona przez poprzedniego proboszcza, toteż nawet rzadziej odprawiane homilie nie skłaniały ich do stawiania niewygodnych pytań. Adam znowuż był głupi, ufny i łatwowierny, a co też istotne, łasy na pieniądze. Zakonnik poznał się na nim już kilka lat temu, gdy regularnie odwiedzał osadę w poszukiwaniu podróźnych kupców. Od dawien dawna zamierzał wykorzystać wioskę na bandycką kryjówkę. Niestety, ojciec Adama, Hammond, ówczesny zarządca sadyby, nie chciał mieć nic wspólnego z przestępcami. Jego upór był nieprzejednany, lecz na niewiele to się zdało, bo gildia i na takich ludzi miała swoje sposoby. Hammond został

zwabiony na pobliskie bagna, gdzie dokonał swego żywota, a Adam zwiedziony łatwym zarobkiem zgodził się bez problemu na zajęcie przez bandytów klasztoru. Obie strony po dziś dzień zdawały się zadowolone z tego układu. Thomas i jego ludzie mieli nie wchodzić nikomu w drogę, a Adam miał obowiązek pilnować, by chłopci na czas płacili sir Fabianowi daniny.

Jak zwykle na wsiach pracy było bardzo dużo. Chłopi uprawiali ziemię, doglądali trzody, odrabiali swoje przy szarwarkach i tak w gruncie rzeczy nie było miesiąca, w którym nie mieliby jakiegoś zajęcia. Jak nie przekopywanie ziemi, to sianokosy, żniwa, młócka bądź siewy. Nawet teraz w listopadzie, choć chłopci mieli trochę więcej czasu, musieli przecież przygotować zapas drewna na zimę i utuczyć żołędziami kilka sztuk wieprzy, by mieć co jeść na noworoczne święta.

Dzisiejszego popołudnia większość mężczyzn tłumnie zalegała plac nieopodal klasztoru. Uzbrojeni w proce, łuki, pałki i prymitywne oszczepy, wznosili co chwila okrzyki, manifestując swą siłę i odwagę. Przypadkowy obserwator mógłby pomyśleć, że przygotowują się do jakiegoś natarcia, lecz tak naprawdę ćwiczyli jeno swe umiejętności w walce. Potrzeby obronne królestwa skłaniały władze już od jakiegoś czasu do tego, by zachęcać chłopów do ćwiczeń w posługiwaniu się wszelkiego rodzaju bronią. Ludzie w dużej mierze traktowali to jako dobrą rozrywkę i z czasem podobne praktyki stały się niemal narodową tradycją. Co prawda ludzie niewolni, należący do jakiegokolwiek feudalnego pana, nie mogli posiadać broni, niemniej jednak w rzeczywistości miał ją każdy. I teraz trudno było znaleźć wioskę, której mieszkańcy nie trenowaliby od czasu do czasu fechtunku bądź strzelania z łuku.

Thomas lubił patrzeć na te żalosne zmagania kołtunów. Uważał, że żaden tutejszy mężczyzna nie nadawałby się do walki nawet z oślepionym Francuzem, jednakże z drugiej strony, zdawał sobie sprawę z tego, że w walce o życie nie takie niezdary unikały śmierci.

– Który twoim zdaniem jest najlepszy, Gilbercie?

Chłopak zapatrzony w wojujących kmieci zadrzał na dźwięk głosu Thomasa. Bał się go przez cały czas i mimo że mężczyzna nigdy nie podniósł na niego ręki, to w ostatnich latach ten strach przybrał nawet na

sile. „Z czego to może wynikać?” – zastanawiał się nieraz młodzieniec. Z obawy przed tym, że nie spełni pokładanych w nim nadziei? A może z tego, że w głębi serca pragnął zrobić mu tak straszne rzeczy, że nawet nie chciał o nich przy nim myśleć?

– Gilbertcie? – powtórzył zniecierpliwiony zakonnik. – Którego faworyzujesz?

Chłopak schował dłonie w szerokich rękawach habitu i odpowiedział z dziwnym drżeniem w głosie, jakby dotknęła go jakaś nagła boleść:

– Może ten wieśniak o gębie jak kalarepa...

– Ten łysy po prawej?

– Chyba tak... Widać, że głodem jeszcze nie przymierał. Tęgi może nie jest, ale badył dość pewnie trzyma w rękach. Wywija nim wcale niezgorzej...

Thomas mruknął coś niezrozumiale pod nosem i poprawił zawiniętą przez wiatr połę płaszcza. Dłuższą chwilę przyglądał się wskazanemu przez Gilberta mężczyźnie. Ubrojony był w oszczep o dosyć długim drzewcu, na którego końcu widniał szeroki hak. Broń nadawała się w głównej mierze do ściągania z siodeł jeźdźców, atoli sprawdzały się również w trzymaniu na dystans piechura.

– Chodź, podejźmy do nich – powiedział.

– Po co?

– Zobaczysz.

Gilbert ruszył za zakonnikiem, choć jego krok zdawał się wolniejszy i nieco nierówny. Działo się tak za sprawą bransolety splecionej z drutu, którą nosił na prawym udzie. Jej ostre końce wpijały się w ciało niczym cierniowa korona, raniąc tak dotkliwie, że nawet przy najmniejszym poruszeniu nogę znaczyły pod habitem strużki czerwono-brunatnej krwi. Thomas wymagał od chłopca takiego poświęcenia, chcąc zdławić w nim poczucie winy po morderstwach. Zapewniał go, że ofiarnym aktem, jakim bez wątplenia było noszenie cierniowej bransolety, można zadośćuczynić Bogu za wszystkie grzechy, jakie się popełni. I Gilbert wierzył w to z całego serca, choć z początku dostrzegał w niej jedynie narzędzie, które pomagało mu walczyć z cielesną pokusą. Diabelskim podszeptem, do którego nie przyznawał

się nawet przed samym Thomasem z obawy przed jego reakcją. A wstyd czuł ogromny z powodu tego, jak w ostatnim czasie reagowało jego ciało na widok kobiet. Peszył się i krępował, gdy widział jakąkolwiek białogłową, czy to we wsi, czy w klasztorze. Na szczęście teraz mógł wreszcie kierować myśli ku czemuś zgoła odmiennemu i bardziej zajmującemu. Ku bólowi.

– Chodź, chodź – ponaglił go Thomas, chociaż doskonale wiedział, że chłopak będzie potrzebował nieco więcej czasu niż miesiąc, by oswoić się z niewygodą noszonej dyscypliny.

Krzyki trenujących wieśniaków przybrały na sile.

– Dalej, chłopcy, bo dobrodziej patrzy! – huknął któryś z walczących.

Thomas uśmiechnął się z politowaniem i krzyknął w kierunku wieśniaka o gębie przypominającej kalarepę:

– Ej, ty! Podejdź tu!

Chłop schylił się, by odłożyć oszczep.

– Nie, nie! Weź to ze sobą!

Gil był ciekawy, dlaczego zakonnik potrzebuje tego chłopca, ale zawstydzony otoczeniem postanowił o nic nie pytać.

Mężczyzna podbiegł w pośpiechu do dwójki mnichów. Ubrany był w koszulę ze zgrzebnego płótna i solidnie umorusany kubrak. Źle mu się chyba nie żyło, bo był dość przyzwoitej, krzepkiej postury. Głowę miał małą, łysą i okrągłą jak piłka bądź – jak kto woli – kształna kalarepa, brwi znowuż krzaczaste, czoło niskie, a nozdrza szerokie. Nosił wąsy, rzadkie i miejscami siwiejące.

– Czego ci trzeba, panie?

– Wszystko w swoim czasie. Jak cię zwać?

– Warin.

– Dobrze kojarzę, Warinie, że to twoją żonę zagryzł w naszym lesie niedźwiedź?

– Tak, panie. Szósty rok już będzie, Panie, świeć nad jej duszą.

– Nie inaczej... Chodź, przejdziemy się.

Thomas opatulił się szczerzej płaszczem i nie oglądając się, ruszył przed siebie.

– Wiesz, że w tym miesiącu nie odpracowałeś jeszcze leśnego? –

rzucił przez ramię w stronę śpieszącego za nim Warina.

Chłop zatrzymał się zląknięty. Wiedział, że za korzystanie z dobrodziejstw pobliskiego lasu miał nakazane, aby jeden dzień w miesiącu przepracować dla duchownego. Zgodnie z tradycją podobny obowiązek ciążył zresztą na wszystkich mieszkańcach wioski, a działało się tak, bo knieje były własnością klasztoru. Teren, niezbyt rozległy, został odziedziczony przez Thomasa, podobnie jak świątynia, więc trzeba było z tego korzystać.

– Kiedy jeszcze siedem czy – chłop zaczął rachować nieporadnie na palcach – osiem dni mi zostało...

– Nie obawiaj się. Chodź, chodź. Ostatnio rozliczałeś się, przynosząc mi pończochę orzechów, ale teraz chciałbym czegoś innego.

– Czegoś innego? – spytał nieufnie Warin.

– Tak, ale wpierw musisz coś zobaczyć.

Chłop ścisnął w sękatej łapie drzewce oszczepu i pewnie ruszył za zakonnikami.

– Co tylko każesz, dobrodzieju – zapewnił służalczo, bo zrobiło mu się lekko na sercu, że nie dostanie żadnej kary. Zalegał już z jedną dziesięciną i wołał nie podpaść dodatkowo z odpracowaniem leśnego.

By dojść do leśnej gęstwiny, należało nieco nadłożyć drogi. Jeszcze kilka lat temu granica lasu rysowała się za pierwszym wzniesieniem za sadybą, atoli solidna część zadrzewionego terenu z polecenia Thomasa została wykarczowana i przygotowana pod uprawę.

Las był ciemny, gęsty, ale zadbany. Trudno było tu uświadczyc cierni, krzewiących się uparcie zarośli czy leżących w nieładzie zeschniętych gałęzi. Thomas, mimo że zajmował się kastą morderców, potrafił znaleźć czas na to, by zadbać o zajęcie dla chłopów. Przecież z tego też były jakieś pieniądze. Zakonnik był już tu kiedyś z Gilbertem, a koszmar, jaki mu wówczas zgotował, przyprawiał chłopaka o dreszcze po dziś dzień.

To było nawet chyba to samo miejsce, w którym teraz stali. Łagodne zbocze po zachodniej stronie, gęste skupisko drzew, strumyk przecinający leśne poszycie. Gilbert poczuł, jak na czoło występują mu krople potu. Widział oczami wyobraźni wilka – wściekłego i zagłodzonego – którego Thomas odwiązał wtedy od drzewa i wypuścił

na chłopaka, krzyząc:

– Walcz! Walcz i pokonaj diabelską bestię!

– To będzie jakaś praca w lesie, panie? – spytał Warin, przerywając Gilowi koszarne rozmyślenia. – Chrustu wam trzeba?

Thomas pokręcił przecząco głową.

– Potrzebujecie torfu? Kory?

– Raczej twego życia.

– Czego, powiadacie?

– Twojego życia, Warinie. Chcę, aby Gilbert zabił cię tutaj... Ale – dodał, grożąc wskazującym palcem – wiedz, że masz się bronić i walczyć dzielnie, bo partactwa nie znoszę.

Chłop przymusił się do uśmiechu, bo przecież to chyba był jakiś żart, niemniej pobladał niczym nieboszczyk.

– Co... co też wy, panie? – wydukał. – Nie mówicie chyba tego poważnie.

Thomas zlekceważył lament wieśniaka. Wydał usta w gniewie i pogardzie.

– Cherubinie! – ryknął.

Chłopak rzucił mu pełne trwogi spojrzenie. Gdzieś w głębi serca wiedział, że jedyną osobą tutaj, która zasługiwała na śmierć, jest zakonnik. To on był sprawcą całego zła. To on dręczył Gilberta i namawiał do mordy, a całą wieś przejmował strachem. Chłopak potrząsnął głową, aby odegnąć od siebie te myśli. Przecież gdyby Thomas dowiedział się o jego wątpliwościach...

– Pamiętaj, Gilbercie, by usunąć złego spośród siebie.

– Pamiętam – szepnął.

„Pamiętam, ale czy tak jest w istocie?” – zadał sobie w duchu pytanie. Czy stojący przed nim mężczyzna jest zbłąkanym grzesznikiem, który zasługuje na śmierć i wieczne potępienie?

„Każdy zasługuje na śmierć – szepnął nagle tajemniczy głos w jego umyśle. – Thomas też. Thomas też zasługuje na śmierć. Na śmierć... Na...”.

Gilbert zamknął oczy. Nie lubił, gdy ten dziwny szept rozbrzmiewał w jego głowie. Pierwszy raz usłyszał go bodaj dwa lata temu i trwożył się nim za każdym razem równie mocno, bo zawsze

namawiał go do popełnienia straszliwych czynów. To musiał być głos demona, potężnego i nikczemnego demona, może nawet samego szatana, bo ani żarliwe modły, ani bolesna chłosta nie mogły go raz na zawsze uciszyć.

„A może to przemawia Bóg?” – przeszło chłopakowi przez myśl. Czy to możliwe, aby sam Stwórca jednoczył się z Gilbertem? Chłopak wsłuchał się raz jeszcze w ten spokojny, acz wyzbyty emocji głos:

„Thomas zasługuje na śmierć... Na śmierć... Na...”.

– Cherubinie!

Gilbert otrząsnął się i wystraszony zaczerpnął głęboko powietrza. Rozbrzmiewające echem głosy w jego umyśle nagle ucichły. Czy to było tylko przywidzenie?

– Cherubinie! – krzyknął po raz kolejny Thomas.

Chłopak wiedział, że nie ma wyjścia i musi wypełnić wolę swojego mentora. Przynajmniej na razie. Zrzucił kaptur, ukazując gęstą i kędzierzawą blond czuprynę okalającą tonsurę.

– Panie, to chyba jakieś nieporozumienie – dukał wystraszony chłopina. – Ja naprawdę...

– Walcz! – ryknął za jego plecami Thomas.

Z pobliskich drzew zerwały się do lotu wystraszone ptaki. Warin zadygotał, kierując długi oszczep w stronę młodego mnicha, a Gilbert już wbijał w niego swoje błękitne, nieczułe oczy. Oceniał jego postawę, broń i zachowanie. Oszczep miał prawie siedem stóp długości, wyglądał na solidną broń z twardego, chyba jesionowego drewna, odpornego na ciosy. Na końcu widniał hak z długim, pokrytym rdzą kolcem. Jak nic, wystarczyłoby wbić go raz w nieszczęśnika, by odebrać życie. Na drugim końcu nasadzony był grot w formie stożka, ostro zakończony, z którego nawet w zwarciu dałoby się zrobić użytek. Trzeba było tylko umieć się tym posługiwać.

Gilbert wyjął nieśpiesznie zza pazuchy nóż, jedyną broń, jaką posiadał. Rękojeść chwycił pewnie, choć niezbyt mocno. Napiął mięśnie barków, nienaturalnie szerokich jak na jego wiek, następnie nachylił się niczym wilk gotujący się do skoku i lekceważąc promieniujący ból uda, runął w kierunku wieśniaka.

Warin z krzykiem rozpaczy dźgnął oszczepem przed siebie i nawet

by trafił, lecz Gilbert zwinnie uchylił się, przekoziółkował, unosząc przy tym tuman wyschniętych liści, i ciął błyskawicznie, nadto precyzyjnie nożem. Wpierw ściętno nad piętą postawnego chłopca, następnie wiązadło przy kolanie oraz pachwinę. Twarzy Warina nie zdążył wykrzywić grymas bólu, kiedy to Gilbert już stał za nim, wbijając nóż w jego potylicę. Jesienne liście nadal wirowały, szeleszcząc i mieniając się szaro-złotymi odcieniami brązu.

– Nawet nie zdołałem usiąść, Gilbercie – oznajmił karcącym tonem zakonnik.

Młodzieniec nic nie powiedział, bo faktycznie przestraszył się, czy dobrze zrobił, że tak szybko pozbawił wieśniaka życia.

– Brawo, chłopcze! – krzyknął nagle rozpromieniony bandyta. – Jestem z ciebie zadowolony, Gilbercie. Naprawdę należą ci się wielkie brawa.

– Dzień... dziękuję.

Thomas poklepał młodego po plecach; czuł, że rozpiera go duma. Co prawda Gilbert wygrał starcie z kiepskim wojownikiem, ale zachował spokój i opanowanie, a w przypadku tak młodego chłopca to bardzo ważna sprawa. Wyglądało na to, że wszystko idzie w dobrym kierunku i plany, jakie Thomas wiązał z cherubinem, z pewnością już niedługo będą mogły zmienić oblicze całej gildii.

Agnes opierała się o ladę szynkwasu i bez celu wodziła wzrokiem po biesiadujących mieszczanach. Pomimo dość wczesnej godziny – wszak nie tak dawno duchowni wybijali dopiero południe – zebrało się ich wcale niemało.

Karczma Tabard usytuowana była zaraz przy Long Southwerk, prawie naprzeciw cmentarza Świętej Małgorzaty. Nie była jedynym lokalem w okolicy – w całym Southwerk zebrałoby się takich jeszcze z kilkadziesiąt – niemniej jednak to właśnie lokale rozmieszczone przy głównej ulicy, prowadzącej na most londyński, cieszyły się największą popularnością. Gospoda niegdyś była własnością kościoła, a zamieszkiwał ją jeden z tutejszych opatów, niemniej Harding znanym tylko sobie sposobem zdołał przekonać dobrodzieja do zrzeczenia się tej własności.

Obecnie budynek był w całości przeznaczony na zajazd; miał wielką sypialnianą salę i indywidualne pokoje gościnne dla najbogatszych wędrowców. Tabard uznawany był w Southwerk za lokal pierwszej kategorii i tak po prawdzie mało kto miał odwagę tutaj choćby pierdnąć.

Tego dnia wzmożony ruch w tawernie nie wynikał ze szczęśliwej lokalizacji ani z renomy, jaką ów zajazd się cieszył, lecz z trwających obchodów święta męczennika Edmunda. I choć jego relikwie zostały skradzione przez francuskie psy przeszło sto lat temu, Anglicy przechowywali w pamięci po dziś dzień męczeńską śmierć króla.

Przy stolikach było wielu podróżnych pielgrzymów, którzy przybyli w te strony w pojedynkę lub całymi rodzinami, byli również zakonnicy, a nawet rycerze. Z donośnych rozmów łatwo można było

zrozumieć, że pielgrzymka ma raczej charakter turystyczno-poznawczy, nie została podyktowana chęcią wypełnienia przysięgi czy odpokutowania grzechów, ale przecież kto by zwracał uwagę na takie szczegóły.

Tradycyjnie biesiadnikom czas umiłał Simon – śpiewak i łotrzyk na usługach Hardinga, którego głos pomimo dojmującej wrzawy niósł się donośnie prawie że na całą oberżę.

Przy szynkwasiole ruch był niewiele mniejszy od tego, jaki panował na londyńskim moście, a pomagierzy karczmarza, pomimo że uwijali się jakby pod batem, nie byli w stanie nadażyć z realizacją zamówień. Agnes stała nieopodal i zwykle pomagała przy tak licznej klienteli, wszelako teraz nawet przez myśl jej nie przeszło, by komuś usługiwać. Przez cały czas widziała oczami wyobraźni Williama obściskującego jakąś rudą dziwkę i była tak wściekła, że przyrznęłaby pierwszej lepszej osobie, która by się nawinęła. Widok kotłujących się ludzi znużył ją, więc utkwiała wzrok w śpiewającym Simonie.

*Gorzki jest żywota smak,
Gdy nadziei w sercu brak.
Okrutne me przeznaczenie
Pochłania bezwzględne marzenie.*

*I choć mnie rozdziera okrzyk: dolo, proszę, nie,
Los nie chce słyszeć mnie.*

Dziewczyna westchnęła.

– Też sobie wybrałaś pieśń – jęknęła pod nosem. Czuła, że łzy cisną się jej do oczu, więc nawet nie chciała słuchać tej piosenki dalej. Nie mając pomysłu, co ze sobą zrobić, wbiła wzrok w zgaszony knot stojącej w pobliżu świecy.

Harding nie wiedział, dlaczego Agnes jest dzisiaj w tak podłym nastroju, ale znał swoją córkę i czuł, że coś się stało. Intuicja mu podpowiadała, że to mogło mieć związek z tym całym Williamem, a że z reguły intuicja go nie zawodziła, obiecał sobie, że jeszcze dziś zainteresuje się tym gówniarzem dokładniej. Jeśli skurczybyk przyłożył

do tego rękę, jeśli to przez niego Agnes tak się czuła, to pożałuje, że w ogóle się narodził.

Harding kochał swoją córkę i każde jej zmartwienie raniło mu serce. Agnes była jego oczkiem w głowie, jedyną bliską osobą, na której naprawdę mógł polegać, i chciał, by ona mogła zawsze polegać na nim. Troszczył się o nią i pilnował, by niczego jej nie brakowało. Kto wie, może w tym wszystkim przesadzał i właśnie przez to dziewczyna była krnąbrna, pyskata i rozkapryszona, ale cóż mógł począć, skoro zależało mu tylko na tym, by nie stracić Agnes, po tym jak stracił żonę wraz z synem przeszło piętnaście lat temu.

Markotny podszedł do dziewczyny i postawił przed nią kubek gorącego mleka z miodem i wybranymi korzeniami. Od dziecka lubiła ten napój.

– Masz, napij się – rzekł do niej.

– Nie chcę.

– Pij, póki ciepłe, dobrze ci zrobi.

– Nie chcę! Zostaw mnie! – krzyknęła tak, że osoby siedzące w pobliżu zamilkły i spojrzały w kierunku szynkwasu.

W tym całym gwarze biesiadujących ludzi krzyk Agnes usłyszała również Lora, która dopiero co weszła do środka. Nie zastanawiając się długo, naciągnęła głębiej kaptur i jęła przeciskać się w tamtym kierunku. Była zdeterminowana, choć z nerwów aż drżały jej nogi, serce waliło w piersi, utrudniając oddychanie, a dłonie pociły się tak bardzo, że o mało co nie upuściła ampułki z trucizną.

Agnes była zła, była wściekła, aż ją ścisnęło w żołądku. Nie mogła niczego przełknąć, ale wiedziała, że nazbyt uniosła się przed chwilą na ojca, toteż, by nie robić mu zbytej przykrości, sięgnęła po napitek. Upiła tylko dwa łyki i od razu poczuła mdłości. Skrzywiona, wybiegła do spiżarni, czując, że za chwilę zwróci wszystko, co zalega w jej żołądku.

Harding pobladł, bo jeszcze nigdy nie widział córki w takim stanie. Rzucił ścierkę i z wawym krokiem poszedł za nią. Lora wykorzystwała tę krótką chwilę. Widziała, z którego naczynia piła córka karczmarza, toteż podeszła do lady i uważnie, tak by nikt nie widział, wlała do kubka całą zawartość ampułki.

Harding rozejrzał się po spiżarni. Zauważył Agnes w północnym kącie pomieszczenia, nieopodal skrzyń z warzywami. Zgięta w pół, wymiotowała do drewnianego cebrzyka.

– Wszystko w porządku? – spytał zatrwożony.

– Proszę, zostaw... – Dziewczyną znowu targnęły torsje.

– Pozwól mi...

Agnes wsparła się o ścianę, unosząc w kierunku ojca rękę.

– Odejdź...

Zatroskany Harding otworzył pobliskie okno, by dać dziewczynie więcej świeżego powietrza, i wrócił do szynkwasu. Był daleki od zachowania spokoju i przez cały czas bił się z myślami, co się mogło stać. Słyszał, że baby czasem wymiotują, gdy są brzemiennie, ale trudno mu było uwierzyć w to, żeby Agnes... Nawet nie chciał o tym myśleć. Wziął do ręki napitek, który chwilę temu podał dziewczynie, powąchał, upił kilka łyków.

– Hm – westchnął.

Miał może trochę bardziej gorzki smak niż zwykle, ale mleko z pewnością nie było zepsute. Postawił kubek na ladzie, rzucił krótkie spojrzenie jakiejś zakapturzonej rudej i bladej jak śmierć smarkuli, która niegrzecznie gapiała się na niego z rozdziawionymi ustami, po czym wrócił do spiżarni. Musiał sprawdzić, co się dzieje z Agnes. W połowie drogi skrzywił się, bo serce go zakłuło do tego stopnia, że aż musiał wesprzeć się o szafkę, ale przecież nie to było w tej chwili ważne. Wziął kilka głębokich wdechów i mimo że ból w piersi nasilał się coraz bardziej, zdołał dobrnąć do kąta, w którym kuliła się Agnes.

– Wszystko... wszystko w porządku? – wydusił, trzymając się za serce.

– Już mi lepiej – odpowiedziała.

– To... to dobrze.

Agnes uniosła głowę znad cebrzyka, bo miała wrażenie, że ojciec jakoś tak dziwnie mówi. Pierwsze, co dostrzegła, to krew, która sączyła się z jego nosa i plamiła brodę oraz fartuch. Co tchu doskoczyła do niego.

– Tatku?

– Co... coś jest nie tak – wycharczał, opierając się o ścianę.

Agnes próbowała go podtrzymać, ale karczmarz był ogromnej postury i dziewczyna nie mogła utrzymać jego ciężaru. Mężczyzna zwał się na podłogę.

– Co ci jest, tatku? – spytała śmiertelnie przerażona. – Co ci jest?

– Po... po... – próbował wydusić z siebie.

Agnes struchlała. Szybko jednak opamiętała się i widząc, jak ojciec walczy o każdy oddech, jak kurczowo trzyma się za pierś, padła przy nim na kolana, prosząc Boga, by mogła mu jakoś pomóc. Przekonana, że został raniony, podwinęła jego fartuch i koszulę, ale załamana spostrzegła, że ani na piersi, ani na brzuchu nie ma żadnej rany.

– Co ci? Co ci jest? – pytała, zanosząc się szlochem.

Harding kaszlnął krwią i z grymasem bólu nabrał do płuc powietrza.

– Cho... chodź tu – wycharczał.

– Co?

– B... bliżej, głupia.

Agnes usłuchała i schyliła się ku niemu na odległość kilku cali. Przerażona dostrzegła, że z jego oczu zionie zimna, upiorna pustka. „Chryste, on umiera” – pomyślała.

– Nie zostawiaj mnie – pisnęła, tuląc jego rękę do swej twarzy. – Proszę, nie...

Harding skrzywił się, bo nie było czasu na sentymenty. Czuł, że każda chwila jest teraz na wagę złota. Ostatkiem sił wyswobodził więc dłoń z jej uścisku, chwycił dziewczynę za poły bluzki i wycedził przez zęby:

– Przy... przysięgniesz lojalnie prowadzić swoich braci...

– Co, tatku?

– Słuchaj, co mówię! Ma... masz postępować wedle przyjętego kodeksu... sprawiedliwie dzielić i surowo karać...

– Ale...

– A... a siłę i odwagę w królowaniu... będziesz czerpać z... będziesz... – Harding zamilkł, duszony spazmatycznym kaszlem. Był wściekły, a zarazem przerażony tym, że tak wiele powinien jej jeszcze przekazać, tak wiele powinien ją jeszcze nauczyć, a nie był w stanie dokończyć nawet słów zaprzysiężenia. Twarz ukochanej córki zaczęła

mętnieć, zanikać pod całunem dojmującej czerni. Rozchylił usta, bo musiał powiedzieć jej jeszcze coś bardzo ważnego, ale jedyne, co się wydobyło spod jego warg, to strużka gęstej posoki.

– Tatku? – usłyszał jakby z oddali – Tatku, słyszysz mnie?

„Słyszę, cię, głupia” – przeszło mu przez myśl. Skupiony na tym, by nie stracić przytomności, spróbował raz jeszcze zaczerpnąć powietrza. Płuca i przełyk przeszył ból, wszelako zdołał zebrać się w sobie i wyszeptać to, bez czego Agnes nie byłaby w stanie prowadzić gildii:

– To, co... to, co matki..., jest twoje, moje...

– Co?

– Sły... słyszysz mnie, dziewczyno? – spytał, dławiąc się od nadmiaru krwi w ustach. – To, co matki..., jest twoje, moje.

– Tak, słyszę – jęknęła przez łzy. – Słyszę, tatku. Powtarzasz mi to durne zdanie od lat, ale nie rozumiem tego! Nie rozumiem!

Harding puścił jej bluzkę. Zamknął powieki, głowę ułożył na boku. Przez chwilę Agnes wydawało się, że on tylko zasnął, że zbiera siły, ale w głębi serca wiedziała, że jej ojciec właśnie umarł.

– Nie! – krzyknęła. – Nie! Nie! Nie!

Pomimo wszechogarniającej wrzawy krzyk Agnes poniósł się echem prawie że po całej karczmie. Pierwszy do spiżarni wpadł kucharz.

– Co się stało? – spytał zdyszany.

– Tato – zawodziła Agnes. – Tato, nie zostawiaj mnie!

– O Boże! Co z nim? – Kucharz podbiegł do dziewczyny, robiąc na piersi znak krzyża.

– Nie żyje? – spytał pomywacz biegnący zaraz za nim.

– Nie wiem! Leć migiem po księdza!

– Tato! Tato! – krzyczała bezustannie Agnes, podczas gdy do spiżarni zaczęło się wpychać coraz więcej ludzi. Każdy był ciekaw, co też się stało.

– On umarł? – spytał któryś z gapiów.

– Spójrzcie na ten zakrwawiony fartuch!

– Może się przewrócił?

– Ona go otruła! – krzyknął ktoś nagle.

Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się w kierunku, z którego

dobiegło to oskarżenie. Nawet Agnes uniosła głowę znad zwłok Hardinga, wstała i jęła rozglądać się po kotłującym tłumie. Wzrok utkwiała tam, gdzie wszyscy pozostali, w rudej, piegowatej smarkuli.

– Ty dziwko – warknęła pod nosem, choć jeszcze nie docierało do niej, jaki udział mogła mieć w tym wszystkim Lora.

– Wytłumaczysz jakoś to oskarżenie? – spytał rudą jeden z tutejszych gości.

Lora zrobiła bezwiednie krok do tyłu. Było jej duszno, brakowało tchu, a z nerwów czuła takie zawroty głowy, że wszystko widziała rozmyte. Bała się, że jeszcze chwila, a straci przytomność, wszelako wiara w to, że dzięki swojemu planowi będzie mogła być z Williamem po wieki, podniosła ją na duchu. Zdołała zaczerpnąć kilka płytkich oddechów, wytrzymała wszystkie spojrzenia gapiów i z hardo uniesioną głową wskazała oskarżycielsko palcem kubek mleka stojący na ladzie.

– Widziałam, jak wlała truciznę do tego napitku! – krzyknęła.

– Co? – uniosła się Agnes. – To kłamstwo! To ty... – Dziewczyna zamilkła, bo nagle dotarło do niej, kto odpowiada za śmierć jej ojca i kto tak naprawdę miał tu dziś umrzeć. Zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie aż zaczęły wrzynać się w jej dłonie. Nie namyślając się długo, odepchnęła jakiegoś faceta, który stał jej na drodze, i jęła przedzierać się w kierunku Lory.

– Zabiję! – krzyknęła, będąc już kilka kroków od niej. – Wydrapię ci oczy, szmato!

Jeden z gapiów w ostatniej chwili złapał Agnes za rękę i przyciągnął ku sobie.

– O czym ona mówi, panienko?

– Puszczaj!

– To mleko na ladzie! – ciągnęła Lora, podpierając się pod boki. – Widziałam, jak wlewa do niego truciznę.

– Co też ty mówisz, smarkulo? – oburzył się kucharz.

– Bóg mi świadkiem, że pewnie chciała przejąć po nim karczmę!

– Ja słyszałem, jak chwilę temu kłóciła się ze swoim ojcem! – rzucił ktoś z tłumu.

– Prawda! Ja też słyszałem tutaj przy szynkwasio!

– Jeśli tak było – krzyknął podpity miejscowy kupczyk – to dajcie

jej się napić tego mleka!

– Dobrze mówi! Niech nam dowiedzie, że to nie trucizna.

Agnes struchlała, bo była niemal pewna, że mleko jest zatrute.

– To ta ruda zdzira otruła mi ojca! – wrzasnęła zrozpaczona.

– Podajcie jej ten kubek!

– Słyszycie mnie?! To ta ruda szmata!

– Szybciej! Tylko nie rozlejcie!

– Przestańcie! – błagała Agnes. – W tym mleku jest trucizna, ale to nie ja...

– Zabiłaś swego ojca, zachłanna grzesznico! – zagłuszyła ją Lora. – Nas możesz oszukać, ale Boga nie zwiedziesz!

– Niech to wypije!

– Przytrzymajcie ją!

Agnes wiedziała, że nie będzie w stanie przekonać zebranej gawiedzi. Jeśli zaraz nie wyrwie się z tego tłumu i nie ucieknie, jak nic legnie martwa przy swoim ojcu.

Przytomnie oceniła dystans, jaki dzielił ją od otwartego okna. Następnie w pośpiechu przyjrzała się ludziom kłębiącym się przy niej. Mężczyzna, który trzymał ją za ramię, był dosyć masywnej postury, ale oczy miał mętne, jak nic był podпиты. Na drodze do okna stało dwóch mieszczan, ale tak zaferowanych śledzeniem podawanego z rąk do rąk napitku, że ominięcie ich nie powinno nastęrczyć jej większych problemów. Zresztą ojciec nie na darmo uczył Agnes, jak sobie radzić w takich sytuacjach.

W pierwszej kolejności kopnęła w krocze mężczyznę, który trzymał ją za ramię, następnie popchnęła go w tłum kotłującej się gawiedzi i rzuciła się w kierunku okna. Jeden ze stojących tam mieszczan próbował złapać ją za rękę, ale dziewczyna zwinnie uderzyła go w szczękę i nie zatrzymując się ani na chwilę, wyskoczyła na zewnątrz.

– Gonić ją! – krzyknęli niemal jednocześnie wszyscy ludzie zebrani w spiżarni. – Larum! Larum! To trucicielka!

Mężczyźni w mig zaczęli wyskakiwać przez okno, wrzeszcząc o popełnionym mordzie.

– Larum! – rozlegało się raz po raz po okolicy. – Larum!

Z pobliskich domów jak na komendę jęli wybiegać mieszczanie. Odstawiali posiłki, przerywali pracę i inne zajęcia i w pośpiechu zakładali cizmy bądź inne niezbędne przyodziewki, byle tylko dołączyć do pościgu. Każdy bez wyjątku czuł się zobowiązany do złapania przestępcy.

Agnes biegła błotnistą uliczką. Nie wiedziała, dokąd uciec, gdzie się schować. W tej chwili liczyło się tylko to, by znaleźć się jak najdalej od rozwścieczonej hołoty. Mieszczan jednak z każdą chwilą przybywało. Zaalarmowani podniesionym larum, wybiegali z domów, kamienic i chatynek, wypełniając wąskie uliczki Southwerk. Agnes kluczyła pomiędzy zabudowaniami, łudząc się, że zgubi pościg, ale mieszczan było zbyt wielu. Niczym stado wygłodniałych wilków nadciągali z pobliskich zaułków, łącząc się w jedną wielką masę mknącą w ślad za dziewczyną.

„Zabiją mnie – myślała rozgorączkowana. – Nie dopuszczą nawet do słowa, stratuja i zatłuką na śmierć jak jakiegoś przybłędę”.

Zdyszana, przytomnie oddalała się od głównej ulicy mięsciny, bo tam przecież zawsze bywały największe tłumy, ale ten dystans kilku jardów, który dzielił ją od rozwścieczonej hołoty, z każdą chwilą zmniejszał się coraz bardziej. Przy Hugh Street jakiś gołowąs wyskoczył z pierwszego piętra wprost na nią i Agnes cudem zdołała utrzymać się na nogach i uchylić przed jego rękoma. Traciła siły. Wiedziała, że bez konia daleko nie ucieknie, że nie dobrnie nawet do obrzeży miasta. Musiała coś wymyślić, i to zaraz.

Na domiar złego od strony Long Southwerk nadbiegła kilkunastoosobowa grupa swołoczy, odgrażając się, że za mord trzeba zapłacić życiem. W rękach trzymali badyle, widły oraz łuki i noże. Wydawało się, że los dziewczyny został już przesądzony. Tłum mieszczan rozzłoszczonych własną niedolą znalazł wreszcie sposób na wyładowanie swych frustracji. Trzeba było tylko złapać tę butną dziewuchę i zatłuc, rozszarpać i zabić. W przypadku okrutnej zbrodni, jaką niewątpliwie było otrucie ojca, sąd wydawał się absolutnie zbędny.

– Dalej za nią! – krzyczeli raz po raz mieszczanie.

– Nie oszczędzajcie jej, ludzie!

– Larum! To trucicielka!

Zrozpaczona, acz zdeterminowana Agnes biegła przed siebie, dobywając ostatnich sił. Co jakiś czas potykała się i ocierała o ściany, ledwie utrzymując równowagę, atoli przy każdej sposobności starała się przewrócić napotkane na drodze skrzynie, beczki bądź stragany. Łudziła się, że utrudni tym pościg, jednakże tak naprawdę rozszerzała mieszczuchów do tego stopnia, że wyzwiska szybko zastąpiły lecące w jej kierunku kamienie. Wreszcie na zakręcie cuchnącej i grząskiej uliczki zauważyła uchylone drzwi do warsztatu tutejszego szewca, więc zdecydowała się tu ukryć. Niestety, jakiś gołowąs zdołał ją wypatrzeć, bo rozległ się jego piskliwy okrzyk:

– Tam na rogu!

Agnes zakłęła szpetnie, zaczerpnęła kilka krótkich oddechów, odgarnęła kosmyki kruczoczarnych włosów przyklepionych do spoconego oblicza i przebiegła przez warsztat. Wparowała do izby i ku zaskoczeniu biesiadujących przy stole gospodarzy, wyskoczyła przez okno.

Była na Dave Hill, w pobliżu kościoła Świętego Marka, z którego dochodził teraz melodyjny śpiew ministrantów. Pobiegnęła w tamtym kierunku, ale zatrwożona spostrzegła, że ludzie tłoczą się przed wejściem, gdyż w środku nie było już miejsca. Nie mogła ryzykować. Wiedziała, że kościół jest w tej chwili jej ostatnim ratunkiem, ale będzie zgubiona, jeśli nie zdoła dobrnąć przynajmniej do poświęconego prezbiterium. Wrzawa za jej plecami jęła nasilać się coraz bardziej, toteż nie zastanawiając się długo, podkasała spódnicę i odbiła w Short Southwerk, o mało co nie wpadając tam pod pędzący wóz wyładowany wełną.

– Tam jest! – usłyszała. Obejrzała się za siebie i widok nadciągającego tłumu odebrał jej na moment władzę w nogach. To wystarczyło, by skradający się w jej kierunku chłop pochwyił ją w pasie. Agnes jednak oprzytomniała, uderzyła cuchnącego łajnem mieszczucha w podbródek i rzuciła się w pokrytą starym brukiem Short Southwerk. Wiedziała, że na końcu tej ulicy jest jeszcze jedna świątynia, więc biegła w tamtym kierunku ile tylko miała sił w nogach. Tak bardzo się bała. Nie chciała umierać. Na szczęście w gąszczu zabudowań dość szybko zaczął majaczyć przed nią zarys kościoła. Podwoje były rozwarte i, co ważne, wejścia nie oblegały tłumy.

– Jest – sapała ze łzami w oczach. – Jest!

– Nie pozwólcie jej dobiec do kościoła! – usłyszała za sobą.

Lecz ten okrzyk dodał jej tylko sił. Widziała po prawicy biegnącego w jej kierunku chłopca, więc zawzięta, uparta jak zwykle, przysięgła sobie, że prędzej wyzionie ducha, niż da się teraz złapać. Już, już miała w zasięgu ręki wejście do świątyni, kiedy mężczyzna z impetem rzucił się na nią, powalając na zabłoconą ziemię. Jej woła walki zdawała się nie do pokonania. Wyrwała się z uścisku, kopnęła go z całej siły w głowę i na czworakach dobrnęła do wnętrza świątyni.

– Chryste, ocal mnie, bo zgrzeszyłam! – krzyknęła zdyszana, upadając na kamienną posadzkę.

Tego dnia Gervase niechętnie odprawiał mszę w swoim kościele. Dzień wcześniej zabawił się w pobliskiej tawernie i teraz niemiłosiernie łupało go we łbie. Rankiem spał sobie w najlepsze i rzecz jasna nawet przez myśl mu nie przeszło, by uderzyć w dzwony. Wiedział, że dziś jest święto męczennika Edmunda, ale człowiek w tak kiepskiej kondycji naprawdę mógł mieć głęboko w dupie celebrowanie prymarii. Ba, to, że nie bił w dzwony, niosło ze sobą jeszcze jedną wcale niełychą korzyść: mógł żywić nadzieję, że ludzie nie przyjdą na nabożeństwo. W końcu w Southwerk było wystarczająco dużo innych kościołów. Dlaczego więc, u licha, ludzie mieliby gnać się akurat do tego?

Niestety, aniołowie nie sprzyjali tego dnia proboszczowi, bo zawzięty motłoch bezczelnie przyszedł pod okna jego sypialni i jął się wydzierać, dopóki nieborak nie wyszedł na zewnątrz.

Gervase był w nieciekawej sytuacji; kilkakrotnie podpadł już tutejszym mieszczanom przez lichwiarskie machlojki i niewinne gwałty, i wiedział, że lepiej będzie dla niego, jeśli poprowadzi to nabożeństwo. Uchodził za niezbyt rozgarniętego purpurata, w rodzimym języku coś tam jeszcze był w stanie naskrobać, łacina jednak stanowiła dlań niezgłębioną sferę tajemnic. Na bakier z tym wcale niełatwym językiem było zresztą wielu duchownych, choć lwia część z nich potrafiła przynajmniej co nieco przeczytać, nawet bez zrozumienia, Nie Gervase; on był w samym ogonie niedouczonej kapłanów i wcale się z tym nie krył, głosząc, że sam prorok Izajasz mawiał: „Jako lud, tak i kapłan”.

Niestety, ostatniego lata nad proboszczem zebrały się czarne chmury, a wszystko przez praczkę, która przez nieuwagę zafarbowała jego szatę na różowy kolor. Barwa kapłańskiego przyodziewku nie miała

większego znaczenia, to znaczy w złym tonie były drogie barwniki, ale tak po prawdzie ksiądz mógł chodzić we wszystkim, co tylko sięga ziemi i jest zszyte bądź zapinane z przodu. No ale różowy? Pobita praczka doniosła o wszystkim biskupowi, dodając, że Gervase wydaje pieniądze parafian na popijawy i nałożnice, rozdaje krewnym ziemię, msze prowadzi wedle własnych kaprysów, a łaciny nie czyta, tylko zmyśla.

Trzeba przyznać, że proboszcz nie miałby jeszcze problemu z tym całym donosem, gdyby nie fakt, że od zawsze zalegał z daninami dla matki kościoła. Biskup zawziął się na niego, oświadczając, że jeśli Gervase chce się oczyścić z zarzutów, musi spełnić dwa warunki. Po pierwsze, miał się wykupić grzywną w wysokości dziesięciu szylingów, a po drugie, miał znaleźć dwunastu świadków gotowych przysiąc na krew chrystusową, że dają mu wiarę, iż od tej pory będzie wieść przykładne życie. I choć z uiszczeniem grzywny nie miał problemu, to ze świadkami już tak łatwo nie poszło. Spośród dwunastu ludzi, których zdołał przekonać do złożenia przysięgi, było kilka dziwek i bezczelnych darmozjadów, łotrów, których musiał spłacać do dnia dzisiejszego.

Gervase w ogóle nie przepadał za ludźmi. Miał pięćdziesiąt trzy lata, więc swoje już przeżył, nie wierzył w uczciwość ani w miłosierdzie. Wierzył w Boga, ale postrzegał go jako bezwzględne okrutnika, który lubi doświadczać ludzi bólem i wiecznym potępieniem. Bał się, rzecz jasna, Stwórcy jak ognia, ale ten strach w dużej mierze ujawniał się dopiero wtedy, gdy życie poddawało go próbie. Ale czyż tak nie było ze wszystkimi ludźmi?

Mimo że msza trwała w najlepsze, w kościele rozbrzmiewały w tej chwili śmiechy, chichoty, szmery i bezustanne szepty. Ludzie zajęci pracą i gospodarstwami nie mieli wielu okazji, by poplotkować o błahych, jakże przyjemnych dla uszu sprawach, a msza odprawiana w języku, którego i tak nikt nie rozumiał, zdawała się świetnym czasem na opowiadanie tego typu dyrdymałów. Mało który kapłan robił zresztą z tego tytułu jakieś wyrzuty, bo póki lud czuł respekt i nie zalegał z opłatami na rzecz kościoła, to reszta nie była aż tak istotna. Dużo bardziej irytujące mogło być to, gdy po kościele kręciło się jakieś zwierzę. A wypada wiedzieć, że podczas homilii u Gervasego częstokroć przewijał się dosyć pokaźny inwentarz. Jak nie pies, to kura, jak nie

kura, to świnia. A jeśli dodać do tego wszystkiego niewiasty łączące nierząd z żebractwem... Ani chybi o brak koncentracji w takim wypadku nietrudno, aczkolwiek rzeczony duchowny, który i tak przecież łaciny nie umiał, zwykł tolerować i tego typu zwyczaje.

Co by nie mówić, w kościele było dość gwarno. I choć w większości miejskich świątyń zachowanie wiernych było bardzo podobne, to chyba tylko w kościele Gervasego tak często dochodziło do waśni i różnorakich zamieszek.

„Może to przez brak miejsca?” – rozmyślał nieraz duchowny. Przybytek boży nie był zbyt mały, ale w zachodniej nawie kościoła zalegały beczki wina, a we wschodniej hałdy pszenicy. W całej świątyni było tylko kilka ławek ustawionych pod ścianą i tak po prawdzie wszyscy ludzie zmuszeni byli ścisnąć się na środku nawy głównej. Gervase nie zamierzał z tym niczego robić, bo za magazynowanie wszystkich tych dóbr w kościele pobierał niemałe opłaty, a przecież zdążył się już przyzwyczaić do życia na jakimś poziomie.

Proboszcz kończył już czytać swą własną odmianę łacińskiego kanonu mszalnego, czyli zasadniczą część ofiary eucharystycznej, gdy do kościoła wpadła jakaś rozczochrana dziewczucha.

– Chryste, ocal mnie, bo zgrzeszyłam! – krzyczała na całe gardło.

Za jej plecami jak spod ziemi wyrosła chmara mieszczan, dopominając się coraz głośniejszym głosem.

– Kurwa – zaklął pod nosem Gervase – tylko nie dzisiaj.

Akurat w dniu, w którym jego samopoczucie przybliżało go do biczowanego Chrystusa, znowu musiało się coś spierdolić. Znowu ktoś musiał się tutaj przywlec. I znowu będą jakieś waśnie, spory i kłótnie...

„Ani chybi – poprzysiągł sobie zakonnik – będę musiał niedługo nałożyć na kogoś pokazową ekskomunikę, bo ludzie chyba zapomnieli, kto jest w tej świątyni panem”. Wiedział jednak, że na to potrzeba jeszcze trochę czasu, przynajmniej kilku tygodni, tak by te wszystkie rozdmuchane wokół jego osoby afery poszły w zapomnienie.

– O co chodzi? – spytał donośnym głosem duchowny.

– Ochroń mnie, Boże! – usłyszał. – Ochroń, bo zgrzeszyłam.

– Dajcie jej przejść, ludzie! – nakazał proboszcz.

Zebrani parafianie się rozstąpili, a zapłakana dziewczucha podeszła pod

ołtarz i padła na kolana.

– Ocal mnie – wydusiła z siebie.

Gervase mlasnął językiem, przez chwilę wpatrując się w nią badawczym wzrokiem. Rozpoznał ją, wiedział, że to Agnes, córka karczmarza. Nie znał jej zbyt dobrze, ale kojarzył ją, bo kilka razy wychylił co nieco w zajeździe jej ojca.

– Czemuż tak się dopominasz bożej ochrony?

– Zgrzeszyłam, ojcze...

Dwójka roślących chłopów podbiegła do klęczącej dziewczyny. Jeden chwycił ją za włosy, drugi pod pachę.

– Ta dziwka otruła swojego ojca! – krzyknął pierwszy z nich.

– Puśćcie ją w tej chwili! – rozkazał Gervase. – Pamiętajcie, żeście są przed obliczem Boga!

Mężczyźni usłuchali, ale nie przestali groźnie wymachiwać bronią.

– Czy to prawda, moje dziecko? Otrułaś swego ojca?

Agnes pochyliła głowę. Słowa trudno przechodziły jej przez gardło, ale jęknęła:

– Tak... to prawda.

Gervase westchnął, rzucając jej karcące spojrzenie. Był rozeźlony, bo msza niechybnie się przeciągnie. Mógłby co prawda machnąć na to ręką i przegnać ją gdzie pieprz rośnie, ale gdyby biskup się o tym dowiedział...

– Czy w tym haniebnym czynie pomagał ci ktoś jeszcze?

Agnes zagryzła wargi. Tak bardzo chciała krzyknąć, że jest niewinna, że to wszystko zrobiła Lora, wszelako ludzie wydali już na nią wyrok i z pewnością nie miałyby szans na zmianę ich przekonań.

– Nikt mi nie pomagał – oznajmiła łamiącym się głosem.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Chciała karczmę na własność! – rzuciła jakaś dziewczka z tłumu kłębiącego się przy wejściu do kościoła.

– Czy to prawda, moje dziecko? – spytał ksiądz, wspierając dłonie na kamiennym ołtarzu. – Chciałaś się wzbogacić?

– Ta... tak.

– Czego oczekujesz przed Panem naszym, Jezusem Chrystusem, zbawicielem świata?

– Życie chcę oszczędzić! – zaszlochała dziewczyna. – Przyznaję się do mordu, przysięgę składam, że żałuję tego, co uczyniłam, i błagam, by mnie oszczędzono.

– Otruła własnego ojca! – znowu krzyknął ktoś z tłumu. – Musi zapłacić za to własnym życiem!

– Na szafot z nią!

Gervase uniósł rękę, by uspokoić zebranych.

– Pamiętajcie, że ta zagubiona niewiasta prosi o pomoc samego Boga!

Tłum jakby ucichł, a Gervase jał się bacznie przyglądać dzierlatce.

– Czy jesteś w ciąży? – spytał po chwili.

Agnes, dygocząc ze strachu, pokręciła głową.

– Nie – bąknęła. Myślała wcześniej przez chwilę, czy nie spróbować kłamać. Wszakże brzemiennie niewiasty mogły być zwolnione z kary śmierci, ale dowiedzenie ciąży wcale nie było takie łatwe.

– A więc chcesz być wygnana? Chcesz przysięgnąć przed obliczem Boga, że wyrzekasz się Anglii?

– Tak!

– Wstań z ziemi. Swym haniebnym postępowaniem zasługujesz na życie w biedzie, z dala od naszego kraju. Czy wiesz, że pod karą śmierci nigdy nie będziesz mogła powrócić na ojczystą ziemię?

– Tak...

– A więc spełnię twoją wolę z mocy nadanej mi przez Boga, Stworzyciela nieba i ziemi.

Wśród ludzi kłębiących się przy wejściu podniosła się wrzawa. Każdy z nich wiedział, że złoczyńca, który zdoła się ukryć w kościele, może liczyć na podobną łaskę, ale złość brała górę, bo przecież prawie złapali tę dziwkę.

– Trzeba nam zwołać radnych miasta! – krzyknął ktoś z tłumu.

– My staniem na straży!

– Wolnego, bracia! – warknął zezłoszczony kapłan. Jeszcze tego brakowało, by proceder wygnania ciągnął się w nieskończoność.

Wiadomo, że w dzień świętego Edmunda może być kłopot ze sprowadzeniem jakichkolwiek decydentów. A przecież do załatwienia

wszystkich formalności potrzeba nie tylko przedstawicielstwa radnych, ale i zeznań świadków oraz koronera – urzędnika sądowego, który potwierdziłby przyznanie się oskarżonej do winy. To wszystko mogłoby trwać do wieczora, a może i dłużej, a ponieważ najważniejsza i tak była przysięga przed Bogiem, Gervase ani myślał mitrzyć czasu na bzdury i zdecydował się wziąć sprawy w swoje ręce.

– Czy wśród zebranych jest ktoś, kto może przysiąc tutaj przed Bogiem, że nie zna nikogo innego winnego śmierci karczmarza prócz rzeczony Agnes z Southwerk?

W świątyni zaległa cisza, ale na krótko.

– Ja! – rozległ się nagle dziewczęcy głos.

Gervase ściągnął brwi, stanął na palcach, by dojrzeć tę, która się zgłosiła, ale poza burzą płomiennorudych loków niewiele ujrzał.

– Podejdź tu, tak by każdy mógł cię zobaczyć.

Lora z walącym sercem wyszła przed szereg. Czuła się tak, jakby szła na spotkanie śmierci, ale nie zatrzymując się ani na moment, minęła Agnes i stanęła kilka kroków przed ołtarzem.

– Czy przysięgasz przed Panem Bogiem Wszechmogącym w Trójcy Świętej Jedynym, że ta oto tutaj Agnes z Southwerk zabiła swego ojca Hardinga, prowadzącego karczmę Tabard? A uczynić to miała z pełną premedytacją jedynie po to, aby się wzbogacić?

– Przysięgam!

Gervase pokiwał głową i wbił wzrok gdzieś hen daleko. Wyglądał, jakby powtarzał sobie w myślach zasłyszane słowa. Wreszcie wydał spierzchnięte wargi i mlasnął językiem.

– Dobrze – powiedział na całe gardło. – Bardzo dobrze. Możesz odejść, moje dziecko.

– Nie będziem przywoływać koronera? – spytał niespodzianie ktoś z tłumu.

– Kto to powiedział?!

Cisza.

Gervase zagotował się w środku. Z jego oczu prawie że leciały iskry; zacisnął umięśnione szczęki, rozdał nozdrza.

– Kto to powiedział?! – ponowił pytanie, tym razem tak głośno, że płomień pobliskiej świecy na chwilę przygasł.

Ludzie jak na komendę rozstąpili się, pozostawiając krzykacza samego sobie. Przygarbiony chłop o utyłanej chyba gównem gębie stał wcale nie tak daleko od proboszcza i z nerwów obracał w rękach słomkowy kapelusz.

– Ach, to ty...

– Wybacz, dobrodzieju...

– Kojarzę twą gębę. Czy to nie twoją żonę batożyłem tutaj przed obliczem Boga zwojem lnianej przedzy za to, że pracowała w dzień świętej Katarzyny?

– Wždy moją... – bąknął chłopina.

– Tuszę, żeś nie jest ciekaw tej kary na własnej skórze?

Chłop spuścił głowę, nie mając odwagi powiedzieć choć słowa.

Gervase zaś zacisnął wargi i śledzony wzrokiem wszystkich parafian, uniósł wskazujący palec wysoko nad głowę, tak by każdy go widział.

– Lud ma być posłuszny woli Boga Najwyższego! – ryknął. – To oczywiste, że proces w domu bożym musi się odbyć należycie, ale to przysięga przed Panem jest najistotniejsza! Jakiegokolwiek sprzeciwu czy durne uwagi ukarzę natychmiastową ekskomuniką! Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

Z tłumu doszedł pomruk niezadowolenia. Gervase odczekał dłuższą chwilą i spytał już spokojniejszym tonem:

– Czy wśród zebranych jest ktoś z obywatelskich służb lub administracji miłościwie nam panującego króla?

W nawie głównej przez dłuższy czas panowała cisza, ale w końcu zgłosił się podstarzały jegomość w podbitym blachą kubraku.

– Ja przewodzę służbom porządkowym mostu.

– Bardzo dobrze – ucieszył się Gervase. – Wybierz troje ludzi, którzy będą mogli poświadczyć zaprzysiężenie tej morderczynie.

Mężczyzna wypiął pierś, dumny, że dostąpił takiego zaszczytu. Dał znak trzem znajomkom i wraz z nimi stanął nieopodal przygarbionej dziewczyny.

Gervase minął stół ofiarny, zszedł po dwóch stopniach i zatrzymał się naprzeciw Agnes. Do jej spoconego piegowatego lica tu i ówdzie przylepiły się kruczoczarne kędziory, podbródek i sine, wyschnięte usta

drżały z emocji, a oczy, wielkie i przerażone, co rusz łypały na dyszących obok niej mężczyzn. Wyglądała jak trzymane w klatce zwierzę, i prawdę mówiąc, tak też się czuła.

– Zedrzyjcie z niej szaty – rozkazał Gervase.

Wybrani na świadków w mig usłuchali proboszcza, rozrywając na jej wątłym ciele suknię, lnianą koszulę oraz pończochy. Ku radości zebranego tłumu nie kryli się z chęcią obmacania jej w jakże ordynarny i hańbiący sposób.

– Proszę... – szeptała Agnes. – Proszę... – powtarzała, jednakże łapy tych drani ani na moment nie przestawały dotykać jej piersi, pośladków i kędzierzawej waginy.

Gervase oblizwał spierzchnięte usta. Nie przejmował się tym, jak dziewczyna znosi to publiczne upokorzenie, ale chciał mieć to wszystko jak najszybciej za sobą.

– Wystarczy – oznajmił nakazującym tonem. – Przyodziejcie ją w białe płótno, które zakrywa tamtą rzeźbę. I zawieście ten drewniany krzyż na jej szyi, by każdy wiedział, z czyjej łaski może dalej żyć na bożym świecie.

Dziewczyna zaszlochała, lecz ksiądz niewzruszenie obserwował, jak mężczyźni rozcinają płachtę i wdziewają na jej nagie, drżące ciało.

– Dobrze – rzekł wreszcie, usatysfakcjonowany jej ubiorem. – Złóżysz teraz przed Bogiem i zebranymi przysięgę.

Agnes z pokorą spuściła głowę i jęła powtarzać za duchownym:

– Ja, Agnes z Southwerk, za zbrodnię zabójstwa, jakiej się dopuściłam, opuszczę ten kraj, Anglię, aby nigdy doń więcej nie powrócić..., chyba że za zezwoleniem królów Anglii lub ich dziedziców; tak mi dopomóż Bóg i wszyscy jego święci[7].

– Dobrze – oznajmił po chwili milczenia Gervase. – Czy świadkowie mają specjalne żądania co do warunków wygnania?

Mężczyźni popatrzyli po sobie, a że żaden z nich nie przemówił, to ksiądz zdecydował się kontynuować:

– Odpłyniesz z pobliskiego portu w Southwerk, a statku oczekiwać będziesz na brzegu, zanurzając się co trzy zdrowaśki po kolana w wodzie, by dać tym wyraz, że duchem już opuściłaś Anglię. Czy rozumiałaś, co z woli Boga zostało ci nakazane?

– Tak.

– Świadkowie mają asystować ci w porcie do czasu, aż nie znajdzie się okręt stosowny do twojego wygnania.

– Jeden z okrętów będzie dziś odpływał do Portugalii! – krzyknął ktoś z tłumu.

– To prawda! Duży transport wełny!

Gervase uniósł brwi i zakolysał się na piętach.

– Doskonale. Żyj więc tam w nędzy, cierpieniu i w wierze, że Chrystus cię kiedyś przygarnie.

Agnes z pokorą przyjęła te słowa. Gervase wrócił zaś do ołtarza, ucałował w pośpiechu blat stołu i krzyknął z dumą perfekcyjnie wyuczoną formułę:

– *Benedicat vos omnipotens Deus, Pater, et Filius, et Spiritus Sanctus!*[8]

– Amen!

Tłum migiem wyprowadził Agnes z kościoła. Każdy jeden był ciekaw jej wygnania, toteż wszyscy ruszyli do portu po zachodniej stronie Southwerk.

– Trucicielka skazana na wygnanie! – krzyczeli co poniektórzy.

– Precz z przestępcami! – skandowali inni.

Okręt na szczęście miał już odpływać, więc Agnes nie musiała doświadczać ciągnącego się w nieskończoność upokarzania.

Wprowadzona na pokład, stanęła przy sterburcie, by ostatni raz spojrzeć na swą ojczystą ziemię.

Wiatr dał w rozpostarte żagle, mewy skrzeczały, łajba trzeszczała, a do uszu Agnes bez ustanku docierały groźby i wyzwiska rzucone z nadbrzeża.

Nie zwracała na to uwagi. Okręt płynął dalej, Southwerk jął zakrywać gęsty kożuch mgły i zamiast Anglii pojawił się w końcu bezmiar mieniących się w słońcu wód. Z czasem jednak horyzont nad morzem całkowicie ściemniał. Serce Agnes wypełniał smutek i niepohamowana gorycz, miała ochotę wyć, by dać upust emocjom, które się w niej kotłowały, ale nie chciała nikomu okazać swojej słabości. Pamiętała, co powiedział jej ojciec, była w pełni świadoma tego, co zrobiła Lora. I jedyne, czego mogła być teraz pewna, to zemsty.

Zemsty, którą będzie się rozkoszować, gdy tylko powróci do Anglii.

25 GRUDNIA 1341 ROKU

Gilbert wpadł do swojej celi zdyszany i szczerze przerażony. Z hukiem zamknął wierzeje i wsparł się o nie, nasłuchując, czy chichrająca się kobieta nie poszła jego śladem. Wszystko zagłuszało serce łomoczące w piersi, krew dudniąca w skroniach i spazmatyczny, urywany oddech. Zamknął oczy, próbując zapanować nad własnym ciałem, ale czuł, że tam na dole przez cały czas jest twardy.

– Boże, pomóż mi – wycedził przez zaciśnięte zęby i zamarł, bo usłyszał na nowo szyderstwa i diabelskie rechoty.

– Jej tu nie ma – rzekł, zaciskając z całych sił powieki. – Jej tu nie ma. Nie ma! Nie ma!

Czerwony na twarzy, jeszcze raz rzucił ukradkiem spojrzenie na wilgotne krocze i pełen wstydu pobiegł w kąt celi, kuląc się tam niczym zastraszone dziecko.

W klasztorze ponownie zabrzmiał śmiech. Przeniknął przez ściany i wwiercił się w głowę chłopaka.

– Proszę... przestańcie – jęczał. – Błagam, już dosyć...

Ale chichot był coraz głośniejszy, coraz bardziej natarczywy. I nawet gdy cichł, rozlegał się po chwili na nowo niczym echo powtarzane bez ustanku w rozległej jaskini.

A jeśli ten śmiech należy do niego? Jeśli to demon...

– Gilbercie! – usłyszał.

– N-nie... proszę.

Zatkał sobie uszy i skulił się, ale nadal słyszał swe imię, które Forwin raz za razem wykrzykiwał. Co gorsza, chichranie narastało z każdym momentem.

– Gilbercie!

Spanikowany, zerwał się z kucek i dopadł drzwi, zapierając się o nie z całych sił. Nie mógł pozwolić na to, by bandyta wszedł tutaj ze swoją diablicą.

– Nie wygłupiaj się, Gilbercie!

– Zo... zostawcie mnie...

Bandyta napał na drzwi, ale Gilbert z szaleństwem w oczach dociskał je całym ciałem.

– Odsuń się – stęknął towarzysz.

– N-nie.

– Mojej pipulki się boisz? – usłyszał rozchichotaną kobietę.

– Nie... Nie chcę... Gdzie Thomas?

– Oj, Thomas ci w głowie. Coś ty, sodomita?

– Zo-zostawcie! Idźcie!

– Odsuń się od drzwi! – krzyknął bandyta, napierając na nie raz jeszcze. Te zaskrzypiały, nawet nieco się uchylły, lecz Gilbert znowu docisnął je do futryny. Był silniejszy i mógł bez trudu opierać się tak jeszcze długi czas, ale w tej chwili ledwie panował nad emocjami. Mrużył nerwowo powieki, zatykał uszy, a do tego wszystkiego co rusz potrząsał głową, jakby chciał pozbyć się z niej tych krzyków, śmiechów i nawoływań.

– Wpuść nas, a nie pożałujesz.

Kobieta znów zapiszcziała. Gil zwrócił się w kierunku wiszącego krucyfiksu, aby poprosić Boga o siłę, ale w tym momencie Forwin z takim impetem runął na odrzwia, że chłopaka aż odrzuciło. Wpadli do środka, nie przestając się śmiać ani na moment. Gilbert ponownie zatkał

sobie uszy i zacisnął z całych sił powieki.

– Was tu nie ma – jęknął błagalnie. – Was tu nie ma – powtarzał, ale śmiechy nie chciały opuścić jego głowy. W dodatku ten mdły, jakże słodki zapach wanilii wwiercał się w jego nozdrza, przyprawiając o bolesne zawroty głowy.

– No coś ty, Gilbercie – usłyszał. – Każdemu może się przytrafić. Prawda, Susanna?

Młodzieniec, uświadamiając sobie, że stoi do nich przodem, odwrócił się gwałtownie, bo nie chciał, by widzieli brudny od nasienia habit.

– Jasne, chłopcze – mruknęła kobieta. – To zupełnie normalne...

– Ja... ja nie chcę. Zostawcie mnie...

– Daj mi skończyć to, co ledwie zaczęłam...

– Nie!

Forwin zrobił kwaśną minę, bo nie pamiętał, by kiedykolwiek ktoś zachowywał się aż tak głupio. Thomas wyszedł na spotkanie z Adamem, ale pozwolił chłopakom nieco się zabawić. Dlaczego ten dziwak nie miałby też czegoś dostać? Forwin zrobił to w dobrej wierze. Chciał sprawić młodemu przyjemność. Były święta, w dodatku młody miał chyba urodziny. Kurwa, na pewno miał w tym roku jakieś urodziny. Każdy je ma! Skąd mógł przypuszczać, że gówniarz tak nerwowo zareaguje na gołe cycki? Gil z pewnością już nieraz widział dzierlatki w klasztorze, wszak bandycka brać musiała jakoś egzystować. Pewnie nie brał udziału w tych wszystkich orgietkach, ale, do cholery, przecież jest mężczyzną! Ile może mieć lat? Osiemnaście? Dziewiętnaście? Już sam z siebie powinien czuć, że dobrze jest od czasu do czasu porządnie pochędożyć.

A jeśli Gilbert ma zgoła odmienne upodobania? Forwin skrzywił się i nawet zawahał, czy dalej skłaniać chłopaka do igraszek z Susanną. Zdecydował się jednak spróbować jeszcze raz, bo w końcu ta cała farsa zaszła zbyt daleko.

– Nie bądź głupi, Gil – rzekł Forwin jakby łagodniejszym tonem. – To prezent dla ciebie.

– N-nie chcę.

– Niczego nie musisz robić, Suzi wszystkim się zajmie. Prawda,

Suzi?

– Jasne, zobaczysz, że nie pożałujesz – usłyszał łagodny, jakże oszukańczy głos kobiety.

Chłopak próbował zebrać się na odwagę, by spojrzeć w jej kierunku, ale zdobył się tylko na łypnięcie okiem. Uchwycił jeno fragment falującego skrawka sukni. Przypomniał sobie, co miała pod nią, i to mu w zupełności wystarczyło.

Odszedł kilka kroków, obejmując się mocno rękoma, jakby łudził się, że przez taki mur nikt go nie dotknie.

– Jesteś mężczyzną, Gil! – zirytował się Forwin. – I chcąc nie chcąc, masz ją zerznąć! – Po tych nieznoszących sprzeciwu słowach bandyta mrugnął do dziewczki, szepnął, że za ten numerek dostanie podwójną zapłatę, po czym wyszedł z celi.

Zasuwa zamknęła się z głośnym łoskotem.

– Zobaczysz, że będzie fajnie – mruknęła Suzi, podeszła i położyła dłoń na jego ramieniu.

Chłopak poczuł dreszcze i gorejący żar od stóp, przez lędźwie, aż po sam czubek głowy. Nie podobało mu się, że nie potrafi zapanować nad własnym ciałem. Odsunął się z jękiem i odwrócił do niej, krzycząc, by go zostawiła, ale zakłopotany spostrzegł, że bezwstydnica jest naga. Pofałdowana suknia leżała na ziemi i oplatała jej stopy niczym wąż.

– Legnij ze mną, proszę...

Gilbert powiódł przerażonym wzrokiem po jej obnażonym ciele. Szyja lśniła od potu, nabrzmiące piersi prężyły się z każdym oddechem kobiety, a wagina mamiła, nęciła i hipnotyzowała swym odsłoniętym, jakże fałszywym wdziękiem.

Cherubin z niekłamanym trudem wyrwał się ze szponów tego zgubnego zauroczenia. Żwawym krokiem podbiegł do zydła, na którym stał cebrzyk z wodą i sodą oraz resztą utensyliów kąpielowych. Wziął ścierkę i co tchu zarzucił ją na wiszący nieopodal krucyfiks.

– Wstydzisz się go, co?

– Ta... tak.

– Ale teraz już nie patrzy, prawda?

Gilbert nie miał odwagi spojrzeć w jej stronę.

– Odejdź – wyjęczał.

– Ćśśś... Zobaczysz, że nic ci nie będzie.

Już po raz wtóry potrząsnął głową. Nie chciał jej słuchać i ani myślał ruszyć się z miejsca.

Suzi zdecydowała się przejąć inicjatywę. Zauważyła, że młodzian reaguje dość nerwowo na dotyk, a że nie zamierzała zrezygnować z podwójnej zapłaty, którą bandzior jej obiecał, postanowiła skusić go innym sposobem. Kręcąc zalotnie biodrami, podeszła do posłania. Położyła się na ubitej słomie i ordynarnie rozchyliła przed nim nogi.

Nastała cisza. Czyżby sobie poszła? Gilbert nie chciał patrzeć w jej kierunku, ale jakaś diabelska siła kazała mu to zrobić choćby na chwilę. Łypnął na nią okiem... i zamarł.

– Nie – jęknął. Poczul, jak pot oblewa jego policzki, kark i czoło, a nabrzmiałe od dziwnego uczucia krocze pozbawia go zdolności trzeźwego myślenia. Chciał wymazać ten obraz z pamięci, ale bezskutecznie. Dlaczego? Dlaczego, Boże, nie jesteś teraz przy mnie?

– G-gdzie Thomas?

– Ćśśś... Chcesz mnie skosztować? – spytała, mrużąc. – Chodź, zobaczysz, jaka jestem smaczna...

Forwin podszedł bliżej do drzwi. Usatysfakcjonowany, usłyszał wreszcie charakterystyczne westchnienie. Potem kolejne i jeszcze jedno. Odetchnął z ulgą. Nawet się zaśmiał, bo zaraz potem jęk stał się jakby głośniejszy... i jeszcze głośniejszy. Nie... To był krzyk! To był wrzask! To był...

Bandyta w pośpiechu chwycił za zasuwę. Przerażony wydobywającym się z celi coraz głośniejszym rykiem, zwierzęcym, niewyobrażalnym jękiem i piskiem, zaczął się szarpać z francowatym rygłem, ale ten za jasną cholerę nie chciał się przesunąć.

Pot zrosił jego czoło, krew w nim zawrzała...

– No, dalej...

Wreszcie zasuwę puściła i Forwin z impetem wpadł do środka. Zamarł, nie mrugnawszy nawet powieką. Najpierw dostrzegł strugi krwi ściekającej z kamiennej ściany, potem zbryzganego posoką Gilberta. I wreszcie zobaczył Susannę – zaszlachtowaną jak jakieś bydło, rozszarpaną i podziurawioną jak... jak...

– Coś ty zrobił, Gilbercie?!

Cherubin słyszał Forwina, ale jakby przez ścianę. Siedział na truchle okrakiem i bezustannie wpatrywał się w zalaną krwią twarz niewiasty.

– Co-coś ty zrobił?!

Powoli, ociężale zszedł z siennika.

– Ja...

– Dlaczego to zrobiłeś?

– To... to była grzesznica...

– Co?! Sam jesteś...

Gilbert doskoczył do Forwina w ułamku chwili. Najpierw ciał w gardło, potem pod żebro i jeszcze raz w gardło. Bandyta dostał drgawek, skrzywił się, zesrał i upadł na ziemię.

– Może Bóg ci wybaczy – wydukał pod nosem Gilbert.

Długo stał w miejscu, wpatrując się w krew rozlewającą się coraz szerzej wokół ciała bandyty. Wreszcie podszedł do wiszącego krucyfiks i zdjął z niego szmatę. Nieśpiesznie podniósł skórzany bicz, który leżał w kącie celi, i padł na kolana.

– Dziękuję ci za siłę, którą mnie natchnąłeś, Panie – rzekł, wymierzając sobie razy. – I błagam cię, byś nigdy mnie nie zostawił, albowiem tylko w tobie widzę prawdziwe oparcie.

Gilbert przez długi czas zadawał sobie pokutę. Bał się, bo w głębi serca wiedział, że Thomas nie będzie zadowolony z tego, co tu się wydarzyło, ale nastał moment, kiedy usłyszał głos Boga. Boga, który go pokrzepiał:

– Nie obawiaj się Thomasa, Gilbercie. Nie obawiaj...

– Ja... ja... – Słowa ze wzruszenia z trudem przechodziły mu przez gardło.

– Nie bój się go i wiedz, że każdy zasługuje na śmierć. Każdy...

*Wiesz, co moje, gdy dziewięć twoje.
Sześć jest tam i dwanaście.
Jeden za to chce być z trójką,
Dwa chcemy oboje.*

*Czwarty woła: ja chcę teraz,
Dwadzieścia wnet za nim.
Siedem będzie tam i dziewięć,
Szesnaście ja nie wiem.*

Padął gęsty śnieg, gdy statek handlowy dobijał do portu w Southwerk. Zmierzchało, wiało i było nieprzyjemnie. Tegoroczna zima srodze doświadczyła południową część Anglii, choć póki co łaskawie obeszła się z Tamizą, nie pokrywając jej grubą warstwą lodu. Gdy tylko okręt zacumował do nadbrzeża, pracownicy żwawo zabrali się do rozładunku. Spóźnili się z transportem o dwa dni i chcąc nie chcąc musieli dokończyć pracę w Boże Narodzenie. Ciągnąc skrzynie po platformie, zagrzewali się do pracy przekleństwami i krzykiem, a każdy z nich się złościł, bo przecież w świątecznym okresie nawet chłopcy byli zwalniani z pracy. Co prawda musieli w zamian uiszczać czynszowe, ale nie ganiłi w mrozy z ciężkimi ładunkami.

Po trapie zszedł kapitan – stosunkowo krzepki, ryży, zaprawiony w morskich wyprawach wiarus. Poza szalikiem trudno było dostrzec w jego ubraniu coś, co by pasowało do obecnej pory roku. Towarzyszył mu młodzieniec – nie wysoki, nie niski, ot, średniej budowy, energiczny i żywotny, bo pomimo przebytej podróży kroki stawiał sprężysto. Gdy

tylko zeszli na ląd, pożegnali się i każdy poszedł w swoją stronę. Kapitan wszedł do portowej karczmy Bertra, a młodzian skierował się do centrum.

Szedł wzdłuż nadbrzeża, nie oglądając się za siebie. Zatrzymał się przy stercie śniegu kilka jardów od mostu i z rozrzuwieniem wpatrzył się w szumiącą przy filarach wodę. Przypomniał sobie opowieści ojca o zamarznętej Tamizie. O tym, jak ludzie jeździli po niej na łyżwach, jak sam król zabawiał się tutaj ze swoją świtą, jak pieczono woły, rozkładano kramy... Bardzo lubił tę opowieść.

„Było, minęło” – rzekł do siebie w myślach. Westchnął i powiódł wzrokiem po okolicy. Przy moście zaszczekał pies. W oddali zabręczały jakieś łańcuchy. Trudno było wypatrzyć kogokolwiek w taką niepogodę, a tym bardziej w Boże Narodzenie. Młodzian poprawił czapkę, nasunął głębiej kaptur, rozejrzał się raz jeszcze i mruknął pod nosem: „Pokój chciałbym”. Niezadowolony powtórzył to zdanie jeszcze po dwakroć, tak jakby ćwiczył tembr swojego głosu. Wreszcie uśmiechnął się, a zrobił to w sposób jakże znamienny dla Agnes.

„Prawie pięć długich lat” – przeszło jej przez myśl. Pięć lat.

Nie było dnia, by nie rozmyślała o żebraczkę Lorze. Nie było dnia, by nie budziła do życia wspomnień o swym ojcu. Myślała, że jest silna i od razu wróci do Anglii, by zemścić się na tych, którzy ją skrzywdzili, ale z każdym tygodniem ogarniał ją coraz większy strach. Bała się stawić czoła temu, co ją tak bardzo zraniło. Próbowwała nawet o tym zapomnieć, ale twarz umierającego ojca nawiedzała ją niemal każdej nocy.

Król podziemia. Kto by pomyślał, że ten poczciwy brodacz przewodził wszystkim szubrawcom. W dziewczynie wzbierał chwilami gniew na samą myśl o tym, że nigdy nie powiedział jej prawdy. Agnes nie była gotowa na przewodzenie gildii. Nawet nie wiedziała, jak się do tego zabrać, z kim się spotkać, komu i jakie wydać polecenia. Znała wielu przestępców, bo ojciec oswajał ją z tym środowiskiem, ale podczas jej nieobecności wiele mogło się zmienić. Pięć lat bezkrólewia. Czy tego typu organizacja mogła w ogóle przetrwać taki szmat czasu bez przywództwa? Agnes nie była pewna, czy nawet z czyjąś pomocą chciałyby stanąć na jej czele. Czuła się słaba, bezsilna, niekompetentna. Do cholery, ojciec nie miał prawa wymagać od niej tak wiele! Chciała

zadośćuczynić jego żądaniu, ale wpieryw musiała odkryć jego sekret do końca.

„To, co matki, jest twoje, moje”. Ojciec powiedział to głupie zdanie pierwszy raz jakiś tydzień po śmierci mamy i Simona, a powtarzał je zwykle razem z wyliczanką, którą Agnes, chcąc nie chcąc, pamiętała do dzisiaj. Ileż to razy uśmiechał się przy tym głupkowato i ileż to razy ona złościła się, że nie chciał jej wytłumaczyć, co to oznacza. Zbywał zwykle jej pytania słowami, że kiedyś może się dowie. Z czasem przestała się tym przejmować, ale gdy ojciec wypowiedział te słowa akurat w chwili śmierci, zrozumiała, że muszą kryć jakieś ważne przesłanie.

Długo nad tym myślała i chyba już wiedziała, gdzie szukać odpowiedzi. Jedyne, co mogło należeć do matki, to izba na pierwszym piętrze karczmy. Wszystkie jej rzeczy sprzedali lub wyrzucili, bo ojciec nie chciał przechowywać w pamięci bolesnych wspomnień. A izbę, w której mama urodziła dwójkę dzieci, nazwali właśnie jej pokojem. Z tego, co dziewczyna pamiętała, od śmierci mamy pokój był pusty. Ot, czasem może składowali tam jakieś mniej potrzebne rzeczy, ale po prawdzie Harding nigdy jakoś specjalnie nie poświęcał mu uwagi. Owszem, przebywał w nim od czasu do czasu, a gościom nigdy nie pozwalał go udostępniać, ale w żadnym wypadku nic nie wskazywało na to, by ukrywał tam jakąś tajemnicę. On nawet nie zamykał tej izby na kluczyk. Agnes nie wiedziała, czego mogłaby tam szukać, wszelako wierzyła, że wyliczanka, którą Harding powtarzał jej od piętnastu lat, pomoże w odkryciu tajemnicy.

Ale co dalej? Jeśli królewska gildia faktycznie przetrwała, to czy ona, niedoświadczona, młoda dziewczyna, powinna stawić jej czoła? Powinna dopomnieć się o to, co z tytułu zaprzysiężenia należało do niej? Nie mogła działać pochopnie. To nie upominanie się o darmową naprawę trzewików u szewca czy walka z krewnymi o spadek. To igranie z ogniem, z łotrami, którzy wyjmują błyszczące ostrza z o wiele bardziej błahych powodów.

Agnes musiała zachować zdrowy rozsądek i mierzyć zamiary na siły. Harding z pewnością by nie chciał, żeby stała jej się jakaś krzywda. Nie mógł przypuszczać, że dziewczyna będzie zmuszona na kilka lat

opuścić Anglię. Jeśli gildia faktycznie istnieje dalej, to pewnie zyskała jakiegoś króla, który już zdążył zapuścić korzenie.

W obecnej sytuacji postanowiła zająć się przede wszystkim dwiema sprawami. Po pierwsze, przeszuka cał po calu pokój w karczmie Tabard. Po drugie, odnajdzie Lorę, by odpłacić się jej za zabicie ojca.

Wiatr przybrał na sile, więc Agnes żwawym krokiem ruszyła przed siebie. Szła główną drogą, bo tylko ta zdawała się w miarę odśnieżona. Zbity śnieg skrzypiał pod jej butami, z kominów buchały kłęby dymu, dodając szarości zasypanej śniegiem okolicy. Ciemniało, ale okna większości domów rozświetlał nikły blask świec i lampionów. Tej nocy każdy świętował narodzenie Pana. Southwerk tonął w gąszczu różnorodnych zdobień. Odrzwia były udekorowane zielonym ostrokrzewem, a ściany pokrywały bujne i rozłożyste wstęgi bluszczu. Mimo siarczystego mrozu ten widok koił i podnosił na duchu.

Psy znowu szczeknęły. Obejrzała się i zauważyła, że strażnicy zapalają oliwne lampiony przy mostowej wieży. Poprawiła kaptur i ruszyła przed siebie. Przy zakładzie kołodzieja spostrzegła leżące zwłoki, pewnikiem zebraka, którego powalił głód albo zima. Nie przejęła się jednak jego losem i żwawo dobiegła do celu. Przy wejściu stanęła, rozejrzała się wokół, wygładziła dublet wystający spod płaszcza i jeszcze raz powtórzyła w myślach to, co zaplanowała.

Czuła, że żołądek zaciska się jej ze strachu. „A jeśli ktoś mnie rozpozna?” – myślała. W końcu wzięła kilka głębokich wdechów, chwyciła za klamkę i weszła do środka.

Poczuła na twarzy ciepłe powietrze. Zamknęła pośpiesznie odrzwia i rozejrzała się ukradkiem po głównej sali, a potem skierowała do szynkwasu. Było prawie pusto, nie licząc trzech śniadych mężczyzn, chyba obcokrajowców, zajętych spóźnioną wieczerzą.

Stając przy ladzie, zsunęła kaptur, bo zbyt ukrywanie oblicza niepotrzebnie wzbudzałoby podejrzenia, a poza tym i tak miała jeszcze na głowie filcową czapkę.

– Szczęść Boże – rzekła, starając się mówić ochrypłym głosem. Nikt jednak nie przyszedł, więc powtórzyła nieco głośniejszym głosem: – Szczęść...

– Słyszę... – Ze spiżarni wyszła, a raczej wytoczyła się tłusta baba. Sprawiała wrażenie znużonej, zajętej zgoła innymi sprawami. Łypała

spode łba w złości. Agnes miała wrażenie, że skądś tę obmierzłą babę zna, ale nie mogła sobie przypomnieć skąd. Zresztą to nie było w tej chwili ważne. Nie chciała marnować czasu, toteż od razu przeszła do rzeczy:

- Chciałbym coś zjeść.
- Pieczystego już nie ma.
- Może być kawałek bochna i kufel godale[9].

Babina kiwnęła głową, krzyżąc przez ramię:

- Słyszał?!
- Tak! – doszło zza ściany.
- Chciałbym też spocząć u was.

Na te słowa oberżystka, jakby bardziej czujna, obrzuciła przybysza badawczym wzrokiem.

- We święta?
- Ja przejazdem...
- A na długo chce?
- No, do rana... Sami widzicie, jaka zawierucha.
- To w domu siedzieć, a nie łajdaczyć się po nocach.
- Gościnnie, widzę, tu u was...

– Ech... – Babina machnęła ręką. – Nie nabzdyczajcie się tak, ale dwie noce temu było tu kilku takich młodych, ładniutkich, grzeczniutkich. Każdy jeden zdawał się galantem w całości i w każdym szczególe. A salę sypialnianą nam tak opierdolili, że m wdzięczna za ostawioną podłogę.

– Przykro słyszeć...

– A pewnie, że przykro. Dranie wszystko zsiurali, gównem obsmarowali, nawet parapety wyrwali... Na co, powiedzcie mi, i komu drewniany parapet?

- Palić tym można...
- Wždy można...

Ze spiżarni wyszedł młokos, któremu ledwie sypał się wąs, postawił na ladzie kufel i położył kawał gruboziarnistego bochna. Tak samo szybko jak się pojawił, zniknął. Chleb był wydrążony, wypchany farszem aż po brzegi. Wyglądał niezgorzej, choć przy dokładniejszych oględzinach widać było, że to sama kapusta i grzyby.

– Będzie?

Agnes kiwnęła głową.

– Spać musielibyście w izbie dla wielmożów, bo wspólna sala jest dziś nieczynna.

– Rozumiem.

– Ale tam jest drogo.

– Zapłacę.

– Rzekłabym, że sakramencko drogo.

– Myślę, że stać mnie.

– Zapłacić trzeba z góry. Znaczy się teraz i zaraz, tutaj, od razu.

Przewrażliwiona prukwa. Agnes wyjęła spod płaszcza trzosik i jęła odliczać monety.

– Ile?

– Dwa szylingi...

– Żartujecie chyba?

– Połowa na poczet ewentualnych uszkodzeń. Zwrócimy rankiem.

– To dalej cena nie do...

Babina wskazała palcem odrzwia, więc Agnes zamilkła. Skarciła nawet samą siebie w duchu, bo ostatnie słowa wypowiedziała bez wyćwiczonej chryпки. W pośpiechu odliczyła kwotę i położyła na ladzie.

– Majętni jesteście jak na młodzika.

Agnes zmarszczyła w złości czoło.

– Ale, ale – dodała baba, unosząc ręce jak balerony – to nie moja sprawa. Pokój należy do was, młodzieńcze. Na wyposażeniu jest piecyk i cebrzyk węgla. Zaraz każe Guyowi rozpalić w nim ogień.

– Zbędna fatyga.

– Jak chcecie. W izbie uświadczycie również skrzynię, świecznik, zydel... eee... pulpit, siennik z kompletem pościeli i... ekhm... parapet.

– Rozumiem.

– Izba jest tam, na górze. Drugie drzwi po prawej.

– Dru-drugie po prawej?

– A coś nie pasuje? Przeszkadza, bo widok na Winchester jest od przeciwnej strony?

Agnes zarumieniła się lekko, bo to właśnie był pokój jej matki. Na piętrze były tylko trzy izby, w tym jedna duża, przeznaczona na

wypoczynek dla wędrowców. Dziewczyna była przekonana, że właśnie tam przyjdzie jej spędzić noc, że będzie musiała wykraść się cichcem i włamać do pożądanego pokoju. W takim wypadku zadanie wydawało się o wiele łatwiejsze.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedziała, chrząknąwszy w rękaw. – Zjem w pokoju.

Po tych słowach wzięła kufel z bochnem i poszła po schodach na górę.

Przy antresoli zwolniła kroku, bo przed oczyma stanął jej obraz niegdysiejszego zaprzysiężenia Williama.

– Łajdak – mruknęła pod nosem, po czym skręciła w obity deskami korytarz. Światło nie docierało tu ze skąpo rozstawionych w głównej sali lampionów, więc szła praktycznie po omacku. Minęła izbę, którą ojciec wynajmował szlachetnie urodzonym, i doszła do drugich drzwi. Były przyknięte, więc uchyliła je i weszła do środka, zamykając od razu na drewniany skobel.

Prywatny pokój był największym luksusem w zajeździe Tabard i tak po prawdzie nie każdy lokal mógł się czymś takim poszczycić. Pokój miał też swoją cenę, ale w końcu to nie była pierwsza lepsza speluna. Murów oberży nie zbudowano z dziadowskiej kratownicy wypełnionej sieczką i gliną, lecz z łamanego wapienia z solidną cegłą. Taka zabudowa była już na wieki, a co ważniejsze, dobrze trzymała ciepło.

Dziewczyna pamiętała, że izba ma kształt litery L. Hol wejściowy, choć dość szeroki, nie był zastawiony żadnymi meblami. Tak się przynajmniej Agnes wydawało, bo póki co niewiele mogła zobaczyć. Wymacała w mroku świecznik, który stał na masywnej skrzyni. Odłożyła bochen chleba z kuflem i korzystając z krzesiwa, zapaliła świeczkę.

Przerażona spostrzegła, że pokój wygląda zupełnie inaczej. Ktoś zdarł wzorzyste makaty, które zdobiły pobielone wapnem ściany. Podobnie zniknął haftowany obraz Świętej Marii Panny, który Agnes zamierzała zbadać jako pierwszy.

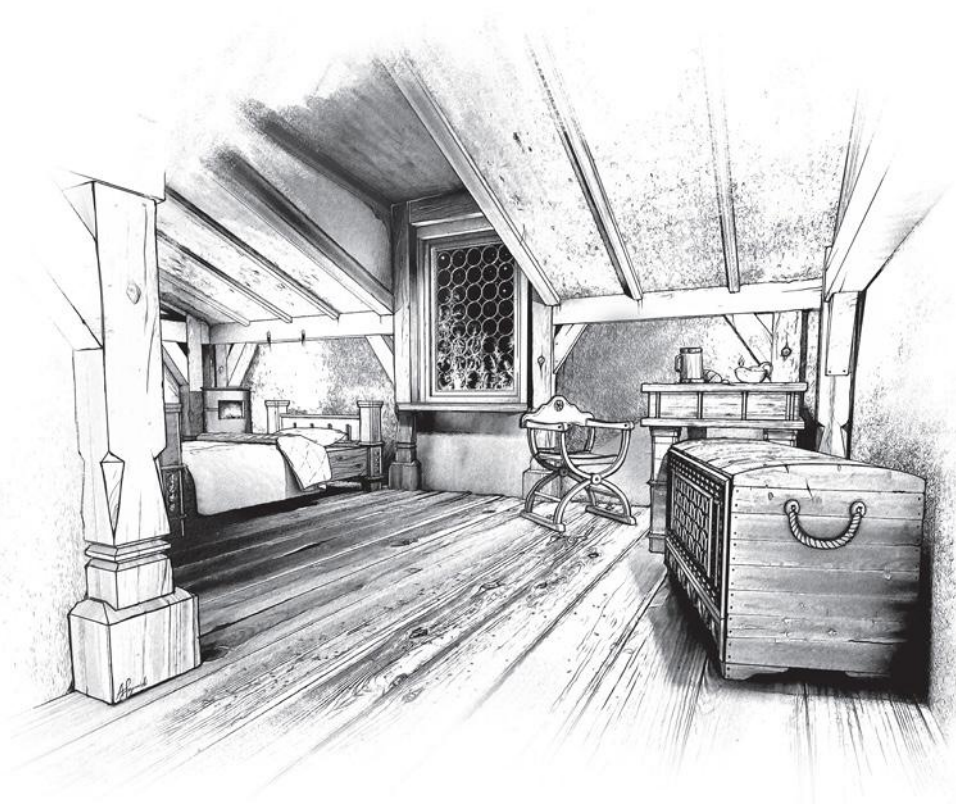
Przeszedł ją zimny dreszcz na myśl o tym, że ktoś mógł splądrować tę izbę już wcześniej. Jak by nie było, informacja o śmierci

króla musiała w końcu odbić się w szeregach gildii głośnym echem, i jeśli ktoś połączył to ze śmiercią Hardinga, to mógł poświęcić czas na zbadanie tej karczmy od piwnic aż po poddasze.

Przeszła do północnej części izby. W kącie stały mały piecyk i drewniany cebrzyk do połowy zapełniony węglem, a niedaleko niego łóżko. Dość duże, z ramą i wkładanym do środka siennikiem. Przyjrzała mu się z bliska. Siennik powleczono kosztownym płótnem i wypełniono słomą oraz – jak zgadywała po zapachu – lawendą, wrotyczem bądź złocieniem, ziołami, które nie tylko odpędzały owady i wszelkie robactwo, ale i delikatnie pachniały. Pościel wykonano z lnianego kremowego płótna, a do poszwy wetknięto wełnianą, dość grubą kołdrę. Tego typu łóżka stanowiły luksus i aż dziw brał, że nie przytwierdzono doń baldachimu. Co by jednak nie mówić, w pokoju mamy nie było żadnego posłania, więc Agnes postanowiła nie przyglądać mu się dłużej.

Podeszła do skrzyni: prostej, ażurowej, pokrytej niedbale cynobrową farbą. Tego mebla też nie było tu wcześniej, więc nie spodziewając się niczego odkrywczego, odsunęła go i uchyliła wieko. Pusto. Żadnych skrytek czy to w ścianie, czy w skrzyni.

Sprawdziła też krzesło i pulpit, ale poza ładnym snycerskim wzorem nie było na czym oka zawiesić.



Zezłoszczona, ściągnęła płaszcz i czapkę. Zjadła trochę chleba, popiła napitkiem i rozpałała w piecyku ogień. Gdy poczuła ciepło, ściągnęła dublet i spodnie. Po prawdzie rozebrała się do naga, bo chciała czym prędzej pozbyć się lnianych pasów, którymi ciasno obwiązała się na wysokości piersi, jeszcze zanim wsiadła na okręt. Z uczuciem ulgi narzuciła na siebie płócienną koszulę i zdecydowała się przejrzeć wszystko jeszcze raz od początku.

Doszedł ją odgłos ciężkich kroków z korytarza, więc zaczęła w napięciu nasłuchiwać. Cisza. Odczekała jeszcze chwilę i ze świecznikiem w ręku jęła przyglądać się cał po calu ścianom, podłodze i belkom podpierającym konstrukcję stropową. Obejrzała też okno, parapet i jeszcze raz meble. Nic. No, prawie nic. Nad oknem w belce sufitowej, przylegającej jednym bokiem do ściany, znalazła malutki okrągły otwór zaślepiony sękiem. Ów sęk był wsadzony na tyle luźno, że pod wpływem lekkiego stuknięcia wypadł i odsłonił podejrzenie równą dziurę. Agnes nie mogła weń zmieścić nawet małego palca, ale z pewnością nie był wytworem natury. Dziewczyna podstawiła sobie nawet krzesło, by z bliska się temu przyjrzeć; mogłaby przysiąc, że ktoś wypalił tę dziurę rozgrzanym prętem bądź jakimś innym sposobem przebił belkę na wylot. Tak czy inaczej, Agnes nie miała niczego dostatecznie cienkiego, co mogłaby tam wcisnąć.

Zrezygnowana, usiadła na brzegu łóżka, zastanawiając się co dalej. „To, co matki, jest twoje, moje”. Cholera! W tej izbie od dawien dawna nie było niczego, co należałoby do matki. W gruncie rzeczy ten pokój nie był jej, tylko mówiło się, że to „pokój matki”, bo tu urodziła dwójkę swoich dzieci. Niemniej po tragicznej śmierci mamy i Simona ojciec zadbał o to, aby żadna z rzeczy nie przypominała mu o nich. Co mógł, to sprzedał, a resztę wyrzucił.

Agnes złapała się na myśli, że skoro ojciec nie chciał wracać do nich wspomnieniami, to dlaczego, u licha, w ogóle tu przychodził? Dlaczego dbał o tę izbę, dlaczego kazał ją sprzątać? Przecież z piętnaście lat temu zlecił nawet gruntowny remont. Pobielono ściany, wstawiono nowe okno, pomalowano podłogę, parapet...

– Parapet! – powiedziała na głos. Był tutaj od zawsze. To jedyna rzecz, której nigdy nie zmieniono, pomijając rzecz jasna fakt, że go pomalowano.

To musiało być to. Zerwała się, by mu dokładnie się przyjrzeć. Widząc, że jest przybity dwoma gwoździami, wyjęła z cholewki buta sztylet i jęła go podważać. Trochę czasu jej zeszło, ale wreszcie drewno zatrzęszczało i uniosło się o kilka cali.

– Mam cię – sapnęła i kilkoma gwałtownymi ruchami wyrwała go wreszcie spod okna.

Najpierw przyjrzała się uważnie desce, a potem ze świecznikiem w ręku zaczęła badać wnękę pod oknem. Pręt! Dojrzała stalowy, gruby... zdecydowanie zbyt gruby pręt, którego nawet nie sposób było ruszyć. Pewnikiem wzmacniał konstrukcję okna, by nie wypadło ze ściany.

– Cholera – syknęła. Na tyle, na ile była w stanie, przymocowała parapet na nowo, świadoma tego, że oberżystka z pewnością zauważy ten akt wandalizmu i chyba nie zmieni swych przekonań co do angielskiej młodzie.

Dopiła godale, a kufel postawiła na skrzyni. Żałowała, że nie wzięła więcej napitku, bo nadal czuła pragnienie. Przeszło jej przez myśl, czy nie zejść na dół, ale wtedy ją olśniło...

– Drzwi – szepnęła i co tchu do nich podbiegła.

Zapomniała o drzwiach, które, podobnie jak parapet, były od początku, i co ważne, nawet ich nie odnawiano.

Obejrzała każdą deskę, modląc się, by nie musiała tego samego robić od zewnętrznej strony drzwi. Drewno było podrzędnej jakości, miękkie i miejscami zbutwiałe. Rozchodziło się tu i ówdzie, ale u dołu jedna ze szpar miała podejrzenie obły kształt. Wzięła nóż i jęła delikatnie grzebać w tym osobliwym miejscu, i wtem na podłogę spadł cienki drucik, długi może na dziesięć cali.

Jeden koniec był lekko zakrzywiony. Postanowiła więc tym właśnie końcem wetknąć go do dziury w belce.

Stała na krześle i wyciągnęła drżącą rękę. Pręt wszedł do połowy, ale nic się nie stało. Pokręciła nim z wyczuciem i usłyszawszy charakterystyczne „klik”, wepchnęła go głębiej.

Chrzęstnęła zębatka i dwa ukryte żelazne ramiona obniżyły belkę niemal o dwie stopy. Musiała stanąć na palcach, by dojrzeć, co kryje się w ścianie za nią.

– Schowek – szepnęła.

Był niski i płytki, ale długi niemal na całą szerokość okna. Leżał w nim notes oprawiony w skórę i skórzany podróżny worek. Wpierw wyjęła worek i omal nie spadła z krzesła, gdy zobaczyła, że jest wypełniony po brzegi pieniędzmi. Z bijącym sercem sięgnęła po notes. Usiadła na łóżku i z namaszczeniem otworzyła pierwszą stronę.

Agnes,

nie było dnia, bym nie bił się z myślami, czy składać na Twoje barki przywództwo gildii. Organizacja należy do naszej rodziny i do nikogo innego. Została założona przez Twego pradziada i jest dziedziczona aż do teraz.

Czytanie przez Ciebie tych słów oznacza, że coś mi się stało, a Twoje szkolenie nie zostało ukończone tak, jak bym sobie tego życzył. Wierzę, że zdołałabyś stanąć na czele podziemia, ale pamiętaj, że nie będę miał Ci za złe, jeśli odmówisz. To życie w ciągłym niebezpieczeństwie. To obcowanie z ludźmi, którym nie wolno ufać...

Wiedz, że wypełniłem wolę mego ojca i kontynuowałem jego dzieło, ale mama i Simon przyplacili to życiem. Nie chcę, byś i Ty odczuwała ból po stracie kogoś bliskiego. Czuję się jednak zobowiązany, by przekazać Ci to, co należy do nas od pokoleń.

Od Ciebie zależy, co zrobisz dalej, wszak jesteś dzielna, uparta i... i sama wiesz wszystko najlepiej.

Harding

Agnes otarła płynącą po policzku łzę i przewertowała kilka kartek. Zauważyła, że w tekście skrupulatnie wytłumaczono podział gildii na kasty i niższe podgrupy, opisano hierarchizację książąt, hrabiów, baronów i co ważniejszych pielgrzymów. Wskazano, przy których kramach, zajazdach czy konfesjonalach szpiedzy komunikują się ze zwierzchnikami. W jaki sposób i komu można wydawać dyspozycje, kto

bierze łapówki i kto z korzyścią dla gildii działa w parlamencie.

Notatki ewidentnie były pisane ręką Hardinga, ale trudno było znaleźć choćby jedno imię, nazwisko czy nazwę konkretnego miejsca. Poufne informacje zakodowano ciągiem wymieszanych liter, ale Agnes domyślała się, w jaki sposób można je odczytać. Harding pewnie martwił się prostotą kodu, ale po śmierci mamy i Simona musiał obawiać się o swoje życie i chciał czym prędzej wtajemniczyć Agnes, dziewięcioletnią wówczas dziewczynkę, w sprawy królewskiego podziemia.

Otworzyła ostatnią zapisaną stronę.

2.11.1336

*d j f k s l a o e u w k d n c m h l r p
f q t e i w u n f l t p e o s m a k w t
p r l t o h m v b c z d s g w t r j k f
l g k y i o h u g j r y d h s e w v z a
l s k f g d h y y i u p r e f d g g s w.
w i i e k d l t p i d b n z m a w e r t
o e w s a d l k m a s j e d h t y g j i
d c z v s g w y r k g l f o r i g k t h
h c n l f j r j k g e o w t s e d l e a
m b c k o i u d s a l p z s u r e y b i*

obiecuje zareagować w sprawie towarzysza

Agnes powtórzyła sobie pod nosem:

*Wiesz, co moje, gdy dziewięć twoje.
Sześć jest tam i dwanaście.
Jeden za to chce być z trójką,
Dwa chcemy oboje.*

*Czwarty woła: ja chcę teraz,
Dwadzieścia wnet za nim.
Siedem będzie tam i dziewięć,*

Szesnaście ja nie wiem.

Zaufała instynktowi i zgodnie z pierwszym zdaniem wyliczanki zdecydowała się na dziewiątą linijkę:

h c n l f j r j k g e o w t s e d l e a

Zaznaczyła kolejno kawałkiem węgla szóstą literę, następnie dwunastą, pierwszą... Postanowiła nie interpretować wymowy zdań. Skupiła się tylko na literach. Była podekscytowana i zaintrygowana, czy uda jej się ułożyć z tego jakiś logiczny wyraz.

– John Clarke – szepnęła po chwili. – John Clarke obiecuje zareagować w sprawie towarzysza – powtórzyła na głos.

Popatrzyła na datę wpisu. John Clarke był wtedy szeryfem Londynu, a dokładniej rzecz ujmując, jednym z dwóch szeryfów, bo urząd piastował wspólnie z Williamem Curteisem. Czyżby Curteis działał wbrew interesom gildii? Czyżby chcieli go zabić?

Agnes zdjął strach. Wiedziała, że ojciec kręcił się w przestępczym światku – w końcu sama od dziecka zadawała się z rzezimieszkami – ale to byli raczej drobni przestępcy: kieszonkowcy, szulerzy czy inni kanciarze. Planowanie mordu na najważniejszym urzędniku administracji lokalnej to nie przelewki. Za to nawet nie groził szafot, ale poćwiartowanie i spalenie na stosie!

Zadała sobie w duchu pytanie, czy miałaby w sobie dostatecznie dużo siły, aby dowodzić tak bezwzględny ludźmi. Czy w trosce o dobro gildii mogłaby bez mrugnięcia okiem wydać rozkaz zabicia szeryfa Londynu... W głębi serca знаła odpowiedź.

Zaniepokojona, wstała, bo nie chciało jej się wierzyć, aby jej ojciec kiedykolwiek wydał takie polecenie. Był surowy i potrafił pokazać, co to gniew, ale był też czuły, zawsze podkreślał, jak bardzo zależy mu na rodzinie... Cholera, to przez niego zginęła mama i Simon! Gdyby nie on, ich życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej...

Agnes schowała twarz w dłonie. Musiała się uspokoić, bo nie chciała w tej chwili źle myśleć o tacie. Prawdopodobnie w ogóle go nie znała – nie wiedziała, że był zimnym, pozbawionym skrupułów draniem

– ale woląa zachować go w pamięci takim, jaki był dla niej.

„Co teraz?” – pomyślała. Czy może liczyć na to, że do rana będzie tu bezpieczna? To raczej mało prawdopodobne, aby ktoś ją rozpoznał. Poza tym nawet gdyby chciała uciec, to w tej chwili nie miałyby dokąd. W taki mróz nietrudno skończyć jak ten żebrak przy domu kołodzieja.

Zamknęła skrytkę, odłożyła pręt na miejsce, a worek i notes wsunęła pod łóżko. Położyła się, nie zapominając o schowaniu sztyletu pod poduszką. Wiedziała, że nie zmruży nawet oka. Zbyt wiele działo się w jej głowie, by mogła spokojnie zasnąć. Jednakże zioła upchane w sienniku zaczęły z czasem koić jej zmysły, a miękkie posłanie, o wiele wygodniejsze od tego, które było na okręcie, sprawiło, że sen zaczął ją morzyć.

W izbie zaskrzypiała podłoga...

Guy wysłuchał poleceń oberżystki i żwawo wybiegł na dwór. Do zaułka Smiethfieldów miał niecałą milę, ale w taką niepogodę i przy tak zasypanych ulicach dojście tam wcale nie było takie łatwe. Śpieszył się, bo notatkę, którą dostał od szefowej, musiał błyskawicznie przekazać panu Leggeowi. Niewielki kawałek papieru był złożony w kostkę i zalakowany. Nie wiedział, co tam jest napisane, ale przeczuwał, że to coś ważnego i że dotyczy tego młodzika, który przyszedł chwilę temu do oberży. Oczywiście o nic nie pytał. Pracował dla gildii prawie od dziesięciu miesięcy i zdążył się zorientować, że gildia nie lubi wścibskich ludzi. Guy nie zamierzał podpadać z tak błahych powodów.

Część drogi prowadziła przez Long Southwerk, ale potem zmuszony był odbić w lewo i brodzić w zaspach śniegu. Domy, chatynki i wałce się rudery wyrastały tu jak spod ziemi, jedne obok drugich, a w kilku miejscach Guy natrafił nawet na ślepe zaułki, których jeszcze tej jesieni tu nie było. Na domiar złego śnieg sprawiał, że wszystkie ulice wyglądały praktycznie tak samo. Jedyнным pocieszeniem było to, że z okien wielu domostw nadal bił blask płonących świec i lampionów. Trwało Boże Narodzenie, toteż ludzie mimo późnej pory wciąż ucztowali i gromko śpiewali kolędy. Chłopak kluczył przy wtórze tych śpiewów dłuższą chwilę, ale wreszcie dobrnął do drewnianej rudery. Uderzył kilkakrotnie w odrzwia.

– Kogo, kurwa, niesie w Boże Narodzenie?!

Guy drygnął, ale świadom, że gospodarz nie kwapi się do otwarcia drzwi, zebrał się na odwagę i uderzył jeszcze raz.

– Do jasnej cholery, kto zacz? – powtórzył głos ze środka domu.

Guy zrobił skwaszoną minę, ale na szczęście drewniany skobel

opadł po chwili ze stukotem, drzwi się otworzyły i w progu stanął podpity, karłowaty mężczyzna.

– Ja od pani Margery – powiedział zdyszany chłopak.

– O cholera! – zreflektował się gospodarz. – Dawaj, co masz.

Guy wręczył panu Legge wiadomość i czmychnął, ciesząc się, że zrobił to, co do niego należało.

Mężczyzna przywdział w pośpiechu płaszcz, opatulił się szalem i wybiegł z domu, jakby się paliło. Zadanie, które miał wykonać, było proste i sownie nagradzane, ale jakiegokolwiek niepowodzenie miałyby dla niego opłakane skutki. Zdyszany, dobiegł do kościoła Świętego Bartłomieja, minął wejście do świątyni, przeżegnał się w pośpiechu, i co sił w nogach dopadł drzwi plebanii. Dobijał się dłuższą chwilę, aż wreszcie w progu stanęła atrakcyjna służąca. Wyraz jej twarzy i na chybicka przywdziane okrycie – bodaj obrus, choć Legge nie był tego tak do końca pewien – kazały przypuszczać, iż przerwał jej coś wielce zajmującego.

– Ja do wielebnego Mauricio.

Dziewczę zrobiło skwaszoną minę.

– Błagam, to pilne.

– No dobrze, zawołam.

Czas uciekał, a Legge czekał, przestępując z nogi na nogę. Zimno było jak diabli i chłop dziękował Bogu za to, że zdążył wypić nieco palonego wina, bo w tej chwili trunek przyjemnie rozgrzewał jego ciało od środka.

Ksiądz zjawił się wreszcie, choć trochę to trwało. Legge dziwił się jego opieszałości, tym bardziej że za coś takiego sam kiedyś stracił dwa palce.

– Mam to przekazać dobrodziejowi! – wypalił.

– Co... O cholera, dawaj. – Proboszcz wziął wiadomość, krzyknął w głąb korytarza, że zaraz przyjdzie, po czym znikł w gąszczu ulic. Nie biegł, ale kroki stawiał chyżo i energicznie. Był świadom powagi sprawy, tym bardziej że baron powtarzał mu chyba na każdym zebraniu, jak ważne będzie szybkie dostarczenie tej wiadomości na miejsce.

Zatrzymał się przy zakładzie szewskim reklamowanym szyldem „Wymiana dratew, renowacja skuwek”. Lokal mieścił się na Leather

Street w sąsiedztwie lombardu Theobalda. Wcisnął pod drzwi wiadomość i głośno zastukał, tak jak mu rozkazano. Chwilę czekał, raz po raz chuchając w dłonie. Zły był, że nie wziął ani czapki, ani rękawiczek. Nikt jednak nie przychodził, więc zniecierpliwiony uderzył w drzwi jeszcze raz. Z tego, co pamiętał, lokal prowadził garbaty starzec, Trudno mu było ocenić, jakim jest rzemieślnikiem i czy ma jakichś pomocników, wszelako w tej chwili jeśli ktoś tam był, to z pewnością spał.

Mauricio zastanawiał się, czy walić w odrzwia dalej. Przebudzony siłą człek jest zrzędlivy i proboszcz obawiał się, czy gospodarz nie zrugą go za nękanie późną nocą. Niemniej, przykazano mu przecież bardzo wyraźnie, by informację z pieczęcią lwiej łapy przynieść w to miejsce natychmiast, bez względu na porę i okoliczności.

– Cholera. – Martwił się, że będzie tu tkwił aż do ranka, ale na szczęście usłyszał wyczekiwane stukanie od środka. Zadanie wykonał.

Theobald z trudem podniósł z ziemi notatkę. Z nielichym garbem na plecach poruszał się wolno, niemniej jak na osiemdziesiąt cztery lata i tak miał więcej wigoru niż niejeden sześćdziesięciolatek. Wyszedł z warsztatu szewskiego na korytarz prowadzący do lombardu i zasunął za sobą ukryte w ścianie drzwi.

– Kto przyszedł?! – krzyknął Alard z izby na końcu domu. Nie chciało mu się ruszać sprzed kominka, bo akurat siedział z Williamem i planował najbliższą akcję.

– Jeszcze nie wiem – bąknął starzec bardziej do siebie aniżeli do niego.

Nieśpiesznym krokiem jął przemierzać korytarz. Poczul chłód, więc naciągnął na uszy czapkę, w której zimą zwykł nawet sypiać. Alard niby rozpałił w kominku i tych swoich zasranych piecykach, ale Theobald nie wierzył w ich domniemane zalety. Zima to zima, a na targu powiadali nawet, że od węgla się kaszle, więc dziadek obiecał sobie, że nie będzie spał w izbie z tym rozgrzanym cholerstwem na węgiel. Kiedyś spało się w płaszczach i czapkach, i nikomu to nie przeszkadzało, a teraz ludziom wyraźnie poprzewracało się w głowach.

W połowie korytarza przystanął na chwilę, by złapać oddech. Poza tym było tu jaśniej, więc rzucił okiem na złożoną w kostkę kartkę. Papier

był gruby, chropowaty, podrzędnej jakości. Powąchał, bo taki miał nawyk, i ze skwaszoną miną jął oglądać lakową pieczęć – niedbale i w pośpiechu przybitą. Wzrok miał już nie ten co przed laty, ale symbol przedstawiał chyba...

– Niech to diabli! – Staruszek dość się nasłuchał, co ma zrobić, gdy przyjdzie ta wiadomość. Ruszył korytarzem, stukając przy tym laską tak donośnie, że Alard wyszedł mu na spotkanie. Wiedział, że ojciec dudni tak lagą tylko wtedy, gdy jest naprawdę poważnie zaaferowany.

– Co jest?

Theobald chciał coś powiedzieć, ale brakowało mu tchu. Przechylił głowę, aby zobaczyć twarz syna.

– No mówże, bo widzę, że trzęsiesz się jak osika.

– Z... z zajazdu przyszło. Sam zobacz.

Alard wyrwał wiadomość z drżącej ręki staruszka i złamał pieczęć. Pokruszony lak spadł na podłogę i ciżmy bandyty. Tekst był krótki i nad wyraz treściwy. Wyrażał to, na co czekał prawie pięć lat: „Jest”.

Zgrzytnął zębami, zacisnął mocno palce na notce.

– Idź spocząć – warknął do ojca. – Późna już pora.

– A wiadomość? Pomyślna?

– Tak, tak – powiedział na odczepnego. – A teraz idź już.

– Coś się stało? – spytał William z wnętrza izby.

Alard wszedł do środka, zamknął za sobą odrzwia i w zamyśleniu usiadł za stołem. Nieświadomie chwycił kosmyk posiwiałych włosów i jął go przeplatać między palcami. Zawsze tak robił, gdy coś całkowicie zajmowało jego myśli.

Will odwrócił się na zydlu, ciekaw, co też się stało. Rzezimieszek miał wydatne kości policzkowe, kilkudniowy zarost, wąskie usta i ostry nos, oczy ciemne, pełne zapału. Zdawał się patrzeć nimi dokładnie, z dbałością o postrzeganie najdrobniejszego detalu. Świadom był chyba tego przekłętego spojrzenia, bo nader często zwykł je rzucać na wzdychające niewiasty w trakcie rzezania ich mieszkań.

William nie był barczysty, po prawdzie może nawet zbyt szczupły, ale widać było, choćby po umięśnionym karku, że ciało ma wygimnastykowane. Długie włosy, niedbale związane rzemieniem, szelmowski uśmiech i blizna ciągnąca się niemal przez cały policzek

kazały przypuszczać, że lubi wieść raczej awanturnicze życie.

– O co chodzi? – spytał.

– Jeszcze nie wiem. – Alard sięgnął po jabłko i zaczął toczyć nim po blacie. Myślni błędził daleko, chciał po raz wtóry na spokojnie przeanalizować swój plan działania i wszystkie jego następstwa.

Śmierć króla przestępczego podziemia pozostawiła głęboki ślad w szeregach gildii. Informacje i rozporządzenia przekazywane zwykle przez jego pośredników nie docierały do szpiegów, spotkania meldunkowe z książętami przestały być zapowiadane, a łapownicy coraz częściej dopominali się o swoje. Całkowita konspiracja miała swoje słabe strony i kilka miesięcy trwało, nim Alard zorientował się, że króla już nie ma. Kolejne tygodnie minęły, nim doszedł w ogóle do tego, że to Harding przewodził przestępcom. Alarda kosztowało to wiele czasu, pieniędzy i wpływów. Skupiając się na dochodzeniu, siłą rzeczy musiał zaniedbać codzienne obowiązki. Zaczęły wybuchać bunty, wielu podwładnych opuściło szeregi gildii bądź nie wpłacało tego, co było im nakazane. Niesubordynacja zataczała coraz szersze kręgi i minęło sporo czasu, nim Alard zdołał na nowo zaprowadzić względny porządek.

Teraz on sam stał na czele gildii, nie wtajemniczając nawet Thomasa w problemy, jakie dotknęły przestępczą organizację. Obawiał się tego niezrównoważonego mnicha i nie chciał, by ubiegał się on o tron podziemnego królestwa.

Obecnie organizacja nie była już tak potężna jak przed laty. Wiele pożądaných adresów i informacji Harding zabrał ze sobą do grobu, a przeszukanie karczmy utwierdziło Alarda w przekonaniu, że musi sobie radzić z tym, co ma. Jako książę posiadał ogromną wiedzę i szeroki krąg znajomości, i wykorzystał to najlepiej, jak tylko potrafił. Uszczuplił oszczędności całej organizacji, ale przynajmniej nie doprowadził do jej upadku. Tak po prawdzie już od ponad roku można było odczuć, że zmiany idą ku lepszemu. Królewska gildia odradzała się, a łotrzyki i wszelkiej maści szumowiny coraz częściej chcieli pracować właśnie dla niej.

Alard był ciekaw, czy Agnes wróci i czy Harding zdołał wyjawic jej swój sekret, czy powiedział jej coś, co miałoby niebagatelny wpływ na przyszłość organizacji. Wierzył, że tak, i jeszcze trzy lata temu bardzo

chciał ją złapać żywą, by wyciągnąć z niej wszystko, co wie, jednak teraz wydawało mu się to mało istotne. Pięć lat w przestępczym świecie to szmat czasu i Agnes oraz jej wiedza nie miały już takiego znaczenia jak niegdyś. Alard zdążył nawiązać wystarczająco dużo nowych, jakże cennych znajomości, miał w kieszeni nawet Rockysleca, jednego z tutejszych szeryfów. Jednym słowem, poradził sobie ze wszystkim, i jedyne, co mógł teraz zrobić z Agnes, to po prostu ją zabić. Ot tak, na wszelki wypadek.

Kto jednak miałby to zrobić? Gdy pierwszy raz zaczął o tym myśleć, brał oczywiście pod uwagę tylko kastę Osberta. Hrabia był tutaj na miejscu, a jego ludzie cieszyli się dobrą, sprawdzoną opinią. Jednakże w ostatnim czasie wpadł na pomysł wykorzystania Agnes do tego, by sprawdzić lojalność Williama. Chłopak był pracowitszy i wytrwalszy od większości pielgrzymów w gildii, a każde ze zleconych zadań wykonywał bez najmniejszych problemów, ale tak naprawdę Alard po dziś dzień nie wiedział, jak bardzo mógłby mu zaufać. Kiedyś liczył na to, że Will będzie awansował, że będzie kimś ważnym, że... Cholera, że będzie u jego boku, by służyć pomocą oraz dobrą radą. Na pewno to wszystko mogłoby się spełnić, ale wcześniej chłopak musiał dowieść swego pełnego oddania. A tak po prawdzie nigdy nie było ku temu okazji.

Alard pamiętał, że William zadurzył się niegdyś w tej smarkuli. Kto wie, może dalej coś do niej czuł... Co by jednak nie mówić, gdyby ją zabił, z pewnością dowiódłby, że można na niego liczyć w każdej sytuacji.

– Ile już jesteś z nami, Williamie? – spytał, nie unosząc nawet wzroku.

Rzezimieszek wstał z siermiężnie ciosanego zydla i zaczął przemierzać komnatę. Ręce miał splecione na piersi, a wzrok wbity w podłogę.

– Dziesięć lat będzie.

– Dziesięć lat – powtórzył w zamyśleniu bandyta. – Czyli... od twojego zaprzysiężenia minęło już pięć.

– Tak.

– Jesteś jednym z najlepszych pielgrzymów, wiesz o tym?

– Cieszę się, że tak uważasz...

– Tak właśnie uważam. – Alard oparł się wygodnie o ścianę.

Ugryzł jabłko, tak że krople soku spłynęły po jego brodzie. Czuł dumę, bo to on go wszystkiego nauczył.

– Co z jutrzejszym winobranieniem? – spytał młodzian, wykorzystując chwilę ciszy. Wszakże o tym rozmawiali przed momentem.

– To teraz nieistotne – odpowiedział Alard, ponownie zatapiając zęby w soczystym jabłku. – Przyszła ważna wiadomość, o której już kilkakrotnie wzmiankował król gildii.

– Mogę wiedzieć jaka?

– Tak, możesz... Myślę nawet, że musisz. Wiedz jednak, że to ma związek z twoim awansem.

William zatrzymał się z wrażenia. Niczego nie wyczytał z beznamiętnego oblicza Alarda, więc czym prędzej podszedł do stołu i usiadł naprzeciw bandyty.

– Chcą... chcą mnie awansować?

– Tak, Willi.

– Cholera! Nareszcie! Tyle na to czekałem!

– Spokojnie. Wiesz, że z awansem zawsze wiąże się jakieś zadanie.

– Tak, jasne, wiem. Co miałbym zrobić?

– Musisz kogoś zabić, by dowieść swej lojalności.

– Oczywiście – zgodził się niemal natychmiast. Wszak miał już na swoim koncie kilka morderstw. Zawód złodzieja nie był prosty i chcąc nie chcąc, parę razy musiał wyjąć ostrze. – Kogo miałbym zabić?

– Pójdiesz do zajazdu Tabard, dasz oberżystce tę notatkę i spytasz, gdzie jest osoba, o której tutaj napisano.

– Rozumiem.

– To dobrze, że rozumiesz. Masz to zrobić teraz, zaraz.

– Jasne. Czy mogę przeczytać tę wiadomość?

Alard machnął ręką na znak przyzwolenia.

Łotrzyk wziął kartkę. Czytanie szło mu opornie, mimo że Alard wymógł na nim obowiązek poznania wszystkich liter już dwa lata temu. Lakoniczna informacja „Jest” nic mu nie mówiła. Schował kartę do cholewki buta i wstał od stołu.

- Coś jeszcze? – spytał.
- Nie. Chciałbym, żebyś zrobił to szybko i bez wahania.
- Oczywiście, bez obaw.
- Willi! – krzyknął do chłopaka stojącego już w progu. – Wiedz, że król gildii nie szafuje tytułami. Nie zawieź go.
- Nie zawiodę.

Przy drzwiach wyjściowych William zarzucił czarny płaszcz z kapturem, uśmiechnął się do zrzędliviego dziadka, który w obawie przed kradzieżą zawsze asystował na odchodnym każdemu z gości, wysłuchał rzecz jasna jakiejś uszczypliwości i wyszedł.

Zima dawała się we znaki, mróz niemiłosiernie szczypał w twarz. Duże płaty śniegu zastąpiły drobne, gęste płatki targane co rusz nagłymi podmuchami wiatru. Nawet zwarte skupiska domów nie dawały najmniejszej osłony. Rzezimieszek nie frasował się pogodą, bo jego myśli pochłonięte były czymś zgoła odmiennym.

– Baron William – powtarzał co jakiś czas pod nosem. Cholera, dobrze to brzmiało.

Chłopak mieszkał teraz po zachodniej stronie Southwerk. Izbę dzielił tylko z jednym kieszonkowcem, ale źle mu się żyło, bo facet był furiatem i rzadko zdarzał się choćby jeden spokojny tydzień. Teraz jednak z pewnością dostałby nowy lokal. Kto wie, może nawet w samym Londynie. Pewnie murowany, z oknem, do tego meble. Do diabła, wreszcie zacznie się prawdziwe życie! Nadto dostałby własną ferajnę. Trzydziestu, a może i więcej kamratów. Mógłby rozdzielać pomiędzy nich zlecenia, które dotychczas ciążyły tylko na nim. Jak nic miałyby więcej czasu i zarobek by się powiększył...

William nawet nie zauważył, kiedy dotarł na miejsce. Po prawdzie był tak pochłonięty myślami, że nie dostrzegł również dwóch mężczyzn, którzy na polecenie Alarda mieli dopilnować wykonania tego zadania.

Rzezimieszek wszedł do oberży, strzepnął z ramion płatki śniegu i skierował się do szynkwasu. Spostrzegł, że tylko jeden stolik jest zajęty przez trzech zdrowo podchmielonych mężczyzn. O tej porze w święta mały ruch to coś normalnego, wszelako nawet w zwykłe wieczory o takie widoki było tu coraz łatwiej. Ceny, jakie narzucała oberżystka, coraz bardziej zniechęcały. Byle głupota, ot choćby dorsz zakwaszany, sprawiał, że sakwa była lżejsza przynajmniej o pół pensa. To nie powinno tak wyglądać.

– Margery! – krzyknął.

Babina nawet dość szybko wytoczyła się ze spiżarni.

– Gdzie jest? – spytał, przesuwając po ladzie złożoną notatkę. Ani myślał wdawać się w szczegóły, chciał zrobić swoje i wyjść. Jak najszybciej.

Margery wciągnęła powietrze do płuc. Wiedziała, że to się tak skończy, tym niemniej nie zmieniła zdania i zamierzała dotrzymać umowy. Zresztą, i tak nie miała wyboru. Gildia miesiąc w miesiąc opłacała ją sownie za to, by dała znać, gdy Agnes odwiedzi tawernę, i wreszcie nadeszła chwila, by oberżystka odpłaciła się za te wszystkie wynagrodzenia. Margery rozpoznała dziewczynę bez najmniejszego trudu, bo przed laty pracowała tu jako kucharka. Co prawda Agnes była wtedy małą dziewczynką, ale i tak jej ładniutka, piegowata buźka niewiele się zmieniła.

– Na piętrze, drugie drzwi po prawej – poinformowała półgębkiem.

William skinął głową i poszedł na górę. Przy antresoli zwolnił kroku, bo chciał powspominać chwile zaprzysiężenia. Gdzieś tutaj kucała Agnes... Uśmiechnął się z rozrzewnieniem i potarł bliznę na

policzku – pamiątkę po ich niegdysiejszej kłótni. Poczul się bezsilny wobec niesprawiedliwego losu, lecz zaraz otrząsnął się i skręcił w ciemny korytarz. Kroki stawiał cicho, uważnie. Gdy podszedł do drzwi, zdjął płaszcz i ułożył go na podłodze. Nic nie mogło krępować jego ruchów. Wyjął sztylet i delikatnie wetknął go w szparę pomiędzy drzwiami a futryną. Podważył skobel i ostrożnie uchylił odrzwia.

Był w środku. Hol wejściowy okrywał mrok, ale z pokoju dochodził słaby blask światła.

Nie wiedział, kto tam leży, lecz skoro miał udowodnić, że zasługuje na tytuł barona, zadanie z pewnością nie mogło polegać na zabiciu byle kmiota. W pokoju przebywał pewnikiem jakiś łotrzyk lub nawet wykwalifikowany zabójca. Ktoś, kto podpadł zwierzchnikom, kto był na tyle niebezpieczny, że przy najbliższej konfrontacji z nim jakikolwiek błąd mógłby kosztować życie.

Poruszał się bezszelestnie, rozglądając się uważnie i nasłuchując. Stapał niczym cień, krokiem krzyżowym, poczynając od zewnętrznej części śródstopia, dokładnie tak, jak uczył go Giacomo. Amortyzował w ten sposób nacisk ciała na podłogę. Nogi ugięte z lekka w kolanach zapewniały mu maksymalną stabilność oraz sprężystość. W razie czego zdoła odskoczyć nawet na dwa jardy.

Doszedł do końca holu. Przywarł plecami do ściany, uspokoił oddech i łypnął okiem za winkiel. Zauważył zaraz przy oknie łóżko. Ktoś ewidentnie w nim spał, więc zadanie nie powinno być aż tak trudne, jak mu się z początku wydawało. Uniósł sztylet, poprawił chwyt na rękojeści, bo czuł, że dłonie pocą mu się, jakby był środek upalnego lata. Wprawdzie miał już na swoim koncie kilka zabójstw, ale zabicie niczego nieświadomej, śpiącej ofiary nie napawało go dumą.

Stanął na środku pokoju. W nikłym blasku ognia z piecyka dostrzegł, że postać w łóżku to ktoś wątłej postury, ale William nauczył się już, by nie lekceważyć żadnego przeciwnika. Zrobił krok, potem kolejny i jeszcze jeden. Deska pod stopą nieznacznie zaskrzypiała. Dźwięk nie był głośny, ale łotrzyk nie mógł pozwolić sobie na zbyt duże ryzyko. Wybił się i skoczył w kierunku nieświadomej niczego ofiary. Już widział długie, kruczoczarne włosy rozsypane na poduszce, delikatne rysy twarzy, łagodny zarys podbródka i kuszącą linię ust...

I choć już unosił sztylet do dźgnięcia, zawahał się, bo zdawało mu się, że chyba zna tę śpiącą osobę. I właśnie ta chwila równa mrugnięciu okiem kosztowała go nader wysoką cenę. Agnes nie mogła skorzystać z noża, gdyż wsunęła go za głęboko pod poduszkę, ale cios, który wyprowadziła z pięści, zaskoczył łotrzyka. Uchylił się i dźgnął instynktownie nożem, trafiając w przegub dłoni ofiary. Ostrze przecięło nadgarstek na wysokości kciuka i ugodziło w poduszkę, wzbijając w powietrze gęsty obłok pierza.

William zadrżał, widząc, kogo o mały włos nie zabił. Rzucił nóż na podłogę i już miał krzyknąć, że to pomyłka, kiedy to Agnes uderzyła go jeszcze raz, trafiając tym razem prosto w grdykę.

– Ag... – jęknął, lecz słowa więzły mu w gardle. – Ag... to... – Ból pozbawił go oddechu. Padł na kolana i chwycił się za gardło.

Dziewczyna, przyodziana tylko w zwiewną koszulę, sięgnęła pod poduszkę, zwinnie przeskoczyła przez łóżko i cięła na wysokości twarzy Williama. Uchylił się, padając na plecy, ale Agnes machnęła nożem raz jeszcze i trafiła go w goleń. Trysnęła krew, choć niezbyt obficie. William się skrzywił, lecz przytomnie podciął dziewczynie nogi, tak że z hukiem upadła.

Korzystając z chwili, klęknął i w ataku kaszlu pochylił głowę. Ten błąd kosztował go wiele, bo Agnes nader szybko zebrała się z ziemi i uderzyła go kolaniem w szczękę. Rozległ się dźwięk dzwoniących o siebie zębów i William znowu upadł na plecy.

– Kurwa – wyjęczał, próbując zebrać się z ziemi.

Dziewczyna na chybcika rozejrzała się po izbie, chcąc dostrzec, gdzie spadł jej sztylet. Niestety, leżał zbyt daleko od niej, więc zdecydowała się kopnąć łotrzyka z całej siły w krocze. Will w ostatniej chwili złączył nogi, a Agnes potknęła się i upadła prosto na niego.

– Ag...

Uderzyła go potężnie czołem. Trafiła w nozdrza, aż siknęła jucha. Nie chciała ryzykować walki w zwarciu, więc wstała co tchu i skoczyła w kierunku leżącego noża.

Will również zerwał się z ziemi, choć nie tak sprawnie. Trzymał się za twarz, próbując złapać oddech.

– Agnes... to ja – zdołał wycharczeć.

– No widzę, żeś ty! Baby teraz po nocach szlachtujesz? – Nie czekała na odpowiedź i cięła od zewnętrznej na wysokości szyi.

– Uspokój się! – krzyknął, uchylając się od pędzącego ostrza. Niestety, dublet na piersi został rozcięty. – Co robisz w tym pokoju?

– Co ja robię? – Ponownie pchnęła ze złością i krzykiem na ustach.

William znów się usunął, tym razem w lewo, okręcił się zręcznie, przywierając do niej plecami, i chwycił za nadgarstek. Próbowwała wyrwać rękę, ale daremnie, i sztylet z brzękiem spadł na podłogę. Kopnęła go kolanem w kość ogonową. Puścił ją i po raz wtóry zwałił się na kolana.

– Dasz już spokój? – wydyszał, zbierając się z ziemi.

– Nie dam! Dlaczego chcesz mnie zabić?

– Nie chcę! – krzyknął, ledwie stojąc o własnych siłach. – To jakaś pomyłka, więc przestań, do cholery, się ciskać, tylko mnie posłuchaj!

– Ja ciebie mam posłuchać?

– Musimy uciekać!

Agnes parsknęła. Bezczelny łajdak.

– Idź! Uciekaj, jeśli chcesz, albo walcz jak na chłopą przystało. Ja nigdzie z tobą nie idę.

William splunął krwią. Wytarł brodę wierzchem rękawa.

– Nie chcę się z tobą bić. Już nie pamiętasz, że kiedyś coś nas łączyło?

– Nas coś łączyło?! – Nie wytrzymała. Podbiegła i wyprowadziła prawy sierpowy.

Will zablokował cios, ale kolejny przyjął prosto w podbrzusze.

– Baraszkowałeś z dziwką i teraz mówisz, że coś nas łączyło?!

– Z... z jaką znowu dziwką? – wystękał łotrzyk, trzymając się za żołądek.

– A ta ruda szmata?! – spytała, powtarzając cios, niestety nazbyt czytelny. Will wykorzystał okazję, chwycił jej dłoń i sprawnie wykręcił.

– Tylko cycki macałem! – krzyknął z wyrzutem do zwijającej się z bólu dziewczyny. – I to cię tak mierzi?

Agnes aż się zagotowała w środku. Kucnęła, przeniosła płynnie ciężar ciała na jedną stopę i przerzuciła łotrzyka przez bark. William zdążył chwycić dziewczynę za koszulę, ale w chwilę później rąbnął

o podłogę, rozwalając przy okazji krzesło. Przekręcił się na brzuch i czym prędzej wstał, bo czuł, że to nie przelewki, że musi się bronić. I dobrze myślał, bo Agnes przygotowywała się już do wyprowadzenia kolejnego ciosu.

Trudno powiedzieć, czy była świadoma swych wdzięków, które w kuszący sposób odsłaniała porwana koszula, wszelako istotne było to, że William nie pozostał obojętny na ten widok. Choć szkolili go najlepsi fecht mistrze londyńskiego podziemia, choć poznał wiele chwytów, jakże pomocnych w walce w zwarcu, i w praktyce zwykł łać po mordach na wiele różnych sposobów, a szybkość i koncentracja były jego największymi atutami, na cóż mogło mu się to wszystko zdać w obliczu powabów zaprezentowanych przed nim w pełnej krasie.

Uderzenie w twarz pięścią było cholernie mocne, wszelako Willi czerpał tak wielką radość z zobaczenia na nowo tego cudu natury, że mimo bólu na jego posiniaczonej gębie wciąż gościł uśmiech. Upadł pod okno. A Agnes ani myślała przerwać walkę. Chwyła drania za poły dubletu i jęła uderzać nim o ścianę. Willowi pociemniało w oczach. Nie mógł wstać, do tego wrócił na nowo francowaty ból krtani. Stracił cierpliwość, chwycił dziewczoję i uderzył jej głową o parapet. Agnes straciła przytomność, osuwając się po ścianie na podłogę.

– Cholera – wydyszał z trudem. Dźwignął się z ziemi i rozmasował gardło. Dziewczyna leżała, nie dając znaku życia.

Przestraszył się, czy przypadkiem nie potraktował jej nazbyt brutalnie. Schylił się nad nią i wymierzył jej lekki policzek.

– Agnes? Agnes! – Drgnęła, nawet coś szpetnie zaklęła, ale kontakt z rzeczywistością miała wyraźnie znikomy.

Podniósł ją i położył na łóżku. Przeszedł w pośpiechu kilka długości izby, obgryzając przy tym nerwowo paznokcie. Musiał coś wymyślić, coś, co im pozwoli uciec stąd jak najdalej. A intuicja podpowiadała mu, że powinni działać szybko. Wziął zwinięte w tobole ubrania, które wypatrzył chwilę temu w kącie pokoju, i podbiegł do łóżka.

– Agnes – szepnął, pochyliwszy się nad jej twarzą. – Ag... – Zamilkł, czując nieprzyjemny ucisk w kroczu.

Dziewczyna otworzyła oczy, po prawdzie nawet się trochę

uśmiechnęła.

– To sztylet, prawda? – spytał Will z nieskrywaną trwogą w głosie.

– Sztylet.

– Możemy porozmawiać?

– Możemy.

– Wpierw odsuń rękę.

– Wolę ją tam zostawić. Tuszę, że bardziej się skoncentrujesz.

Will przełknął ślinę. Wiedział, że lepiej będzie dla niego, gdy zacznie roztropnie dobierać słowa.

– Martwiłem się o ciebie...

Ostrze zdecydowanie bardziej go ucisnęło. Ani chybi obrał niewłaściwą strategię.

– Nie kłam.

– Zaufaj mi, proszę – stęknął. – Przecież wiesz, że gdybym chciał, to mógłbym cię zabić przed chwilą...

– Źle kombinujesz, Willi – syknęła, dociskając sztylet.

Czoło łotrzyka zrosiły krople potu.

– Proszę... Agnes... Musimy uciekać...

– Dlaczego tu jesteś?

– Tym... tym zabójstwem miałem... Cholera, odłóż ten sztylet! To boli! – Ku uldze chłopaka, Agnes zwolniła nieco ucisk.

– Co miałeś tym zabójstwem, Willi?

– Miałem dowieść swego oddania gildii.

– I co teraz? Dowiedziesz?

– Nie! Oczywiście, że nie. Zresztą, to teraz najmniej istotne.

Szefostwo gildii będzie chciało się upewnić, czy wykonałem zadanie.

Przyślą tu ludzi. Może nawet już przysłali. Nie chcę, by ktoś cię skrzywdził, Agnes. Ja...

– Starczy tego. Posłuchaj... – Odłożyła sztylet na poduszkę i usiadła na skraju łóżka. Skrzywiona, rozmasowała pulsujące bólem czoło. – Mam tutaj jeszcze coś bardzo ważnego do załatwienia i...

– Ty chyba nie mówisz poważnie?

Agnes uniosła głowę i spojrzała w jego stronę. Niestety, wyglądała na śmiertelnie poważną.

– Brak mi słów, kobieto. Ja... – Will podszedł do okna, zaczesał

włosy i wrócił na środek izby, bo już sam nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Złość w nim tak buzowała, że miał ochotę wynieść ją stąd siłą. – Czy ty wiesz, że igrasz ze śmiercią? Słuchasz, co się do ciebie mówi? Jeśli tu zostaniesz, to zginiesz! Kurwa mać, pomyśl przez chwilę.

– Nie jestem głupia. Opuszczę karczmę.

– Ja mówię o Southwerk! – warknął, ledwie panując nad gniewem.

– O Londynie. Ja mówię o całej pieprzonej południowej Anglii! Alard ma swoje psy praktycznie wszędzie! On...

– Dość już! – Wstała i odepchnęła go ręką. Sięgnęła po dublet. Ręce jej drżały, gdy zapinała guziki. – Nie ucieknę stąd, dopóki nie znajdę Lory.

Will westchnął, bo czuł, że taki będzie finał rozmowy. Znów podszedł do okna. Rogowe szybki opatrzone ołowianą pajęczyną pokrywała gruba warstwa szronu.

– Wiem, że Lora otruła twojego ojca – oznajmił wreszcie. – Wiem, że to przez nią musiałaś uciekać. Każdy w gildii to wie...

– Więc chyba mnie rozumiesz.

Odwrócił się w jej stronę.

– Rozumiem cię, ale ona nie żyje, Agnes.

– Lora? – Przestała wiązać spodnie. – Lora nie żyje?

– Tak. Leży gdzieś tam, na dnie Tamizy, więc jeśli myślisz o zemście, to musisz o niej zapomnieć.

– Dlaczego nie żyje? Co się z nią stało?

– Agnes, możemy porozmawiać o tym później? Naprawdę nie mamy czasu...

– Chcę wiedzieć! Co się z nią stało?!

– Możesz zachowywać się ciszej?

– Mów.

Will westchnął, wracając myślami do tamtych wydarzeń.

– Alard zabił ją kilka miesięcy po twoim zniknięciu – powiedział beznamytnym tonem. – Tak po prawdzie potraktował ją w bardzo okrutny sposób, znęcał się nad nią, torturował... Przez długi czas jej głowa zatknięta była na palu w jednym z naszych magazynów...

– Dlaczego jej to zrobił?

Łotrzyk zbliżył się do Agnes na wyciągnięcie ręki. Widział jej

skrzące oczy, kotłujący się w niej gniew. Nie chciał, by zrobiła coś głupiego.

– Posłuchaj... Twój ojciec był kimś ważnym dla gildii. Wiesz o tym, prawda?

– Wiem – Nie miała odwagi, by spojrzeć mu w oczy, by powiedzieć prawdę. Założyła niesforny kosmyk włosów za ucho. Splotła ręce na piersi.

– Lora wygadała się na jakiejś popijawie, że otruła Hardinga. Alard szybko się o tym dowiedział i... On nie zna litości, Agnes. Nie wprowadzono mnie w szczegóły sprawy, ale osobiście widziałem jej odciętą, zmalretowaną głowę. Zresztą chyba każdy z nas ją widział. To było ostrzeżenie, by nikt z nas nie podnosił ręki na swojego kamrata.

Dziewczyna w zamyśleniu pokiwała głową. Przez pięć lat układała plan zemsty, a wyszło na to, że nie spełni swojego przyrzeczenia. Ktoś inny ją ubiegł.

– Kim on był dla gildii? – spytał nagle William.

– Co masz na myśli?

– Wiesz dobrze, co mam na myśli. Twój ojciec... był królem, prawda? A ty... a ty wróciłaś, żeby przejąć po nim władzę, mam rację?

Nic nie powiedziała. Nie chciała mówić.

– Mam rację, Agnes? To dlatego gildia chce twojej śmierci?

– Mieliliśmy się śpieszyć.

– No cóż, tak..., ale...

Zrobiła krok w jego stronę. Wolno, nieśpiesznie stanęła na palcach i przysunęła twarz do jego twarzy.

– A ty się rozgadałeś...

– Ja... ja... – Agnes stała tak blisko, że prawie stykali się ustami. Jej oddech był ciepły, przyjemny. Czyżby przypomniała sobie o pocałunku sprzed lat?

– Niech cię nie trapi, kim był mój ojciec – szepnęła.

– Nie, skąd, nie trapi mnie..., tylko... tylko nie chcę, byś wchodziła w konflikt z tymi draniami...

– Niechaj ci będzie – oznajmiła delikatnym głosem. – Wyjdziemy razem z tej karczmy. Teraz, tak jak chciałeś. – Położyła dłoń na jego piersi. – Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim? – spytał, przymykając powieki.
- To ja zabieram ciebie, a nie ty mnie.
- Chyba żartu... – Znowu poczuł ucisk w kroczu.
- Rozumiemy się? – spytała jakby bardziej oziębłe.
- Cholera, znowu?
- Interpretuj to, jak chcesz. Rozumiemy się?
- Tak...
- Głośniej, nie słyszę.
- Tak, do cholery! Rozumiemy się.

Dyskusja z Agnes o tym, by nie brała ze sobą ciężkiego skózanego wora, wiele kosztowała Williama. Nie dość, że awanturnica nie powiedziała mu, co w nim niesie, to jeszcze postawiła na swoim, grożąc, że jak chce, to może sobie iść sam. Koniec końców, William przynajmniej pierwszy wyszedł przez lukarnę – dachowe okno tawerny. W tej chwili stąpał po lekko spadzistym dachu, brodząc po kostki w grubej warstwie białego puchu. Jakby tego było mało, wiatr był ponuro, podrywając bezustannie do góry drobne płatki śniegu. Jak rzadko kiedy, tej nocy okna chat i kamienic jaśniały żółtawym światłem prawie po horyzont. Pomimo tego ulice były stosunkowo ciemne, ale łotrzyk brał to za pomyślną okoliczność, bo ucieczka pod osłoną mroku zawsze była łatwiejsza. Upewniwszy się, że jest bezpiecznie, chciał machnąć na Agnes, by wyszła z izby, ale spostrzegł, że ona idzie już wzdłuż kalenicy dachu i jest kilka jardów od niego. Zaklął szpetnie i tak szybko, jak tylko był w stanie, pośpieszył za nią.

- Agnes, do cholery.
- Co?
- Musimy być ostrożni. Nie można ot tak...
- Co nie można ot tak? Wyraźnie powiedziałam, że to ja zabieram ciebie, więc przestań smęcić i rusz dupę w ślad za mną.
- Przecież mówiłem ci, że pójdziemy po konie do starego Walta.
- A ja ci mówiłam, żebyś wsadził sobie w dupę jego chabety.
- Agnes, do cholery. Walt to zniedołężniały pierdziel i łatwiej nam będzie ukraść mu konie.
- Jak chcesz szkapę do pługa, to idź tam. Ja idę do naszej stajni.
- Nawet nie wiesz, czy oberżystka dalej trzyma konie twego ojca.

– Ale zaraz się dowiem.

Will zagryzł z wściekłości wargę, ale zrezygnowany ruszył za nią. Pocięsział się, że przy jej charakterze z pewnością będzie miał jeszcze niejedną okazję, aby się odegrać.

– A powiesz mi, po jaką cholere dźwigasz ten worek?

– Nie.

– To będzie zasrana noc – mruknął niepocieszony.

– Co?

– Mówiłem, że zimna noc.

Stawiali ostrożnie kroki, aż doszli do południowej krawędzi połaci dachowej. Do tawerny przylegał drugi budynek, węższy i niższy, o dużo bardziej płaskim dachu.

– To stajnia, prawda? – upewnił się William.

– Tak.

– Zejdę pierwszy i złapię...

Agnes zlekceważyła słowa łotrzyka, minęła go i z gracją zeskokczyła.

– Spokojnie, Will – sapnął rozeźlony. – Tylko spokojnie...

Dziewczyna wylądowała miękko i pochylona doszła do brzegu dachu. Zaczęła dawać mu jakieś znaki.

Czyżby wzięła sobie do serca utyskiwanie Williama?

– Co jest? – spytał szeptem, gdy tylko do niej podszedł.

– Pamiętaj, że w środku może być stajenny.

– Wiem. Chcesz zejść pierwsza czy ja mogę to zrobić?

Agnes uśmiechnęła się, wypuszczając ustami obłoczek pary. Podobało jej się, że Will wreszcie zaczął się z nią liczyć.

– Możesz iść, poczekam tutaj – powiedziała.

Rzezimieszek klęknął i wychylił się ponad krawędź dachu. Śnieg był zimny, mokry i nieprzyjemny. Rozejrzał się po okolicy. Ulica była opustoszała, szeroka na jeden wóz, może z drobnym okładem, a od północnej strony rozdzielała się na trzy wąskie ścieżki ciasno zabudowane domami. Było zbyt ciemno, aby dopatrzeć się czegoś więcej. Nasłuchiwał jeszcze jakiś czas, aż w końcu wstał i ściągnął płaszcz, który wcześniej zabrał z korytarza.

– Potrzyj go.

– Postaraj się znaleźć dwa destriery. Pamiętasz chyba, jak one wyglądają?

– Takie gniade z czarnymi grzywami.

– Właśnie. Oberżystka byłaby głupia, gdyby się ich pozbyła.

– Jeszcze jakieś życzenia? Może dzban wina?

– Idź już.

Zeskoczył, lądując w śniegu głębokim prawie na stopę. Nie zwlekając, wyjął jeden z trzech noży, jakie nosił ze sobą, i podbiegł do podwoi. W środku było ciemno, ale musiał liczyć się z obecnością stajennego. Chłop nie tylko zajmował się końmi, ale też mieszkał z nimi, więc trudno oczekiwać, że akurat dziś opuścił budynek. Wielkie dębowe drzwi były zaryglowane od środka sztabą, ale u góry majaczyły dwa niewielkie okienne lufty.

Wskoczył na stojącą w pobliżu beczkę, wybił się z niej i złapał framugi niewielkiego okna.

– Głupia baba – zaklął pod nosem. – Konia jej się zachciało akurat z tej stajni.

– Słyszałam, Willi.

Pokręcił z dezaprobatą głową i spróbował podważyć okno nożem. Niestety, mróz zespolił je z framugą i ani drgnęło. Przyrznął rękojeścią kilka razy, aż wreszcie futryna zatrzęszczała i okno się uchyliło. Wiedział, że zrobił trochę hałasu, toteż co tchu podciągnął się na rękach i wskoczył do środka. Pośpiech nie opłacił się, bo spadł nieszczęśliwie na ułożone wiadra, robiąc przy tym jeszcze większy hałas. Migiem zebrał się z ziemi i podrzucił sztabę blokującą drzwi, aby w razie czego mieć drogę ucieczki.

Stajenny zdążył już zapalić lampę oliwną i stanąć naprzeciw niego.

– Ani drgnij, śmieciu! – krzyknął.

Will zastygł w bezruchu, wbijając wzrok w wycelowaną wprost w niego kuszę. Chłop stał niezbyt daleko, może jakieś osiem jardów, i chyba był podpity, bo nieznacznie kiwał się na boki. Poza tym woń siana i końskiej sierści mieszała się z gryzącym smrodem gorzały. Jak nic, odbywała się tutaj jakaś libacja. Trudno przewidzieć, czy stajenny trafiłby z takiej odległości w tym stanie, ale William musiał założyć najgorsze i zareagować natychmiast, tym bardziej że z karczmy zaczęły

dochodzić odgłosy jakiegoś poruszenia. Czasu było coraz mniej...

– Wiesz, co tu grozi za... chep... za koniokradztwo?

Łotrzyk jął powoli unosić ręce do góry, by pokazać, że nie ma złych zamiarów, nawet pochylił się w przód, jakby chciał klęknąć bądź paść plackiem i błagać o wybaczenie, i zaraz potem wykonał tak szybki rzut sztyletem, że stajenny jeszcze przez krótką chwilę zezował ze zdziwieniem na czubek rękojeści wystającej z jego czoła. Zaraz potem padł na ziemię martwy.

William co tchu podbiegł do zwłok, zabrał sztylet, a następnie dopadł drugiego boksu, bo w nim wypatrzył konia, o którym rozprawiała Agnes. Zarzucił siodło na wierzchowca, niedbale podpiął popręg, toż samo zrobił z uzdą, i wybiegł z nim na zewnątrz.

– Zeskakuj, Agnes!

Dziewczyna w mig usłuchała, a on wrócił do stajni po drugiego konia. Sięgnął po siodło i już miał je zakładać, kiedy to bełt z zawrotną szybkością minął go o cale i wbił się w rumaka.

– Tu jest! – usłyszał głos Margery.

William odskoczył od wierzgającego rumaka. Ani myślał czekać, aż zlecą się tu ludzie, wybiegł więc na złamanie karku ze stajni. Jakieś dwadzieścia jardów dalej zobaczył odjeżdżającą Agnes i nawet chciał krzyknąć, by zawróciła, ale zza winkła wyskoczył na niego masywnej postury osiłek.

– Zdradziecki ochlaptusie – syknął, uderzając w niego na odlew sztyletem.

Will instynktownie uchylił się i uniknął cięcia, ale upadł w śnieżną zaspę. Przytomnie wyjął zza paska sztylet, podniósł się nawet, ale oprych zdążył go kopnąć potężnie w podbrzusze. Nóż wypadł chłopakowi z ręki, a ból utrudniał oddychanie. Kolejne kopnięcie zważyło go na plecy.

– Nuże, bier skurwysyna, byle żywego! – usłyszał z oddali drugiego draba.

– Cholera – stęknął Will. Jeśli chciał przeżyć, musiał działać, i to szybko. Próbował wstać, ale z trudem przychodziło mu nawet uniesienie głowy. Znów poczuł bolesne kopnięcie. Przetoczył się na bok i wymacał w śniegu sztylet. Machnął nim, ale tak nieporadnie, że osiłek się zaśmiał.

– Chcesz się zabawić?

Will uświadomił sobie nagle, że drab podnosi go za kołnierz dubletu. Dojrzał w tym swoją szansę. Ciął za siebie, znów na oślep. W coś musiał trafić, bo poczuł na karku ciepły strumień juchy.

– Oż ty... – usłyszał i korzystając z tego, że tamten go wypuścił, przekoziółkował przed siebie. Wstał, zakreślił nieporadnie nożem ósemkę i jął nerwowo oceniać sytuację. Dobrze nie było, bo dwóch roślących bydlaków zaczęło go nieśpiesznie osaczać. Ich ostrza błyszczały na tle białego śniegu.

– Zabijem cię! – wycedził drab raniony w szyję. Schował sztylet i wyjął zamaszystym ruchem miecz. – Tym cię rozplątam!

– Żywcem, żywcem! – studził jego zapal drugi bandyta.

Jednakże tamten miał chyba zgoła inny pogląd na sprawę. Dосkoczył do Willa i z grymasem gniewu pchnął mieczem. Źle, nierozważnie i nazbyt przewidywalnie. William co prawda nie był w stanie sparować tego ataku sztyletem, ale z łatwością usunął się w lewo i ciął po zewnętrznej od ucha aż po obojczyk.

Drugi morderca cofnął się o krok. Will się zawahał, bo był świadom, że może nie sprostać przeciwnikowi. Przeszło mu przez myśl, czy nie próbować dobiec do miecza, ale nagle usłyszał zbliżający się tętent kopyt.

– Wskakuj, Will! Szybko! – krzyknęła Agnes.

– Jeszcze tamten – wydyszał chłopak. – On... On o wszystkim doniesie...

– Szybciej, do cholery!

Will zaklął szpetnie, bo wiedział, że kluczenie za bandytą po Southwerk może być zbyt ryzykowne. Podniósł z ziemi miecz, licząc się z tym, że jeszcze kiedyś może mu się przydać, kiedy nagle tuż przed jego twarzą znowu przeleciał bełt.

W progu stajni stała Margery.

– Larum! – zaczęła się wydzierać. – Larum!

– Szybciej! – ponaglała Agnes.

Willowi nie trzeba było więcej powtarzać, tym bardziej że odrzwia pobliskiej kamienicy zaczęły się otwierać. Wgramolił się na rumaka i znikł wraz z Agnes w mroku.

Agnes wprawnie prowadziła konia. Tętent kopyt tłumił śnieg i tylko kłęby pary buchającej z nozdrzy ukazywały, jak wiele wysiłku kosztuje zwierzę ten galop. William w głębi serca wiedział, że dziewczyna dobrze zrobiła, upierając się na tego konia. Destrier to rumak, którego zwykle brano na bitwy. Był silny, wytrzymały i diabelnie szybki. Chłopak był ciekaw, czy oberżystka Margery wiedziała, jak wielki majątek posiada w swojej stajni.

Szybko wyjechali z Southwerk i Agnes zwolniła tempo w obawie, by nie zamęczyć wierzchowca. Jechali głównym traktem, bo droga była prosta i łatwa w prowadzeniu. Postanowili wspólnie kierować się na południe, w stronę hrabstwa Kent. Po jakimś czasie zagłębili się w las Dorstera.

Teren był tu trudny dla konia. Śnieg sięgał rumakowi ponad pęciny, a drzewa i obsypane puchem krzewiny co rusz zmuszały do manewrowania między nimi. Co prawda wiatr nie doskwierał tutaj tak bardzo jak na otwartej przestrzeni, ale mróz ani na chwilę nie zelżał i szybko odrętwiał kończyny. Do tego francowaty śnieg padał i padał. Will narzucił na siebie płaszcz już jakiś czas temu, ale czuł przejmujący chłód. Zmęczenie na pewno robiło swoje.

Nie rozmawiali ze sobą. Każde z nich rozmyślało o dzisiejszej nocy, o tym, co się stało i jakie mogą być tego konsekwencje. William zastanawiał się, co by było, gdyby w porę się nie zreflektował i zabił dziewczynę, kiedy spała w karczmie. Czy czułby rozpacz i wyrzuty sumienia? Pewnie tak, ale kto wie, czy żalu i poczucia winy nie zmniejszyłby majątek uzyskany dzięki awansowi. Agnes nie było pięć długich lat i chyba zapomniała o tym, co kiedyś między nimi było. Zresztą, tak prawdę mówiąc, cóż takiego było? Głupi pocałunek? William był zły na siebie, że rozpamiętywał taką błażostkę. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, zdradzając kamratów. W końcu żył z nimi, polegał na nich, a oni na nim...

Agnes nie do końca była świadoma tego, co im grozi. Próbowwała skupić się na ucieczce, na tym, dokąd się udadzą i gdzie skryją, ale jak na złość jej myśli wciąż krążyły wokół Williama. Drań nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo ją zranił. Łajdak, jakich wielu. Wpierw omotać, a potem legnąć z drugą. Na domiar złego był mordercą, łotrem,

który bez skrpułów zakrada się nocą, by podrzynać gardła. Czy tej nocy zrobiłby to, gdyby leżał tam ktoś inny? A może żałuje, że tego nie zrobił? Agnes była zła jak osa i nawet się zastanawiała, czy dobrze zrobiła, uciekając razem z nim.

– Skręć w te zarośla – odezwał się w pewnym momencie.

– Po co?

– Gdzieś tam powinna być grot. Odpoczniemy w niej.

Agnes przyjrzała się skupisku kamieni wapiennych i popędziła konia w kierunku, który wskazał William. Cieszyła się na myśl o odpoczynku, bo była wyczerpana. Ręce i nogi dziewczyny drżały, a twarz tak bardzo piekła od mrozu, że z trudem otwierała usta.

– Gdzie dokładnie ona jest?

– Nie wiem, nie pamiętam, ale będziemy na właściwej drodze, jeśli natkniemy się tam na szerokie wykarczowane zbocze.

– Nie brzmi to zbyt pocieszająco.

– No cóż, dawno tam nie byłem. Znalazłem to miejsce przez zupełny przypadek.

Padający śnieg i wszechogarniająca ciemność nie ułatwiały dotarcia do celu. W oddali zawyły wilki. Rumak, choć zmęczony, strzygł uszami, bo spłoszona zwierzyna co jakiś czas poruszała obsypane śniegiem krzewy. Dopiero w trzeciej części nocy natrafili na rozległy jar upstrzony tu i ówdzie niewielkimi wapiennymi głazami. Miejsce to nader często było pilnowane przez gajowych.

– Zwolnij. Przez ten śnieg łatwo nam będzie przeoczyć wejście do jaskini.

Długo kluczyli. Po prawdzie William już dawno zaniechałby poszukiwań, gdyby nie fakt, że cały czas poruszali się w stronę portu w Dover. Nie przyznawał się jeszcze z tym Agnes, ale odpłynięcie z Anglii wydawało mu się jedynym rozsądnym pomysłem. Po prostu wiedział, na co stać gildię.

– To tam? – spytała w pewnej chwili dziewczyna.

William spojrział w kierunku, który wskazywała. Trudno było to nazwać wejściem do pieczary, ale faktycznie pomiędzy gęstymi zaroślami przyprószonymi śniegiem rysowały się kontury ciemnego wejścia.

– Tak, nareszcie! To tam!

Zbliżając się do groty, William strzepywał z pobliskich gałęzi śnieg, by zakryć ślady kopyt. Wolał zachować ostrożność, choć wiedział, że tutaj będą bezpieczni. Już bardziej prawdopodobne było to, że natkną się na jakiegoś gajowego aniżeli na rzezimieszka z gildii. Okolica była bogata w złoża kamieni wapiennych, surowiec jakże cenny dla budownictwa, i królewscy strażnicy nader często patrolowali te tereny. Z uwagi na to bandyci rzadko kiedy zapuszczali się w tę część lasu, tym bardziej że trudno było tu spotkać kupców czy podróżnych. Rzecz jasna, w tej chwili będą ich szukać wszędzie, ale bardzo prawdopodobne, że nie znajdą tej kryjówki, a nawet jeśli, to przejeżdżając tym wąwozem za dnia, też będą mieli problem z jej wypatrzeniem.

Grota była niewielka, w sam raz dla dwóch osób i konia. Było w niej zimno, ale przynajmniej nie czuło się przeszywającego chłodem wiatru. William obawiał się rozpaścić ognisko, ale wiedział, że przy takim mrozie muszą się ogrzać. Oderwał z pobliskiego powalonego drzewa kilka gałęzi i zestrugał je na drobne szczapki. Potem za pomocą krzesiwa rozniecił w głębi groty ogień.

Agnes w tym czasie oporządzała wierzchowca. Długi czas głąskała go po szyi i grzbiecie, błędząc gdzieś daleko myślami.

– Wiesz, że to tego konia ukradłeś mi wtedy nad Tamizą?

Will przestał dmuchać w płomień. Uśmiechnął się do siebie, ale nic nie powiedział. Nie chciał słowami zepsuć wspomnień.

Położyli się przy ognisku. Agnes włożyła sobie pod głowę wór z pieniędzmi. W oddali znowu zawyły wilki

– Co masz w tym worku? – spytał William.

– Nie twoja sprawa.

– Ale coś w nim chyba brzęczało, jak jechaliśmy, prawda?

– Nie chce mi się gadać, śpij.

William westchnął niepokieszony, ale nie zamierzał jej naciskać. Opatulił się szczelniej płaszczem, zamknął oczy, kiedy nagle usłyszał pytanie:

– Skąd znasz tę grootę?

– Znalazłem ją kiedyś przez przypadek.

– Z nią?

- Co z nią?
- Przychodziłeś tu z nią? Z Lorą?
- No coś ty? Taki kawał?

Dziewczyna warknęła pod nosem, a William się zaśmiał.

- Agnes, żartowałem. Ja nic z nią... Czemu w ogóle pytasz?
- Nieważne.

William objął ją ręką.

- Zabieraj te łapy.
- Będzie nam cieplej.
- Powiedziałam: zabieraj!
- Aleś marudna.
- Jestem zmęczona. Śpij.

Agnes szybko zasnęła. Niestety, William nie miał tyle szczęścia. Mimo zmęczenia nie mógł odpędzić od siebie myśli o dzisiejszej nocy. Służył gildii dziesięć lat. Dziesięć długich lat, i trudno mu było ot tak o tym zapomnieć. Mógł być baronem i żyć na poziomie, a porzucił to wszystko dla swarliwej baby. Wiedział, że Alard będzie wściekły na wieść o jego zdradzie. Wychowywał go, szkolił... Will wstydził się tego, ale czasami miał wrażenie, że Alard traktuje go jak syna. Jak rodzonego syna...

A może miałyby jeszcze szansę na przebaczenie? Gdyby ją zabił i wrócił, przyznając, że źle postąpił, to czy Alard obszedłby się z nim łaskawie? Czy w ogóle starczyłoby mu, Williamowi, odwagi, aby to zrobić? Nigdy nie potraktował niewiasty nożem. Zawsze uważał to za największe łajdactwo. Dziewka rodzi, świat poszerza i pociechę nieraz daje...

Will odpędził od siebie te nedorzeczne myśli. Usiadł, wziął kilka głębokich wdechów. Ognisko tliło się słabym płomieniem. Jego wzrok przyciągnął worek, na którym Agnes wspierała głowę. Odgarnął z jej szyi kosmyk kruczoczarnych włosów. „Dziesięć lat – pomyślał – dziesięć długich lat...”. Był członkiem gildii. Ba, był ich bratem. W imię czego Alard poświęcił mu pięć lat szkoleń? Aby go zdradził?

Decyzję podjął błyskawicznie, w obawie, by zaraz znowu nie zmienić zdania. Wyjął sztylet. Powoli, bezgłośnie kucnął przy Agnes, chwycił za włosy i poderznął jej gardło jak wieprzowi. Przez rozwartą

krtań buchnęła parująca posoka. Kobieta zacharczała. Otworzyła oczy, uniosła drżącą rękę, wbiła paznokcie w jego przedramię i krzyknęła:

– Kochanie! Kochanie!

Wstrząśnięty Will odwrócił wzrok. Modlił się, aby już zamilkła, ale bulgot krwi bezustannie wypełniał jego uszy. Z oczu chłopaka zaczęły spływać łzy.

Alard wpadł w furję, gdy dowiedział się o zdradzie Wiliama. Tyle lat poświęcił na naukę tego gówniarza. Traktował go jak rodzonego syna. Dbał o niego, karmił go, nawet nie karał tak jak pozostałej dziatwy. I co dostał w zamian? Zdradę! Pieprzoną zdradę. Suka, w dupę ją mać pchana, przewróciła Williamowi w głowie i okazała się dla niego ważniejsza od gildii. Głupiec mógł mieć wszystko. Tytuł, majątek, ogólne poważanie, mógł, do cholery, kierować razem z Alardem całym londyńskim podziemiem. Ale nie! On musiał się kierować fiutem.

Bandyta, który przekazał baronowi informację, cudem uszedł z życiem. Jeszcze przez długi czas z komnaty Alarda dochodziły odgłosy rozbijania dzbanków i roztrzaskiwania mebli.

Gdy wreszcie Alard wyszedł na korytarz, wyglądał, jakby dopiero co stoczył zaciekłą walkę: burza siwych włosów, spocone oblicze i wściekłe spojrzenie. Theobald słyszał relację bandyty – w końcu to on uchronił nieszczęśnika przed gniewem syna – niemniej z pewnym wahaniem zbliżał się teraz ku niemu. Ojciec miał już swoje lata, coraz więcej dziwacznych przyzwyczajzeń i złych nawyków, ale nie można mu było odmówić jasności umysłu. Dotychczas kierował poczynaniami syna, pomagając mu wspiąć się po szczeblach bandyckiej kariery, i nie chciał, aby Alard zaprzepaścił wszystko pod wpływem chwili. Wszak konkurencja nie śpi i w szeregach gildii wielu miało chrapkę choćby na jego oficjalny tytuł barona. Jeśli zacznie popełniać błędy, to w końcu nie będzie miał dostępu do większości posiedzeń i trudniej mu będzie z powodzeniem królować.

– Co planujesz, Alardzie? – spytał drżącym, chrapliwym głosem staruszek.

- Zaweźwać Wimarca, by ściągnął mi szpiegów.
- Których?

Alard przewrócił oczami. Zaczesał ręką włosy, wygładził dublet. Próbował ostudzić w sobie emocje, lecz w tej chwili wydawało się to daremne.

- Wszystkich! Teraz i w tej, kurwa, chwili!

Theobald westchnął i zdusił w sobie kaszel. Cokolwiek by się działo, zawsze przestrzegał przed pochopnym działaniem.

- Wiesz, że takie lekkomyślne...
- Nawet nie zaczynaj!

Theobald zamilkł, słysząc zdenerwowanie w głosie syna. Przez garb trudno mu było dojrzeć jego oblicze, ale potrafił wyczuć, w którym momencie lepiej go nie drażnić.

– Każdy jeden pierdolony kamrat będzie musiał się teraz zająć sprawą Williama – mówił Alard. – Mają przetrząsnąć knajpy, stodoły, lasy, góry i pierdolone morza!

- Ale...

– Nie ma żadnego ale. Will musi poczuć, jak smakuje mój gniew. I nie poprzestaną, dopóki nie znajdę skurwiela.

- To może kosztować...
- Z pewnością nie tyle, co moja duma.

Staruszek chciał jeszcze coś dodać, ale Alard wyszedł z domu, nie zabierając nawet ze sobą płaszcz.

Musiał działać szybko, tym bardziej że zbiedzy poruszali się konno. Osobiście pogonił okolicznych posłańców, by postawili na nogi każdego pielgrzyma, barona i hrabiego. Spotkanie wyznaczył w magazynie wełny przy Grub Street.

Niestety, czas był niekorzystny, bo w Boże Narodzenie wielu hrabiów i baronów lubiło sobie wypić. Rzecz jasna, w takich chwilach odpowiedzialność spadała na ich zastępców, ale wielu z nich obawiało się pochopnie dawać ludzi, tym bardziej że rozkaz wydany był ustnie, przez zwykłych posłańców, a nie, jak nakazywał zwyczaj, w postaci zalakowanej pieczęciami notki. Koniec końców, Alard działał szybko, ale zachował resztki zdrowego rozsądku i nie ujawnił swej prawdziwej funkcji. Zaangażował w pościg, kogo się dało: szpiegów, złodziei,

żebraków, morderców, a nawet kilku królewskich strażników. Nie naciskał jednak na tych baronów, którzy się wahali z podjęciem decyzji.

Trochę trwało, nim przestępcy rozpiezchli się po ulicach Southwerk, jednak gdy już do tego doszło, szybko zaczęli przepytować ludzi mieszkających niedaleko zajazdu Tabard. Wielu słyszało odgłosy walki i rzucane wyzwiska, ale nikt ani myślał w Boże Narodzenie wyściubiać nosa na zewnątrz. Najbardziej wartościowe było zeznanie oberżystki Margery, która zapewniała, że młodzi uciekli na południe, w kierunku lasów Dorstera. Alard wziął sobie do serca jej słowa, nie wykluczając tego, że zbiedzy mogli się kierować do jednego z tamtejszych portów. Postanowił skupić się na większych miastach, łącznie z Rochester, Maidstone, Ashford i Canterbury, ale najwięcej ludzi planował posłać do portów w południowej i wschodniej części kraju. Mało ich nie było, ale pocieszał się tym, że wystarczy sprawdzić Hastings, New Romney, Hythe, Dover oraz Sandwich, by czegoś się dowiedzieć. W tamtejszych tawernach ludzie mieli czuły słuch i długie języki, i jeśli ktoś szukałby okrętu, to z pewnością nie przeszłoby to bez echa.

Bandyci wyruszyli jeszcze przed świtaniem. Było mroźno, a silne podmuchy wiatru unosiły śnieg, szybko zacierając ślady na otwartym terenie. Pościg zapowiadał się na trudny i długi, ale wizja nagrody za schwytanie zbiegów pokrzepiała kamratów, dodając im sił i wiary w powodzenie misji.

Takim niepoprawnym optymistą był Hervey, wiekowy morderca i wyborowy tropiciel; wyruszył w pościg z Eliasem, którego dopiero przyuczał do zawodu.

Hervey był w zespole, który miał sprawdzić wschodnie miasteczka portowe, niemniej jednak nie gnał gościńcem na złamanie karku, ale kierując się przecuciem, zagłębił się w las Dorstera. Był niemal pewien, że jeśli Will jechał w tym kierunku, to nie chciał ryzykować spotkania kogoś na drodze.

W gęsto zadrzewionym terenie śnieg nie prószył zbyt intensywnie, toteż jeśli ktoś tędy szedł, z pewnością zostawił jakieś ślady. Z początku Hervey nie oddalał się zbyt od traktu, dopiero po jakimś czasie zdecydował się wejść głębiej w las. Nie podobało mu się to, że póki co

jego przypuszczenia się nie sprawdzają.

– Gościńcem dojechalibyśmy o wiele szybciej – zauważył młodziutki, bo szesnastoletni Elias.

– Nie narzekaj, tylko wypatruj śladów – upomniał go Hervey.

– Rozglądam się, ale i tak będziemy daleko w tyle za innymi.

Hervey, choć nie nawykł do wydzierania się na podopiecznego, chciał go jednak zrugać za niepotrzebne dyskusje, ale jego uwagę przykuły wgłębienia w ziemi, jakby od kopyt, jakieś dwadzieścia jardów dalej.

– Spójrz tam – powiedział.

Elias pokręcił z niedowierzaniem głową i popędził konia w tamtym kierunku.

– Myślisz, że to ich? – spytał.

Hervey wziął łuk i zszedł z konia. Przyjrzał się okolicy, podszedł do Eliasa i pochylił się nad śladami. Były głębokie, nawet bardzo. Wierzchowiec musiał być obciążony okazałym ekwipunkiem lub dwoma jeźdźcami.

– Mamy ich, chłopcze – powiedział. – Musimy się tylko pośpieszyć.

– Dokąd się pośpieszyć? – usłyszeli nagle.

Hervey momentalnie wyjął z kołczanu strzałę i nawet zdołał przyłożyć ją do brzuśca łuku.

– Nawet o tym nie myśl! – krzyknął mężczyzna wychodzący z zarośli. Zaraz przy nim pojawił się drugi. Obaj dzierżyli w rękach naładowane kusze. Ich czapki i płaszcze zdobiły insygnia królewskie.

– Znaków nie ogląda, że to królewski teren? – zapytał jeden z nich.

– My nie kłusownicy! – spróbował szczęścia Hervey, nie zwalniając na wpeł naciągniętej cięciwy.

– Kłusownicy czy chrustownicy, dla nas to jeden diabeł. O tym powiecie już przed sądem, a nie nam. Na ziemię z tym łukiem!

Elias przełknął ślinę, mocniej pochwycił wodze. Hervey zaś się schylił i chyba miał zamiar odłożyć łuk.

– Powoli! – usłyszał. – I opuść tę strzałę!

Hervey przykucnął, dociągnął cięciwę i strzelił. Leśniczy padł w zaspę, raniony w nogę, ale zdołał wcześniej wystrzelić z kuszy. Jego

kompan nie zwlekał i również strzelił.

Hervey legł trafiony dwoma bełtami. Elias nie czekał na dalszy rozwój wydarzeń, ścisnął boki konia nogami i rzucił się do ucieczki.

– Stać! – słyszał za swoimi plecami, ale chłopak już gnał i kluczył między drzewami najszybciej, jak tylko potrafił.

Z rozdętych chrap konia co rusz buchały kłęby pary. Drobnny śnieg wbijał się w twarz młodzika, łzawiły mu oczy, zamarzało gardło, ale myśl o królewskim sądzie nie pozwalała mu zwolnić ani na moment. Popędzał konia i zmuszał do jeszcze większego wysiłku, aż w końcu wjeżdżając w któreś z kolei zarośla, stracił nad nim panowanie i wjechał na zwalony pień drzewa. Niebo zatańczyło, ból przeszył plecy, a chłód i nieprzenikniona ciemność szybko chwyciły go w swoje ramiona.

Gdy otworzył oczy, zdał sobie sprawę, że leży w śniegu. Zerwał się na równe nogi, rozejrzał wokoło, ale po leśniczych nie było ani śladu. Rumak leżał nieopodal niego.

– Cholera – zaklął, gdy tylko obejrzał zakrwawione podbrzusze wierzchowca. Wiedział, że powrót nie wchodzi w grę, bo nawet jeśli nie wpadłby w ręce leśniczych, to z pewnością oberwałoby mu się od zwierchników za przerwanie pościgu. Brnął więc przez ośnieżone knieje dłuższą chwilę, ale nie był w stanie natrafić jeszcze raz na ślady, które wcześniej wypatrzył Hervey. Szybko się poddał, wmawiając sobie, że przecież i tak nic by nie zrobił w pojedynkę, gdyby spotkał Williama. Elias słyszał co nieco o jego umiejętnościach i przeczuwał, jak mogłaby się skończyć taka konfrontacja. Młodzian był tchórzem, choć nie przyznawał się do tego nawet przed samym sobą. W gildii pracował ledwie od roku i nie zamierzał nadstawiać karku za byle głupotę. Do tego wszystkiego ryzykował spotkanie leśniczych. Chciał wyjść z lasu, ale rozłożyste knieje i prószący śnieg nie ułatwiały mu tego zadania.

Błądził cały dzień, nie licząc małej przerwy na odpoczynek, aż w końcu z zachodem słońca dobrnął do krawędzi nieznanego mu wapiennego urwiska. Już miał iść dalej, kiedy jego uwagę przykuło pobojuwisko na dnie wyrobiska. Zamarznięty zalew wyglądał w jednym miejscu tak, jakby coś bardzo ciężkiego spadło z góry i wyrwało wielką dziurę. Nieco dalej dojrzał na śniegu ciągnące się smugi krwi i skuloną postać. Trudno mu było zobaczyć coś więcej, tym bardziej że śnieg po

niedługiej przerwie znowu zaczął prószyc. Zdecydował się zejść na dół. Skały były ośnieżone, a w niektórych miejscach pokryte nawet lodem, ale Elias bardzo ostrożnie stawiał kroki. Gdy był już raptem kilka stóp powyżej powierzchni zamrożonego zalewu, wpadł w euforię. Pośpieszył się, poślizgnął i stracił równowagę. Niestety, odruchowo krzyknął, zdradzając swą obecność, bo zgarbiona postać uniosła w jego kierunku głowę.

Agnes długo szamotała się w rękach Williama. Patrzyła na niego z przerażeniem, ledwie łapiąc oddech.

– To sen – mówił spokojnie – to tylko sen, Agnes.

Wreszcie dziewczyna opadła na ziemię i głośno westchnęła.

Wczesny ranek był mroźny, ale bezchmurny. Las przecinały tu i ówdzie jaskrawe promienie słońca. Głodni i zziębnięci wyruszyli w pośpiechu, wiedząc, że spali zbyt długo. Agnes znów prowadziła, a Wiliam trzymał się tylnego łęku siodła. Nie chcieli wracać do tego, co się stało w nocy, wszelako cisza zaczęła im coraz bardziej doskwierać.

– Willi... Chcę rzecz ująć akuratnie – odezwała się w pewnym momencie dziewczyna. – Czemuś zmienił się w takiego łajdaka?

– Co masz na myśli?

– Mordujesz ludzi.

– Nie morduję ludzi – zachnął się szczerze dotknięty. – Jestem złodziejem, Agnes. Ja...

– Nie pieprz. Przecież mnie samą prawie żeś...

– Daj spokój. To nie tak. Zresztą i tak nie zrozumiesz.

– Łatwe wytłumaczenie.

Usta Williama wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu, bo tego wcale nie można było tak łatwo wyjaśnić.

– A ty? – spytał wreszcie, choć w zasadzie sam nie wiedział o co.

– Co ja?

– Gdzie byłaś przez te pięć lat? Nie myślałaś o tym, aby wrócić wcześniej?

– Myślałam.

– Więc czemu tego nie zrobiłaś?

„Bo się bałam” – pomyślała.

– I tak nie zrozumiesz – mruknęła.

– Łatwe wytłumaczenie – odgryzł się z przekąsem. – A tej nocy... tylko się nie złość... czemu wypytywałaś mnie o Lorę?

– Nie masz innych tematów do rozmów?

– Ciekawi mnie... zazdrosna jesteś?

Agnes jak gromem trafiona zatrzymała konia. Gwałtownie zeskoczyła z jego grzbietu, tak że William musiał się uchylić, by nie oberwać butem w pysk.

– Złaż z konia!

– Mówiłem, żebyś się nie złościła...

– Złaż z konia. Jeszcze grzecznie przykazuję!

– Nie, to ty przestań sceny robić...

Dziewczyna dwa razy gwizdnęła. Koń jak na komendę postawił uszy, a potem stanął dęba. William, zaskoczony zachowaniem zwierzęcia, nie zdołał przytrzymać się siodła i runął w zaspę śniegu. Zaczął się gramolić z ziemi, bluzgając przy tym we wszystkie strony świata.

– Ustalmy fakty, Williamie – zaczęła Agnes twardym tonem. – Co było, minęło. Może i kiedyś czułam coś do ciebie, ale jak czas pokazał, tyś babiarz, skurwysyn i jeszcze morderca. Żem się z tobą nie związała, traktuję jako bożą opatrzność, cud boski, opiekę anielską. I żadną aluzją, wywodem czy inną zasraną sztuczką mnie nie oczarujesz, nie posiądziesz i nie zranisz.

– Nie...

– Cicho! – ryknęła tak, że drygnął i koń, i William. – Ja teraz mówię. Dojedziemy do najbliższej miejsciny, wsi zabitej dechami czy innego zasranego skupiska ludzi, i się rozstaniemy. Każde pójdzie w swoją stronę i ukryje się wedle własnego zamysłu.

– Oszalałaś? – William aż opluł sobie z emocji brodę. Przestał strzepywać śnieg z ubrania i podbiegł do dziewczyny. – My musimy opuścić Anglię, a nie chować się po sadybach!

– Nie przesadzaj...

– Gildia nam nie odpuści!

– A skąd taka pewność? Może mają w dupie to, co robimy?

– Nie bądź niemądra. Trafili na twój ślad, a ja ich zdradziłem! Nie odpuszczą nam, Agnes! Zrozum, że wyślą za nami tabun morderców i tutaj nie będę w stanie cię ochronić!

Żrenice dziewczyny się rozszerzyły, z jej ust przestały wydobywać się obłoczki pary.

– Nas ocalić – poprawił się William. – Nas, rzec chciałem...

A teraz ładuj się na konia i jedźmy dalej.

Agnes poczuła dziwne skrępowanie. Z trudem przełknęła ślinę.

– Dokąd... chcesz jechać?

– Wpierw musimy znaleźć miejsce, gdzie moglibyśmy się posilić. Bez łuku niczego tu nie upolujemy, a pełnego dnia nie wytrzyma ani koń, ani my. A potem ruszymy dalej, do portu w Dover.

– Dover? To daleko...

– Myślę, że jeszcze jakieś czterdzieści mil, a może mniej. Ważne, że to duża miejscina, w której gildia nie ma swoich ludzi. Stamtąd łatwo nam będzie opuścić Anglię.

Agnes wydeła usta. Spojrzała w niebo. Chyba przetrawiała pomysł łotrzyka.

– A potem?

– Jeśli chcesz, każde pójdzie w swoją stronę. Nie obchodzi mnie, co zrobisz potem.

„Nie obchodzi go? – pomyślała. – A to ciekawe...”.

Podeszła do konia i udając, że sprawdza popręg, rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Wytrząpywał śnieg z włosów. Miał napiętą twarz i mruczał coś pod nosem. Przypomniała sobie, że często tak robił, gdy się irytował. Zła na siebie za podpatrywanie jego gestów, wsiadła na konia.

– Jedziemy – obwieściła władczo.

– Musisz tak mówić?

– Jak?

– No tak, że znowu zmierzasz do waśni.

Agnes nie zamierzała odpowiadać na tę uszczypliwość. Spięła konia i ruszyła stępą przez zasy.

– Zaczekaj! Kurwa mać! Sił do ciebie nie mam!

– Kto tu przewodzi?

– Ty, do cholery! Stań wreszcie!

– Nie słyszę. Kto?

– Ty, do cholery!

Zatrzymała się, skrywając uśmiech triumfu pod szalikiem. William podbiegł i zdyszany wskoczył na konia, mruczając pod nosem jakieś przekleństwa.

– Powiedziałeś: parszywa szkapino?

– Nic żem nie rzekł! Wio! No, jedźmy wreszcie! „Zasrana chabeta”

– to już tylko pomyślał, nieskory do waśni.

Agnes nie dawała sobą rządzić. Wiedziała, że każdy jeden chłop chce baby ugodowej, uległej, która wiecznie potakuje, usługuje i na zawołanie się oddaje. Która ma cichutkie usposobienie, ręczki zawsze złożone potulnie w pierożek, oczka karnie wbite w ciżemki... A takiego! Bolało ją to, że o losie kobiety z reguły decyduje mężczyzna. Od najmłodszych lat uczona była niezależności, zawsze wszystko miała i nigdy nie potrzebowała pomocy obcego faceta. Agnes była butna, uparta, jej relacje z mężczyznami nie należały do łatwych, ale zawzięcie parła przed siebie, byle tylko nie być komuś podległą.

Jechali stępą, nie odzywając się ani słowem. Mróz bezustannie dawał się we znaki; niesiony silnym podmuchem wiatru wbijał się w ciało i ranił niczym małe ostrza. Gdy wjechali na polanę, Agnes pośpieszyła konia. Spod kopyt co rusz wylatywały tumany śniegu, a z chrap rumaka buchały kłęby pary.

Dotychczas Will trzymał się tylnego łęku, ale przy tej prędkości chwycił dziewczynę wysoko nad talią. Tak po prawdzie jego dłonie leżały prawie na cyckach.

– Zabieraj łapy – upomniała go przez ramię.

– Trzymać się muszę!

Agnes ściągnęła lejce, zwalniając konia.

– Will, nie żartuję. Odwinę i użębienie wyszczerbię. To nie uchwyt, a już na pewno nie dla ciebie!

– Aleś marudna. Przez myśl mi nawet nie przeszło. – Pochwycił ją w pasie. – Ostatnia rzecz, której bym łaknął...

– Ja tam swoje wiem.

Will burknął pod nosem przekleństwo – cicho, tak by nie słyszała,

ale jakoś mu zbyt nie ulżyło.

– Wiesz, że tej nocy spałaś mi na ramieniu? – wytknął jej w końcu.

Zwolniła do truchtu. Jej policzki oblał pąs, ale William na szczęście tego nie widział.

– Jużci.

– A tak. Do tego wszystkiego darłaś się: „Kochanie! Kochanie!”.

Do mnie tak wołałaś?

– Nie bądź głupi!

– Kiedy tak było!

– Bzdura, o której nie chce mi się gadać.

– I dobrze.

– Ażebyś wiedział.

– Zawsze do ciebie musi ostatnie słowo należeć?

– Musi.

– I dobrze.

– Ażebyś wiedział.

Sam koń, jakby zmieszany, łeb spuścił, uszy po sobie położył i mając w zadzie kłótnie dwóch jeźdźców, jął szparko caplować przez las Dorstera.

Znów długo jechali, nie zamieniając ze sobą ani jednego słowa. Agnes zastanawiała się, czy naprawdę tuliła się do ramienia Williama i wydzierała: „Kochanie! Kochanie!”. Nie przypominała sobie, by aż tak się zbłaźniła, ale mierziło ją to jak diabli. „Drań pewnie łudzi się, że jeszcze mogę być jego – przeżywała. – Choć może się mylę? W końcu powiedział, że mnie nie łaknie... Do dupy z tym wszystkim”. Miast skupić się na ucieczce i potencjalnych zagrożeniach, to myśli zajmował jej dawny i tak po prawdzie zapomniany oblubieniec; jak się poniewczasie okazało, łajdak i szumowina.

Las rzedł, ciągnąc się bardziej ku południu. Przy jego granicy kręciło się kilku chłystków zbierających chrust na opał, ale gdy tylko Agnes podjechała bliżej, czeredka rozpięzchła się po leśnej gęstwinie.

Przyszło im mijać zasypane śniegiem łąki i pola uprawne. W oddali przebiegła sarna z młodymi. Zaskrzeczały wrony.

– Zjedź na ten trakt – mruknął William, choć nie miał ochoty na żadną rozmowę. Do tej pory co się odezwał, to dochodziło do zwady.

Agnes odbiła w prawo, tak jak chciał. Niedługo potem nakazała zejść z konia, bo widać było, że zwierzę jest już zmęczone. Brodzili w śniegu po kostki. Wiatr smagający ich twarze nieco zelżał.

Łotrzyk pamiętał, że dziesięć lat temu szedł tędy ze swoją rodziną... i Alardem. Był ciekaw, jak potoczyłyby się ich losy, gdyby tamtego dnia nie spotkali bandyty. Czy wszyscy żyliby do dzisiaj? Czy nadal jeździliby od miasta do miasta, zarabiając na estradowych popisach? Czy byliby biedni? A może bogaci?

Agnes pierwsza spostrzegła wylaniającą się z oddali osadę. Nie chciała się odzywać, więc czekała tylko, kiedy Will ją zauważy.

Nie trwało to długo.

– Spróbujemy kupić od nich trochę strawy – powiedział.

– Masz pieniądze? – spytała z przekąsem.

– Mam. – Przemilczał temat podróznego worka, bo przecież na pewno znowu by się pożarli.

W łagodnej dolinie stało kilkanaście drewnianych chatynek. Will nie pamiętał, by mijał to miejsce, gdy szedł z rodzicami do Londynu, ale w przeciągu tylu lat wiele mogło się pozmieniać. Był świadom, że pokazywanie się ludziom przy głównym trakcie jest bardzo ryzykowne – wszak pościg może tutaj dotrzeć – ale głód bez wątpienia wygrywał z rozsądkiem. Poza tym Alard nie miał przecież pojęcia, w którą stronę uciekli. Trudno było odgadnąć, jak wielu ludziom zlecił to zadanie, ale jeśli sprawa dotarła do króla gildii, to na pewno nie będzie przez niego potraktowana priorytetowo. Co innego Alard, który czuł się osobiście dotknięty zdradą Williama, a co innego król, który z pewnością miał na głowie ważniejsze sprawy. Jak by nie było, ci, którzy ich gonili, błędzili po omacku, i wcale nie musieli tak łatwo trafić na ich trop.

Will nieznacznie przyśpieszył kroku i pierwszy wszedł na placyk otoczony chatami. Słońce schodziło już ze szczytu nieba. Okolica wydawała się cicha. Zbyt cicha.

Drzwi jednej z chałup otworzyły się i w progu stanął chłop jak dąb. Mróz nie robił na nim chyba większego wrażenia, bo krótkawa koszulina odsłaniała jego brzuch, tak że można było bez problemu dojrzeć pępek.

– Witaj, dobry kmieciu!

– Czego chcecie?! – odkrzyknął, mieląc w pysku kawał drzazgi.

- Chcielibyśmy się posilić. Zapłacę.
- Mnie tam pieniędzy na zimę nie trzeba! Dziaatki zreć tego nie chcą.

William przytknęło, bo takiej reakcji się nie spodziewał. Chłopi zwykle obawiali się każdego, kto jechał na koniu, a ten tutaj kmiołek nie dość, że się nie bał, to jeszcze pyskował. Może wygląd Williama nie świadczył o tym, że jest wysoko urodzony; jego ubiór był zniszczony walkami, podróżą i jak nic mógł się kojarzyć ze środowiskiem przestępczym, ale, do cholery, chłop i tak powinien trząść ze strachu portkami. Może jest niespełna rozumu?

William żałował, że zostawił miecz przytroczony do siodła. Odchylił więc połą płaszcz, licząc na to, że sztylet będzie widoczny i nadto wymowny. Jak by nie było, argument ostrza nader często pomagał mu przekonywać ludzi do swoich racji. Chłop chyba przyjął wyzwanie, bo splunął na ziemię i zakasał rękawy. Za jego plecami pojawiło się dwóch rosyłych synali. Z sąsiednich chat wyszło sześciu kmiotów. W łapach dzierżyli cepy i widły.

- Próbuj grzecznie – szepnęła Agnes.
- Próbuj, próbuj – odpowiedział półgębkiem. – Przecież to zakute pały.

– Słuchajcie, kmioty! – dodał po chwili na całe gardło. – Dam pensa za dwie ciepłe strawy i popas dla konia! Kupicie za to ładne kuraki!

- My mamy kuraki! – wrzasnął któryś.
- Ale pieniędzy nigdy za dużo! Nagrodzimy was uczciwie!
- Jedźcie se lepiej dalej przed siebie!
- Co z wami, chłopcy? Mam się rozmówić z waszym panem?
- My chłopcy wolne, to pańszczyzna nas nie wiąże...
- Żeby was obsrało – wycedził William przez zęby. – Żarcia zgotujcie choćby z samej rzepy, dla konia coś dajcie. Dwa pensy zapłacę!

– Był tu taki jeden – fuknął ten z drzazgą w zarośniętej mordzie. – Ze dwa roki temu i też nam za pewną posługę zapłacił.

- To dobrze!
- A gówno, nie dobrze. Monety były zakłete i cztery baby nam się

rozchorzały!

- Tak było! – wtrącił się inny w filcowej czapce.
- Kmioty, to bujda! Moje pieniądze prawdziwe!
- Tamten też tak gadał!
- Krew mnie zaleje – wystękał pod nosem. – Tumany jedne.
- Will, tylko spokojnie...
- My upraszamy, jedźcie se dalej. Widłami nie kolniem!

Will aż się zagotował, słysząc tę groźbę. Pochylił się ku ziemi, błyskawicznie dobył sztyletu i z impetem rzucił nim przed siebie. Ostrze z trzaskiem wbiło się w odrzwia między nogami chłopca, ledwie o średnicę miedziaka poniżej krocza.

– Zapierdalać mi po żarcie! – ryknął. – Dwa pensy dam za uczynek i przy życiu każdego z was ostawię!

Wieśniacy zamarli. Ten z nożem pod kroczem znak krzyża uczynił. Dość szybko jednak doszedł do siebie i krzyknął:

– Słyszałaś, babo, co pan do nas woła! Gotuj mu jadło! A wy, nuże do domu! Chować te widły!

William i Agnes nie chcieli mitrężyć czasu u wieśniaków bardziej, niż to było konieczne. Siedli na zydlu w przedsiönku chaty pyskatego kmiota i w pośpiechu zjedli to, co im podano. Gotowana rzepa zalana była jakimś brunatnym sosem z dodatkiem marchwi i buraków. Strawa była smaczna, pożywna i pozwoliła im nasycić głód.

Zapłaciwszy za wymuszoną gościnę, skierowali się na południowy wschód, prosto do Dover. Do zmierzchu było jeszcze trochę czasu, ale śpieszyli się, bo chcieli jak najszybciej mieć za sobą rozległe łąki i pola. Śnieg prószył leniwie, wiatr z wolna budził się od strony południa, niebo siniało. Świat w tym miejscu przypominał ponure uroczysko, martwą równinę, na której nic nie rosło i nic nie żyło.

Will i Agnes zdawali się mieć dobry humor. Nie byli głodni i coraz bardziej wierzyli w to, że ich ucieczka może się udać. Długo jechali, nie oszczędzając wierzchowca, ale w końcu zsiadli z niego, by dać mu odpocząć. Nie rozmawiali ze sobą, wsłuchując się w chrzęst śniegu pod butami. Coraz częściej spotykali przysypane puchem drzewa, krzewy oraz głązy. Wszechogarniająca cisza chyba zaczęła im dokuczać, bo w pewnym momencie odezwali się niemal jednocześnie:

– Ag...

– Will...

Popatrzyli sobie w oczy, znów nic nie mówiąc. William był wkurzony, czując się jak osesek.

– Już nie chce mi się z tobą awanturować – rzekł wreszcie.

– Toć przecież cicho byłam.

– No, cicho, cicho, rzeknę coś i zaraz...

– Ja bez powodu nie wszczynam awantur.

– Ale co nie powiem, to... no, sama wiesz.

Agnes zwolniła kroku, chwyciła mocniej uzdę konia i zacisnęła zęby, ale obiecała sobie, że nie da się sprowokować.

– No, co wiem? – syknęła.

Will nic nie powiedział.

– No, co wiem?! – powtórzyła głośniej.

– Po prostu jesteś swarliwa...

– Nie wkurzaj mnie!

– Nawet teraz zaczynasz...

Agnes przystanęła. Nie mogła dać wiary, że łajdak zamienił się w takiego upierdliwca. Zmierzyła go wściekłym wzrokiem, wsiadła na konia i odjechała.

– Kurwa mać! Znowu?! Zaczekaj!

Nie zaczekała.

Will wyrzucił z siebie kilka przekleństw, przy których niejeden marynarz pokraśniałby ze wstydu.

– Co za wredne babsko – utyskiwał pod nosem. – Gdzie ja miałem oczy te kilka lat temu? Buzia ładna, ale usposobienie do grobu wpędza... Krew by zalała.

Agnes przejechała dobry kawałek i zatrzymała się dopiero przed niewielkim zagajnikiem.

– Ja zaczęłam? – burknęła poirytowana. – Gadać mam z nim.

Podróż umilać... Impetyk zasrany! Tuliłam się do ramienia! Phi! Na łeb mu coś spadło i mózg rozkwaśiło.

Koń zwiesił głowę z nudów i wbił ślepia w zaspę. Dziewczyna zaś myślała, co czynić dalej. Jechać czy czekać? Pościg niby był teraz najważniejszy, ale jej myśli i tak zaprzętał konflikt z Williamem.

„Pojadę, to wyjdzie, że jest sekutnica – rozmyślała w duchu. – Zostanę, to słabość jemu okażę. Niech to szlag trafi. Że też się dałam sprowokować. Chętnie zbiłabym pysk jakiejś łachudrze, żeby trzeźwe myślenie wróciło szybko. Niech to szlag trafi!”.

Decyzja, jaką podjęła, nawet dla niej była dość zaskakująca. Szturchnęła konia i poczęła jechać. Ta jazda jednak była powolna. Można by śmiało rzec, iż się wlokła.

„Jak do dwóch mil mnie dojdzie, to będę triumfować – myślała sobie. – Znak, że mu zależy. A jak nie, to jego strata. Nie będę się draniem przejmować”. Po niedługim czasie wjechała w bardziej zakrzewiony teren. Zsiadła z konia, zdjęła spodnie i przykucnęła przy drzewie za potrzebą.

– Widzę, że dupcię masz urokliwą nie mniej niż przed laty! – dobiegł ją głos gdzieś spomiędzy krzaków.

– Will, do cholery! – krzyknęła, nie wstając z kucek. – Przysięgam, jak tylko się ubiorę...

– Przysięgaj, przysięgaj – szepnął Will pod nosem i rzucił zbitą kulką śniegu, celując, a jakże, we wstydliwą część jej ponętnego ciała. Śnieżka prasnęła w prawy pośladek, akurat w czasie, gdy dziewczka się podnosiła. Zapieкло, i to mocno. Kobieta zaklęła szpetnie na głos.

– Chciałem powiedzieć, że źle zrobiłem! – krzyknął łotrzyk, stojąc dobre piętnaście jardów od niej. – No, niewłaściwie sprawę ująłem, mówiąc, żeś swarliwa.

Agnes odwróciła się, przewiązała spodnie i ruszyła w stronę mężczyzny. Will stał niewzruszony i mówił dalej:

– Ot, rzec w sumie można, że to przeprosiny moje.

– Przeprosiny, mówisz? – syknęła. Dupa dalej ją piekła.

– Niepotrzebnie, uważam, ranimy się słowem, gdy... – Ostatnie pięć jardów przebiegła, skoczyła i chwyciła go za poły dubletu. Runęli w zaspę. Agnes migiem usiadła na nim okrakiem, złapała za łeb i wepchnęła w śnieg.

– Podglądać mnie będziesz?! Klapsy wymierzać?! – Wtarła mu w twarz dużą bryłę śniegu.

William chwycił dziewczynę pod pachy, uniósł i przewrócił na plecy. Próbowwała odepchnąć go nogą, ale daremnie. Padł na nią, ręce

przytrzymał i wpił się w jej wilgotne usta. Płonęły żądzą. Wyswobodziła ręce, objęła go mocno, żarliwie, brutalnie wbiła paznokcie w plecy i odwzajemniła zaborczy pocałunek. Potem oplótła go w pasie nogami i nie odrywając ust, jęła odwiązywać mu spodnie.

Koń, tak jak wcześniej, uniósł łeb ciekawy sprzeczki, ale za nic nie pojmując relacji ludzkich, na nowo jął gapić się w zimowy pejzaż.

Gilbert musiał zasnąć, bo gdy się ocknął, leżał na kamiennej posadzce. Świadomość wracała mu bardzo powoli i dopiero gdy do jego nozdrzy dotarł swąd płonącej pochodni, zaczął pojmować, gdzie się znajduje.

– Gilbercie? – usłyszał nagle. – Gilbercie! – powtórzył ktoś znacznie głośniej.

Chłopak przetarł oblicze ręką zbroczoną krwią, westchnął i powiódł na wpół przytomnym wzrokiem po komnacie. Kilka kroków od niego stała jakaś postać z pochodnią w ręku. Na jej wykrzywionej z gniewu twarzy tańczyły cienie.

– Gilbercie!

– T-tak?

– Co tu się stało?! – Thomas po raz wtóry spojrzał na zaszlachtowaną kobietę i leżącego w ekskrementach bandytę. – Coś ty zrobił? – jęknął.

Cherubin z trudem usiadł na posadzce. Nie oszczędzał się przy chłóście, ale przynajmniej czuł się oczyszczony. Żaden demon nie posiadał jego duszy.

– Zgrzeszyli...

– Co?

– Oni... oni zgrzeszyli, Thomasie. Ja...

Zakonnik uniósł dłoń. Nie chciał słuchać dalszych wyjaśnień. Przynajmniej nie teraz. Wetknął pochodnię w stalową obręcz, następnie podniósł z ziemi bicz i z całej siły zamachnął się nim na chłopaka.

– To ja rozkazuję, kogo masz zabić!

Gil skulił się, czując, jak ból rozchodzi się po jego żebrach. Chciał

wstać, chciał krzyknąć, aby tamten przestał, ale Thomas uprzedził go, uderzając błyskawicznie po raz drugi.

– To ja decyduję, kto może zginąć!

– To Bóg decyduje...

– Coś ty powiedział?

– To Bóg de... – Gilbert urwał w pół słowa, bo kolejne uderzenie rzemieniami zaparło mu dech w piersiach.

– Ja jestem tu panem i ja...

Cherubin nie zamierzał słuchać tych bluźnierstw. Poderwał się z ziemi i szybkim susem doskoczył do Thomasa. Przewyższał go już niemal o głowę. Do tego był barczysty, umięśniony. W nikłym świetle pochodni wyglądał jak rozwścieczona bestia.

– S... spokój, Gilbercie.

Gil nie zamierzał słuchać. Wyjął zza paska nóż i ciął swego mistrza od krocza aż po tchawicę. Zakonnik z upiornym charkotem osunął się bezwładnie na ziemię.

– Każdy zasługuje na śmierć, Thomasie – szepnął Cherubin. – Każdy...

– Thomas?! – krzyknął ktoś z korytarza. – Co to za hałas?!

Chłopak nie czekał; co tchu runął do wyjścia i wyskoczył na korytarz. Był jak w amoku, jak we śnie na jawie. Czuł, że gdyby tylko chciał, mógłby unosić się nad ziemią, przechodzić przez ściany i robić cuda, które zwykłym śmiertelnikom nawet się nie śniły.

Natknął się na Waltera, bandytę, który rzadko kiedy rozstawał się z kośćmi i dzbankiem wina. Gilbert ciął go ze śmiertelną precyzją. Jeden cios, jedna śmierć.

Zaraz potem dojrzał kolejnych – dwóch albo trzech, nawet nie rachował – i przeszedł przez nich jak zawierucha. Już nic nie mogło go zatrzymać. To Bóg pomagał mu w zabiciu tych, którzy go skrzywdzili. To Bóg prowadził jego rękę, aby wymierzał należną mu sprawiedliwość.

Doszedł do izby jadalnej. Co tchu zlustrował otoczenie, zważając na to, co może stanowić jakieś zagrożenie. Dojrzał przy stole dwóch bandytów: Normana i zniedołęźniałego Petera. Wokoło nich było pełno broni, którą niewątpliwie czyścili, bo na ziemi wałały się wióry drewna oraz drobiny piasku. Wbił wzrok w szkoleniowca Normana, bandytę

groźnego i niebezpiecznego. Gil poznał się na nim, bo w końcu pobierał u niego nauki. Szkot okazał się niebywale czujny. Zerwał się na równe nogi, sięgając po korbacz – pierwszą broń, jaka wpadła mu w ręce.

– Gilbercie? – spytał, łudząc się jeszcze, że chłopak ma jakieś wyjaśnienie w sprawie swojego zakrwawionego oblicza.

Jednakże ten nic nie powiedział i jał przezornie zataczać krąg, zwodząc i z wolna osaczając ofiarę, dokładnie tak, jak uczył go Norman.

Zbir nie czekał na rozwój wydarzeń, podbiegł trzy kroki i machnął korbaczem. Zawieszona na łańcuchu kolczasta kula chybiła o cale. Machnął nim jeszcze raz, rozwalając w drzazgi pobliski zydel, i jeszcze raz, trafiając w ceglastą ścianę. Drobinę tynku spadły na habit Gilberta. Odskoczył w prawo, odtrącił wadzące krzesło i wyprowadził kilka symulowanych pchnięć. Norman nie symulował. Wpierw przypierdolił, mierząc w chłopaka głowę, ale trafił w szafkę z miskami i talerzami, potem zamachnął się nieco niżej, lecz młodzik znowu zdołał się uchylić.

– Co jest z tobą, Gil? – spytał Norman jakby nieco przymilnym tonem. Czyżby chciał przyciągnąć jego uwagę?

Gil nie dał się zwieść. Zareagował na pierwsze tyknięcie dobiegające z jego prawicy i kątem oka spostrzegł, że stary Peter ładuje pod stołem kuszę.

– Gdzie tam spoziera?! Na mnie patrz!

Świst kuli wirującej nad głową Szkota nasilał się miarowo, ale nieśpiesznie. Gil rzucił pogardliwe spojrzenie na jego pokryte bliznami od płomieni oblicze, na dziury po odciętych uszach, na ledwie rysującą się linię warg... Nie dostrzegł jednak grymasu gniewu, a jeno zupełną obojętność. To nie wróżyło niczego dobrego. Zamarkował ponownie cięcie, ale Norman udatnie trzymał go na dystans. Cholera, musiał jakimś sposobem dobiec do siedzącego przy stole Petera, i to zaraz, póki kusza nie jest jeszcze gotowa do strzału. Zdecydował się podjąć ryzyko i rzuciwszy nożem w kierunku Normana, pośpieszył co sił w nogach do Petera. Przeczował, że źle wyważona broń raczej nie wyrządzi krzywdy mężczyźnie, ale kusza była w tej chwili ważniejsza. Jego obawy były uzasadnione, nóż z brzękiem spadł na posadzkę, wszelako manewr bardzo się opłacił, bo Norman, choć machnął korbaczem, to się spóźnił i ciał jeno pustkę.

Peter, widząc, co się święci, w pośpiechu dociągnął ciężką kuszę, wyjął ją spod stołu i nawet uniósł w kierunku Gilberta, ale nic więcej nie zdążył już zrobić.

Cherubin zdzielił staruszką potężnie w szczękę, wyrwał broń z jego zwiotczonych dłoni, po czym padł jak długi na ziemię. Mógł spróbować odwrócić się i wystrzelić, ale przeczuwał, że Norman zdąży machnąć korbaczem wcześniej. Nie mylił się, bo odwróciwszy się błyskawicznie na plecy, dojrzał, jak kolczasta kula nurkuje już w czaszce nieprzytomnego Petera. Norman zaklął szpetnie, bo wiedział, że popełnił błąd, karygodny błąd, ale nic już nie mógł zrobić.

Ciężka brzęknęła cicho i skąpo upierzona brzechwa błyskawicznie przecięła powietrze. Dystans był krótki, a grot klinowaty, szeroki, co sprzyjało aż nadto głębokiej penetracji.

Z bebeczków Normana chlusnęła krew. Nawet nim nieco potrząsnęło, wszelako chłop w żadnym razie nie upadł na ziemię.

„Niedobrze – pomyślał Gilbert – bardzo niedobrze”. Ale właściwie mógł się tego spodziewać. Norman przeżył płomienie w celi, upadek z pędzącego konia, a nawet starcie, w którym kłopoty miałyby i pięciu chłopów. Cholera, on lubił w pojedynkę polować na niedźwiedzie! Toż po takim nieułamku można było oczekiwać nieliczej krzepy.

Norman, choć zdawał się stać nierówno, ani myślał przerwać walkę. Wziął zamach i rąbnął korbaczem w Gilberta po raz wtóry. Ten odepchnął się nogą od krzesła, na którym leżało truchło Petera, i znów się uchylił. Usiana kolcami kula co rusz uderzała, rozłupując drewnianą podłogę. Gilbert z przerażeniem się usuwał, myśląc, co robić dalej. Przeturlał się na bok i aż się skrzywił, gdy dyscyplina – żelazna obręcz wbiła mu się głęboko w udo. Nie mógł jednak pozwolić sobie na chwilę słabości, więc chyżo wstał z ziemi i co tchu odskoczył, byle daleko. Rozejrzał się za jakąś bronią, ale wszystko leżało na stole, dobre sześć jardów od niego.

Uchwycił wzrokiem żelazny świecznik. Duży i masywny, acz z pewnością nieporęczny. Nie widział niczego innego w zasięgu ręki, więc stracił w pośpiechu resztkę łojowej świecy i uniósł go nad ziemię.

Norman uśmiechnął się z politowaniem, ukazując zakrwawione zęby. Nie myślał jednak lekceważyć przeciwnika. Wszakże poświęcił

mu wiele czasu na naukę walki włócznią. Podszedł do niego z rozwagą, wyczuciem i zauważalnym grymasem bólu. Zaatakował prosto, łukiem od góry, i Gilbert dojrzał w tym jakąś szansę. Uniósł żeliwny świecznik i gdy tylko łańcuch zadzwonił, oplótłszy się wokół niego, energicznie pociągnął go do siebie.

Norman, niestety, również pociągnął. Łańcuch się napiął, żelastwo zgrzytnęło, a chłopcy sapnęły. Mierzyli się wzrokiem jeszcze przez chwilę, aż w końcu raniony bełtem szkoleniowiec pierwszy stracił siły. Wypuścił broń i przechylił się do przodu.

Gil natychmiast to wykorzystał. Uderzył go końcem świecznika prosto między oczy. Potem zdzielił z prawej w nerw uszny i już leżącego walnął kilkakrotnie w szczękę. Tych ciosów nie mógłby przeżyć nawet dorosły niedźwiedź.

Obolały Gilbert wypuścił świecznik i padł na kolana. Nie chciał się modlić, czuł Boga w sercu. Po prostu był bardzo, bardzo zmęczony. Wsparł się o ścianę i chyba zasnął, bo śnił o piekielnych czeluściach, w których płonęła cała jego rodzina. Ich wołania o pomoc i błagania o przebaczenie raz po raz zagłuszał przeszywający rechot Williama, który rozkoszował się ich nieszczęśliwym losem. Spazmatyczny śmiech był coraz głośniejszy i budził trwogę w sercu Gilberta tak wielką, że aż wyrwał go z tego koszmaru jego własny płacz.

Gdy otworzył oczy, było już widno. Zerwał się na równe nogi, by otrząsnąć się z tego przerażającego snu. Następnie podniósł z ziemi korbacz, zatknął za pas dwa sztylety i wyszedł z klasztoru. Jego serce przepęłniała gorycz na myśl o tym, co będzie musiał zrobić, wszelako był nieugięty w swoim postanowieniu. Wiedział, że musi wymierzyć karę tym, którzy go skrzywdzili, i tym, którzy go opuścili i zostawili na pastwę losu. Nic nie będzie mogło go powstrzymać.

Słońce jarzyło się bladą czerwienią, ustępując coraz bardziej przed szarzącym kłębowiskiem chmur. Wiatr nieprzerwanie dął, niosąc ze sobą drobniutkie płatki śniegu. Było jeszcze widno, gdy Agnes z Williamem dojechali do wapiennego wyrobiska. Koń niespokojnie strzygł uszami, a William przyglądał się topniejącym płatkom śniegu we włosach dziewczyny. Bał się przyznać nawet przed samym sobą, co czuł do niej.

– Spójrz tam – odezwała się nagle, wrywając go z zamyślenia.

William popatrzył przed siebie i dojrzał w oddali postać siedzącą na siwym koniu. Tajemniczy osobnik był chyba mnichem, ale z powodu zbyt dużej odległości nie dało się powiedzieć o nim niczego więcej.

– Zaczekaj tutaj. Podejdę do niego i sprawdzę, kto to.

– Jesteś pewny? Mielіśmy odbić za chwilę w te zarośla.

William wiedział, że mieli tutaj zboczyć z traktu, bo w przeciwnym razie dojechaliby do wioski, w której znajdowała się kryjówka bandytów, wioski, w której Will spędził ostatnią noc ze swoimi rodzicami. Co prawda bandyci nie mieli prawa wiedzieć o ich ucieczce, jednak lepiej było uniknąć spotkania z którymś z kamratów.

Osobnik siedzący na koniu mógł być na usługach któregoś z baronów. William był zły na siebie, że nie zdecydowali się odbić z gościńca wcześniej, niemniej w tej chwili lepiej byłoby chyba sprawdzić, co to za mnich i dokąd zmierza.

– Zaraz wracam – powiedział, zeskakując z konia.

Szedł powoli, uważnie rozglądając się na boki. Droga była dosyć stroma, naznaczona tu i ówdzie niewielkimi głazami. Po prawej w oddali majaczyły kontury urwiska, którego początek maskował naturalny

szpaler krzewin zasypanych w tej chwili białym puchem. Choć trudno o zasadzkę w takim miejscu, to w połowie drogi William poczuł niepokój, którego nie był w stanie wyjaśnić. Szedł dalej, ale im bliżej był mężczyzny, tym bardziej czuł się zdenerwowany. Zdawało mu się, że poznaje siedzącego nieruchomo osobnika, ale właśnie przez to jego osobliwe zachowanie William czuł się coraz bardziej niepewnie. Wreszcie zatrzymał się niecałe dziesięć jardów od niego. W jego myślach bez przerwy kołatało się jedno pytanie: czy tajemniczy jegomość to faktycznie Gilbert? Złote loki, błękitne spojrzenie, anielska buzia o pełnych policzkach i blade, zaschnięte plamy krwi tu i ówdzie na jego ubiorze oraz obliczu...

– Gil? – zapytał William. Słowa więzły mu w gardle, więc powtórzył znacznie głośniejszym głosem: – Gil, to ty?

Zakonnik szturchnął siwka i ospale zbliżył się do łotrzyka. William instynktownie zrobił krok do tyłu, ale spostrzegł, że twarz mężczyzny, pomimo wymuszonej obojętności, drży z emocji. Czyżby i on poznał swojego brata? W końcu minęło tyle lat... Co on tu robi? Czyżby był mnichem? I skąd ta krew?

– Chryste, Gil... to ty?

Gilbert ścisnął wodze, ledwie panując nad buzującymi w nim uczuciami. Usta zdrząły, po policzkach popłynęły łzy...

– Gil?

Fałszywy, pozbawiony uczuć głos brata przebudził cherubina z odrętwienia. Znowu poczuł siłę i wiarę w to, co chciał zrobić. Co musiał zrobić. Westchnął, jakby dopiero co wyzwolił się z jarzma. Spojrzał w oczy Williama tak, że łotrzyk aż poczuł dreszcze na plecach. Następnie sięgnął za plecy, wyjął drżącą ręką korbacz i wziął zamach.

William co tchu rzucił się na ziemię, a kula najeżona kolcami minęła jego głowę o cale.

– Co ty robisz, do cholery?!

Cherubin bez słowa wziął jeszcze jeden zamach i znowu chybił, bo łotrzyk zdołał zwinnie się odsunąć. Chciał wyprowadzić kolejny atak, ale spostrzegł, że jeździec z oddali zaczyna pędzić w jego kierunku. Nie zastanawiając się więc długo, spiął konia i ruszył mu na spotkanie.

William z walącym sercem zebrał się z ziemi i krzyknął co sił

w płucach:

– Nie, Agnes! Uciekaj!

Ale Agnes nie zamierzała uciekać. Wyjąwszy wcześniej miecz, pędziła już na złamanie karku, co rusz poganiając rumaka mocnymi uderzeniami łydek. Zwierzę, zmęczone przebytą podróżą, ostatkiem sił próbowało spełnić żądanie swej pani i cwałowało w kierunku wroga. Twarz Agnes smagały białe płatki śniegu. Była zła, była wściekła, bo ktoś przed chwilą próbował zabić jej Williama.

Łotrzyk wyskoczył na środek drogi i patrzył bezradny na przesądzone jego zdaniem starcie.

– Agnes, nie! – krzyczał, jeszcze łudząc się, że go wreszcie posłucha.

Jednakże jeźdźcy byli już zbyt blisko siebie. Gilbert jął wywijać korbaczem młynki, dyszeć, sapać i krzyczeć wniebogłosy, Agnes zaś brała już zamach mieczem, krzywiąc w gniewie usta.

– Ty skur... – syczała, lecz pęd powietrza porywał jej słowa.

Zakonnik pochylił się w ostatniej fazie szarży, by jeszcze bardziej wydłużyć krok rumaka. Agnes dojrzała w tym swoją szansę, uniosła się w kulbace i siekła mieczem, wkładając w to wszystkie swoje siły. Cherubin w tym czasie zdołał się uchylić w lewo, trzymając się konia samymi udami. Dziewczyna trafiła mieczem w próżnię, próbowała więc podobnie się przechylić, tyle że w prawą stronę, jednak na wszystko to było już o wiele za późno. Powietrze przecinał rozdzierający świst kolczastej kuli, która w mgnieniu oka trafiła w podgardle rumaka.

Ranione boleśnie zwierzę uniosło dumnie łeb, potrząsnęło grzywą jakby w geście przeprosin i runęło na ziemię. Agnes z krzykiem wypadła z siodła, przeleciała kilka jardów, kilka kolejnych przeokoziółkowała ośnieżonym stokiem, aż w końcu uderzyła w pień drzewa.

Złotowłosa nawet nie popatrzył w jej kierunku. Ściągnął wodze i zwrócił się w stronę Williama. Łotrzyk krzyknął, widząc, co przed chwilą się stało. Przez moment myślał, że to jakiś koszmar, makabryczna wizja, z której wreszcie przyjdzie mu się obudzić, lecz powietrze znowu zaczął wypełniać złowieszczy tętent kopyt oraz przeszywający świst korbacza. Zrzucił z siebie płaszcz, by nic nie krępowało mu ruchów. Musiał się skupić na pędzącym na niego bandycie, ale raz po raz zerkał

w stronę, gdzie upadła Agnes. Niestety, dziewczyna leżała, nie dając znaku życia. Niedaleko niej William dojrzał miecz, lecz w tej chwili nie było szans, by dobiec w to miejsce. Świst korbacza nasilał się z każdą chwilą, a jedyne, co on mógł teraz zrobić, to walczyć sztyletem.

Stanął w rozkroku, prawie że kucając, i myślał naprędce, co robić dalej. Pędziła na niego blisko tona masy, by go zgładzić, zniszczyć i zetrzeć na proch. Już było widać rozdęte chrapy konia i gniewny grymas na twarzy Gilberta... Rzucać sztyletem czy szybko odskoczyć? Dokąd uciec? W prawo czy w lewo? Ależ on pędzi! Will krzyknął głośno, rzucił puginałem i migiem przekoziołkował w lewo. Chybił, ale co ważne, uniknął kopyt pędzącego zwierzęcia.

Złotowłosa przejechał dalej i wnet zawrócił, nie chcąc dać łotrzykowi ani chwili wytchnienia. William zaś co tchu dobiegł do dziewczyny. Przerażony spostrzegł, jak krew powoli spływa wyślōbieniami w korze drzewa.

– Agnes! – krzyknął, lecz nie doczekał się żadnej reakcji. – Agnes! Opamiętał się na myśl, że to jeszcze nie koniec, że jeszcze chwila i sam tutaj zginie. Podniósł miecz i wybiegł na środek traktu.

Koń cherubina był przednio umięśniony i już nabierał niebotycznej prędkości.

– Co z tobą?! – krzyknął z wściekłością William.

Gilbert nie słuchał. Zbyt długo cierpiał sam na sam z Bogiem, by teraz jednać się z tym grzesznikiem, obłudnym i zakłamanym zaprzańcem, który nie przyszedł wtedy, gdy młodszy brat tak bardzo go potrzebował.

Will, widząc, do czego to wszystko zmierza, cofnął się w prawo, gdzie wśród wielu głazów łatwiej było o błąd rozpędzonego jeźdźca. Wyjął sztylet i czekał na szarżującego mnicha.

Odległość malała z każdym oddechem. Will napiął mięśnie prawego uda, barku i przedramienia i jeszcze raz z całych sił rzucił nożem. Ostrze z porażającą prędkością wbiło się w pierś pędzącego rumaka. Zwierzę, nienawykłe chyba do walki, wyhamowało i z rzeniem uniosło przednie kopyta. Cherubin ściągnął wodze i ścisnął piętami boki konia, by wymusić posłuch. Will, nie zwlekając, gibko doskoczył i ciął na odlew, kierując ostrze od dołu w podbrzusze rumaka. Cherubin

przewidział tę niecną sztuczkę i przezornie machnął korbaczem, tak że łańcuch jął się oplatać wokół główki miecza. Buchnęły iskry. Zadzwońnię żelastwo, a chłopcy jęły ciągnąć swą broń ku sobie. Will wyswobodził miecz, ale upadł, lądując o stopę przed kopytami wierzgającego konia. Co tchu odsunął się, nie wstając nawet z ziemi, a w tym samym czasie Gilbert zapanował nad zwierzęciem i wstał nawet z siodła, wierząc w ostateczny cios swojego korbacza. Machnął i trafił. Kula w pierwszej kolejności grzmotnęła w płaz miecza, a potem już w nieco wolniejszym pędzie ugodziła łotrzyka w okolice lewego obojczyka. William się skrzywił, czując, że coś pękło w jego ciele.

– Może Bóg ci wybaczy! – usłyszał.

– Gil – stęknął William, zbierając się nieporadnie z ziemi. – Co jest z... – Urwał, bo znowuż musiał uchylić się przed kulą. Zmiarkował, że rozmowa nic tutaj nie da. W obawie przed kolejnym atakiem cofnął się o krok, i dobrze zrobił, bo kula świsnęła mu nieopodal ucha. Wiedział, że trudno mu będzie bronić się tak dalej, toteż stawiając wszystko na jedną kartę, zrobił błyskawiczny wypad w kierunku jeźdźca. Obojczyk bolał, ale obrót w trawersie wyszedł mu nad wyraz dobrze, tak samo jak zamach i cios od góry wyszukany ruchem obrotowym nadgarstka. Cięcie było silne i diabelnie szybkie. Gilbert co prawda zdołał się uchylić, ale czubek miecza rozciął mu pierś i trafił w staw barkowy konia. Wierzchowiec znowu zarżał i uniósł przednie kopyta do góry.

Will musiał wykorzystać tę chwilę, aby wyprowadzić jeszcze jeden atak, jednakże cherubin przytomnie ściągnął wodze, utrzymał się w siodle, a Willa kopnął zamasyście w głowę. Łotrzyk aż klęknął, a przed oczami zawirowały mu gwiazdy. W obawie przed tym, by nie wpaść pod kopyta, zdołał się chwycić popręgu przy siodle.

Koń znowu wierzgnął, a Will, nie zwlekając, pchnął mieczem na oślep. Niedobrze, nerwowo i niedokładnie. Obficie chlusnęła krew zwierzęcia, które w tym momencie rzuciło się w szaleńczy galop.

– Spokój! – krzyczał Gilbert, starając się zapanować w jakiś sposób nad koniem, ale ten, nie bacząc na nic, zbiegał ośnieżonym pogórzem na złamanie karku. Łotrzyk od razu stracił równowagę i został porwany wraz z jeźdźcem w ten galop. Przerażony spostrzegł, że dłoń zaklinowała mu się pomiędzy popręg a skórzane przystuły i za cholerę nie da rady jej

wyjąć.

– Kurwa! – wystękał, choć wiedział, że to i tak na nic.

Zdecydował się machać mieczem na oślepie, byle tylko wyswobodzić się z tej pułapki. Wszak nie wiadomo, jak długo jeszcze kopyta będą omijać jego wlokące się po ziemi ciało.

Rumak pokonał już ponad sto jardów i zbliżał się do zachodniej strony urwiska. Willowi miecz wypadł z ręki i znikł gdzieś hen daleko, a do tego wszystkiego cherubin chyba stracił cierpliwość, bo zaczął wywijać w niego korbaczem. Bez namysłu czy strategii, byle silnie, i już przy trzecim uderzeniu trafił w brzuch rumaka. Broń wypadła mu z ręki, a zwierzę okrutnie zarżało, trzepnęło łbem i z hukiem zważyło się na bok. Na nieszczęście stok był w tym miejscu oblodzony i truchło konia zaczęło zsuwać się w dół. William w ostatniej chwili wyswobodził rękę i zdołał wskoczyć okrakiem na udo zwierzęcia, cherubin zaś położył się plackiem na jego szyi. Szybko oprzytomnieli i jęli okładać się pięściami, bacząc przy tym, by nie spaść z sunącego truchła konia. Wokoło unosiły się tumany śniegu, a oni wyrzaskiwali przekleństwa i złowieszcze groźby.

Wtem niedaleko przed nimi zarysował się szpaler ośnieżonych krzewin i krawędź nader stromego urwiska. Nijak się zatrzymać ani chociaż z lekka zwolnić. Jeden z nich zaklął szpetnie, drugi krzyknął coś do Boga, gdy nagle przelecieli przez krzaki i wystrzelili w powietrze jak z onagra. Trzymali się wszystkiego, co tylko było pod ręką: sierści konia, grzywy, a nawet ogona. Przepaść nie zaliczała się do wielkich od tej strony wyrobiska i upadek na oblodzoną powierzchnię nastąpił nader gwałtownie.

Truchło rumaka z impetem przyrznęło w grubą warstwę lodu. Trzask pękającego podłoża sprawił, że William i Gilbert przytomnie i żwawo odskoczyli, byle dalej od zwierzęcia. Rumak roztrzaskał grubą warstwę lodu i począł zapadać się w czeluściach zimnej wody.

Pękający z trzaskiem lód tworzył pajęczynę małych kier, przykrywający go śnieg buchnął w górę... aż w końcu nastąpiła cisza.

Will podniósł głowę. Ciężko oddychał. Powiódł przymglonym wzrokiem po okolicy i ujrzał brata raptem kilka jardów od siebie. Stał już na nogach ze sztyletem w ręku.

– Pamiętasz, jak byliśmy tu przed laty?! – krzyczał, zbliżając się wolno ku niemu.

Teraz Will nie chciał gadać. Wstał obolały i wyjął zza paska ostatni sztylet, jaki posiadał.

– Staliśmy o tam, na górze. Pływać tu chciałeś, pamiętasz? – dopytywał się Gilbert ze łzami w oczach.

Will nadal milczał. Obojczyk go bolał, krew dudniła w skroniach, myślał już tylko o tym, by zabić tego szaleńca.

– Postaram się, byś cierpiał, Will. – Gilbert ostentacyjnie przeciął nożem powietrze. – Byś cierpiał tak, jak ja cierpiałem...

– Co się z tobą stało, Gil?

– A z tobą co się stało?! – wydarł się cherubin, a echo jeszcze kilka razy powtórzyło jego słowa. – Nie przyszedłeś, choć wiedziałeś, że cię potrzebuję! Dlaczego mnie zostawiłeś?

William nie zamierzał dłużej tego słuchać. Podszedł do niego i wyprowadził czytelne pchnięcie, by zaraz potem zaskoczyć fintą od lewej. Gilbert odczytał jego zamiary; usunął się w prawo, dostawił nogę i zrobił wypad sztyletem na całą długość ręki. Nie sięgnął, podszedł więc bliżej, wykonał obrót w trawersie i błyskawicznie ciął w poprzek prosto w brzuch. Łotrzyk w ostatniej chwili próbował ratować się unikiem z przekroku, ale nie zdołał, więc rozpaczliwie złapał brata za przegub ręki. Cherubin naparł – ależ był silny! Will wiedział, że nie ma z nim szans w podobnym zwarciu, puścił go więc, okręcił się i chciał odskoczyć, lecz wyrznął o lód. Szybko poczuł kopnięcie w żebra, a potem jeszcze jedno, tym razem w raniony obojczyk. Zatkąło go z braku powietrza, ale zdołał przytomnie złapać Gilberta za nogę i pociągnąć ku sobie. Lód aż zatrzeszczał pod barczystym mężczyzną. Obaj zebrali się nad wyraz szybko. Szeroki habit maskował nogi Gilberta, przez co Will miał problemy z przewidywaniem zamiarów przeciwnika.

A Gilbert nie dał mu ani chwili wytchnienia, ciął pierwszy na wysokości piersi Williama. Tamten zaryzykował, zgiął prawą nogę w kolanie, drugą wysunął do przodu i chlasnął poziomo, mierząc w okolice uda. Trafił w podbrzusze, lecz sam poczuł ból w lewym ramieniu. Trysnęła czerwona jak wino posoka. Skrzywili się, warknęli

i odsunęli na bezpieczną odległość. Dyszeli z wysiłku, sapali ze złości...

Cherubin wyszczerzył zęby i znów pierwszy zaatakował. Krokiem ni długim, ni krótkim doszedł do Williama i sieknął niedaleko ziemi. To go zaskoczyło, bo sam przygotowywał się na unik i kontratak. Znowu chlusnęła krew, tym razem z jego uda. Łotrzyk przetrzymał jednak ból i zareagował natychmiast. Złapał brata za burzę loków i przyrznął mu w pysk głowicą rękojeści. Raz, drugi i trzeci. Chrupnęły kości, trysnęła jucha; Gilbert się wyrwał i przekoziółkował. William nie zwlekał. Daskoczył do Gila, wyprowadził na pozór zwykłe cięcie łukiem od góry, które w istocie miało zmusić przeciwnika do sparowania i odsłonięcia tym samym torsu. Gilbert nie dał się jednak nabrać; nie sparował i szybko odskoczył, ledwie utrzymując równowagę nad przerębłem w lodzie.

Will stracił cierpliwość; zrobił wypad, ale niezdarnie, zbyt wolno, i chybił o dobry łokieć. Co tchu przygotował się zastawą na kontratak i doczekał się, lecz cięcie Gilberta było podobnie wolne i niezbyt celne.

Odkoczyli o kilka kroków. Spojrzeli w zimną kipieli nieopodal nich, a potem na siebie, splunęli krwią i znowuż jęli się zbliżać. Will przystanął na moment, patrząc z niedowierzaniem na idącą ku nim Agnes. Płatały jej się nogi, z rozciętego czoła sączyła się krew, ale żyła i chyba nic jej nie było. Łotrzyk wiedział, że to jeszcze nie koniec; musiał skoncentrować się na walce, tym bardziej że cherubin wyjął zza paska drugi sztylet. Był coraz bliżej, szedł ociężale i chyba zaczął utykać. To dodało Williamowi sił. Rzucił się ku niemu krokiem krzyżowym z zamiarem cięcia od lewej wprost w korpus. Gilbert zawahał się i wyprowadził proste pchnięcie, licząc, że to ostudzi zapal łotrzyka. Nic z tego. Will ciął wysoko, atoli w ostatniej fazie ataku ułożył palec za jelec, przekręcił sztylet i korzystając z techniki „szemranej”, ugodził Gilberta w gardło. Głęboko, z impetem.

Cherubin rozdziawił usta z niedowierzaniem i zwałił się na kolana.

– Zdychaj... w piekle... – wycharczał.

Will zachwiał się na nogach, czując, że jego ciałem targnęła fala bóleści. Upadł na kolana naprzeciw brata. Spoconą twarz oblepiały pasemka włosów. Spojrzał na swoją pierś i zdziwiony zauważył, że wystaje z niej rękojeść sztyletu.

– Niedobrze, kurwa – stęknął. – Niedobrze...

Z grymasem bólu chwycił ją i gwałtownym ruchem wyciągnął przeklęty kawał żelastwa. Krew chlusnęła na biały śnieg, który momentalnie zaczął ją spijać i łapczywie wsysać. Cherubin uśmiechnął się, przechylił do tyłu i wpadł w lodowatą czeluść. William zaś spróbował wstać z klęczek. Nie mógł. Zawziął się w sobie i jeszcze raz podjął próbę. Nie lubił, kiedy organizm go nie słuchał. Ból sprawił, że był bezsilny. Zamglonym wzrokiem spojrzął na Agnes. Stała bez ruchu z dłońmi przy ustach.

– Cho... chodź tu – wystękał. – Chodź... mi tu pomóc...

Agnes była jak sparaliżowana. Chciała iść, chciała biec, lecz jakaś obca siła nie pozwalała jej zrobić nawet najmniejszego kroku. Usta dziewczyny zadrżały, łzy napłynęły do oczu... Will upadł na ośnieżony lód. To wybudziło Agnes z letargu. Podbiegła do niego, wzięła w ramiona.

– Will – jęknęła.

Łotrzyk zdobył się na lekki uśmiech. Wpatrzył się w jej łagodne rysy. Była spięta, roztrzęsiona, kruczoczarne włosy oblepiała gęsta krew.

– Nic ci nie będzie, Will – pocieszyła go, wierząc w to z całego serca. Rana na piersi wyglądała na poważną, ale ludzie przecież z gorszych tarapatów wychodzili cało.

Rozchylił wargi, chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Przewrócił oczami, przeklął pod nosem. Agnes wiedziała, że zawsze tak robił, gdy na coś się złościł.

– Nic nie mów – szepnęła, wodząc palcem po bliźnie na jego policzku. – Do portu już niedaleko. Zaraz coś... – Urwała, bo zdało jej się, że chłopak słabnie w jej rękach. – Will... Will, do cholery, nie teraz, zaczekaj! Will, ocknij się, słyszysz?! Otwórz oczy, Will, proszę..., błagam..., zrób to dla mnie... Otwórz oczy...

Agnes wtuliła twarz w jego poranioną pierś, wierząc, że zaraz się obudzi, zaśmieje i powie coś, co znowu ją wkurzy.

– Will, proszę...

Zagwizdał wiatr. Niebo przecięły duże płatki śniegu.

Ktoś krzyknął. Agnes uniosła głowę. Miała zapuchnięte od płaczu oczy, raz po raz jej głowę przeszywał rwący ból, do tego ręce cierpły od podtrzymywania Williama. Świat wirował, ale zdołała dostrzec, że w oddali ktoś leży. Czy to leśniczy? A może ktoś tutejszy? Czyżby spadł z urwiska? Jeśli tak, to czy przeżył upadek?

– Pomocy! – krzyknęła. – Pomocy... tutaj!

Agnes z uczuciem ulgi zauważyła, że tajemniczy przybysz wstał i zaczął do niej iść. Chyba nic groźnego mu się nie stało, bo w pewnym momencie przyśpieszył nawet kroku.

– Bogu dzięki – jęknęła. – Proszę, pomóż nam!

Mężczyzna bez słowa przyjrzał się łotrzykowi.

– On żyje! – krzyknęła Agnes. – Proszę, pomóż mi go...

Mężczyzna wziął nagle zamach i uderzył ją w szczękę.

Dziewczynę otoczyła ciemność. Przez długi czas nie potrafiła określić, co się z nią dzieje. Ktoś ją chyba ciągnął za nogi po ziemi. Jej ciało skostniało od mrozu, płuca na odmianę palił żywy ogień, a głowę przeszywało uporczywe rwanie. Starła się ocknąć, wybudzić, ale ból sprawiał, że co chwila traciła przytomność.

Poczuła wreszcie ciepło. Wokoło rozbrzmiewały podniesione głosy, płacz dzieci, krzyki kobiet i nawoływania mężczyzn. Nie mogła zrozumieć z tego ani słowa, ale z pewnością nie była sama. W powietrzu wyczuwała gryzącą woń, chyba z kadzielnicy. Rozchyliła usta, by coś powiedzieć, ale ze splekanych warg popłynęła jeno strużka krwi. Przekręciła głowę, okupując to wielkim cierpieniem, i raz jeszcze rozchyliła usta.

– Will... – wyszeptała.

Wrzawa się nasiliła. Spróbowała otworzyć oczy, ale jasność ugodziła ją niczym ostrze włóczni. Skrzywiła się, czując, że znów odpływa w niebyt.

Obudził ją dym. Spod na wpół przymkniętych powiek zobaczyła miskę, którą ktoś trzymał przy jej twarzy. Naczynie było pełne ptasich piór, trawił je ogień.

– Will – powiedziała głośno i wyraźnie.

Miska odsunęła się od niej i w oparach dymu pojawiła się twarz chłopca o zarośniętej gębie, który nie tak dawno temu dał jedzenie jej i Willowi.

– Pomóż – jęknęła.

Chłop rozdziawił usta w upiornym uśmiechu. Przybliżył się do niej, lecz dym zaczął go na nowo okrywać. Agnes zemdląła. Słyszała tętent kopyt, skrzyp kół powozu. Widziała zamglone niebo, kłębiące się chmury. Do oczu padał jej śnieg. Z czasem znowu zaczęła odczuwać ból i przejmujące zimno.

– Żyjesz? – usłyszała. Tym razem mówiła do niej jakaś kobieta. Znała ten głos, ale nie potrafiła sobie przypomnieć skąd. – Wiem, że mi nigdy nie wybaczysz – ciągnął nader spokojny głos – ale chcę, byś wiedziała, jak bardzo żałuję tego, co zrobiłam...

Agnes ogarnął strach, ale uchyliła powieki. Na widok rudych kędziorów zabrakło jej tchu w piersi. Z całych sił zamknęła oczy, prosząc Boga, aby to był tylko sen. Wzdrygnęła się, bo nagle ktoś dotknął jej twarzy. Zrogowaciała, sękata dłoń kaleczyła jej wyschnięty od mrozu policzek. Poczowała mdłości, było jej duszno, każdy oddech palił ogniem. Chciała się obrócić na bok, ale zastygła w bezruchu, bo znowu rozległ się głos Lory:

– Byłam głupia i ślepo zakochana...

– Proszę...

– Nie myślałam, co robię...

– Przestań.

– William i tak nie zasługiwał na nas...

– Przestań! – zawołała Agnes z całych sił i tak po prawdzie dopiero teraz usłyszała swój głos.

– A więc żyjesz! – krzyknął nagle ktoś zupełnie inny.

Przebudzona dziewczyna otworzyła oczy. Zobaczyła, że leży na podłodze nieopodal kominka. Po Lorze nie było ani śladu. Odwróciła głowę i spostrzegła czubki czyichś butów. Uniosła wzrok wyżej, ale postać wydawała się na wpół zamglona. Na jej obliczu tańczyły cienie rzucane przez ogień z pobliskiego kominka.

– Will? – szepnęła.

Mężczyzna kucnął i wtedy Agnes rozpoznała odrażającą, pokrytą bliznami twarz Alarda.

– Otóż to – powiedział bandyta. – Will. Gdzie ten Will? Gdzie nasz Will? Co wymyślił Will? – Słowa brzmiały nader melodyjnie, skocznie, a zarazem upiornie.

– Ja...

– Powiesz mi? Ładnie proszę.

– Ja...

– Nie chcemy chyba zadawać sobie niepotrzebnego cierpienia...

– Ja... – Słowa więzły jej w gardle. Co prawda ból głowy zelżał, ale myśli trawił strach i narastająca panika. Była zdezorientowana, nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Dlaczego izbę zasnuwa mgła? Dlaczego dopiero co miała wrażenie, że pada na nią śnieg? Gdzie podziała się Lora oraz ten wieśniak? A przede wszystkim gdzie jest William, którego przecież jeszcze przed chwilą tuliła w objęciach na zamarzniętym rozlewisku?

– Will...

– Widzisz – podjął Alard, zauważając daremne starania dziewczyny – ten głąb Elias przyniósł mi ciebie. Nie powiem, dobrze zrobił, ale nie wpadł na to, by przynieść mi chociaż łeb Williama. Zarzekał się co prawda, że łotrzyk był martwy, ale powiedz mi, kurwa, uprzejmie cię proszę, jak to jest, że gdy moi chłopcy wrócili do tego wyrobiska, to jego ciała już tam nie było?

Agnes odwróciła od niego głowę. Łzy napłynęły jej do oczu. Czy to możliwe, aby William był martwy? Przecież żył, oddychał, gdy trzymała go w objęciach. To silny i wytrzymały chłop, a ludziom goiły się nie takie rany. Pewnie wyszedł z tego zamarzniętego rozlewiska o własnych siłach i kto wie, czy nie dokonał żywota w samotności, pośród kniei. Agnes czuła, jak ogarnia ją żal i niepojęty smutek.

– Ja...

– Wiedz, że w ostatnim czasie z cierpliwością jest u mnie na bakier – warknął Alard, po czym wstał i podszedł do kominka. Widok jęzorów ognia tańczących nad bierwionem za każdym razem koił jego nerwy. Stał tak długą chwilę, bo gniew go nie opuszczał, a chciał przynajmniej na razie potraktować dziewczynę łagodnie. Wierzył, że tym sposobem więcej się od niej dowie. Był świadom, że dopiero co się obudziła i może jeszcze nie wszystko do niej docierało, lecz Alard nie mógł sobie pozwolić na wielką zwłokę. Ten zasraniec Willi może być już nawet na okręcie i im szybciej się dowie, gdzie łajdak zamierzał się schować, tym szybciej będzie mógł wysłać za nim odpowiednich ludzi.

Agnes wzięła głęboki oddech. Zimno nie opuszczało jej ani na moment, ale chyba wracały jej siły. Uniosła głowę. Ból wyraźnie zelżał. Spostrzegła uchylone drzwi, masywny stół, szafkę, zachodnią ścianę ozdobioną niedbale zawieszonymi brytami jedwabnego czerwonego materiału. Serce zabiło jej szybciej, bo rozpoznała te makaty. W tej chwili były brudne, poplamione i w wielu miejscach porwane, ale zdobienia cęgowym ornamentem były dokładnie takie same jak na tkaninach, które wisały niegdyś w pokoju matki.

– Gdzie... gdzie William?

Alard splótł dłonie, zakołysał się na piętach.

– Już chyba sobie wyjaśniliśmy, że tego właśnie chciałbym się dowiedzieć.

– Co... co ja tu robię?

– Skupmy się może na tym, gdzie jest teraz William. – Alard oderwał wzrok od ognia. – Na początek powiedz mi, dokąd planowaliście uciec. Chcieliście wypłynąć z jakiegoś portu, prawda?

Agnes odwróciła od niego głowę. Nie chciała mu dać satysfakcji. Musiała być silna.

– Tak to jest z tym Williamem. – Alard przeszedł wolnym krokiem na drugi koniec izby. Pod jego ciżmami zaskrzypiały deski. – Zostawił cię, zostawił mnie. Ten gnojek nie potrafi okazać wdzięczności. Powiedz, co wiesz, a obiecuję, że puszczę cię wolno.

Agnes wysiliła się na sarkastyczny uśmiech. To była ostatnia rzecz, w jaką mogłaby uwierzyć. Podniosła się na łokciu i powoli usiadła.

Zakręciło się jej w głowie, zamknęła więc oczy, czekając, aż zawroty ustąpią. Potem popatrzyła na swoje dłonie, nogi, brzuch... Chyba była cała. Czuła, że ubranie jest wilgotne, ale dzięki płomieniom z kominka nie była aż tak zziębnięta jak wcześniej.

– Lepiej ci? – spytał mężczyzna, siląc się na uśmiech. – Masz krzepę, dziewczyno. Tego ci nie można odmówić. Theobald chciał wzywać księdza, ale ja powtarzałem mu, że poradzisz sobie z tymi ranami sama. Spadłaś z urwiska?

– Z konia...

– Co? – nie dosłyszał Alard.

– Spadłam z konia. Powiedz mi lepiej, dlaczego gildia chciała mojej śmierci.

– Nie wiem – skłamał, nie mrugnawszy nawet powieką. – Nie ja wydaję tutaj polecenia, ale możesz być spokojna. Rozkazano mi, aby puścić cię wolno, jeśli tylko powiesz, gdzie jest William.

– Jakoś ci nie wierzę.

– To już nie mój problem.

– Dlaczego William jest dla was taki ważny?

Bandyta wzruszył ramionami, choć miał ochotę ryknąć, że jeśli zaraz nie zaczną gadać, to wypcha jej cipę płonącym polanem. Wsparł się o blat stołu, splótł ręce na piersi. Chciał sprawiać wrażenie spokojnego i póki co chyba mu to nieźle wychodziło.

– Król chce wiedzieć, gdzie jest ten łajdak – powiedział wreszcie. – A ja wykonuję tylko jego polecenie. Nic więcej.

– Co się stało z Lorą? – spytała, puszczając mimo uszu tłumaczenia Alarda.

– Z kim?

– Z Lorą, żebraczką, która otruła mojego ojca.

– A cóż ona ma do tego?

– Po prostu chcę wiedzieć.

Alard popatrzył na nią spod brwi. „W co ona pogrywa?” – pomyślał.

– Powiem ci, gdzie jest Lora – odparł wreszcie – jeśli obiecasz mi wyjawić, gdzie William chciał się ukryć.

Wahała się dłuższy czas, ale wreszcie pokiwała głową.

– Nie słyszę.

– Zgoda. Chcę tylko wiedzieć, co się z nią stało.

Alard spojrział przenikliwie na dziewczynę, ale za cholerę nie potrafił odgadnąć, dlaczego o to pyta. To jasne, że szukała zemsty, ale przecież los Lory nie był tajemnicą. Każdy w gildii wiedział, co się z nią stało, nie wyłączając Williama, i wydawało się mało prawdopodobne, aby ta informacja nie dotarła również do niej. Czyżby William ją oszukał? Może teraz dałoby się to w jakiś sposób wykorzystać?

– A co o niej wiesz? – spytał.

– Nie pogrywaj ze mną.

Bandyta zgrzytnął zębami. „Obedrę cię ze skóry, szmato, wybije wszystkie zęby, będę cię gwałcił pogrzebaczem, póki nie usłyszę błagań, bym cię zabił...”.

Chrząknął, czując, że jego przemyślenia są zbyt czytelne. Dawniej lepiej sobie radził z maskowaniem prawdziwych emocji, chociaż z drugiej strony nie pamiętał, żeby ktoś się tak do niego zwracał. Alard chciał jeszcze przynajmniej przez moment trzymać nerwy na wodzy. Mógł chwycić Agnes za kłaki i przyłożyć tę jej wyszczekaną gębę do płomieni, ale intuicja mu podpowiadała, że niewiele brakuje, aby z własnej woli wyjawiała, co planował William. Zdecydował się dać jej ostatnią szansę, ba, nawet zachęcić ją do mówienia, odsłaniając prawdę o zebrazce.

– Lora nie żyje – odparł mrukliwie. – Osobiście obciąłem jej czerep i tuszę, że nie będę musiał zrobić tego samego z tobą.

Agnes pokiwała w zamyśleniu głową. A więc William nie kłamał. Lora faktycznie zginęła z rąk tego niegodziwca. Zebrała się z ziemi i z wielkim trudem podeszła do kominka. Ogień w przyjemny sposób grzał jej wciąż zziębnięte ciało.

– Więc? – niecierpliwił się Alard.

Agnes nie zamierzała mówić mu prawdy, ale coś musiała mu powiedzieć.

– Wi... – Urwała w pół słowa, bo do izby wszedł garbaty starzec ubrany w czapkę i kilka porwanych kaftanów, niosąc dzbanek wina.

– Nie teraz – warknął bandyta.

Theobald jednak tego nie słyszał lub nie chciał słyszeć. Podeszedł

do syna i postawił naczynie nieopodal niego na stole. Jego dłoń, choć nie była pomarszczona ani nie nosiła śladów starczych przebarwień, mocno się trzęsła. Nie uszło to uwadze Alarda; na jego twarzy szybko pojawił się grymas zdziwienia i niepokoju. Podejrzanie mały garb Theobalda umocnił bandytę w przekonaniu, że coś jest nie tak. Chciał się cofnąć, by przyrzeć się ojcu z daleka, ale staruszek zareagował błyskawicznie. Błysnął sztylet, a ciszę przerwał krótki, acz wyrazisty szelest łańchmanów. Z poderżniętego gardła Alarda trysnęła krew. Mężczyzna padł na kolana, przykładając instynktownie obie dłonie do głębokiej rany. Niestety, dławiąc się własną posoką, szybko osunął się na ziemię. Martwe spojrzenie przez cały czas wbijał w przekłętę – o ironio losu – jakże pogodne oblicze.

Agnes cofnęła się o krok.

– William? – spytała pełna trwogi. – William, to ty?

Łotrzyk odwrócił się do niej. Zrzucił brudne łachy, ściągnął czapkę i posłał jej radosny, choć wymuszony uśmiech. Był blady, wycieńczony; ranę na piersi musiał mieć bez wątpienia opatrzoną, bo jego zniszczony dublet nie nosił świeżych śladów krwi, ale widać było, że chodzenie sprawia mu ból. Jakim cudem dotarł tutaj o własnych siłach?

– Jesteś cała? – spytał. – Nic ci się nie stało?

Agnes niemrawo pokiwała głową. Czuła się dobrze, ale widok łotrzyka odebrał jej mowę.

– Ty... żyjesz... – wydukała wreszcie.

– Musimy się śpieszyć.

– Żyjesz i przyszedłeś po mnie...

– Agnes. – Will chwycił ją za ramiona. – Skup się, proszę cię.

Musimy już iść.

Pokiwała głową. Znowu niemrawo, ospale.

– Załóż jego płaszcz, leży tam na ławie.

– Will... jak...

Mężczyzna westchnął, zniecierpliwiony założył kosmyk włosów za ucho i sam poszedł po wierzchnie odzienie Alarda.

– Wszystko ci wyjaśnię w drodze, Agnes, a teraz włóż to i wychodzimy.

Dziewczyna miała mętlik w głowie. Nieświadomie wciągnęła na siebie ubranie bandyty i poszła za łotrzykiem.

Było mroźnie, wietrznie, dopiero co minęło południe, ale słońce z trudem przedzierało się przez kłębowisko ciemniejących chmur.

Brodzili w śniegu, idąc jedną z bocznych uliczek Southwerk. Will wolał omijać główne drogi, bo tam łatwiej było spotkać kogoś z gildii.

– Dokąd chcesz uciec? – spytała po jakimś czasie Agnes.

Wyglądało na to, że mroźne powietrze wyrwało ją z odrętwienia, bo zaczęła być coraz bardziej świadoma tego, co robi.

– Wypłyniemy z naszego portu, w Southwerk.

– A gildia?

– Musimy zaryzykować – odparł, nawet nie odwróciwszy się ku niej. – Dobiłem targu z jednym kapitanem. Czeka na nas w portowej karczmie Bertra.

Agnes wydeła w zamyśleniu usta. Nie była pewna, czy plan łotrzyka jest właściwy, bo kapitan mógł przecież donieść o wszystkim gildii.

– Skręćmy tutaj, w prawo – rzucił nagle przez ramię.

Dziewczyna zwolniła kroku, aż w końcu się zatrzymała.

– Dlaczego chcesz tam iść? – spytała. – Przecież port jest z drugiej strony.

Will nie odpowiedział i co gorsza, wsparł się o mur pobliskiego budynku. Ciężko oddychał. Agnes co tchu podeszła do niego.

– Chryste, ty się cały trzęsiesz – jęknęła. – Wszystko w porządku?

Łotrzyk uspokoił oddech, odtrącił jej rękę i ruszył dalej przed siebie.

– Czuję się obolały, to wszystko – rzucił przez ramię. – Chodź za mną.

– Ale dlaczego w tamtym kierunku? Na pewno wiesz, dokąd idziesz?

Will westchnął, zatrzymał się i popatrzył na nią z irytacją. Był blady, zziębnięty. Jego oczy nie wyrażały żadnych emocji. Żadnych, może poza strachem.

W oddali przebiegła gromadka zebrzących dzieci. Z piętra pobliskiej kamienicy doszedł ich krzyk jakiejś baby, która zaraz potem wylała na ziemię parujące pomyje.

– Musimy załatwić jeszcze coś w leśnym zakolu – powiedział.

– Ale co załatwić?

– Możesz choć raz zrobić to, co ci mówię? Pośpiesz się.

Agnes nie wydawała się usatysfakcjonowana tymi zdawkowymi wyjaśnieniami, ale postanowiła zaufać Willowi i ruszyła niemrawo w ślad za nim.

– Ale jak udało ci się przeżyć? – spytała, wpatrując się w jego przygarbioną sylwetkę.

– Uratowały mnie twoje pieniądze.

– Nie rozumiem...

– W wyrobisku znalazło mnie dwóch kamratów, którzy byli moimi dobrymi znajomkami. Udało mi się ich przekupić. Pomogli mi tutaj przyjechać, obiecali nie puścić pary z ust, a w zamian dostali ode mnie worek z pieniędzmi, który leżał przy twoim martwym wierzchowcu.

Agnes zrobiła wielkie oczy. Zaraz potem drgnęła, bo z pobliskiego zaułka wyskoczył pies łudzaco przypominający wilka.

– Czyżbym źle zrobił?

– Nie... skąd, ale... trudno mi uwierzyć, że oni... Czy oni na pewno nas nie wydadzą?

– Na pewno. I nie przejmuj się, wziąłem notatki, które spisał dla ciebie twój ojciec.

– Och, nawet nie wiem, czy mogłyby mi się jeszcze na coś przydać – odpowiedziała, przyspieszając kroku.

– Cieszę się, że tak myślisz.

– Dlaczego?

– No bo... – W jego głosie słychać było wahanie. – Jak by nie było..., to ty jesteś królem gildii.

– Nie jestem – zaperzyła się.

– Skręćmy tutaj. Nie czytam biegle, ale z zapisków twojego ojca można chyba wywnioskować, że raczej wiązał z tobą jakieś nadzieje.

Agnes westchnęła, wypuszczając obłok pary. Zimno nie opuszczało jej ani na moment, więc opatuliła się szczelniej płaszczem.

– On dał mi wolny wybór, Will.

– Wiem. Ale przyznaj, że na pewno potrafiłabyś trzymać wszystkich za mordy.

– Bardzo zabawne – bąknęła z przekąsem.

Z czasem jednak zwolniła kroku, bo naszły ją wątpliwości.

– Myślisz... myślisz, że powinnam tu... zostać?

Will zatrzymał się, odwrócił i uchwycił jej spojrzenie.

– Nie, Agnes – rzekł z całą stanowczością. – Zdecydowanie nie.

A teraz chodź za mną.

Weszli w gąszcz walących się drewnianych chatynek. Alejka była oblodzona, musieli obchodzić zamrożone pomyje i różnorakie śmieci. W zacienionym zaułku minęli śpieszącą za własnymi sprawami parę mężczyzn. Wreszcie wyszli na zasypaną puchem polanę. Zostawiali Southwerk daleko w tyle. Śnieg sięgał im miejscami nawet do kolan i wiele czasu minęło, nim dobrnęli do niewielkiego brzoźowego zagajnika, który ciągnął się wzdłuż łagodnego zakola Tamizy.

– Czego tu szukamy?

– Jeszcze kawałek – wydyszał wyraźnie zmęczony łotrzyk.

Agnes roztarła skostniałe dłonie i z rezygnacją pokręciła głową. Było jej zimno i bolały ją już nogi. Do tego wszystkiego coraz bardziej dawał jej się we znaki dokuczliwy ból pleców.

– Dlaczego jesteś taki pewny, że twoi kamraci cię nie wydadzą? – spytała po chwili milczenia.

William znów nie odpowiedział, ale zatrzymał się przy pryzmie śniegu i odrzucił kilka garści puchu.

– Dlatego – rzekł.

Agnes z wrażenia zakryła usta dłonią.

– Zabiłeś ich – szepnęła.

– Obserwuj, czy nikt nie idzie – zbył ją William i zabrał się do wykopywania worka z pieniędzmi.

Agnes odruchowo rozejrzała się wokoło. Z trudem dostrzegła kontury Southwerk. W tej chwili zasnuwała je śnieżna mgła zabarwiona tu i ówdzie dymem z kominów. W pobliżu nie było żywej duszy i tak po prawdzie Agnes uprzytomniła sobie, że przyjdzie im pokonać spory kawał drogi, nim dotrą do doków. Pobliskie krzewy tańczyły leniwie pod naporem wiatru, gałęzie drzew pokrywał lśniący szron.

Złapała się na myśli, że to w głębi tego zagajnika William ukradł jej konia. Ależ była wtedy zła na niego. Gdyby chociaż tylko ukradł, ale nie, on schował się pomiędzy krzewami i zaczął ją bezwstydnie podglądać. Jak na złość zatęskniła za tymi chwilami.

– Idziesz? – usłyszała, wyrwana z zamyślenia.

Odwróciła się w jego stronę. Trudno jej było stwierdzić, jak dużo czasu spędzili w tym miejscu, ale zimno przeniknęło ją do szpiku kości. Chuchnęła w sine od mrozu dłonie i z niedowierzaniem wpatrywała się to w Williama, to znowu w przybrudzony śniegiem worek z pieniędzmi.

– Naprawdę może nam się udać – wyszeptała.

– Uda nam się, jeśli się pośpieszymy – odparł z powagą w głosie. – Kapitan nie będzie na nas czekał w nieskończoność.

William ruszył na przełaj, kierując się prosto do doków. Nie chciał tracić czasu, tym bardziej że bolały go wszystkie mięśnie i paliła rana, a przedzieranie się w śniegu głębokim prawie na dwie stopy pozbawiało go resztek sił. Każdy krok okupywał cierpieniem i grymasem bólu. Nie lepiej zresztą czuła się Agnes. Zasypana śniegiem polana zdawała się nie kończyć i dziewczyna miała wrażenie, że przyjdzie jej brnąć w tych zaspach po wsze czasy.

– Pośpiesz się! – krzyczał do niej William. – Już widać portowe magazyny!

Jak na złość kurzawa przybrała na sile i łotrzyka co rusz przesłaniały tumany wirującego puchu. Agnes miała spore obawy, czy nie zgubi się w tej śnieżnej zamieci. Do tego wszystkiego była przecież bardzo zmęczona.

– Will! – krzyknęła. – Will, gdzie jesteś?!

– Tutaj!

Wszędzie było białe. Wiatr smagał jej twarz drobinami śniegu, oczy łzawiły, nogi grzęzły w śniegu. Chciała krzyknąć głośniejsze, ale mróz zapierał jej dech w piersi.

– Tutaj! – słyszała. – Tutaj!

Spanikowana, zaczęła rozglądać się na wszystkie strony, zrobiła jeszcze kilka kroków i wreszcie z ogromną ulgą dostrzegła kontury magazynów. Niewiele dalej zobaczyła łotrzyka, który opierał się o pokrytą szronem fasadę tawerny. Ciężko oddychał, ledwie trzymał się na nogach, ale żył i chyba nic mu nie było.

– Wszystko w porządku? – spytał, gdy tylko się zbliżyła.

– Tak – sapnęła. – Przez moment bałam się, że... Zresztą nieważne. – Nie zamierzała mówić mu, jak bardzo się przestraszyła, że znowu będzie sama. Postanowiła jednak odwdzińczyć się jakoś

Williamowi za te wszystkie trudy. Przyłgnęła do niego, położyła dłoń na jego policzku i pocałowała w usta. Były zimne, spierzchnięte...

– Musimy iść – szepnęła między pocałunkami.

– Wiem... – Tak bardzo chciała pozostać w jego objęciach. –

Jesteś pewny, że nic nam tam nie grozi?

– Musimy zaryzykować.

W środku było gwarno i tłoczno. Panował półmrok, z okolic szynkwasu dochodził śpiew tutejszego grajka. Łotrzyk usiadł w kącie nieopodal wejścia, chcąc zapewne rozejrzeć się na spokojnie po zebranej gawiedzi. Agnes usiadła przy nim, ale zaniepokojona zauważyła, że mężczyzna wcale nie obserwuje otoczenia.

– Will? Wszystko w porządku?

Rzucił jej przenikliwe, pełne bólu spojrzenie. Chciał już mieć to wszystko za sobą. Chciał zostawić Southwerk, Londyn i całą Anglię. Chciał wreszcie uwolnić się od królewskiej gildii i zaznać szczęścia tylko przy niej. Przy tej krnąbrnej i upartej dziewczynie...

– Will?

– Po... po prostu się zmęczyłem...

– Ale...

– Poszukaj kapitana. Ja... ja muszę odpocząć.

– Jak to musisz odpocząć? – zdenerwowała się Agnes. Przecież praktycznie już mieli wsiadać na ten cholerny okręt. – Jak wygląda ten kapitan?

– Nie wiem – wydusił z siebie William, kładąc głowę na jej kolanach.

Zadrżała. Odgarnęła z jego twarzy włosy. Siną bliznę pokrywał mieniący się szron.

– Will! Jak to nie wiesz, jak wygląda?

– Nie... wiem...

– Taki rudy, postawny chłop, prawda? Powiedz, że to wiarus, któremu niestraszna jest zima. Powiedz, że to ten sam kapitan, z którym tu przypląnąłam.

Nie odpowiedział.

– William! Ocknij się!

Ludzie siedzący nieopodal wzdrygnęli się na podniesiony głos

Agnes. Umilkli i skierowali w jej stronę wzrok. W tawernie nastąpiła cisza i tylko grajek nie przestawał śpiewać:

*Gorzki jest żywota smak,
Gdy nadziei w sercu brak.
Okrutne me przeznaczenie
Pochłania bezwzględne marzenie.*

*I choć mnie rozdziera okrzyk: dolo, proszę, nie,
Los nie chce słyszeć mnie.*

*To ty pokazałeś mi, jak żyć.
To ty sprawiłeś, że zaczęłam śnić.
I choć cudowny był tego smak,
Pojęłam, że miłość trawi strach.*

*I choć mnie rozdziera okrzyk: dolo, proszę, nie,
Los nie chce słyszeć mnie.*

*Wpatrzona byłam w marzeń szlak,
Goniłam szczęście, bo mi go brak.
I choć przepadł widok ten,
Uwierz, to był najpiękniejszy sen.*

Agnes z trwogą uniosła głowę. Przez dach tawerny spadły na nią duże płatki śniegu. Wiatr potargał jej włosy. Zamknęła oczy pełne łez. Już dłużej nie mogła. Nie potrafiła. Kurzawa rozwiała ludzi kłębiących się w tawernie. Stoły, ławy i drewniane zydle rozmyła mgła. Ściany zapadły się pod ziemię i zamiast nich wyrosły strome, pokryte białym puchem skały wyrobiska. Krwawe ślady stoczony niedawno walki znikły zupełnie pod warstwą bieli.

Słońce kryło się już za horyzontem, ale wychynęło jeszcze zza chmur i niespotykane dla tej pory roku zaczęło iskrzyć złotą czerwienią. William tego nie widział. Miał zamknięte oczy. Przejmującą ciszę przerwał pełen bólu i cierpienia krzyk Agnes, który jeszcze długi czas

rozbrzmiewał echem.

Duże płaty śniegu spadały z nieba nieprzerwanie, pokrywając coraz szczelniej białym płaszczem wtulonych w siebie zakochanych.

KONIEC

PRZYPISY

[1] Jedna z miar czasu wprowadzonych przez zakonników. W ciągu nocy zużywano trzy świece, toteż nazywano je odpowiednio pierwszą, drugą i trzecią świecą.

[2] Obecnie nazywane Southwark.

[3] Powstanie karczmy Tabard datuje się na 1307 rok.

[4] Biblia Tysiąclecia, Hbr 12,5-7.

[5] Jeden z niewielu obszarów czternastowiecznego Londynu, w którym kobiety lekkich obyczajów mogły uprawiać nierząd za zgodą burmistrza.

[6] Fragment zaprzysiężenia bandyty z Beggars' Bush, Johna Fletchera.

[7] Fragment wyrzeczenia się kraju przez przestępcę z Wellington w 1311 roku (por. George G. Coulton, *Panorama średniowiecznej Anglii*).

[8] Niech was błogosławi Bóg wszechmogący, Ojciec, i Syn, i Duch Święty.

[9] Napój z jęczmienia i orkisz, bez dodatku chmielu.

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Od Autora

Mapa

1 lipca 1331 roku

25 grudnia 1341 roku

Przypisy

